

Widmo

Joshilyn Jackson

Przełożył Radosław Madejski

Rozdział I

Przed tym, jak topielica przysłała do sypialni Laurel, duchy nigdy nie pojawiały się w Victoriannie. Domy liczyły zaledwie po dwadzieścia lat i na żadnym z nich nie spoczywało piętno wydarzeń z przeszłości wywołujące skrzywienie podłóg albo łoskot w rurach. Podwórza skrywały się za wysokimi ogrodzeniami, a białe płyty trotuaru nie miały pęknięć. Dostępu do Victorianny strzegła masywna brama z kutego żelaza. Jej wymyślnie poskręcany szczyt wyglądał wiekowo, ale był również świeżej daty. Napędzały ją siłowniki hydrauliczne, a stawała otworem tylko przed tymi, którzy znali kod.

Laurel i David wprowadzili się do wielkiego domu przy Chapel Circle przed trzynastu laty. Laurel miała wtedy zaledwie dziewiętnaście lat i od tamtej pory nie widziała nawet zjawy swego nieżyjącego wuja Marty'ego, który pozostał uwięziony w ceglanym wiejskim domku o trzech sypialniach. Stał on w oddalonej o pół godziny drogi maleńkiej miejscowości Pace i nadal mieszkali w nim jej rodzice. Jako dziewczynka widywała zjawę dość często, przeważnie w noc poprzedzającą burzę.

Odkładała na stolik otwartą książkę o Ani z Zielonego Wzgórza albo o Trixie Belden i szybko zasypiała w pościeli ozdobionej motywami z bajki o Kopciuszku, miękkiej i wyblakłej po niezliczonych praniach. Wtedy obok jej łóżka pojawiał się on, posępny i przezroczysty. Stał z dala od plisowanego abażuru lampki nocnej, nie dotykając stopami podłogi, gdzie poniewierał się jej sportowy bawełniany stanik, brudne tenisówki Thalii i rozrzucone numery „Tiger Beat”. W nogach

łóżka spoczywał ukochany pluszowy konik Laurel, ale Marty nie odbijał się w jego szklanych oczach, jakby wierna wypchana zabawka nie chciała uznać obecności widma.

Uśmiechał się do niej i jedną rękę wetknawszy swobodnie za pas, drugą wyciągał w jej stronę, gotów odsłonić przed nią tajemnicze sceny, niczym jej osobisty duch niebyłych świąt Bożego Narodzenia.

Cienki strumyczek księżycowej poświaty sączył się przez ranę postrzałową po lewej stronie jego tułowia i sięgając oczu Laurel, zmuszał ją do opuszczenia powiek. Zaciskała je i zapadała w sen. Rankiem słońce oświetlało drobinki pyłu w miejscu, gdzie stał.

Laurel nie lubiła chodzić tamtędy, gdzie zostawiał po sobie zięjący chłodem punkt, a czasami dostrzegała na dywanie odcisk jego znoszonych kowbojskich butów. Kiedyś jej siostra Thalia przytapała ją, jak kłęcząc, usiłowała wygładzić owe niewyraźne ślady.

- Dopieszczasz ten dywan, Robaczku? - zapytała.

Laurel wzruszyła tylko ramionami i zastygła w bezruchu. Thalia miała lekki sen i często się budziła, ale nigdy nie widziała Marty'ego.

Laurel zaprosiła Thalię do domu w Victoriannie parę dni po tym, jak wprowadziła się tam z Davidem. Byli małżeństwem już od całych pięciu tygodni. Laurel jechała powoli krętymi uliczkami, tymczasem Thalia siedziała na fotelu pasażera i coraz wyżej podnosiła górną wargę, odsłaniając zęby. Jej warga niemal dotykała już nosa, gdy mijały rząd ogromnych rezydencji w stylu wiktoriańskim o piernikowych fasadach i z romantycznymi balkonikami.

- To tak wygląda, jakby ktoś tu uwalił gówniany domek marzeń Barbie - stwierdziła Thalia. - Cały szereg takich domków. I jakby cierpiał na okrutną sraczkę.

- A ja myślę, że są piękne - odparła Laurel. Jej głos był łagodny, ale w dole brzucha czuła, jak dziecko miota się na wszystkie strony niczym rozjuszona krewetka. - Spójrz, ten należy do nas.

Skręciła na podjazd. Dom Laurel i Davida miał barwę wyblakłego błękitu, który ożywiały soczyste dodatki o śliwkowej i wrzosowej ko-

lorystyce. Umieszczony na szczycie dachu kogucik wskazywał kierunek wiatru, a dwa gargulce łypały wściekle spod okapu.

Thalia omiotła wzrokiem spadzisty dach z wieżyczkami i potrząsnęła głową.

- Powiedziałaś coś miłego - odezwała się Laurel, opierając dłoń na wypukłości brzucha. Właśnie minął czwarty miesiąc, a Shelby była tak maleńka, że Laurel wyczuwała tylko najbardziej gwałtowne z jej ruchów.

- No dobra - odparła Thalia, wymawiając „o” tak przeciągle, jak gdyby chciała zyskać czas do namysłu. Potem zadarła głowę, naśladowując uśmiech June Cleaver*. - Wygląda schludnie. Tak jakby nawet nie było wolno tu sikać psom.

- Chyba mamy to w statucie - powiedziała ze śmiechem Laurel.

Zaczęła wysiadać z samochodu, ale Thalia położyła jej dłoń na ramieniu.

- Czy naprawdę tego właśnie chcesz? Tego domu, tego mężczyzny i macierzyństwa w wieku dziewiętnastu lat? - zapytała, a gdy Laurel potakująco skinęła głową, cofnęła rękę. Po chwili jednak wymamrotała pod nosem: - Zachowujesz się, jakby cię poddano lobotomii.

- Och, przestań - uniosła się Laurel. - Przecież to nie ma sensu.

- Owszem, ma - rzekła Thalia. - W czeluściach kryje się wiele rzeczy, a to miejsce jest jak dziura, w której kiedyś był twój mózg.

Thalia nigdy nie zapałała do Victorianny większą sympatią. Stwierdziła też, że narzuty będące dziełem jej siostry, która nie stosowała żadnych mocniejszych w wyrazie motywów, są zbyt uładzone, by uznać je za sztukę. Prawdziwa sztuka, zdaniem Thalii, powinna chwycić za gardło. Z kraciastej kieszonki bożonarodzeniowego aniołka mogłaby wystawać zbielała ptasia czaszka, ale Laurel nigdy nie umieściłaby jej na

* June Cleaver - bohaterka serialu komediowego *Leave it to Beaver*, archetyp żony i matki z amerykańskiej klasy średniej lat 50. ubiegłego wieku. W jej roli wystąpiła Barbara Billingsley (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

miejscu pięknej anielskiej główki. To by nie pasowało. Laurel widziała końcowy efekt swej pracy oczyma duszy i wiedziała, że każdy element - niewinny, makabryczny albo neutralny jak kremowy aksamit - musi być podporządkowany większej całości. Na tej samej zasadzie wszystkie części Victorianny tworzyły całość, która jej zdaniem była śliczna.

Jej sąsiedzi mogli popełniać swoje ulubione grzeszki. Mogli się upijać i urządzać awantury, mogli oszukiwać urząd podatkowy albo siebie nawzajem, ale co sobotę myli i woskowali swoje samochody, a ich żywopłoty i lampy ogrodowe były zawsze schludne. Rozwieszali znaki straży obywatelskiej i, zawsze czujni, wyglądali spoza rozsuniętych zasłon. Ulice oświetlały stojące rzędem staromodne szklane latarnie, więc nawet w nocy duch napotkałby nie lada trudności, aby przemknąć niepostrzeżenie do drzwi Laurel.

Mimo to duch utopionej dziewczyny przyszedł tej nocy.

Zbierało się na burzę, więc zanim Laurel położyła się do łóżka, sprawdziła jeszcze łańcuch zabezpieczający drzwi sypialni. Była bardziej skłonna do wędrówek we śnie, kiedy powietrze przesyciła taka wilgoć, że wyczuwało się w nim smak elektryczności. Wstawała wtedy, rozbrajała wszystkie zabezpieczenia, otwierała okna i wyciągała wszystko z szaf i szuflad. Raz położyła na stoliku obok łóżka zrobiony z paciorków pękaty kwiat maku, nad którym właśnie pracowała. Zapadając w sen, miała wrażenie, że czarne koraliki na dnie kielicha są tak połyskliwe i okrągłe jak mysie oczka, a potem wstała w nocy i popruła wszystkie ścięgi. Gdy spała, jej dłonie skwapliwie coś otwierały i psuły. Łańcuch nie był dla nich żadną przeszkodą. Służył właściwie do tego, aby podzwaniając o framugę drzwi, obudzić Davida, który zabierał ją z powrotem do łóżka.

Ich sypialnia przypominała chłodnię. David, którego metabolizm przebiegał tak szybko, że jego skóra przez cały czas była lekko rozpalona, w lecie nie mógł zasnąć, jeżeli termostat nie został ustawiony na osiemnaście stopni. Laurel wśliznęła się pod kołdrę i przyłgnęła do jego gorących pleców. Pocałowała go w ramię, ale on ani drgnął. Kiedy

zapadał w kamienny sen, jego patykowate ciało zdawało się przybierać postać zastygłej i niewzruszonej masy.

David pracował po piętnaście godzin dziennie, przerabiając program symulacyjny, który stworzył dla marynarki wojennej, na grę komputerową dla jakiejś firmy z Kalifornii. W ciągu ostatniego tygodnia wypowiedział do niej może z dziesięć pełnych zdań. Tak jakby cały jej mąż mieścił się teraz w rdzeniu mózgu, a jego wyższymi funkcjami zarządzało programowanie.

Wiedziała, że za tydzień lub dwa, kiedy David wykona swoje zadanie, wyłoni się z położonej w przyziemiu pracowni, przecierając oczy, jakby przebudził się z długiego snu. Wyciągnie się na podłodze i opierając głowę na jej udach, uniesie ku niej to samo skupione spojrzenie przymrużonych oczu, które dotąd z oddaniem śledziły rzędy zakodowanych cyfr.

- Co się działo w prawdziwym świecie? - zapyta, mając na myśli ich świat.

Laurel będzie przeczesywała palcami jego włosy, zasypując go opowieściami o narzucie z panną młodą, nad którą właśnie pracuje, o swym triumfie w sąsiedzkich niesnaskach i o tym chłopcu ze szkoły, w którego towarzystwie Shelby zachowuje się zbyt swobodnie. David zawsze w pełni do niej powracał, a ona to akceptowała.

Spała głęboko, dopóki temperatura nie spadła jeszcze bardziej, a wtedy zaczęła się trząść i śniła, że jej oddech wije się niczym smuga dymu ze smoczej paszczy. Obróciła się na plecy i uniosła ku powierzchni snu. Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła kontur postaci młodej dziewczyny. Mogła mieć ze dwanaście albo trzynaście lat i stała w nogach łóżka.

- Shelby? - zapytała Laurel i usiadła.

Ale sylwetka Shelby przypominała źdźbło trawy, a jej dopiero pączkujące piersi zaczynały się ledwie zarysowywać. Tymczasem u tej dziewczynki fałdki dziecięcego tłuszczu zdążyły się przeobrazić w autentyczny biust i wąskie biodra. Była przemoknięta do suchej nitki,

a wpadająca przez okno księżycowa poświata odbijała się od niej po-
łyskliwie.

- Nie jest ci zimno, dziecinko? - zapytała Laurel zduszonym szep-
tem, jakby przebudziła się z długiego i głębokiego snu, a jej gardło
zdążyło spierzchnąć.

Nie było odpowiedzi. Laurel widziała ciało dziewczynki pod wil-
gotną tkaniną, a nagle zdała sobie sprawę, że widzi również okno sy-
pialni, bo postać zjawy stała się równie przezroczysta jak jej sukienka.
Wtedy Laurel pojęła, z kim ma do czynienia. Rozejrzała się po kątach
pokoju, wypatrując Marty'ego, przekonana, że to musi mieć z nim coś
wspólnego.

Marty'ego nigdzie nie było. Było to niespotykane, ale topielica po-
jawiła się sama. Głowę trzymała zwieszoną, a jej mokre włosy opada-
ły na twarz niczym welon, przywierając zlepionymi kosmykami do ko-
ści policzkowych i nosa. Miały jasny lub lekko brązowawy kolor, lecz
trudno było to jednoznacznie określić, gdyż pociemniały od wody.

- Nie możesz tu być - odezwała się Laurel, opuszczając stopy na
podłogę.

David wymamrotał coś i przekręcił się na drugi bok, a jego długie
ramię spoczęło w miejscu, gdzie przed momentem leżała.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa dziewczyna odwróciła się i ruszy-
ła w stronę rozsuniętych zasłon. Ciemne krople wody skapywały z jej
włosów i rąbka sukienki, ale dywan nadal był suchy. Powłóczyła po
nim bosymi stopami, mierzwiąc gruby włos.

- Nie chodziło mi o to, żebyś odchodziła. - Laurel wstała z łóżka
i zrobiła dwa niepewne kroki w jej stronę. - Chciałam powiedzieć, że
to niemożliwe, abyś tu była.

Dziewczynka, która zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi na
dźwięk głosu Laurel, stała już przy oknie. Zrobiła kolejne dwa kroki
i przenikając przez szybę, wychyliła się na zewnątrz, rozłożyła ramio-
na, po czym odpłynęła w mrok. Laurel podeszła bliżej, z ręką wyciąg-
niętą ostrożnie przed siebie, ale pod opuszkami palców poczuła twar-

dą tafłę szkła. Sukienka i długie włosy zjawy nie oparły się grawitacji i zwisały bezwładnie, lecz jej ciało łagodnie szybowało w dół. Tuż nad ziemią zadarła głowę i opuściła stopy, lądując miękko na terakocie okalającej basen.

Na podwórzku panował mrok, ale Shelby zapomniała wyłączyć lampy na dnie basenu, więc spod wody biła jasna poświata. Dziewczynka również lśniła, jakby swoim własnym światłem. Niczym gospodarz teleturnieju zatoczyła z gracją szeroki łuk prawym ramieniem, jak gdyby chciała zaprezentować wodę. Laurel powiodła wzrokiem za tym gestem i z początku nie potrafiła pojąć tego, co zobaczyła. Dziewczynka spoczywała odwrócona twarzą w dół na środku basenu, a jej sukienka falowała pod wodą niczym rozpostarte skrzydła. Laurel widziała jej wysmukłe ciało, szczupłe nogi i kosmyki włosów, które unosiły się ku powierzchni splątane jak wodorosty. Jej duch wyblakł, przybierając postać ruchomego cienia, który dostrzegała kątem oka, po czym rozpłynął się w mroku.

Laurel uderzyła dłońmi w szybę.

- Co tam... - usłyszała za plecami głos Davida dobiegający jakby z oddali.

Głośny i przeciągły skowyt rozdarł na pół jej sen. Próbowała umiejscowić ten dźwięk, z którym nie zdążyła się jeszcze oswoić, ale było to staranie ponad jej siły. Wtedy zdała sobie sprawę, że słyszy swój własny głos. Krzyczała przez sen. Umilkła gwałtownie i obudziła się, stojąc przy oknie, przez które oszołomiona wyglądała na podwórk. To nie miało sensu. Już nie spała, a jej prawdziwa dłoń spoczywała na prawdziwej chłodnej szybie. Postać ze snu powinna była zniknąć, a jednak Laurel wciąż ją widziała. Leżała przy dnie zwrócona twarzą w dół, a światło lampy basenowej rozmywało kontury jej sylwetki. Woda kołysała jej ciałem, które dryfowało spokojnie na samym środku basenu Laurel i Davida.

- Kochanie, co się... - znów usłyszała głos męża, tym razem już z bliska.

Odepchnęła się od okna i pognała do drzwi. W ciemności wymacała łańcuch, odpięła go, wypadła na korytarz i ruszyła pędem w stronę schodów. Kiedy mijała pokój Shelby, mimowolnie obróciła głowę, aby zajrzeć do środka.

Shelby tam nie było, a na podłodze leżała zwalona na stertę pościel. Laurel widziała przed momentem jasnowłose ciało w basenie i czysta adrenalina wypełniła jej żyły, ponagłając do biegu. Przesadziła schody trzema wielkimi susami, chociaż mózg uporczywie podpowiadał jej, aby jeszcze raz sprawdziła dokładnie pokój, który omiotła przelotnym spojrzeniem. Stłumiła instynkt nakazujący jej wrócić i zajrzeć, i zaglądać tak ze sto razy, aż okaże się, że łóżko nie jest puste, a jej oczy zobaczą Shelby bezpieczną i śpiącą na swoim miejscu. Czuła, jakby jej serce nabrzmiało, zajmując zbyt dużo miejsca w piersi, przez co ściśnięte płuca nie mogły złapać oddechu, kiedy biegła. Shelby i Bet Clemens grały w Clue, gdy Laurel kładła się spać, a teraz, pędząc przez salon, zauważyła planszę do gry porzuconą na środku podłogi.

Przekręciła zamek w rozsuwanych szklanych drzwiach i odepchnęła je na bok. Alarm zaczął popiskiwać ostrzegawczo, a jego elektroniczny dźwięk, bezduszny i wysoki, ścigał ją, gdy wybiegła na zewnątrz. Z rozpędu wpadła na niskie ogrodzenie otaczające taras. Kazała je zamontować, kiedy Shelby była małym brzdącem, którego jedynym celem było dotrzeć do basenu, aby utonąć w nim jak rozkoszny, głupiutki leming. David, tak często nieobecny duchem, tyle razy objął sobie na nim piszczele, że Shelby dorastała w przekonaniu, jakoby ogrodzenie nosiło nazwę „psiakrew”.

Tym razem to Laurel potknęła się na nim i ślizgając się, przemierzyła wilgotny trawnik. Upadła na jedno kolano, ale podniosła się natychmiast i popędziła do wyższego ogrodzenia, które okalało basen. Pchnęła furtkę i po terakotowych płytkach podbiegła do stopni prowadzących pod wodę.

Chłód przeniknął jej nogi i rozszedł się dreszczem po plecach. Zdawało się, że ma drugą parę powiek, cienkich jak błona, które

unosły się pod wpływem zimna, a wtedy zobaczyła, że dziewczynka nie jest jej córką. Rozpoznałaby każdą jej cząsteczkę, a delikatny zarys łopatek i kształt głowy były zupełnie inne.

W żyłach Laurel wezbrała spieniona fala czerwonej rozkoszy, jak gdyby jej krew nagle została nasycona dwutlenkiem węgla. Całe jej ciało rozpierała chora radość, że to dziecko nie jest jej dzieckiem. To było tak natychmiastowe i mimowolne jak bicie serca, lecz z kolejnym oddechem wkrađło się zawstydzenie. Dzięki Bogu to nie Shelby, dzięki Bogu, ale ta dziewczynka też była czymś dzieckiem.

Woda zmusiła Laurel do spowolnionych ruchów, jakie zawsze wykonywała, biegnąc we śnie. Brodziła zanurzona po pas i musiała się schylić, trzymając twarz ponad lustrem wody, aby chwycić ciało za kostkę. Skóra, którą czuła pod palcami, była lodowata, rozmiękła i pozabawiona życia.

Bet Clemmens? Zbiegając na dół, Laurel nie przystanęła, by zajrzeć do pokoju gościnnego, ale to nie mogła być ona. Bet była wysoka, a jej włosy miały jednolitą ciemnoczerwoną barwę, nie licząc przeszło dwucentymetrowych odrostów.

Rozległo się zawrozenie domowego alarmu. Laurel dotarła do schodów i próbowała odwrócić dziewczynkę twarzą do góry, lecz jej ciało zwijało się bezwładnie. A potem uniosło się samoistnie, jak gdyby lewitując. Laurel przez moment usiłowała je zatrzymać, nie rozumiejąc, o co chodzi, ale potem zauważyła dłonie Davida. Stał obok niej na stopniach, półnagi, w ociekających wodą spodniach od piżamy, i unosił dziewczynę na rękach.

Laurel złapała srebrzystą poręcz i podciągnęła się, wchodząc na stopnie. Wciąż miała wrażenie, że serce rozsada jej pierś, tłukąc się o zebra jak oszalałe. David położył dziewczynę na kafelkach. Miał zaczerwienione oczy, a jego ruchy były precyzyjne i oszczędne.

- Zaczynj ją reanimować, a ja wezwę pomoc - powiedział.

Laurel opadła na kolana, przodem zwrócona w stronę domu. Podłożyła dłoń pod kark dziewczyny i odchyliła jej głowę, aby oczyścić

drogi oddechowe, a drugą ręką odgarniała ciężkie strąki włosów. Jej oczom ukazała się twarz o sercowatym kształcie, krótki, płaski nos, jasne brwi i na wprost otwarte okrągłe, błękitne oczy.

Rozpoznała ją: to była Molly. Laurel znała ją dobrze, znała jej piskliwy śmiech i sposób, w jaki chodziła, szybko stawiając drobne kroki i zwracając stopy ku środkowi. Jeszcze w październiku Laurel zrobiła jej i Shelby co najmniej dziesięć zdjęć. Obie były wymalowane czerwoną szminką i miały na sobie wystrzępione minispódniczki w pirackim stylu, które dla nich uszyła. Zastanawiała się, czy to ostatni Halloween, na który miały jeszcze ochotę się przebierać i chodzić od domu do domu, prosząc o słodycze. Nie chciały włożyć kurtek, które mogłyby popsuć ich wygląd, a że było dość chłodno, kiedy wybiegły z domu, ich odsłonięte chude ramiona pokryły się gęsią skórą. To była twarz Molly. To była Molly Dufresne.

Laurel poczuła, jakby zważyło się na nią coś wielkiego i ciężkiego, przygniatając ją i pozbawiając tchu. Znajome jasne oczy Molly zasnuwała mgła. Laurel miała ochotę wstać i uciec do domu, do jakiegoś zacisznego miejsca, gdzie wszystko to okazałoby się nieprawdą. Jednak została, a jej zręczne dłonie wykonywały niezbędne czynności, kiedy wkładała dwa palce do zwiotczałych ust Molly, żeby je oczyścić.

Nachyliła się, aby przytknąć usta do jej zimnych warg, i wtłoczyła w nią cały swój oddech, napotykać opór. Widziała tylko kolorową płytkę terakoty, a ponad nią skrawek trawnika i bosa stopy Davida, który pędził w stronę domu.

- Davidzie, gdzie jest Shelby? - Wyprostowała się i krzyknęła za nim: - Musisz poszukać Shelby.

Alarm ucichł, kiedy wybrzmiały ostatnie dwa słowa. Wycie syreny spłoszyło żaby i świerszcze, które umilkły przerażone, więc głos Laurel rozległ się donośnie. Oparła ręce na piersi dziewczynki i ucisnęła, ale miała wrażenie, że życie uszło z tego ciała. Serce Molly było nieruchome.

Znów spojrzała w stronę domu i dostrzegła Shelby, która pojawiła się w rozsuwanych drzwiach. Miała pozlepianą w kosmyki grzywkę,

zaspane oczy, lecz była sucha i oddychała. Wciąż miała na sobie niechlujne dżinsowe szorty, podkoszulek i różowe buty. Zatrzymała się na tarasie i szeroko otworzyła usta ze zdziwienia. Laurel miała ochotę podbiec do niej i chwycić ją w objęcia, ale musiała się schylić, aby wtłoczyć w usta Molly kolejny haust powietrza.

Kiedy znów się wyprostowała, Shelby postąpiła niepewnie naprzód.

- Nie ruszaj się stamtąd, kochanie - zawołała do niej.

Shelby spełniła jej polecenie.

Z tylnych drzwi domu wyłoniła się Bet Clemmens. Do piersi przyciskała niczym poduszkę czarną torbę foliową, w której przywiozła swoje rzeczy. Kiedy przed rokiem odwiedziła ich po raz pierwszy, Laurel sprawiła jej walizkę na kółkach z wysuwaną rączką, ale w tym roku miała przyjechała z workiem na śmieci.

- Zepsuła się - oznajmiła bezbarwnym tonem, jakby chciała się usprawiedliwić, zanim Laurel zdążyła o cokolwiek spytać.

Wysyłając do DeLop tak elegancką walizkę jak ta, Laurel nie powinna była oczekiwać, że Bet zechce ją zatrzymać.

- Zaczekajcie tam - rozkazał David dziewczynom.

Przekroczył płótek okalający taras i w pośpiechu ruszył przez trawnik. W rękę trzymał bezprzewodowy telefon, który zabrał z kuchni.

Laurel słyszała cienki głos dyspozytorki, która kazała mu pozostać na linii, ale kiedy David podszedł bliżej, upuścił słuchawkę na kafelki.

David przykłęknął po drugiej stronie ciała Molly. Splótł dłonie na piersi dziewczyny, po czym zaczął ją uciskać krótkimi i silnymi ruchami, na próżno spodziewając się reakcji, podczas gdy Laurel bezskutecznie robiła jej sztuczne oddychanie.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim rozległy się syreny. Ilekroć Laurel się poruszyła, chropowata powierzchnia płytek niczym rój igiełek szczypała jej kolana.

- Shelby, idź otwórz frontowe drzwi! - zawołał David.

Dwaj strażacy wpadli pędem na taras. Laurel zawsze uważała pojawienie się strażaków za coś radosnego i rokującego nadzieję. Kiedy

Shelby miała trzy lata i dostała wysokiej gorączki, to właśnie strażacy powiedzieli, że nic strasznego się nie dzieje, że wszystko będzie dobrze i że tak czy inaczej zabiorą ją do szpitala, aby się o tym upewnić. Również to oni przyjechali jako pierwsi, kiedy David, który potykał się na okruszkach i powinien był bardziej uważać, wspiął się na dach, aby samodzielnie przetkać rynnę, i spadł, łamiąc sobie nogę w kostce. Kiedy jednak ojciec Laurel zastrzelił wuja Marty'ego, pojawili się ludzie szeryfa ubrani w jasnoniebieskie mundury i sprawdzali, jak do tego doszło. Szli od strony szałasów niespiesznym krokiem, bo krew Marty'ego zdążyła już zastygnąć i ściąć się jak galareta.

Teraz widok strażaków uwijających się jak w ukropie napełniał Laurel otuchą. Przez moment w największej żarliwości swego naiwnego serca łudziła się, że wraz z ich przyjściem Molly odzyska przytomność i będzie mogła wrócić do swej matki, cała i zdrowa.

Laurel nachyliła się, aby po raz ostatni wtłoczyć powietrze w zwiotczone usta dziewczyny, ale wiedziała już, że to na nic. Silne ręce odsunęły ją i znalazła się obok Davida, podczas gdy strażacy zabrali się do dzieła.

David zaprowadził ją na taras, trzymając dłoń na jej plecach, jak gdyby dotykał leczniczego minerału, który pozwalał mu pozostać przy zdrowych zmysłach.

Shelby stała obok przeszkłonych drzwi, obejmując swe ciało ramionami. Laurel podeszła bliżej, wyciągnęła do niej ręce i mocno przycisnęła córkę do siebie. Spoglądając ponad jej głową, widziała, jak strażacy krzątają się, rozpakowując torby, i wyciągają z nich splątane rurki, długie kable i jakieś skrzynki, które wyglądały na sprzęt medyczny.

Laurel trzymała Shelby w objęciach, a David stał obok nich. Zbici w gromadkę tkwili na tarasie i nic nie wskazywało na to, aby w tym momencie mogli się do czegoś przydać. Bet trzymała się na uboczu i wciąż ścisnęła kurczowo swój czarny plastikowy worek. Przez krótką chwilę Laurel miała wrażenie, jakby nie było Bet ani strażaków, ani tamtej martwej dziewczyny, jakby na podwórku nie było nikogo poza

ich trójką. Stali nieruchomo jak migawka z ostatnich trzynastu lat życia Laurel. Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy z opuchniętymi i zaczerwienionymi oczami przyszła do obskurnego studenckiego mieszkania Davida. Nim zapukała do drzwi, obie dłonie zacisnęła w pięści, gotowa stłuc go na kwaśne jabłko, gdyby wzruszył ramionami i powiedział, że zapłaci za jej skrobankę.

Z tego dziecka wyrosła Shelby, którą teraz Laurel ścisnęła w ramionach, czując mocne uderzenia jej serca. Przez myśl przemknęło jej słowo „bezpieczna”, a zaraz potem pojawiło się kolejne słowo, „zakończona”. David czuwał nad nimi, jakby stał na warcie, i Laurel pomyślała: „Nasza rola już skończona”.

Nagle usłyszała głos swej siostry.

- Mylisz się - powiedziała Thalia.

Rozejrzała się dookoła, ale nigdzie jej nie zauważyła. Thalia była w Mobile albo w Timbaktu, albo w samym piekle, co wcale nie przeszkadzało Laurel.

- Co? - zapytała zdziwiona.

- Powiedziałam, że jesteś mokra.

Głos Shelby był zduszony, bo Laurel przyciskała jej twarz do piersi, ale dosłyszała w tych słowach przenikliwą nutę hysterii. Obejmowała córkę mocno, trzymając ją przy sobie, i czuła, jak dziewczyna naprężyła całe ciało i próbuje się uwolnić.

- Och... - stęknęła Shelby, wrywając się.

Laurel musiała przygryźć wargę, aby nie krzyknąć. Musiała stłumić w sobie to pragnienie, aby zawsze mieć swe dziecko na oku, absolutnie bezpieczne, całe i zdrowe. Zmusiła się, aby rozluźnić kurtkowy uścisk ramion, i pozwoliła Shelby wykonać swobodny ruch. Dziewczyna zgięła się wpół i falując ramionami, łapczywie chwyciła powietrze.

- Przepraszam - odezwała się Laurel piskliwym tonem i położyła dłoń na plecach córki. - Tak bardzo się bałam. Nie było cię w twoim łóżku.

- Zasnęłam w bawialni - odparła Shelby, wciąż ciężko dysząc. - Oglądałyśmy z Bet telewizję.

Na dźwięk swego imienia Bet wzdrygnęła się, jakby spała na stojąco niczym koń.

- Co robiłyśmy? - zapytała.

- Mamo, czy to Molly? - Shelby uniosła głowę i spojrzała na Laurel.

Laurel nie była w stanie wykrztusić słowa. Czuła, jak wzbiera w niej irracjonalna złość, która poprzez jej rękę przenikała do ciała Shelby jak prąd.

Shelby zmarszczyła brwi, a jej usta przybrały zacięty, gniewny kształt.

- No już, powiedz, że to nie ona - domagała się. - Powiedz.

Laurel znów przygarnęła ją do siebie, a Shelby poddała się jej, stojąc sztywno.

- Tak mi przykro - odparła Laurel.

Shelby zakryła sobie usta dłońmi, a jej zaokrąglone oczy zapłonęły wściekłością.

Młody strażak o rumianych policzkach i z podkładką do pisania w rękę przekroczył płótek okalający taras i stanął obok nich w smudze światła padającego z wnętrza domu. Wypytywał, jak długo Molly znajdowała się w basenie, co robili, aby ją ratować, i jak długo to trwało. Jego pytania wymagały zwięzłych i rzeczowych odpowiedzi i David obrócił się w jego stronę z niejaką ulgą, wyjaśniając wszystko metodycznie.

Bet Clemmens podeszła do przeszkłonych drzwi, wciąż przyciskając do piersi czarny worek, niczym ukochaną zabawkę z dzieciństwa. Była ubrana w miękką piżamę, którą dała jej Laurel, a na stopach miała plastikowe klapki przywiezione z domu.

- Spakowałeś swoje rzeczy? - zapytała Laurel.

Oczywiście w takiej sytuacji i tak czekał ją powrót do domu, lecz wydawało się dziwne, że już zdążyła się spakować. Było to zarówno zbyt szybkie, jak i zbyt instynktowne.

Bet wypowiedziała dwa zdania, ale głosem tak zduszonym, jakby nie dobiegał z płuc i gardła, lecz z żołądka. Upłynęło kilka sekund, zanim Laurel oswoiła się z charakterystycznym dla DeLop twardym akcentem. Dziewczyna przeciągała sylaby, połykając spółgłoski, a kiedy mówiła, ledwie otwierała usta. Przebywając w DeLop, gdzie wszyscy mówili w taki sposób, Laurel potrafiła tak dostroić ucho, by rozróżniać w tych dźwiękach słowa, ale tutaj akcent Bet był dla niej obmierzły. Dopiero po chwili zrozumiała słowa dziewczyny: „Słyszałam, jak włączyła się syrena. Myślałam, że się pali”.

- To był alarm antywłamaniowy - wyjaśniła Laurel.

Bet wzruszyła ramionami. Krewniacy Laurel z DeLop nie mieli alarmów antywłamaniowych. Przeważnie sami zaliczali się do tych, których takie alarmy miały na celu odstraszać.

- Nie chciałam, żeby spaliły się te ubrania, które mi dałaś - dodała Bet, ściskając worek.

Laurel poddała się. Nie było stosowne w takim momencie prowadzenie dyskusji o alarmach czy pakowaniu. Żaden temat nie wydawał się stosowny. Po prostu było nie do pomyślenia, aby rozmawiać z Bet Clemmens o głupotach, podczas gdy przyjaciółka Shelby leżała martwa obok basenu. Laurel zdała sobie sprawę, że za kilka godzin powinna przygotować rodzinne śniadanie. Przypomniała sobie też, że za dwa dni powinna wyplewić grządkę z bratkami. To nie było w porządku.

- Laurel? - z sąsiedniego podwórka dobiegł ją głos Mindy Coe. - Czy z wami wszystko dobrze?

- Tak - odrzyknęła Laurel.

To był odruch, taki sam jak ten, który kazał jej nodze odsłaniać, kiedy lekarz uderzał ją w kolano gumowym młoteczkami. Nie chciała, aby śliczna Mindy Coe, jej serdeczna przyjaciółka z sąsiedztwa, zobaczyła, co się wydarzyło na jej podwórku. Gdyby Mindy przyszła i zobaczyła, co się dzieje, mogłoby się okazać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ale przecież im nic się nie stało. Cała ich trójka była cała i zdrowa, a czy liczyło się coś więcej?

- Na Boga, mamó. - Shelby całkowicie uwolniła się z objęć Laurel. - Jest wręcz przeciwnie.

Nad wysokim ogrodzeniem pojawiła się głowa Mindy. Jej dłonie zaciskały się na półokrągłych sztachetach niczym łapki pieska preriowego, a między nimi wystawał szpiczasty podbródek. Mindy miała zaledwie półtora metra wzrostu i musiała stać na którymś ze swoim mebli ogrodowych, ale i tak nie było widać nawet jej szyi. Przypuszczalnie wspięła się na palce.

Za plecami matki stanął Jeffrey Coe, a jego głowa i ramiona górowały nad płotem. Był wysokim i przystojnym chłopcem, starszym od Shelby, i chodził już do liceum.

Obydwoje wyglądali jak wesołe kukiełki wystawiające zza kurtyny swe przyjazne i zatroskane twarze. Tamta strona ogrodzenia kojarzyła się Laurel z jasnym dniem, ogrodowymi przyjęciami i wymianą przepisów kulinarnych. Poczowała niedorzeczne pragnienie, aby tam uciec, przebić się na drugą stronę, pozostawiając w drewnianych listewkach otwór w kształcie swego ciała. Jej własne podwórko stało się obcym lądem.

- Proszę pani, proszę stamtąd odejść - odezwał się strażak i ruszył w stronę płotu, ale Mindy już zauważyła ciało.

- Boże kochany! - zawołała. - Pójdę po Simona.

Jej mąż Simon był lekarzem. Mindy wyciągnęła rękę, aby odsunąć Jeffrey'a, po czym znikła za ogrodzeniem.

Shelby patrzyła w stronę basenu. Laurel otoczyła ją ramieniem, aby utrzymać równowagę, ale również po to, by poczuć ciepło jej ciała.

- Zamknij oczy, kochanie - powiedziała.

- Już ją widziałam. To jest Molly. To ona. - Shelby mówiła przez nos, a z oczu płynęły jej łzy. - Jesteś taka zimna, że zaraz zamarzną na śmierć - dodała po chwili i znów odsunęła się od Laurel.

Ostatnie słowo wypowiedziała z pełną młodzieńczego oburzenia intonacją. Potem zaczęła pocierać oczy zaciśniętymi dłońmi, a usta miała wciąż wykrzywione w podkówkę i było to tak naturalne i spon-

taniczne, jak u dziecka. Laurel spłótła ręce na piersi, rozpaczliwie spragniona dotyku swej córki.

Słyszała kroki jakichś ludzi przechodzących przez dom. Jeden z nich znalazł przełącznik i zaświecił ogrodowe lampy. Jej źrenice zwały się w półmroku i nagły błysk światła oślepił ją, jakby patrzyła na eksplozję bomby fosforowej. W jednej chwili podwórze wypełniło się ciepłem letnich barw, a z mroku wyłoniła się zieleń trawników, soczysty róż kwiatów azalii i brzoskwiniowo-błękitne poduszki na ogrodowych krzesłach. Tylko kąt w głębi ogrodu nadal pozostał ciemny. Żarówka w lampie nad altaną była przepalona i światło nie docierało do zwierzęcego cmentarzyka, gdzie David pogrzebał Bibby, pierwszego kota ich córki, całą masę myszokoczków i złotą rybkę, którą Shelby wygrała na loterii podczas szkolnej zabawy karnawałowej.

Bet Clemmens patrzyła na strażaków spokojnym i pozbawionym wyrazu wzrokiem. Sprawiała wrażenie opanowanej i Laurel od razu zauważyła, że nigdy dotąd nie widziała, aby Bet zachowywała się w Victoriannie z takim spokojem. Wycie syren i połyskujące światła w sobotnią noc były dla niej czymś normalnym. Bet należała do Krewniaków, bo tak Laurel mówiła o mieszkającej w DeLop rodzinie swej matki, chociaż Thalia, chłodniejsza i bardziej dosadna, nazywała ich Dziadami.

DeLop było kiedyś górniczym miasteczkiem, ale kiedy przed siedemdziesięciu laty skończył się węgiel, prawie wszyscy wyjechali w poszukiwaniu pracy. Krewniacy byli tymi, którzy zostali. Mieszkali w rozlatujących się przyczepach kempingowych albo barakowozach, gdzie tłoczyły się trzy lub cztery pokolenia. Połowa z nich wciągała prochy, reszta nadużywała alkoholu, a dziewczęta w wieku Shelby snuły się po miasteczku z dziećmi w wychudzonych ramionach, tocząc wokół martwym wzrokiem. Na Boże Narodzenie Laurel jeździła do DeLop z Thalia i rodzicami, aby podarować pieczoną szynkę, parę butów i jakieś zabawki każdemu dziecku, które łączyły z jej matką chociażby cień pokrewieństwa. Przed trzema laty Shelby zaczęła się upominać, aby ją

ze sobą zabrali. Chciała pomóc w rozdawaniu zabawek i perswadowała, że przecież to ona wybierała większość z nich. Na ich zakup ofiarowała nawet część swego kieszonkowego, którą odkładała co tydzień, nie mogła więc zrozumieć, czemu każą jej zostawać w domu z ojcem.

Laurel dostawała dreszczy już na samą myśl o wizycie Shelby w DeLop. Można się tam było natknąć w każdym domu na składowisko broni albo prymitywne laboratorium służące do produkcji narkotyków, na werandach drzemali pijani mężczyźni o nagich torsach, po podłogach walały się papierowe talerze z resztkami spleśniałego jedzenia, a każde podwórko było usłane psimi odchodami, kawałkami stłuczonego szkła, igłami do strzykawek, opakowaniami z Taco Bell i zużytymi kondomami. Kiedyś przed domem wuja Poota Laurel widziała jakieś martwe zwierzę leżące na środku podjazdu. Rozmiarami przypominało oposa albo małego szopa, jednak nie sposób było to określić, gdyż spoczywało tam od tak dawna, że przegniło do kości, które wystawały spośród czarnych kłaków. Shelby nie miała pojęcia, czego się domagała.

Kompromisem okazała się Bet Clemmens. Z początku była to przyjaźń korespondencyjna, a Laurel wybrała ją spośród licznej gromady tamtejszych dzieci o bliżej nieokreślonym stopniu pokrewieństwa, które wiekiem były zbliżone do Shelby.

- Jakie to wzruszające. To tak, jakby za twoją sprawą kawałek górnianej góry przyszedł do Mahometa - stwierdziła Thalia, gdy się o tym dowiedziała. - Przypuszczam, że najpierw czytasz jej listy i zamazujesz brzydkie słowa, żeby nie zbrukać oczą Shelby.

Niemniej jednak wybór Laurel okazał się trafny. Bet należała do nielicznych dzieciaków z DeLop, które nie zdążyły się stoczyć przed pójściem do gimnazjum. Mimo to jej charakter pisma przypominał literki stawiane przez ośmioletnie dziecko, zresztą nie była na tyle bystra, aby w swych listach wznieść się na wyższy poziom. „Cześć, jestem Bet. Ja mam psa i on się nazywa Mitchl. Czy ty masz psa?” Ich korespondencja odroczyła dyskusję na temat DeLop aż do lata, kiedy to Shelby postanowiła wykorzystać sytuację i zaprosiła Bet do siebie.

Pierwszy rok można było uznać za sukces. Shelby i jej przyjaciółki traktowały Bet Clemmens z wystudiowaną kurtuazją. Kiedy miały po dwanaście lat, ich własna uprzejmość w stosunku do Biednej Dziewczynki robiła na nich większe wrażenie niż sama Bet. Tymczasem ona przyjmowała to w sposób charakterystyczny dla siebie, flegmatyczna i niewzruszona, dryfując po obrzeżu kręgów towarzyskich Shelby. Laurel miała na wszystko baczenie, ale Bet nie namawiała nikogo do podkradania alkoholu z barku, nie rozdawała narkotyków, do których bez wątpienia miała dostęp, ani nie zamierzała pozbawić niewinności żadnego z kolegów Shelby.

Laurel miała cichą nadzieję, że takie odwiedziny wyjdą Bet na dobre. Zresztą matka Laurel umywała od tego ręce. Czasem się to zdarzało. Być może Bet mogłaby skończyć szkołę średnią, a przy pomocy Laurel i Davida udałoby się jej zaliczyć jakieś studium. Tego lata Laurel znów po nią pojechała. Nie żałowała swej decyzji aż do tego momentu, gdy w samym środku najokropniejszej nocy, jakiej kiedykolwiek doświadczyła, patrzyła na Bet Clemmens stojącą nieruchomo na tarasie.

Młody strażak skończył przepytывanie Davida i wrócił do swoich kolegów. Laurel przyłapała się na tym, że wiedzie za nim wzrokiem, starając się możliwie jak najdłużej obserwować okolicę basenu. Pozostali strażacy przerwali reanimację. Znów zaczęli krążyć wokół ciała i na moment Laurel uchwyciła wzrokiem twarz Molly, która mignęła jej między gmatwaną czarnych butów.

- Molly wygląda jak zwykle, tylko że jej tu nie ma - Laurel szepnęła do męża. - W życiu nie widziałam czegoś tak potwornego.

Przez pół minuty nic nie mówili, aż wreszcie Bet Clemmens przewała milczenie.

- Widziałam jednego mojego wujka, co się utopił. Leżał pijany w strumyku. A wody było ino jakieś piętnaście centymetrów.

Shelby spojrzała na Bet. Wszyscy skierowali na nią wzrok.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała Laurel, co miało oznaczać „przezań”.

- Leżał tam nieżywy całą noc, zaczynam go znalazłam - ciągnęła Bet. - Raki zjadły mu twarz.

- Nie sądzę, aby ta historia mogła nam tu w czymś pomóc - prze-
rwała jej Laurel podniesionym głosem.

Shelby patrzyła na Bet zaokrąglonymi oczami, jak gdyby przeniosła na nią całą swą życzliwość, którą dotąd żywiła wobec jakiegoś wyobrażenia.

- I to właśnie ty go znalazłaś? - zapytała. - Widziałaś jego twarz?

- Zjadły - powtórzyła dziewczynka, kiwając głową, a Shelby zrobiła krok w jej stronę.

Z przeszklonych drzwi zaczął wylewać się tłum ludzi, ratowników medycznych i policjantów, którzy kluczyli między nimi, jakby oni czworo byli głazami wystającymi z nurtu rzeki.

David, zgarbiony, kulił się, ilekroć ktoś go mijał. Splótł palce i od-
ruchowo składał i rozdzielał dłonie, jakby bawił się w jakąś dziecianną
wylizankę.

Kiedy zabrakło już pytań, na które mógłby odpowiadać, a jego po-
dwórko wypełniło się obcymi ludźmi, spoglądał na Laurel w oczekiwa-
niu wskazówek. Kontakty z ludźmi były jej specjalnością. Jednakże
Laurel czuła się zagubiona w tym tłumie nie mniej niż David. Jej mat-
ka w każdą sobotę przy obiedzie czytywała na głos rubrykę „Panna
Obyczajna”, a robiła to z namaszczeniem, używając takiego tonu, jak-
by czytała Ewangelię. Laurel była wychowana na Pannie Obyczajnej
i Biblii Króla Jakuba, i to chyba w takiej właśnie kolejności, jednak
żadne z tych źródeł nie nauczyło jej, jak należy się zachować w taką
noc jak ta.

Nie wiedziała, czy powinna zaproponować gościom kawę, czy za-
cząć krzyczeć, aż w końcu ktoś zaaplikowałby jej środek uspokajający.
Oba wyjścia wydały się jej całkowicie nie na miejscu. Potrzebowała ja-
kiegoś podręcznika, który poinstruowałby ją, co należy powiedzieć
i jak wypada się zachować. Przez chwilę zastanawiała się, czy to samo
czuł David, kiedy ona wydawała przyjęcia.

Mogła jedynie polegać na swym instynkcie, który nakazywał jej dotknąć Shelby, aby odciągnąć ją choćby o dwa kroki od Bet i opowieści o utopionym wujku. Wyciągnęła dłoń w stronę ramienia córki i zauważyła na jej seledynowym podkoszulku podłużny ślad o barwie rdzawej czerwieni. Miał kształt odbitego palca.

Laurel cofnęła rękę i obróciła się do światła, by się jej przyjrzeć. Prawą dłoń, którą podłożyła Molly pod kark, aby odchylić jej głowę, pokrywały plamy zasychającej krwi. Chciała ją zetrzeć, ale zdołała jedynie pobrudzić sobie również drugą rękę. Poczuła, jak wzbiera w niej krzyk, lecz zanim zdążyła wytrzeć krew w piżamę, na jej nadgarstku zacisnęła się mocno drobna dłoń.

Obok niej stała brunetka w doskonale skrojonym kostiumie. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte w koński ogon.

- Detektyw Moreno - przedstawiła się. - Dotykała pani ciała?
- Dotykałam Molly - odparła Laurel. - Próbowałam ją reanimować.

Moreno rozejrzała się wokół i kiwnięciem ręki przywołała przechodzącego obok mężczyznę w kombinezonie. Laurel zauważyła, że jej kucyk jest spięty idealnie z tyłu głowy, a na końcu zwęza się równo w szpic. Było w nim tyle matematycznej perfekcji, że w normalnych warunkach pokazałaby go Davidowi. Jego symetria sprawiłaby mu przyjemność.

- Chciałabym, żeby technik obejrzał pani ręce, dobrze? - Moreno przekazała mężczyźnie w kombinezonie dłoń Laurel, jakby to był jakiś przedmiot. Laurel zamknęła oczy. - I zabierzcie mi tych ludzi z miejsca zbrodni. Lada chwila zacznie się oberwanie chmury.

Ale przecież to nie było żadne miejsce zbrodni. To było podwórko Laurel, gdzie takie rzeczy jak ta nie miały prawa się wydarzyć.

Laurel poczuła ostrą woń alkoholu i chłodny dotyk wacika na dłoni. Otworzyła oczy.

- Potem może pani się umyć - odezwał się technik uprzejmym głosem. - Zabierzemy państwa do sąsiadów. - Kiwnął głową w stronę domu Coe'ów. - Potrzebny jest nam również podkoszulek pani córki. Będzie mogła się przebrać u sąsiadów. Pójdziemy tam teraz, dobrze?

- Kto to zrobił? - Laurel zwróciła się do technika, ale on chował właśnie wacik do małego pojemnika, na którym przykleił etykietkę.

Laurel nie była zresztą pewna, o co pyta. Myślała o tym, że należy odczekać pół godziny po jedzeniu i o tablicach z napisem „Brak ratownika - kapiel na własną odpowiedzialność”. Była przekonana, że to, co stało się Molly, było skutkiem naruszenia elementarnych zasad bezpieczeństwa. Ale ktoś, kto utonął, nie krwawi. Krew kojarzyła się jej z ranami postrzałowymi i przemocą. Krew obudziła w niej wspomnienie ostatniego polowania wuja Marty'ego. Zaczęła szczerkać zębami, tak dźwięcznie, jak gdyby gryzła folię aluminiową. Czas płynął coraz szybciej, a wokół kręciła się masa ludzi, którzy przestawiali różne rzeczy. Jej rodzina była właśnie jedną z takich rzeczy, którą odsuwali na bok. Podeszła do nich kobieta w mundurze, która poprosiła, aby poszli za nią.

- Co? Co? - pełnym niedowierzania tonem mówiła Shelby, spoglądając to na policyjnego technika, to na swą zaplamioną koszulkę.

- To nie zezdjie - powiedziała Laurel, wyciągając w stronę Davida zakrwawioną dłoń, kiedy przeszli przez drewnianą furtkę i kierowali się przez trawnik w stronę domu sąsiadów.

Shelby szła za nimi, pomiędzy Bet Clemmens a technikiem, który chciał dostać jej podkoszulek. Na uliczkę przed domem wylegli sąsiedzi, którzy stali grupkami wśród zaparkowanych ciasno samochodów służb ratunkowych. Edie Paintin, kolejna bliska przyjaciółka Laurel, przystanęła wraz z mężem w rogu trawnika Mindy, a między radiowozami i zbytecznym ambulansem zbili się w ciasną gromadkę Simpsonowie, Decouksowie i Rainwaterowie. Rodzina Prestonów, którym towarzyszyła jakaś kobieta, najprawdopodobniej Julie Wilson, ulokowała się nieco dalej, niemal zupełnie niknąc w cieniu. Po przeciwnej stronie uliczki stała przed swoim domem Thrish Deerbald, unosząc wysoko cienkie linie wyskubanych brwi i wykrzywiając usta. Wpatrywała się w Laurel uporczywie jak w jakiś eksponat, po czym szturchnęła łokciem Evę Bailey i nachyliła się do niej, coś szepcząc. Oczy wszystkich

sąsiadów skupiały się na Laurel i na jej zakrwawioną rękę, którą trzymała uniesioną jak nieme wyznaczenie. Nienawidziła, kiedy ktoś patrzył na nią w ten sposób.

Kątem oka uchwyciła w przelocie jeszcze jedną postać. Mężczyzna ten stał spory kawałek za całym zbiegowiskiem, na końcu trawnika Deerbaldów. Gdyby migające światła jednego z wozów policyjnych nie odbijały się od jego loków, pozostałby całkiem niewidoczny. Miał włosy jak Percy Bysshe Shelley, zwichrzone fantazyjnie na czubku głowy. Podobną fryzurę nosił Stan Webelow, ale wszyscy, których Laurel rozpoznała w tłumie kłębiącym się przed jej domem, byli bliskimi sąsiadami, Stan zaś mieszkał na drugim końcu osiedla.

- Kto to jest? - zapytała Davida.

- O kim mówisz? - odparł, nie zatrzymując się nawet.

Laurel obróciła głowę i spojrzała za siebie przez ramię, pozostając w tyle za Davidem. Decouksowie przysłaniali jej widok, więc tamten człowiek musiał być niski. Stan Webelow był wąły i skromnego wzrostu. Kiedy biegał bez koszulki po okolicy, wypinając chuderlawą pierś, lśniącą od potu, jakby ją naoliwił, miejscowe kumoszki wodziły za nim wzrokiem. Ale nie Laurel. Stan Webelow miał twarz chochlika, a jego ręce były wilgotne i miękkie, jak pozbawione kości. Nie widziała powodu, dla którego miałaby teraz znaleźć się w tym miejscu.

- Och, mój skarbie! - Mindy podbiegła do niej i wzięła w objęcia. Nagle zauważyła jej pokrwawione dłonie i dodała: - Jesteś ranna?

Potem zaczęła ją prowadzić po schodach do wnętrza domu. Laurel wyrzała przez szczelinę w zamykających się drzwiach wejściowych, ale po tamtym mężczyźnie nie było ani śladu.

Thalia wyskoczyłaby na zewnątrz i przebiegła przez ulicę. I gdyby to Stan Webelow tam stał, chwyciłaby go za te kędziory i wydusiła z niego, czego szuka na Chapel Circle. Ale stopa jej siostry nie powstała w Victoriannie od prawie dwóch lat. Thalii nie było w pobliżu, a Laurel nie była taka jak ona.

Po raz pierwszy w życiu tego żałowała.

Rozdział 2

Kiedy ostatnim razem Thalia przyjechała do Victorianny, panowały nieznosne wrześnie upały. Kanikuła wprawiała ją w odrętwienie. Spędziła cały weekend, wylegając się z Laurel obok basenu i przyglądając się, jak Shelby i jej koleżanki zanurzają się w wodzie i wychodzą na brzeg niczym małe foczki. Tym razem oszczędziła Davidowi docinków i nie przyrównywała go do robota, nie uczyła Shelby i jej towarzysstwa, jak się mówi „pierdzieć” w dziewięciu językach, ani nie gziła się w altanie z mężem którejś z sąsiadek Laurel. Była rozleniwiona i spokojna, aż do ostatniej nocy swego pobytu. Wtedy to powetowała sobie całe swoje dobre zachowanie i dopuściła do tego, by Laurel wybrała się na spacer we śnie.

Wysiadwały do późna przed kominkiem, popijając wino, a Thalia roztaczała przed Laurel czar pięknych wspomnień z dzieciństwa, jakby wyciągała z zakurzonego pudełka sznur zapomnianych lampek choinkowych. Nikt nie potrafił snuć opowieści w tak uroczym stylu jak ona. Thalia dostała stypendium w pierwszorzędnej szkole aktorskiej w Chapel Hill, a kiedy była studentką drugiego roku, umizgiwało się do niej parę agencji z Zachodniego Wybrzeża. Ona jednak zapałała miłością do małego eksperymentalnego teatru, który mieścił się w podziemiach kościoła prezbiteriańskiego Graham Memorial.

- Tam się czuje zbiorowy oddech publiczności. To jest bliskość. Telewizja jest dla dupków - tłumaczyła. - A kino jest dla odrobinę bystrzejszych dupków.

Potem odeszła stamtąd, wyszła za Gary'ego, swego przyjaciela homoseksualistę, i razem założyli w Mobile nierentowny teatr, który balansował na krawędzi upadku, ilekroć przychodził rachunek za prąd. Udaowało im się przetrwać dzięki dotacjom, kursom jogi i gry aktorskiej, które prowadziła Thalia, oraz skromnej, ale oddanej grupie wielbicieli.

Tamtej nocy, długo po tym, jak David i Shelby poszli spać, Thalia występowała, a Laurel służyła jej za jednoosobową widownię. Było już po północy, a mięśnie brzucha bolały ją od śmiechu.

- A pamiętasz wskrzeszenie ślimaka? - zapytała Thalia i usiadła prosto.

- Nie bardzo - odparła Laurel.

- To jest legenda rodziny Grayów. Byłaś mała, miałaś z pięć czy sześć lat. Bawiłyśmy się w szpital i miałam zamiar przeprowadzić operację na twojej ukochanej lalce, Różowym Bobasku. Poszłyśmy do garażu, żeby wziąć coś ze skrzynki z narzędziami taty. Chyba śrubokręt.

- Nie - zaprzeczyła Laurel. Coś zaczynało jej świtać. Wymierzyła w siostrę palec w oskarżycielskim geście. - Chciałaś wziąć wiertarkę!

- Ale tak się szczęśliwie złożyło dla Różowego Bobaska, że zobaczyłam obok stołu warsztatowego tego spasionego ślimaka, który odwrócił moją uwagę.

To był potężny okaz, większy od małej rybki, który pełzł powoli w stronę drzwi prowadzących na podwórze. Thalia przycisnęła policzek do podłogi, wypięła w górę pośladki i rozłożyła ręce po bokach, starając się naśladować sposób, w jaki się poruszał. Górna część jego ciała sunęła gładko, podczas gdy dolna falowała.

Laurel przypominała sobie, że wzięła wtedy młotek, który ojciec zostawił na warsztacie.

- Trzymałaś go nad nim - wspominała Thalia.

Zacisnęła palce na niewidzialnym trzonku, błyskawicznie zamieniając się w pięcioletnią Laurel. Zrobiła niewinną minkę, przekrzywiła głowę i zaciekawiona wodziła palcem po skorupie, która wydawała się niezniszczalna. Potem wróciła do swej postaci.

- Miecz Damoklesa - obwieściła tak dramatycznym tonem, że Laurel znów parsknęła śmiechem.

W pewnym momencie Laurel rozprostowała palce i wypuściła kociuszek młotka, który upadł bezwładnie na ślimaka. Zdawać by się mogło, że uderzenie nie wyrządzi mu większej szkody, jedynie wstrząśnie jego delikatną strukturą, ale kiedy młotek wylądował na podłodze, rozległ się złowieszczy chrzęst, jakby ktoś stanął na zwirowanym podejździe. Laurel go podniosła i okazało się, że kremowo-brązowy spiralny domek ślimaka został rozgnieciony na placek. Spomiędzy odłamków sączyła się galaretowata maź, chociaż ślimak wciąż poruszał głową, a jego kuliście zakończone czułki nagle zaczęły gorączkowo falować.

- Jasny szlag, on jest ranny - powiedziała Thalia, wracając do normalnej pozycji, gdyż przedtem naśladowała zmiażdżonego ślimaka. - „Napraw go, napraw”, krzyczałaś, a potem uciekałaś do naszego pokoju i rzuciłaś się na łóżko. A na mnie spadł istny gniew Boży. Dostało mi się od mamy, która była przekonana, że to ja zrobiłam, aby sprawić ci przykrość.

- Biedna Thalia - wykrztusiła Laurel, tłumiąc śmiech. - Chociaż tego dnia chyba i tak popełniłaś coś, czym zasłużyłaś sobie na odrobinę gniewu Bożego. - Laurel przypomniała sobie, jak matka przyszła do niej i gładząc ją po wilgotnych od potu włosach, mówiła, żeby przestała płakać. - Mama powiedziała mi, że poskładałaś ślimaka z powrotem.

- Skleiałam go superklejem. To był mój pomysł. - Thalia z wdziękiem skłoniła głowę w stronę wymagowanej publiczności.

- No właśnie! Przeczytała mi tekst z opakowania, o tym, że ten klej wiąże wszystko. To brzmiało jak czary. Więc poszłam to sprawdzić i okazało się, że czary zadziałały. Ślimaka nie było, a od warsztatu do drzwi ciągnął się połyskujący ślad.

- Wazelina. Mama dała mi dwa dolce, żebym sfabrykowała dowody i wcisnęła ci tę historię. Łazarzu, podnieś skorupę! - Thalia sięgnęła po butelkę caberneta.

Laurel zakryła dłonią swój kieliszek i podniosła się niepewnie. Opróżniły już do połowy drugą butelkę i czuła pieczenie w oczach, jakby dostała się do nich sól. Za przeszklonymi drzwiami błyskawica rozdarła wilgotne powietrze, lecz burza była zbyt daleko, by mogły dosłyszeć grzmot.

- Mnie już wystarczy. Było znakomite, ale jestem wykończona, wykończona i pijana.

Thalia wstała i ukłoniła się z przesadną wytwornością. Zakreśliła przed sobą szeroki łuk ramieniem, cofnęła jedną nogę i ugięła kolano, w pewnym momencie omal nie tracąc równowagi, co przyprawiło Laurel o atak śmiechu.

Laurel powlokła się na górę do swej sypialni. Lekko upojona winem zapomniała o łańcuchu zabezpieczającym drzwi, tylko od razu padła na łóżko i zaczęła śnić. Słyszała muzykę organów i widziała chłopca o włosach jak pszenica, który uganiał się za jej psem z dzieciństwa.

Burza zbliżała się coraz bardziej i o trzeciej w nocy Laurel znów była na nogach, bosa i naga pod cienką błękitną koszulą. Zeszła na dół, trzymając w dłoni wojskowy szwajcarski scyzoryk Davida z wysuniętą końcówką śrubokręta.

Thalia czytała, siedząc na sofie. Sypiała mniej niż kot i miała problemy ze skoncentrowaniem się na czynnościach, za którymi nie przepadała, zwłaszcza kiedy Gary'ego nie było w pobliżu.

- Tygrysy są w ogrodzie jeleni. Musimy je przepędzić - oświadczyła Laurel, po czym zdecydowanym krokiem przeszła obok Thalii i zaczęła otwierać zamki w drzwiach frontowych.

Thalia wstukała kod, żeby rozbroić alarm, i patrzyła, jak Laurel wychodzi na ganek przed domem. Tamtego wieczoru Laurel widziała, jak jej siostra wciela się w różne postacie, począwszy od ich matki, poprzez monstrualnego wuja Poota, aż po zabitego ślimaka, więc bez trudu mogła sobie później wyobrazić, co wtedy zrobiła Thalia.

Zamiast pomóc siostrze wrócić bezpiecznie do łóżka albo zawołać Davida, ona włożyła buty i ruszyła za Laurel. Szła za nią dosłownie

krok w krok, stawiając ostrożnie stopy na jej śladach. Jedną rękę opuściła wzdłuż ciała, podkurczając palce, podczas gdy drugą zacisnęła na niewidzialnym scyzoryku. Wyprzedziła ją truchtem niczym pies, by popatrzeć na nią od przodu i odtworzyć wyraz jej otwartych oczu, jak gdyby Laurel była jakimś przedmiotem, a nie jej siostrą. Thalia studiowała jej lunatyczne ruchy, dopóki nie nauczyła się ich naśladować, dopóki nie wcieliła się w Laurel znajdującą się w stanie całkowitej bezbronności.

Burza wisiała w powietrzu, które było tak ciężkie, że jego gorąca i naelektryzowana woń wkradła się do snów Laurel. Całe osiedle było otoczone gęstym lasem. Thalia niczym drapieżnik skradała się za Laurel, która czuła na karku jej rozpalony oddech. Przyspieszyła, zagłębiając się coraz bardziej w porośniętą pnączami okolicę. Minęły plac zabaw i sadzawkę, kiedy opasła kropla deszczu przecięła gęste powietrze i rozprysła się na ramieniu Laurel. Potem woda zaczęła łać się z nieba nieprzerwanymi strugami.

Laurel obudziła się przemoczona do suchej nitki, a z jej lewej pięty, którą nadepnęła na coś ostrego, ciekła krew. Jej nocna koszula stała się przezroczysta. Wrzasnęła, upuściła scyzoryk Davida, a kiedy stuknął, upadając na ziemię, podskoczyła wystraszona i wrzasnęła jeszcze raz. Burza i ciemności odarły z kolorów stojące wokół domy, a ich wysmukłe wieżyczki przysłaniały jej niebo.

- Laurel, to ja - odezwała się Thalia.

Laurel potrząsnęła głową w tył i w przód, starając się odzyskać ostrość widzenia. Rozłożyła ręce, próbując złapać równowagę, jak gdyby miała upaść. Thalia chciała ją podtrzymać, ale że była wątpliwą budowy i brakowało jej krzepy, jej ręka ześliznęła się po mokrych plecach siostry. Laurel odepchnęła ją, tocząc dookoła wzrokiem w poszukiwaniu jakiegoś punktu orientacyjnego. Dostrzegła oświetlony budynek, w którym mieścił się klub, tymczasem Thalia znów podeszła do niej i rozkładając swe długie ramiona, usiłowała ją objąć. Laurel odwróciła się i lekko utykając, pobiegła w stronę domu, rękami podtrzymując rozkołysane piersi.

Czuła na sobie niewidzialne spojrzenia wymaglinowanych sąsiadów. Czy Daria St. John wygląda właśnie przez zaciemnione okno swej sypialni i woła Marka, aby zobaczyć, co wyprawia Laurel Hawthorne? Czy nastoletni syn Edie patrzy przez żaluzje, jak matka jego koleżanki gania po ulicy w nocnej koszuli, która pod wpływem deszczu stała się przezrzysta jak rozmoczona chusteczka? Było to tak niesprawiedliwe, że omal się nie rozpłakała. I to wszystko przez Thalię! Tymczasem Thalia, kompletnie ubrana w dżinsy, podkoszulek i buty, dreptała za Laurel, która prawie naga kuśtykała z wysiłkiem, miotając przekleństwami. Thalia, mająca głęboko gdzieś, co myślały o niej wszystkie istoty ludzkie na całym bożym świecie, wyglądała teraz jak miłosierny samarytanin i rozkładając ramiona, usiłowała ratować swą rozdygotaną siostrę. Laurel wiedziała, że przez kolejne dziesięciolecia będzie musiała spoglądać w oczy sąsiadom na zebraniach komitetu rodzicielskiego albo w kościele, i ściągając na siebie wszystkie spojrzenia, czuła, jak jej reputacja obraca się w ruinę.

Thalia znów wykrzyknęła jej imię i Laurel przystanęła na moment, aby zaczekać na siostrę i ją uciszyć. Teraz przynajmniej nie wyglądała to już tak, jakby Thalia próbowała ją dogonić i powstrzymać od szaleńczego marszu po Beeton Street. Do domu wróciły razem, szybkim krokiem i w milczeniu, obie zupełnie przemoczone. Kiedy zamknęły za sobą drzwi, Thalia zatrzymała się w holu, ale Laurel szła dalej.

- I żebyś cię tu nie widziała, kiedy wstanę - rzuciła Laurel, nie spoglądając za siebie, po czym udała się na górę.

Gdy weszła do sypialni, David zapalił lampkę nocną i usiadł na łóżku. Mrugając zaspanymi powiekami, przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, dopóki nie udało mu się wrócić do rzeczywistości.

- Zapomniałam o łańcuchu - wyjaśniła Laurel. - Wybrałam się na przechadzkę.

- Zdawało mi się, że włączyłem alarm - odparł David.

Laurel odwróciła się do niego plecami i zaczęła przekopywać szafę w poszukiwaniu świeżej piżamy. Nie chciała się skarżyć. David nie

zauważał w wizytach jej siostry niczego dobrego, za to prowadził skrupulatny rejestr przypadków, kiedy Thalia doprowadzała jego żonę do skrajnego wyczerpania, furii albo płaczu. W całej swej złości wiedziała już, że kiedyś znów dojdzie z Thalia do ładu, jednak David był mniej wyrozumiały, kiedy działa się jej krzywda.

- To ty wyłączyłaś alarm? - zapytał.

Laurel wzruszyła ramionami, idąc z naręczem suchych ubrań w stronę łazienki. Miała nadzieję, że David na tym poprzestanie.

- Thalia wyłączyła alarm, prawda? - dodał, wymawiając imię jej siostry, jakby to było plugawe słowo.

Nie czekał na odpowiedź. Usłyszała, jak zrywa się z łóżka, i zdążyła się obrócić w momencie, gdy otwierał drzwi.

- Davidzie, nie!

Zakładała, że David nie zamierzał stawiać z Thalia do zawodów w układaniu kostki Rubika na czas ani jej udusić, ale w kłótni nie miał z nią żadnych szans! Operowanie słowami było mocną stroną Thalii, podczas gdy David tak głęboko tkwił w świecie liczb, że angielski wydawał się jego drugim językiem.

- Nic mi się nie stało - zawołała za nim Laurel. - Davidzie!

Nie słyszał jej. Swą niezwykłą zdolność koncentracji skierował ku otaczającej go przestrzeni, poruszając się w niej z gniewną precyzją, która nie wróżyła nic dobrego jej siostrze. Przeważnie David nie zwracał uwagi na swe kończyny, teraz jednak opuścił sypialnię i zbiegł po schodach z zamaszystą gracją, która sprawiała, że jego ruchy były niemal piękne. Laurel nie zatrzymywała go. Uznała, że być może tym razem to Thalia powinna się martwić.

Wypłakała się pod prysznicem i leżała już w łóżku, kiedy wrócił. Był błydy i zdyszany, a na policzkach miał czerwone rumieńce przypominające kształtem i wielkością jego zaokrąglone oczy. Usta zaciskał tak mocno, że prawie nie było widać warg.

- Rano już jej tu nie będzie - odezwała się Laurel przeprasającym tonem.

- Już teraz jej tu nie ma.

To było wszystko, co powiedział.

Trzy miesiące później Laurel zaczęła odczuwać nieobecność Thalii, jakby doskwierał jej brak wyrwanego zęba. Nie mogła się powstrzymać od obmacywania blizny, a Shelby, która swą ekscentryczną ciotkę uważała za najfajniejszą na świecie, zaczęła nalegać, aby się z nią spotkać. Nie było niczym niezwykłym, że Laurel i Thalia nie odzywały się do siebie, ale nigdy dotąd nie trwało to tak długo. Pewnego wieczoru Laurel nawiązała przy kolacji do pomysłu odnowienia kontaktów z Thalia, a wtedy David, który wpatrywał się w nią jak urzeczony, zaczął się dąsać. Laurel postanowiła więcej go w to nie mieszać. Zamówiła bilety na najnowszy spektakl Thalii i pojechała wraz z Shelby do Mobile.

Tamtego wieczoru Laurel wyszła z teatru w połowie przedstawienia, zamknawszy definitywnie kwestię Thalii. Shelby była zdruzgotana, jednak Laurel pozostawała głucha na wszystkie jej błagania i jęki. Ze strony Thalii również nie było żadnego odzewu. Od tamtej pory widywały się jedynie podczas corocznych gwiazdkowych wyjazdów do DeLop, gdzie przez wzgląd na obecność matki wszelkie tarcia zanikały pod grubą osłoną dobrych manier. Nawet kiedy Thalia pozwoliła sobie na subtelny docinek i udając przejęzyczenie, nazwała osiedle Laurel „Stepfordianną”*, ona wolała udać, że tego nie dosłyszała.

Teraz jednak Laurel nie mogła przestać myśleć o swej siostrze. Wyobrażała ją sobie, jak energicznie kroczy przez jej podwórko i świdrującym wzrokiem przenika chaos. Thalia złapałaby tę opryskliwą policjantkę za kucyk, pozbawiając go idealnej symetrii, i tak długo by szarpała, aż jej głowa zaczęłaby się kiwać, a wtedy Laurel wyjaśniłaby, skąd wzięła się ta krew.

* Nawiązanie do powieści Iry Levina *Żony ze Stepford*, względnie do jej ekranizacji pod tym samym tytułem. Tytułowe Stepford to spokojne podmiejskie osiedle, w którym dostatek, harmonia i beztroski styl życia osiągają niemal karykaturalny wymiar. Jest to również synonim powierchowej idylli i doskonałości, pod którą kryje się coś podejrzanego.

Wydawało się, że Moreno przesłuchiwała Hawthorne'ów całymi godzinami, unikała jednak udzielania im jakichkolwiek informacji. Większość pytań kierowała do dziewczynek. Na samym początku zapytała Bet, czy nie wie przypadkiem, po co Molly mogłaby wymknąć się z domu i przyjść na ich podwórko. Laurel chciała zresztą zadać jej to samo pytanie. Bet wprawdzie nie miała w sobie na tyle charyzmy, aby pretendować do roli prowadzącego, jednak Laurel obawiała się tego, jak mogło na nią wpłynąć DeLop. Obawiała się tego już od momentu, kiedy Shelby postanowiła ją zaprosić. Jednak Bet autentycznie nie miała o niczym pojęcia. Powtarzała swoje prostoduszne „nie wiem”, po czym spoglądała na Shelby, ta zaś siedziała z lekko zaróżowionymi policzkami i próbowała utrzymać w górze opadające powieki.

Thalii wystarczyłoby jedno spojrzenie na przemęczoną twarz Shelby i fiołkowe cienie pod jej oczami, żeby wkroczyć do akcji. Ostro wkroczyć do akcji. Jednak kolejne pytanie, jakie zadała Moreno, wydawało się tak niewinne, że irytacja Laurel ustąpiła. Policjantka chciała się dowiedzieć, czy Shelby planowała spotkać się z Molly, na przykład po to, aby zrobić komuś jakiś kawał.

To zabrzmiało dla Laurel przekonująco. Zaledwie przed dwoma miesiącami, kiedy Molly została u nich na noc, przyłapała ją oraz Shelby, jak próbowały się wymknąć, zabierając ze sobą paczkę ręczników papierowych. Potem jednak Moreno stawała się powoli coraz bardziej natręczywa, skupiając całą swą uwagę na dziewczętach, podczas gdy Laurel i David przyglądali się temu w milczeniu. Kiedy stało się jasne, że Bet nie znała zbyt dobrze Molly, wzięła w obroty Shelby. Naciskała ją i nękała, wypytyując, czy Molly kiedykolwiek wspominała o ucieczce, czy czuła się nieszczęśliwa w domu i czy miała kłopoty w szkole.

Shelby kuliła się bezwiednie i nachylała w stronę Bet Clemmens, która siedziała obok niej na szeszlunku Mindy. Raz za razem zapewniała, że nic nie wie, a jej głos brzmiał tak niepewnie i strachliwie, jakby nie należał do niej. Prawdziwa Shelby mówiła dźwięcznie, ćwierkała i trajkotała z przejęciem, wymachując przy tym rękami. Nie zamykała

się w sobie jak teraz, kiedy zwinięta w nieszczęsny kłębek, wlepiła wzrok w podłogę. Thalia wykopałaby tę sukę Moreno w kosmos, ale Laurel, wstrząśnięta i oszołomiona, pozwalała jej na wszystko.

Policja opuściła ich dom około czwartej nad ranem i jedynie podwórze zostało otoczone żółtą taśmą. Stosowniej byłoby udać się do hotelu, ale obie dziewczynki leciały z nóg, a Laurel bardziej zależało na wygodzie niż na stosownym zachowaniu.

Kiedy Laurel i David znaleźli się już w łóżku, leżeli z podkulonymi nogami i zwróceniem twarzami do siebie wsłuchiwali się w dobiegające z zewnątrz hałasy i głosy policjantów oraz techników, którzy pracowali na podwórzu. Funkcjonariusze wydziału kryminalnego chcieli obejrzeć dokładnie miejsce zbrodni, zanim spadnie deszcz. Wokół basenu poustawiali ogromne reflektory i biała smuga sztucznego światła wnikała do sypialni przez szczelinę między zasłonami. David nie odrywał wzroku od Laurel, ona jednak czuła, jak powieki zaczynają jej ciążyć. Odpływała, zanurzając się we śnie, niemal wbrew swej woli.

- Nie mogę zasnąć. Pójdę na dół popracować. - Głos Davida docierał znad powierzchni snu.

David wstał i miała wrażenie, jakby zabrał światło ze sobą. Promienie odbijały się gdzieś daleko, nie docierając do niej, jak gdyby zanurzała się głęboko w mrocznej toni. Gdzieś ponad nią, w suchym i bezpiecznym świetle, którego nie mogła dosięgnąć, David odchodził coraz dalej. W płucach zaczynało brakować jej tchu, ale nie mogła się wynurzyć. Zauważyła, że może poruszać tylko jedną nogą. Spojrzała w dół i zobaczyła swą matkę, która kucała w kępie wodorostów, a jej puszyste włosy falowały unoszone prądem. Matka trzymała ją delikatnie za kostkę.

Laurel obudziła się, leżąc do połowy na łóżku, a jej nogi spoczywały na podłodze. Krztusząc się, łąpczywie nabierała powietrza w płuca. Jedną rękę trzymała na telefonie leżącym obok łóżka. Cofnęła ją gwałtownie, jakby telefon parzył. Spojrzała na zegar i uświadomiła sobie, że spała jedynie parę minut. Podniosła się, wiedząc, że nie zaśnie z powrotem, dopóki nie sprawdzi, co dzieje się z Shelby.

Stanąła w drzwiach jej pokoju i zobaczyła, że łóżko znowu jest puste. Serce zakołatało jej w piersi. Obróciła się i zajrzała do małego pokoju gościnnego, który mieścił się po drugiej stronie korytarza. Shelby znalazła się właśnie tam. Przeniosła się na rozsuwane łóżko, zajmując dolną jego część, podczas gdy na górnej spała Bet. Laurel odetchnęła z ulgą.

Shelby leżała na plecach, z ręką odrzuconą na górny materac, a jej palce obejmowały luźno skrawek rękawa Bet. Nawet w mdłym świetle wpadającym z korytarza widać było jasnoniebieskie żyły prześwitujące spod skóry na jej ręce. Shelby uważała, że są pokraczne, i błagała matkę, by zabrała ją do solarium albo kupiła jej jeden z tych olejków, po którym skóra robi się pomarańczowa. Laurel tłumaczyła jej, że jest za młoda, i tak faktycznie było, chociaż tak naprawdę skrycie uwielbiała te rzucające się w oczy żyły. Gdy Shelby była malutka, Laurel wodziła po nich palcami, przemierzając szlak, którym krew wędrowała z bijącego serduszka do płuc, aby odzyskać życiodajną świeżość.

Mały pokójek gościnny służył jako składowisko różnych przedmiotów. Trafiały tam ścinki tkanin oraz uzupełniana przez cały rok kolekcja butów i zabawek przeznaczonych dla dzieci z DeLop. Laurel, klucząc, przeszła pomiędzy stertami zapasów a czarnym plastikowym workiem z rzeczami Bet Clemmens. Bet spała z otwartymi ustami, a jej oddech rozbrzmiewał ciężko. Shelby oddychała przez nos, płytko i energicznie.

Laurel uklękła obok łóżka, ujęła delikatnie rękę Shelby i wsunęła ją pod kołdrę. Ramię jej córki wydawało się tak lekkie, jakby żyło własnym życiem.

- Shel? - wyszeptała Laurel. - Nie śpisz?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Shelby? - Laurel nie dawała za wygraną, a jej głos przybierał na sile. Nagle zauważyła otwarte oczy Bet Clemmens, które połyskiwały w świetle wpadającym z korytarza. - Przepraszam, Bet, nie chciałam się obudzić.

- Nie szkodzi - odparła Bet, a po chwili dodała melancholijnym tonem: - Będę musiała wyjechać?

Laurel ciężko przełknęła ślinę.

- Myślę, że gdyby Shelby była w twoim domu i stałoby się coś takiego, wolałabym, żeby wróciła.

- Mama nie będzie miała nic przeciw - zapewniła Bet. - Tym razem byłam tu tylko cztery dni.

Dziewczyna wpatrywała się nieruchomo w oczy Laurel, a jej wargi wykrzywiły się lekko ku dołowi. Matka Bet, Sissi, miała skórę poszarzałą od wieloletniego zażywania narkotyków, a usta tak spierzchnięte, że pękały w kącikach i krwawiły. Pomachała leniwie ręką, mówiąc „No to na razie”, kiedy Laurel odjeżdżała z Bet, ale mimo wszystko była jej matką, a bez wątpienia każda żywa istota chciałaby w takiej sytuacji mieć swoje dziecko przy sobie.

- Możesz tu jeszcze wrócić innym razem. Już wkrótce. Obiecuję.

Bet pokiwała głową. Jej okrągłe oczy, podobnie jak usta, również wygięły się w smutnym grymasie. Wyglądała jak rzeźna krowa prowadzona w stronę nieznanego budynku. Nie mrugała tak długo, że Laurel sama poczuła pieczenie pod powiekami.

- Dobranoc - powiedziała Laurel, a Bet obróciła się na plecy i wlepiła wzrok w sufit.

Shelby leżała z zamkniętymi oczami, które drgały lekko pod powiekami, jakby właśnie śniła. Bo chyba nie udawała, że śpi. Moreno dała jej prawdziwy wycisk.

Niezależnie od tego, ile razy Shelby mówiła, że nic jej nie wiadomo, aby Molly czuła się nieszczęśliwa w domu bądź w szkole, Moreno uparcie powracała do tej kwestii. Pytała również kilka razy, czy Molly miała chłopaka. Shelby zdecydowanie zaprzeczała, kręcąc głową i opuszczając wzrok za każdym razem, kiedy policjantka dopytywała się, czy był jakiś chłopak, który podobał się Molly.

Ale przecież jakiś musiał się jej podobać. Molly była trzynastoletnią panną. W kółko rozmawiała z Shelby o tym, która z nich czuje

sympatię do którego z chłopców, kiedy Laurel zawoziła je ze szkoły na potańcówkę, a potem do domu. Shelby jednak stanowczo potrząsała głową i zaprzeczała. Laurel za to zobaczyła kogoś, kto nie pasował do zbiegowiska sąsiadów przed jej domem. Był niski, ale nie wyglądał na gimnazjalistę. Dorosły mężczyzna o kręconych i zmierzwionych włosach, które przypominały jej fryzurę Stana Webelowa. Ilekroć o nim myślała, miała wrażenie, jakby krew zastygała jej w żyłach.

Stan zamieszkał w Victoriannie mniej więcej przed trzema laty, kiedy zmarła jego matka i odziedziczył po niej dom. Cookie Webelow była stałym elementem miejscowego krajobrazu i większość czasu spędzała w swym ogrodzie, gdzie przekopywała grządki z kwiatami. W kieszeniach fartucha zawsze nosiła gumy do żucia, więc dzieci ją uwielbiały, jednak Laurel na samą myśl o niej włosy stawały dęba.

Na jej pogrzebie zjawili się wszyscy mieszkańcy Victorianny. Ponieważ trumna miała być otwarta, Laurel zostawiła dziesięcioletnią Shelby ze swoją matką. Pracownicy domu pogrzebowego musieli chyba postradać zmysły, pokrywając makijażem całą twarz Cookie, chociaż ta ani razu nawet nie upudrowała nosa w ciągu ostatnich dziesięciu lat, odkąd Laurel ją znała. Jej białe dłonie wyglądały dziwnie bez ogrodniczych rękawic.

- Ona wygląda tak naturalnie - oświadczyła stojąca tuż przed Davidem Trish Deerbold i przyłożyła w teatralnym geście dłoń do piersi.

Obowiązująca na południowych pogrzebach odpowiedź powinna brzmieć: „Boże, faktycznie, wygląda jak żywa”, jednak David nie znał tego rytuału i wytrzeszczył oczy, słysząc tak rażące łgarstwo. Spojrzał na okrągłą brązową twarz Cookie, na której blady krąg pudru otaczał wielkie czerwone usta wymalowane szminką.

- Naturalnie? - szepnął do Laurel. - Ona wygląda jak klaun.

Trish zmierzyła go surowym wzrokiem, ale jego porównanie było tyle makabryczne, ile trafne, i Laurel musiała stłumić niestosowny w tej sytuacji wybuch śmiechu wzbierający jej w gardle. Zmuszała się, by nie spojrzeć na Cookie, a za to skupiła wzrok na niewysokim męż-

czyźnie, który ubrany w elegancki czarny garnitur stał obok trumny. Obdarzał każdego uściskiem dłoni, jakby to była nagroda za obejrzenie nieboszczki. Laurel myślała, że to jakiś pracownik domu pogrzebowego, ale kiedy przyszła na nią kolej, podał jej rękę i przedstawił się jako Stan Webelow, syn Cookie.

Laurel wymamrotała kondolencje, lecz jego oślizła powierzchowność sprawiła, że po plecach przebiegły jej ciarki. Drobnokoścista dłoń Stana była jak z wosku i wydawała się równie martwa jak jego matka. Cookie nigdy nie wspominała o synu, a w domu trzymała tylko zdjęcia nieżyjącego męża i swoich psów rasy corgi.

Tydzień później Stan wprowadził się do domu o brzoskwiniowych ścianach, który odziedziczył po Cookie. Laurel zastanawiała się, czemu młody samotny mężczyzna zechciał zamieszkać w domu o czterech sypialniach i trzech łazienkach, położonym na familijnym osiedlu. Nie miał żadnego źródła utrzymania, chociaż Mindy była przekonana, że Cookie zostawiła po sobie pokaźny majątek, z kolei Edie słyszała, że jest właścicielem jakiejś firmy internetowej.

On zaś mieszkał i mieszkał, bezrobotny i samotny. Nigdy nie przychodził z partnerką na sąsiedzkie przyjęcia, ale w stosunku do kobiet zachowywał się z tak przesadną ckliwością, że Laurel zaczynała po wątpiewać, czy jest gejem. Miał około trzydziestki i większość kobiet z sąsiedztwa uważała go za atrakcyjnego, lecz jego ciągnęło do takich, które były starsze o dziesięć, a nawet dwadzieścia lat od niego. Laurel uznała to za osobliwe, dopóki nie odkryła, że takie kobiety mają ze sobą coś wspólnego oprócz wieku. Mają nastoletnie dzieci.

Od tamtej pory Laurel obserwowała go uważnie, zwłaszcza gdy pojawiał się w pobliżu Shelby. Chociaż nigdy nie zauważyła, aby robił cokolwiek zdrożnego, nie mogła wyzbyć się niechęci i ostrzegła Shelby, aby trzymała się od niego z daleka. Teraz była święcie przekonana, że to on stał w uliczce przed jej domem, a duch Molly zaprowadził ją do pływającego w basenie ciała, jakby kryło się w tym jakieś przesłanie.

Jeśli tak, to do jego odczytania Molly wybrała sobie niewłaściwą osobę. Laurel nie była Joanną d'Arc, która z pomocą anielskich zastępów doszłaby do prawdy. Nie była nawet Nancy Drew* dla ubogich.

Niemniej jednak to ją Molly wybrała, aby wyciągnęła jej ciało z wody. To na jej rękach Molly zostawiła ślady swej krwi, a odkąd Laurel je zauważyła, nie przestawała myśleć o swej siostrze. Słyszała głos Thalii i obudziła się, trzymając rękę na telefonie. Teraz, wpatrując się w pobladałą twarz Shelby, wiedziała, jaki numer powinna wybrać.

Najpierw jednak musiała porozmawiać z Davidem. Dla niego sam dźwięk imienia jej siostry był równoznaczny z rozpętanym piekielnym. Laurel wiedziała, że będzie przeciwny. Musiała go przekonać, że Thalia nie może im wyrządzić szkody. Na ich przytulnej uliczce piekło już się rozpętało.

Rozdział 3

David siedział w swojej pracowni na jednym z dwóch skórzanych foteli na rolkach. Trzy stoliki ustawione w kształcie litery L służyły mu za ogromne biurko, a na środku dłuższego ramienia stał monitor. Włączył swoją grę, więc patrząc w ekran, miało się przed sobą widok z kabiny myśliwca i pełen wskaźników kokpit. David nachylał się w stronę płaskiego, ciekłokrystalicznego monitora, który był podłączony do skomplikowanego systemu komputerów.

Laurel zauważyła, że na ekranie mignął jakiś samolot. David mruknął „mam cię” i zaczął strzelać, po czym wykonał obrót i pomknął w bezmiar błękitu nieba. Głośniki nie były ustawione na pełną moc, ale on i tak nie miał pojęcia, że Laurel weszła do pokoju. Zresztą najprawdopodobniej sam nawet nie wiedział, że znajduje się w swej pracowni. David unosił się w przestrzeni.

Mogła przywołać go do rzeczywistości. Po trzynastu latach małżeństwa wystarczyło, by wymówiła jego imię, a wracał do niej, przenosząc się z obcego świata, w którym żył, kiedy milczał. Gdy poznała go na pierwszym roku studiów na uniwersytecie stanowym, wydał się jej obcy i zamknięty w sobie, jakby zagrzebany we wnętrzu swego mózgu. Był dziwny i nie spodobał się jej. Otaczało ją tyle dziwactw, że wystarczyło jej w zupełności.

Dorastanie u boku dwa lata starszej Thalii było jak trwający osiemnaście lat z rzędu obóz ćwiczebny, który pozwolił jej oswoić się z każdą osobliwością. Kiedy Laurel zaczynała pierwszą klasę liceum Pace High, Thalia zdążyła już przeniknąć wszystkie kąty i zakamarki tej

szkoły. Była czirliderką, przypalała trawkę i założyła drużynę lekko-atletyczną, którą później porzuciła. Potem próbowała jeszcze swoich sił w samorządzie uczniowskim, zespole mażorettek, klubie dyskusyjnym, zespole muzycznym i chórze. W końcu zerwała nawet z grupą pięciu zdziwaczałych maniaków, którzy określali się mianem Klubu Dramatycznego.

W dniu, kiedy Laurel po raz pierwszy pojawiła się w szkole, Thalia urządziła sobie ubaw, rozpuszczając plotkę, że wykryto u niej latem syndrom Tourette'a. Starannie zaplanowała swoje przedstawienie, aby nie zwrócić uwagi nauczycieli, ale i tak kontrolowane drgawki, skręty głowy, ciche popiskiwanie i przekleństwa okazały się całkiem wiarygodne. Nawet najbardziej znużeni jej osobą koledzy dali się nabrać, a dzieciaki, których Laurel nie widziała dotąd na oczy, wciąż zaczepiały ją w szatni i w stołówce, wypytując o zdrowie siostry.

W sierpniu Laurel wybrała się z matką na zakupy i miała nowe dzinsy ze zwężanymi nogawkami, truskawkowy błyszczek do ust i brązowy tusz do rzęs. Lśniące włosy nosiła splecione w gruby francuski warkocz, była spokojna i błyskotliwa, ale nie nazbyt błyskotliwa. Thalia powinna była pozwolić jej wmieszać się w towarzystwo.

Tymczasem Laurel raz za razem musiała odpowiadać „nie chcę o tym rozmawiać”, wlepiając wzrok w swe różowe trampki na grubej podszwie. Co trzecia dziewczyna w jej klasie nosiła takie same, ona jednak miała wrażenie, że jej buty, zamiast ułatwić wtopienie się w scenę, promieniają jaskrawym wstydem.

Thalia zakończyła swoje przedstawienie trzy tygodnie później, skrzecząc podczas lekcji biologii „Zesraj się, ptaszyno!” za każdym razem, gdy pani Simon odwracała się plecami, by napisać coś na tablicy. Została za to po raz kolejny zawieszona, ale nawet kiedy już ukończyła szkołę, Laurel była znana jako „ta biedna siostra Thalii Gray”.

W college'u, po raz pierwszy w życiu wolna od Thalii, Laurel natychmiast przystała do grupy dziewcząt spinających włosy w kucyk, studiujących głównie pedagogikę, dosyć ładnych, dosyć inteligentnych,

ale nieprzesadnie. Wyglądały jak zdjęcia w uniwersyteckich broszurkach, które wprawiały jej matkę w takie podniecenie. Otaczało je grono adoratorów, którymi wymieniały się między sobą, rosnących studentów kierunków biznesowych, wesołków o krągłych twarzach i dorównujących złożonością swej psychiki stadku szczeniąt. Żadna z nich nie znała Thalii i gdyby to zależało od Laurel, nigdy by nie poznała.

David miał dwadzieścia lat i kontynuował już studia dyplomowe na Duke University, gdzie wybijał się w matematyce i przedmiotach ścisłych. Wysoki i chudy jak tyczka, był nawet dość sympatyczny, gdyby nie jego dziwactwo. Zajmował mieszkanie naprzeciwko Jeannie, przyjaciółki Laurel. Nigdy by go nie poznała, gdyby mieszkała gdziekolwiek indziej.

Nie pasował do jej towarzystwa, ale kiedy Laurel była na pierwszym roku, wciąż się na niego natykała wśród swoich znajomych. Wspólnie oddawali się typowo studenckim zajęciom, które przyciągały Laurel do tych ludzi - opiekali hot dogi na grillu albo opalali się na tarasie Jeannie. David przychodził, witał się, a potem po prostu zostawał.

Kiedy Laurel była na drugim roku, zaczęła odczuwać do niego coraz większą sympatię. Był jak jaskrawopomarańczowa sofa stojąca w pokoju Jeannie, osobliwy element wspólnej codzienności, który stał się tak swojski, że zdawało się, jakby należał do wyposażenia domu. Zasiadał z nimi do gier i dokładał się do pizzy, przyglądając się Laurel oraz jej przyjaciółkom, jak Spock* przyglądał się ludziom. Nie łąpał większości żartów i nie znał się na sporcie, a kiedyś wstał i wyszedł bez słowa w samym środku zaciętego meczu ligi mistrzów baseballu.

- Dokąd się wybierasz, Lurch? - zawołała za nim Jeannie.

Jej obecny chłopak nazwał go tak na cześć milczącego kamerdynera z *Rodziny Addamsów*. David najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu albo nie połąpał się, o co chodzi. Laurel za to burzyła się w jego imieniu. Ona zawsze nazywała go Davidem.

* Bohater serialu *Star Trek*.

- Na PBS zaczyna się o dziewiątej całonocna seria programu NOVA* - odparł David, spoglądając na wyciągnięty z kieszeni zegarek.

Jeannie zdołała zachować poważną minę do momentu, gdy David zamknął za sobą drzwi, po czym wraz ze swych chłopakiem zarechotali niczym wiedźmy z *Makbeta*.

- Ludzie, trochę przyzwoitości - zganiła ich Laurel, starając się nie przyłączyć do nich jako trzecia.

Jego cicha obecność była tak niezmienna, że Laurel ledwie go zauważała, i nigdy nie wydawał się jej osobą z krwi i kości aż do dnia, kiedy spotkał ją zapłakaną na korytarzu nieopodal swoich drzwi. Czekąca, aż Jeannie wróci do domu, a on wpuścił ją do siebie, aby mogła sobie szlochać, nie wzbudzając zaciekawienia innych dziewcząt z akademika. Tego dnia jej chłopak, niejaki Dale, złamał jej niewinne serduszko.

Kiedy David zobaczył ją, jak siedzi skulona żałośnie na podłodze, odłożył torby z zakupami i przykucnął niezdarnie obok niej. Laurel wypłakiwała sobie oczy i była zbyt zrozpaczona, by przejmować się tym, że jakiś chłopak widzi jej czerwony nos i opuchnięte oczy. Zresztą to był tylko David Hawthorne.

- To nie jest mój dzień - wychlipała.

- Zauważyłem - odparł. - Nie siedź tutaj, wejdź.

W jednej z toreb niósł białe wino. Było w dużej butelce, ale z prawdziwym korkiem, a szkło pokrywała warstewka szronu, bo kupił schłodzone. Miał też u siebie prawdziwe kieliszki do wina, z różnych kompletów, lecz ładne. Siedzieli na jego kanapie, popijając wino, a kiedy Jeannie wróciła do domu, Laurel nawet nie zwróciła na to uwagi.

Wyrzucała z siebie wszystkie żale, a on słuchał, nie odrywając od niej oczu. Nigdy dotąd nie zanudzała żadnego chłopaka zwierzeniami o swoich kłopotach sercowych, ale David zachowywał się tak, jak gdyby każde słowo było ciekawe i ważne.

* Telewizyjny serial popularnonaukowy emitowany w Stanach Zjednoczonych na kanale PBS.

Laurel ściszyła głos do szeptu, a David przysunął się, by lepiej słyszeć, i wyglądało to tak, jakby chciał ją pocałować. Ona też się przybliżyła i pocałowała go, a może obydwójce zrobili to jednocześnie. Tak czy inaczej, to był wspaniały pocałunek. Naprawdę doskonały. David nie gmerał jej w ustach językiem, co poprzedni adorator uważał za szczyt finezji. Laurel powiedziała coś jeszcze i znów zaczęli się całować. I znów było wspaniale. Pocałunki przerodziły się w pieszczoty, które przerywali, gdy Laurel chciała jeszcze coś powiedzieć. David słuchał jej, przysuwając się bliżej i bliżej, a kończyło się to kolejnym pocałunkiem. Za każdym razem posuwali się odrobinę dalej.

David był dobry w tych sprawach. Zupełnie inny. Dale był pierwszym „prawdziwym” chłopakiem Laurel, a seks ekscytował ją głównie dlatego, że kojarzył się jej z dorosłością i studenckim życiem. To było dziarskie, intrygujące i przyjemne, a Dale'a doprowadzało do takiej bezradności, że Laurel ogarniała duma, bo czuła się piękna i potrzebna. Nie było to jednak coś, przez co mogłaby przegapić kolejny odcinek *Melrose Place*.

Z Davidem było inaczej. Dotykał jej, jakby przeprowadzał eksperyment, starając się dociec, jakiego rodzaju dotyk jest skuteczny. Jakby przyjął założenie, że ciało kobiece wypełniają końcówki nerwowe, a jego misją jest odnalezienie ich wszystkich. Coś w niej rozbudził, kiedy wsunął dłoń pod jej bluzkę i błędził palcami po cienkiej tkaninie stanika. Poprzedni chłopcy Laurel zawsze traktowali jej piersi jak pokrętła albo gumowe zabawki kąpielowe. Kiedy chodziła do liceum, pozwalała chłopakom się tam obmacywać, bo na tyle ich to rozpraszało, że nie zabierali się do rozpinania spodni. David sprawił jednak, że sama zapragnęła, aby je z niej zdjął.

To nie ona zdecydowała, że chce to z nim zrobić, ale jej ciało w pewnym momencie podjęło za nią tę decyzję. Wszystko, co robił, sprawiało, że chciała, by wykonał kolejny krok, choć nawet nie wiedziała, co to będzie. Nie spodziewała się, że będą uprawiać seks. To było coś innego, coś, co ona i David odkrywali, posuwając się krok za

krokiem. Jej ciało płonęło od pożądania, a umysł ogarnęła zwierzęca pustka. W zaślepieniu napierała na niego biodrami, pożądliwie i nieprzytomnie, a on jej na to odpowiadał. Obydwoje pograżyli się w tym bez reszty.

Potem David zasnął, leżąc na plecach, jak to zwykle robią chłopcy, rozciągnięty bezwładnie i nagi, z głową opartą na poduszce, którą ściągnął z kanapy. Laurel leżała obok niego, a jej serce uderzało w nierównym i zmysłowym rytmie, jakby w jej żyłach płynął jazz. Przycisnęła się do niego biodrami i spozrzała na jego długie, kościste uda oplecione bladą krągłością jej nóg. Nie była w stanie zmrużyć oczu ani spokojnie leżeć. Wstała i włożyła majtki oraz porzucony podkoszulek Davida przesiąknięty zapachem dymu z ogniska i cynamonu. Rozpierała ją przemożna chęć mówienia i miała ochotę przemknąć na drugą stronę korytarza, ale zdała sobie sprawę, że Jeannie nie powinna o niczym się dowiedzieć. Nie chciała o tym mówić żadnej ze swych przyjaciółek. Coś tak niespodziewanego i osobliwego, do czego doszło między nią a Davidem, nie było w ich stylu.

W apartamencie Davida znajdował się niewielki bufet oddzielający salon od miniaturowej kuchni. Laurel podciągnęła się i usiadła na niskim blacie, opierając stopy na jednym z krzeseł. Na ścianie za jej plecami wisiał telefon, więc sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer swej siostry. Thalia mieszkała już wtedy z Garym w Mobile. Wynieśli się z Chapel Hill i próbowali zbierać fundusze na otwarcie swego teatru.

Thalia odebrała dopiero po czternastym sygnale.

- No co się dzieje, Jezusowy Robaczku? - warknęła.

Tylko Laurel wiedziała, że Thalia nie śpi o tej porze, więc tylko ona mogła tak uparcie do niej wydzwaniać po jedenastej.

Laurel usłyszała dźwięk fortepianu i odgłosy hałaśliwej rozmowy dobiegające z oddali, jakby z innego pomieszczenia.

- Dale mnie rzucił i kochałam się z Davidem Hawthorne'em - powiedziała niemal szeptem. - U niego na podłodze.

- David Hawthorne? - zdziwiła się Thalia. - Chyba nie... Zaraz, czy to Lurch?

- Nie nazywaj go tak. Nawet go nie znasz. - W głosie Laurel pojawił się surowy ton. - A seks to coś fascynującego.

- Mmm, wiem o tym, głuptasku - zaśmiała się Thalia.

- Ale ja nie wiedziałam - odparła Laurel.

- Dale był kiepski w łóżku! - Thalia parsknęła śmiechem. - Ha! Gary jest mi winien pięć dolców.

- Założyłaś się o to? Jego też w życiu nie widziałaś. - Ale w głowie Laurel nie było już miejsca dla Dale'a. Ani trochę. - Teraz wszystko jest inaczej - dodała.

- Orgazm niczego nie zmienia, Robaczku. - Thalia zagwizdała. - To tylko miły sposób na zakończenie piątkowego wieczoru.

Thalia była jednak w błędzie. Podczas gdy Laurel szeptała, rozmawiając przez telefon ze swą siostrą, jej ciało było już zajęte tworzeniem Shelby.

Seks z Davidem był nieustającym objawieniem, nawet kiedy Laurel była w ciąży i później. Dotąd zawsze wstydziła się swego ciała. Jako dziewczynka chowała się w łazience, żeby włożyć strój gimnastyczny, podczas gdy jej koleżanki rozbierały się w szatni. Nie chciała być jak Thalia, która paradowała nago spod prysznic do garderoby, gdzie, ociekając wodą, przeglądała swoje ubrania i mówiła: „No to kim chcę dzisiaj być?”. Dale odwiedzał ciało Laurel pospiesznie i przy blasku świec, jak turysta, a ona przykrywała się kołdrą, kiedy tylko się odsuwał.

Przy Davidzie zostawiała włączone światło i odrzucała pościel na bok. Nosząc w sobie Shelby, miała wrażenie, jakby stała się dwa razy tęższa niż normalnie, jednak w sypialni David wciąż był odkrywczy, a ona nieskrępowana.

Seks podtrzymywał Laurel na duchu w ciągu tego ciężkiego pierwszego roku, kiedy mogli liczyć tylko na samych siebie oraz na Thalię, a to akurat nie do końca było błogosławieństwem. Matka wymarzyła

sobie Laurel w todzie i birecie, a potem w sukni ślubnej. A ponieważ nie dostała ani jednego, ani drugiego, stała się powściągliwa i nader uprzejma w swym rozczarowaniu.

Matka i dziadkowie Davida chcieli, by chodził w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatkami na łokciach, brał pieniądze za znajomość teorii strun i poślubił jakąś absolwentkę fizyki z Harvardu. Tymczasem on sprzedawał swoje hobby, program komputerowy, jakiejś firmie mieszczącej się na Florydzie, nieopodal domu rodzinnego Laurel. Zamienił studia dyplomowe na Laurel i na prestiżową posadę, która przyniosła mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów dodatku motywacyjnego i tak sformułowane ubezpieczenie, by uwzględnić „uprzedni stan” jego żony.

David pracował jak szalony, starając się udowodnić swą bezcenneść w nadziei, że firma pozwoli mu pracować w domu, z dala od wszystkich tych ludzi. Laurel była więc sama, ucząc się, jak być matką oraz żoną wciąż nieobecnego męża, który i tak rzadko z nią rozmawiał.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia, kiedy odczuwała skrycie, że ich seks jest inny i doskonalszy od tego, jaki uprawiają wszyscy inni. Poza tym David jej słuchał. Mogła mówić o szyciu, o sąsiadach, o swych długich i pięknych dniach z Shelby, albo snuć chaotyczne opowieści o swym dzieciństwie. David nadstawiał uszu i obdarzał ją taką samą uwagą, z jaką słuchałby Alberta Einsteina, a seks był sposobem, w jaki udzielał jej odpowiedzi. Seks pozwalał Laurel zyskać pewność, że go zna, a mówienie było sposobem, w jaki go do siebie przywoływała.

Teraz wymówiła delikatnie jego imię, a on natychmiast spojrzał na nią przez ramię. Oczy miał puste i niewidzące niczym wydrążone szklane kulki, ale kiedy na nią patrzył, jego spojrzenie powoli nabierało wyrazu.

Odwrócił się do monitora i nacisnął przycisk na klawiaturze.

- Na razie - powiedział. - Będę za kilka minut.

Jego pracownia zajmowała większą część piwnicy, gdzie mieściła się jeszcze tylko pralnia i mała łazienka. Pamiętająca studenckie czasy

kanapa Davida stała pod ścianą za jego biurkiem. Laurel usiadła na niej gotowa czekać, ale David prawie natychmiast obrócił się w jej stronę na krześle.

- Myślałem, że śpisz - powiedział do niej zatroskany.

- Spałam. Przez chwilę - odparła, wodząc palcem po dłoni, która straszyla wspomnieniem krwi Molly. - Davidzie, chcę, aby Thalia tu była.

- Albo żeby dom stanął w płomieniach. Całkiem niezła myśl.

Odpowiedź Davida była tak szybka, że wydawała się automatyczna. Za jego plecami na ekranie samolot właśnie wpadł w korkociąg. Nie zatrzymał prawidłowo gry i w polu widzenia pojawiła się zielono-brązowa ziemia.

- Ja nie żartowałam - odparła.

- Kontaktowałeś się z Thalia? - zapytał, wlepiając w nią wzrok.

Nachylił się do niej i opad łokcie na jej kolanach, nie zdając sobie sprawy, że samolot właśnie roztrzaskuje się o ziemię. Laurel słyszała stłumiony odgłos uderzenia i eksplozji.

- Nie mówisz poważnie - dodał.

- Owszem, mówię. To nie jest normalny dzień, lecz sytuacja tego rodzaju, w której Thalia znakomicie sobie radzi.

To była prawda. Thalia nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w rozkładzie dnia, który był przeznaczony na strzyżenie trawników i zakupy w sklepie spożywczym. Obijała się o jego sztywne ramy i napierała na nie, dopóki nie puszczały w szwach, obracając się w ruinę.

David dotknął czoła opuszkami palców. Wyprostował się i opuścił rękę, po czym znów przycisnął ją do czoła, jak gdyby coś mu tam utknęło i chciał to przesunąć w dół, aby wydostało się ustami.

- Nie wiem, co na to powiedzieć - odezwał się w końcu.

- Ta policjantka. Moreno. Prawie o nic nas nie pytała, za to potraktowała Shelby jak zły glina podejrzanego w tanim kryminale. A my siedzieliśmy tam i pozwalaliśmy jej na to.

- Myślisz, że Thalia by ją powstrzymała?

- Tak - odparła Laurel.

Nie miała co do tego wątpliwości. Zresztą kiedyś już tak było. Ojciec zastrzelił Marty'ego, a potem, kiedy przyszło im przełknąć gorycz tego niekończącego się dnia, to Thalia wzięła na siebie wszystkie pytania. Kiedy zastępca szeryfa zaczął przesłuchiwać Laurel, Thalia wyjęła kciuk z ust i wzięła ją w obronę.

- Moja głupkowata siostra miała zamknięte oczy. Ona boi się broni. I chyba wystraszyła się jelenia.

Po czymś takim Laurel nie musiała już zbyt wiele się odzywać.

- Ta policjantka wciąż powtarzała, że mamy jako pierwsi odpowiadać na jej pytania, ale potem ani razu się do nas nie zwróciła - ciągnęła Laurel. - Molly Dufresne nie żyje, a Moreno traktuje naszą córkę jak kryminalistkę. Thalia by to przerwała. Nakłoniłaby ją, aby nam powiedziała, co się dzieje. Thalia...

- Thalia nie jest czarodziejką - przerwał jej David.

Laurel musiała ugryźć się w język, bo już miała zamiar go zapytać, czy jest tego pewien. Jakaś jej cząstka wciąż wierzyła, że Thalia za pomocą kleju naprawiła tamtego zgniecionego ślimaka, że pełzając o własnych siłach rzeczywiście dotarł do ogrodu, by dożyć tam reszty swoich dni, zjadając mech i płodząc inne ślimaki.

- Powiedzą nam, co się dzieje, kiedy sami będą wiedzieć - dodał.

Laurel szczerze w to wątpiła. Gra uruchomiła się od nowa i na monitorze widniał nienaruszony kokpit z wyzerowanymi wskaźnikami. Przed szybą samolotu ciągnął się pas startowy przecinający na pół trawiaste pole.

- Co Molly robiła na naszym podwórku? - zapytała Laurel. - Po północy? Całkiem sama? To do niej niepodobne.

- Nie? - zdziwił się David.

- Oczywiście, że nie - odparła Laurel. - Jaką ją zapamiętałeś?

Zastanawiał się przez chwilę, marszcząc czoło.

- Miała jasne włosy - powiedział. - I nie zachowywała się głośno.

- To nie było odpowiednie pytanie. Nieważne. Molly nie była prowodyrką w towarzystwie. Robiła wszystko to, co Shelby. Nie mówię,

że nie wymknęłaby się, żeby przystroić czyjś dom papierem toaletowym czy nawet spotkać się z chłopakiem, ale nie zrobiłaby tego sama.

Laurel przypomniała sobie, jak duch utopionej dziewczynki wylądował obok basenu i przybrał postać cienia, który rozpułynał się w mroku, a ona wtedy właśnie dostrzegła w wodzie ciało Molly.

- A jeżeli był tu ktoś inny? - zapytała. - Wydaje mi się, że widziałam, jak ktoś porusza się na naszym podwórku, kiedy wyglądałam przez okno.

- Chodziłaś we śnie. - David potrząsnął głową. - Mogłaś widzieć tańczące drzewa, ale nie oznaczałoby to, że nasze sosny ożyły.

- Jednak jest jeszcze coś. Potem, kiedy szliśmy do Simona i Mindy Coe'ów, chyba zauważyłam Stana Webelowa. Stał przed domem Deerboldów.

- Tego obleśnego typka, który mieszka na końcu Queen's Court? Jesteś pewna?

- Nie - odparła Laurel. - Wdziałam tylko kręcone włosy.

- Rex Deerbold też ma takie - stwierdził David po chwili zastanowienia.

- Tamte wyglądały inaczej. Zresztą Trish mówiła chyba, że w tym tygodniu Rex jest w podróży.

- Zaraz. Czemu nie powiedziałaś o tym tej policjantce?

- Nie wiem. - Laurel rozłożyła ręce. - Nie pytała o to, kto stał na ulicy, a ja nie myślałam zbyt przytomnie. A jej zależało tylko na tym, żeby przycisnąć Shelby.

Na monitorze włączył się wygaszacz, rybka pływająca spokojnie w akwariium.

- Musisz to powiedzieć policji - rzekł David.

- Co mam im powiedzieć? Że zauważyłam podejrzone włosy? Że lunatykowałam i widziałam cień, który mógł być moim snem, albo lisem, albo...

Zawiesiła głos, aby nie wymówić tego słowa. Duch. David znał imiona wszystkich chomików, jakie hodowała w dzieciństwie, wszystkich

chłopców, z którymi się całowała, i wszystkich ulubionych nauczycieli. Nigdy jednak nie powiedziała mu, że jej nieżyjący wuj Marty nawiedzał ją nocami.

Nie znała jeszcze Davida zbyt dobrze, kiedy się pobrali, a od tamtej pory Marty przestał się pojawiać. Nie przyszedł ani razu. Oczywiście David słyszał, jak w jej rodzinie wspominało o Martym. Wiedział, że jej ojciec został wychowany przez swego starszego brata, który zginął w wypadku na polowaniu. Ale to było wszystko.

W pewnym okresie na początku ich małżeństwa Laurel zaczęła wierzyć, że rozmowy o Martym mogą uczynić jego postać realną dla Davida, jak również przywołać go z powrotem, a może stworzyć na nowo. Oddalała więc od siebie wszystkie myśli o nim. Spała przytulona do swego męża, z twarzą ukrytą w ciepłym kąciku pomiędzy materacem a jego plecami, aby Marty nie mógł przeniknąć przez wysoki i twardy mur racjonalizmu Davida. David nie wiedział o jego duchu, a ona nie potrafiłaby mu tego wytłumaczyć. Nie zrozumiałaby jej, wszak jego noga nigdy nie postąpiła w DeLop.

Wszystko to było powiązane ze sobą. Nawet jeżeli Marty należał do rodziny ojca, Laurel mogła go widzieć za sprawą genów swej matki.

Laurel miała kuzyna, swojego rówieśnika, który też twierdził, że widzi duchy. Kiedy obydwoje mieli po siedemnaście lat, „zaczął robić się dziwny”, jak to ujęła ciotka Enid, mając na myśli to, że przestał mówić i trzeba go było karmić. Siedział w fotelu bujanym i dni upływały mu na beczynności. Od czasu do czasu wstawał i wirował, zataczając opętańcze kręgi, a potem biegał tam i z powrotem po pokoju, rozbijając wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. Jego ojciec albo brat obezwładniali go, powalając na podłogę, i siedzieli na nim, dopóki nie opadał z sił i można go było usadzić z powrotem w fotelu. Aż wreszcie podpalili szopę wuja Petey-Boya i został aresztowany. Wykryto u niego schizofrenię i zamiast do więzienia trafił do domu wariatów. Wtedy Petey-Boy powiedział: „Mogłem im powiedzieć rok temu, że z niego jest kawał świra, to wciąż bym miał stodołę”.

Laurel wystawiła swą własną diagnozę. Jej kuzyn musiał obcować z duchami, które chciały mu coś pokazać. Patrzył na nie zbyt długo i to wszystko.

Jej cioteczna babka, Moff, wciąż wróżyła Krewniakom z kart, a jej złowieszcze przepowiednie zawsze się sprawdzały. Kiery symbolizowały miłość, karo pieniądze, trefle rodzinę i przyjaciół, a piki śmierć. Moff odkładała zawsze asa pik na bok i mówiła: „Kiedy rozkładałam karty, zawsze odkrywam właśnie tę. Jasny szlag, nie potrzebuję jakiegoś asa, żeby powiedzieć, że wszyscy umrzemy”.

W DeLop śmierć przychodziła raczej wcześniej niż później. Ludzie, którzy przychodzili tam na świat, przeważnie zostawali na miejscu, a wielu z nich umierało młodo i okrutną śmiercią. Brak ubezpieczenia zdrowotnego sprawiał, że jeśli ktoś zapadł na raka, trawiła go choroba. Zbyt wiele narkotyków i zbyt wiele broni też robiło swoje. Reszty dopełniał brak pracy i niespokojni młodzi mężczyźni z nożami upijający się w małych grupkach. Ściany tamtejszych domów, kojarzących się z pułapkami na szczury, przesiąknięte były więc duchami, z których każdy miał coś do obwieszczenia i każdy pragnął się komuś pokazać. Duchy stały się dziedzictwem tego miejsca.

David nigdy nie widział czegoś takiego jak DeLop. Dzieciństwo spędził w zamożnym Cherry Hill w stanie New Jersey i chyba myślał, że Laurel dorastała w biedzie, skoro dom jej rodziców posiadał tylko dwie małe łazienki, a jej matka uważała makaron w sosie i sałatkę za całkiem przyzwoity rodzinny obiad.

Gdyby David rozumiał ludzi, wzięłaby go za rękę, zaprowadziła na górę i pokazała mu cząstkę DeLop, leżącą z otwartymi oczami w małym pokoju gościnnym. Ale ludzie byli jedną z jej specjalności, tak jak do niego należało zarządzanie domowym budżetem. Nie byłby w stanie wyobrazić sobie DeLop, patrząc na Bet Clemmens. A ponieważ nie znał tego miejsca, Laurel nie mogła mu opowiedzieć o swych zmo-rach, nawet jeżeli rozglądała się za Martym od momentu, kiedy duch topielicy pojawił się w ich sypialni.

W głośnikach umieszczonych po obu stronach monitora rozległ się kobiecy głos.

- Dave? Jesteś tam już?

David podjechał na krzesło do klawiatury i znów nacisnął któryś z przycisków.

- Potrzebuję jeszcze paru minut - rzucił w eter.

- No dobra - odpowiedział głos. - To ja idę zaparzyć sobie kubek świeżej kawy. Zawołam cię, jak wrócę.

David obrócił się z powrotem do żony.

- Ktoś mówi w twoim komputerze - stwierdziła Laurel.

- Tak. To Kaitlyn Reese, programistka z Richmond Games.

- Z San Francisco? - upewniła się.

- Tak. W tym tygodniu z nią pracuję. Rozmawiamy przez TeamSpeak - wyjaśnił, a widząc jej zmieszane spojrzenie, dodał: - To taki komunikator internetowy. Gracze używają go do koordynowania ataków.

- Ludzie z San Francisco mówią na ciebie Dave? - spytała Laurel, po czym wzruszyła ramionami i machnęła ręką, jakby chciała odwołać to pytanie. Jeżeli tak go nazywali, nie przywiązywał do tego wagi. - Czy ona nas słyszy?

- Tylko kiedy naciskam klawisz tyldy.

- To takie dziwne. Gdybyśmy żyli w Kalifornii, wysłabym za face-ta imieniem Dave - stwierdziła Laurel. San Francisco kojarzyło się jej z rześką zielenią i klimatem umiarkowanym, gdzie hodowałyby drzewka owocowe w małym ogródku bez basenu. Bolała ją głowa. - Tam teraz musi być trzecia w nocy. Obudziłeś ją?

Dawid świsnął przez zęby, wydając krótkie, pogardliwe westchnienie.

- Nie spała. Jest programistką - oznajmił takim tonem, jakby programiści komputerowi należeli do jakiejś dziwnej odmiany kosmicznych wielbłądów, które potrafią całymi dniami wędrować przez pustynię zer i jedynek, nie potrzebując wody ani snu.

- Kawa gotowa - rozległ się kobiecy głos. - Dave? Jesteś tam? W tym tygodniu musimy przygotować tę grę na prezentację.

- Bierz się do roboty - ponagliła męża Laurel. - Możemy o tym porozmawiać, kiedy skończysz.

Jednak David wciąż siedział przodem do niej.

- Nie ścierpię Thalii w naszym domu - oświadczył. - Nie w tej chwili. Zbyt wiele się dzieje. I tak już zbyt wiele się wydarzyło.

- Wiem, że to zły okres. - Laurel skinęła głową. - To była straszna noc, a w tym tygodniu czeka cię mnóstwo pracy. Ale ja potrzebuję pomocy.

- Ja ci pomogę. - Jego głos brzmiał tak prostodusznie, jakby niepomaganie jej w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Jak? - spytała.

- Nie wiem. Muszę przemyśleć to, co powiedziałaś. Ale przemyślę. A potem pomogę ci, albo zadbam, abys otrzymała pomoc. Zaufaj mi, dobrze?

- Dobrze. - Nawet dla niej samej zabrzmiało to niepewnie.

Przybliżył się do niej, przykładając szorstki policzek do jej policzka, a potem tak obrócił twarz, że nosem dotykał jej szyi. Gdyby poddawał ją testowi węchowemu na prawdomówność, przeszłaby go po myślnie. Potem usiadł prosto, odepchnął się nogami i odjechał na krześle w stronę biurka, a Laurel znowu doznała uczucia, które nawiedziło ją we śnie, kiedy to zapadała się w toń, a on się oddalał. Złapała go za nogę, zanim zdążył się okręcić, a potem spojrzała na swoją dłoń zacisniętą na jego kolanie. Była wyszorowana do czysta.

- Kochanie, musisz odpocząć - odezwał się. - Ja wymyślę, co robić. A teraz się połóż, dobrze?

Na oparciu kanapy leżała narzuta. Były na niej naszyte w trzech rzędach identyczne aplikacje przedstawiające sylwetkę Zuzi Ogródniczki, dziewczynki w staroświeckiej sukni i ogromnym kapeluszu, która podlewa kwiatki w ogródku. Laurel zrobiła tę narzutę razem z matką, kiedy była mała i dopiero uczyła się szyć. Teraz położyła głowę na jednej z poduszek, a David okrył ją kapą. Potem obrócił się w stronę monitora, nałożył słuchawki i wyłączył głośniki, aby nie słyszała

strzałów i świstu przemykających pędem myśliwców ani głosu kobiety z drugiego końca kraju.

Leżąc w milczeniu, słyszała, jak David instruuje tamtą kobietę, aby odbiła w lewo, spróbowała zwiększyć poziom trudności albo przeszła na sterowanie klawiaturą. Laurel miała wrażenie, jakby wszystkie wydarzenia tej nocy były oderwanymi od siebie elementami i miały tak wystrzępione brzegi, że nie była w stanie pozszywać ich w spójną całość. Zасыpiając, znów opadała na dno i znów dobiegały do niej słowa Davida, ale tym razem jego głos tonął wraz z nią. Powiedział, że sobie to przemyśli. Może zdał sobie sprawę, że mimo wszystko Thalia jest im potrzebna. Przez cieką powłokę snu słyszała wszystko.

- Przepraszam, że cię budzę, ale myślę, że powinnaś tu przyjechać - mówił David. - Laurel cię potrzebuje.

W jego głosie pobrzmiwał ton serdecznego zaproszenia, jakiego od lat nie używał, rozmawiając z jej siostrą. A może nawet nigdy. Laurel rozluźniła się i ogarnęła ją głęboka i spokojna ciemność.

Thalia była w drodze.

Rozdział 4

Laurel śniła o domu swoich rodziców, który znajdował się w oddalonym o pół godziny drogi Pace. Stał w samym środku skupiska domów pomiędzy dwiema przecznicami, przy ruchliwej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się murowane gospodarstwa przykucnięte nisko przy ziemi, jakby chowały się przed wiatrem. Padał deszcz, a duch Marty'ego stał obok werandy, czając się w szarych cieniach słotnego poranka.

Marty przywiązał się do zderzaka, a wtedy pojawili się jej rodzice. Wsiedli do samochodu i odjechali, a Marty uniósł się wysoko w podmuchu ciepłego powietrza i znikł na tle identycznych dachów krytych czarnymi łupkami. Na nieróżniących się niczym od siebie niewielkich podwórkach o idealnie kwadratowym kształcie brązowiła się letnia trawa, a Marty unosił się na długim sznurku jak przejrzysty latawiec za buickiem rodziców, który holował go w stronę domu Laurel w Pensacoli.

Gargulce na dachu zauważyły go, jak nadlatywał, a blaszany kogucik zawirował. Samochód zatrzymał się na podjeździe, Marty zaś zaczął wolno opadać i wylądował koło ogrodzenia. Znalazł w drewnianym kołku dziurę po sęku i wniknął do środka, spływając na sam dół, do zakopanej w ziemi podstawy.

Wprowadził się na stałe.

Laurel obudziła się, słysząc nad głową stukot niskich obcasów matki. Po schodach niósł się przyjemny pomruk jej głosu. Nie potrafiła odróżnić słów, ale dom wypełniała już aura dostojności.

Zerwała się gwałtownie i usiadła na łóżku.

- Davidzie, nie zrobiłeś tego! - krzyknęła.

Ale Davida nie było. Z tyłu oparcia skórzanego fotela wisiała przyklejona taśmą izolacyjną kartka, na której napisał: „Musiałem wstąpić do biura po materiały. Wrócę tak szybko, jak tylko się da”.

Obiecał, że jej pomoże, i słyszała, jak rozmawia przez telefon. Zadzwoił do jej matki? W głowie jej się zakręciło, nie mogła wprost w to uwierzyć. Podparła się rękami z obu stron, wciskając dłonie w wytartą sukienną tapicerkę kanapy i próbowała uspokoić urywany oddech. Matka i Thalia były całkowicie różne. Ani odrobiny podobieństwa. Nawet David powinien o tym wiedzieć. Kiedy Laurel patrzyła, jak jej matka i siostra wymieniają oziębłe rytualny pocałunek w Święta Bożego Narodzenia, zawsze wstrzymywała oddech, jak gdyby to zetknięcie materii z antymaterią miało doprowadzić do eksplozji wszechświata.

Wtem Laurel usłyszała głos swego ojca.

- Tak bywa, że woda upomni się o człowieka - mówił.

Oczywiście ojciec też przyjechał. Dokądkolwiek wybrałaby się matka, musiał jej towarzyszyć. Jego głosu nie można było nie rozpoznać. Wyróżniał się w nim charakterystyczny grzmiący ton, mocny i niski. Słowa zdawały się dobywać z samego dna jego wąskiej klatki piersiowej, po czym wędrowały drogą okrężną przez nos, by ulecieć na zewnątrz.

Głos ojca dobiegał z salonu na piętrze, a wtórowała mu matka. Laurel rozpoznała jej ostry ton ukryty pod słodką nutką pobłażliwości, który miał za zadanie powstrzymać Howarda Graya przed bujaniem w obłokach.

- Oto jak powstają opowieści o syrenach i rusałkach, Junie - odezwał się ojciec, kiedy głos matki ucichł. - Żeglarze to wiedzą.

Matka musiała podejść bliżej schodów, gdyż Laurel słyszała wyraźnie jej słowa.

- Wciągnę to na dzisiejszą listę spraw do załatwienia - mówiła. - Zapytać jakiegoś żeglarza, skąd się wzięły syreny...

Głosy jej rodziców oddalały się i zbliżały, wypełniając dom swą osobliwą muzyką. To była uspokajająca kołysanka, którą zapamiętała z dzie-

ciństwa - trąbka ojca rozbrzmiewająca między słodkimi refrenami skrzypiec matki - ale tego ranka Laurel nie chciała dać się ukołysać. Musiała być przytomna. Jeżeli pomoc Davida polegała na zaproszeniu matki, była zdana na samą siebie.

Wstała z kanapy, próbując przygładzić włosy dłońmi. Żałowała, że nie ma na sobie czegoś innego, tylko akurat tę głupią zieloną piżamę w różowe parasolki. Pożyczyła ją od drobniutkiej Mindy Coe, więc powiewające luźno nogawki sięgały jej do połowy łydek. Z rozczarowaniem stwierdziła, że w łazience na parterze nie ma swojej szczoteczki do zębów. Obcisłe czarne spodnie i elegancki błękitny sweter również zostały na górze. Na szczotkę do włosów też nie mogła liczyć. Jej matka zawsze miała nieskazitelną fryzurę, odprasowane ubranie i buty dopasowane do torebki.

Co gorsza, matka zawitała do jej domu, wnosząc bezwiednie coś więcej niż tylko rodzinne wsparcie. Przywiozła ze sobą Marty'ego i pomogła mu przelecieć nad bramą, za którą przez trzynaście lat nie miał wstępu. Duchy, podobnie jak rodzinne utarczki, złe maniere i niechlujne domy innych ludzi, uchodziły jej uwagi. Najzwyczajniej wołała ich nie dostrzegać, chociaż sama pochodziła z DeLop, miasta tak nawiedzonego, że każda pakamera i ziemianka miała swego złego ducha.

Na długo przed tym, jak wuj Marty zaczął przychodzić, nawet kiedy jeszcze żył, matka bezwiednie zapoznała Laurel z jej pierwszym duchem - stopą wuja Poota.

Wuj Poot mieszkał w DeLop ze swoją konkubiną Enid, niepoczytalnym bratem i dwójką wnucząt, które porzuciła jego córka. Wydaliła je ze swego ciała i podrzuciła Pootowi, jak gdyby to było brudne pranie, kiedy Laurel miała sześć lat. Ze względu na owe dzieci jego dom znalazł się na gwiazdkowym szlaku matki.

Poot miał patykowatą sylwetkę i wielki brzuch, a jego śmiech przypominał głos hieny. Zwykle leżał rozwalony na składanym łóżku, które stało na werandzie jego domu. Ustawiał je na pochyłości zapadającej

się podłogi, dzięki czemu nie musiał zbytnio się podnosić, żeby własny brzuch nie zasłaniał mu telewizora. Spod koca wystawał jego kikut okryty cienką poszarzałą skarpetką.

Nie miał stopy, ale Laurel wciąż ją widziała.

Nie wtedy, gdy spoglądała na wprost. Kiedy jednak odwracała wzrok, kątem oka widziała jego stopę o pożółkłych paznokciach starca i grubych zrogowaciałych naroślach. Stopa podrygiwała z boku na bok, jak gdyby w takt polki. Laurel nie mogła jej za to winić, gdyż była to najszczęśliwsza część ciała Poota, która od niego uciekła. Kwaśny zapach Poota i jego łóżka, naciągnięta na kikut brudna skarpetka i stopa kiwająca się wesoło na granicy pola widzenia sprawiły, że przez wiele miesięcy od tej pierwszej wizyty Laurel budziła się z krzykiem.

Od tamtej pory, dopóki nie skończyła dziesięciu lat, w każde święta jej matka, niczego nie zauważając, z uśmiechem kiwała głową i rozdawała prezenty, podczas gdy Laurel i Thalia patrzyły, jak ich wujka zżera choroba.

Rok później, gdy ojciec zajechał przed dom Poota i wyłączył silnik, Laurel nie wysiadła z samochodu. Ojciec bardzo chętnie woził je po całym DeLop, lecz nigdy nie wszedł do tego domu.

- Mogę zostać z tobą, tatusiu? - wyszeptwała Laurel. - Tylko w tym jednym miejscu?

Ale on jej nie słyszał. Jego okrągłe oczy patrzyły w skupieniu na coś niewidzialnego, co unosiło się metr nad dachem samochodu. Thalia nazywała to „odwiedziny duszków ze świata taty”.

Matka, która miała już ręce pełne pakunków, zabębniła łokciem w szybę.

- Laurel, no chodź już - zawołała do niej.

We trójkę przemierzyły wyboiste podwórko Poota, na palcach przeskakując z jednej kupki żwiru na drugą - najpierw matka, potem Thalia, a za nimi, ociągając się, Laurel. Ciotka Enid otworzyła drzwi, zanim matka zdążyła zapukać. Wtedy Laurel zajrzała do środka i zobaczyła, że Poot stracił już większą część nogi wraz z kolanem. Wystawił

na ich widok swój nowy, krótszy kikut, jakby chciał go przewietrzyć. Jego owalne zakończenie obciążone było wysuszoną skórą, która marszczyła się i złuszczała niewielkimi płatkami. Prześwitujące spod skóry zmartwiałe ciało było woskowate i zaczerwienione.

Na końcu kikuta widniała długa zakrzywiona blizna.

- Ja cię kręcę - szepnęła Thalia. - On się do nas uśmiecha.

Rzeczywiście tak było. Laurel nie mogła oderwać wzroku. Po części nie chciała tego robić, gdyż bała się przekonać, czy duch stopy połączył się z duchem łydki. Zastanawiała się, czy się zrosną, czy będą występować jako oddzielne byty. Aby powstrzymać się od zerkania na boki, mogła jedynie przymknąć powieki.

- Wesołych świąt, wujku - powiedziała matka zdecydowanym tonem, patrząc mu prosto w oczy i nie bacząc na to, że kolejny spory kawałek Poota znikł z domu.

Laurel odwróciła się plecami i jej wzrok padł na zdezelowany stół, na którym stała szklana choinka. Była pusta w środku i wychodził z niej kabel elektryczny, więc tandetne lampki zdobiące jej powierzchnię prawdopodobnie kiedyś świeciły. Zielone kolce pokrywała niewzruszona warstwa kurzu, co świadczyło o tym, że od lat nikt nie dotykał choinki. Laurel ukradkiem wysunęła rękę i wyciągnęła z obsadki czerwoną żaróweczkę, którą ukryła w zaciśniętej pięści.

Rok później Poot stracił drugą stopę, a w następnym roku dołączyła do niej reszta nogi. Upłynął jeszcze niecały rok i na świecie nie było już ani Poota, ani zjawy jego stopy, ani nawet połowego łóżka.

- Przykro mi dowiedzieć się o twojej stracie - zwróciła się matka do Enid.

- Tak, mówiłam mu, że ta cukrzyca go wykończy, jeśli nie przestanie pić - odparła ciotka. - Ale on z rąk nie wypuszczał butelki...

- Proszę, przekaz Doodle'owi moje wyrazy współczucia - przerwała jej matka.

Doodle był owym niepoczytalnym bratem. I na tym zakończyła się cała rozmowa.

- Jak myślisz, czy mamie jest smutno, że wuja Poota już nie ma? - spytała Laurel Thalię, kiedy wróciły już do domu.

Laurel właśnie zaplatała siostrze mnóstwo małych warkoczyków. Potem Thalia moczyła włosy pod kranem i szła spać, a rano rozplatała warkoczyki i miała na głowie domową wersję ondulacji za sto dolarów.

- A tobie jest smutno? - zapytała Thalia niedowierzająco.

- Nie - odparła Laurel. - Ale mamie może być.

Poot pozwolił mamie spać na swojej kanapie i żywił ją przez pewien czas po tym, jak jej matka straciła przytomność, trzymając w dłoni papierosa, i zginęła w pożarze.

- Mama nawet nie wie, że on nie żyje - prychnęła Thalia.

- Och, daj spokój. Nie mogłaby składać kondolencji, nie wiedząc, że wujek Poot nie żyje.

- Pewnie, że by mogła.

Thalia strząsnęła dłonie Laurel ze swoich włosów i przemierzywszy pokój, stanęła przed biblioteczką. Przejechała palcami wzdłuż rzędu papierowych grzbietów i wyciągnęła jedną z książek, którą podała siostrze. Było to *Wodnikowe wzgórze*.

- Mama jest Prymulką - oświadczyła Thalia.

Książka była przeraźliwie gruba, ale Laurel musiała się dowiedzieć, o co chodzi Thalii, i gdy zaczęła ją czytać, nie mogła się oderwać. Prymulką okazał się roślony i spasiony królik mieszkający w kolonii takich samych dorodnych królików. Z początku Laurel myślała, że cała ta gromada żyje w dobrobycie, pośród czegoś, czego nie miały inne króliki, uroczystych biesiad, poezji i sztuki. Potem jednak zrobiło się jej żal Prymulki. Uczty i wiersze okazały się zmyłką. Farmer, wykładając jedzenie raz za razem, zastawiał pułapki i na kolację zjadał królika. Prymulką gdzieś w głębi duszy zdawał sobie z tego sprawę, ale uwielbiał swój spokojny żywot. Dlatego świadomie przestał to dostrzegać i postarał się, aby wszystkie inne króliki też o tym nie wiedziały. Kiedy Laurel czytała ten fragment książki, doznała lekkiego szoku, tak wyraźnie jawiło się to skojarzenie. Thalia miała rację - matka była Prymulką.

Od tamtej pory Thalia używała tego określenia, ilekroć widziały, jak twarz matki nabiera pustego wyrazu, a zaciśnięte usta rozciągają się w szerokim uśmiechu, co zmuszało wszystkich do uległości wobec potęgi jej woli i ślepoty.

I to była osoba, którą David wezwał na pomoc. Laurel ukryła twarz w dłoniach. Raz jeden, i tylko raz, matka ujęła się za Laurel, ale zrobiła to skrycie i uciekając się do podstępu. Matka nie miałaby ochoty słuchać, że Molly Dufresne przeniknęła przez ściany, aby nawiedzić sypialnię Laurel. Nie obchodziłoby jej, czy przyjedzie Thalia, żeby zalać tamtą policjantkę potokiem słów, a potem wykręcić i wycisnąć z niej odpowiedzi. Nie chciałyby, aby Laurel rozpytywała wśród sąsiadów, czy mogą potwierdzić obecność zboczeńca, który czaił się na trawniku Deerboldów ostatniej nocy. Laurel nie mogła sobie przypomnieć, by choćby raz w życiu przeciwstawiła się zamiłowaniu matki do obyczajności i zwyciężyła.

Wciąż tęskniąc za szczoteczką do zębów, Laurel wyprostowała ramiona i udała się po schodach na górę.

Shelby i Bet Clemmens siedziały obok siebie na sofie i oglądały jakiś film. Shelby miała wykrzywione usta, a w jej oczach widać było zmęczenie. Kolana podciągnęła pod brodę i obejmując nogi ramionami, kuliła się zamknięta szczelnie przed światem, jak pełne sekretnych pamiątek pudełko po butach leżące w najgłębszym kącie sofy. Ktoś - Laurel dałaby głowę, że to jej matka - zasłonił kotarą przeszklone drzwi, a z brzegu stał jej ojciec i wyglądał przez wąską szparę na podwórze.

- Dzień dobry, słońko - powitał ją, zerkając przez ramię.

Kościsty ojciec Laurel wyglądał tak, jakby w okresie dorastania był wiecznie niedożywiony. Miał ciało, które pragnęło się rozrosnąć, ale brakło mu sił i uległo zanikowi. Jego ramiona pokryte splotami mięśni i ciemnych żył były zbyt długie, a głowa i dłonie wydawały się nieproporcjonalnie duże. Ojciec odwrócił wzrok i znów wyjrzał na zewnątrz.

- Skarbenku - odezwała się matka i natychmiast podeszła, by taktownie cmoknąć Laurel w policzek. - Ale mieliście okropną noc. Chciałabyś kawy? A może jajko? Zaraz przyrządzę lunch, ale mogłabyś zjeść jajko.

- Tylko kawy - odparła Laurel.

- Odejdź stamtąd, Howardzie. - W głosie matki znów pojawiła się słodycz skrywająca cierpki ton. - I już ani słowa o syrenach albo wodzie wzywającej ludzi. To makabryczne.

Matka udała się w stronę kuchni, aby przygotować kawę, jednak ojciec nie ruszył się z miejsca.

- Ta policjantka, Moreno... - zaczęła Laurel, a ojciec przytaknął bezgłośnie. - Czy ona tam jeszcze z nimi jest?

Ojciec potrząsnął głową przecząco, nie odrywając wzroku od podwórka.

Laurel poczuła ulgę. Pomyślała, że być może uda się jej pozbyć matki, zanim Moreno wróci.

Shelby siedziała wciśnięta między Bet Clemmens a podłokietnik sofy. Laurel podeszła i przysiadła na piętach naprzeciw niej.

- Co oglądacie? - spytała.

Bet odchyliła się na bok, nie odrywając wzroku od telewizora.

- W tym momencie nic - odparła Shelby, gdyż Laurel zasłaniała jej widok.

- Tamten chłopak chce tańczyć w balecie, tak myślę. - Bet pokazała palcem na ekran. - Ledwie rozumiem, co mówi.

- To *Billy Elliot* - wyjaśniła Shelby.

Zamówiła go, jak również *Dosięgnąć kosmosu*, na kanale Netflix, specjalnie na wizytę Bet, jakby miało jej to pomóc poczuć się bardziej jak w domu. Shelby wyobrażała sobie, że DeLop jest chyba tak samo obyte z kinem, jak górnicze miasteczka ukazane w obu filmach. Nigdy nie widziała prawdziwego DeLop, a opowieści Laurel były zbyt delikatne, by odsłonić coś więcej.

- Są tak delikatne jak lody z Dairy Queen i taka sama z nich pieprzona podróbka jak one - zadrwiła kiedyś Thalia.

Podsłuchała Laurel, która opowiadała Shelby o tym, jak bardzo jej kuzyni cieszyli się z zabawek. Sama dla rozrywki posunęła się w tej subtelności jeszcze dalej i roztaczając przed Shelby malownicze wizje DeLop, mrugała ironicznie do Laurel.

Thalia zaludniła swe całkowicie fikcyjne miasteczko rozczulając ubogimi sierotami o wielkich oczach, zdjętymi żywcem z kiczowatych malowideł na aksamicie z lat siedemdziesiątych. Opiekowały się one starą dobrą ciocią Enid, która w wersji Thalii miała zarówno wszystkie zęby, jak i życzliwą naturę. Co roku sieroty ustawiały się w kolejce, czekając, aż Enid rozda im prezenty gwiazdkowe. „Och proszę, przekaz Shelby najszczerze podziękowania” - szczebiotały sieroty, zraszając łzami czerwone kokardki, które Shelby skręcała nożyczkami o tępych końcach, pamiętającymi jeszcze czasy przedszkolne.

Laurel nie sądziła, by Shelby teraz porównywała prawdziwą dziewczynę z DeLop, którą gościła w swym domu, z wersją Thalii. Bet nigdy w życiu nie świergotała, ale jej psychika była jak nietknięta doświadczeniem karta, więc Shelby mogłaby łatwo pomylić jej niemy opór z nieśmiałością. Dostrzegła ona w Bet to, na co przygotowały ją opowieści Thalii.

- A temu drugiemu chłopakowi, temu pedziowi, zaraz ktoś skopie tyłek - odezwała się Bet zadowolonym głosem. Pomimo szkockiego akcentu rozumiała swoje.

Laurel, Shelby i matka jednocześnie skierowały na nią wzrok, ale Bet nieświadoma niczego wpatrywała się w ekran.

- Zadzwoni do Sissi - powiedziała matka, niosąc parujący kubek. Laurel wyciągnęła po niego rękę i skinęła potakująco. Matka przyglądała się jej przez chwilę, przekrzywiając głowę na boki, po czym zmarszczyła brwi. - Laurel, jesteś blada jak prześcieradło. David mówił, że podobno nie będziesz się dzisiaj niczym przejmować. No już, zbieraj się z tej podłogi.

Laurel nie ruszyła się z miejsca.

- Jak się czujesz? - zwróciła się do Shelby.

Shelby wzruszyła ramionami, unosząc je najpierw energicznie, a potem opuszczając tylko do połowy, i pozostała skulona.

- Wyglądasz na zmęczoną. O której godzinie zasnęłyście tam w bawialni? - Było to najbardziej niewinne ze wszystkich pytań Moreno, ale Laurel poczuła zdumienie, słysząc je w swoich ustach.

- Nie wiem - odparła Shelby.

Spojrzała na Bet, lecz nie znalazła u niej żadnego wsparcia. Bet obróciła głowę i spojrzała na Laurel, a jej brwi zbiegły się tak, jakby była lekko zakłopotana. Nie sposób było określić, czy zgubiła wątek filmu, czy rozmowy.

- Oglądałyśmy jakąś głupią kreskówkę albo coś takiego. Zasnęłam na mojej pufie - dodała Shelby i znów spojrzała na obojętną Bet Clemmens, a potem jej głos odrobinę przybrał na sile. - Myślę, że zasnęłam pierwsza. Czy mam rację, Bet?

Bet gwałtownie odwróciła wzrok w stronę telewizora, a wyraz zakłopotania znikł z jej twarzy. Skinęła głową z nadmiernym zapałem, a matczyne instynkt Laurel od razu wychwytił sygnał. Shelby w milczeniu prosiła Bet, aby ją popada, a ona się na to zgodziła.

Laurel poczuła skurcz w gardle i zaschło jej w ustach. Wlepiła wzrok w córkę i zdała sobie sprawę, że Shelby nie patrzy jej w oczy, tylko w punkt pomiędzy nimi. Była to stara teatralna sztuczka Thalii, przydatna w odgrywaniu scen miłosnych ze zniechęconym partnerem albo scen wrogości z kimś ukochanym.

Thalia nieraz powtarzała, że również ułatwia to cholernie kłamstwa poza sceną, a Shelby zapewne znalazła się wtedy w pobliżu, pilnie nadstawiając ucha. Owszem, była to skuteczna metoda, ale tylko gdy patrzyło się z drugiego końca pokoju. Z tak bliskiej odległości Laurel dostrzegła lekką niespójność i natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy Moreno na coś wpadła. Molly i Shelby były sobie tak bliskie. Gdyby Molly łączyło coś zdołnego ze Stanem Webelowem, Shelby nie mogłaby pozostać całkowicie niewtajemniczona.

- Chodź i porozmawiaj ze mną. - Laurel wyciągnęła dłoń w stronę córki, a jej głos był tak łagodny, jakby nie czuła przejmującej do szpiku kości zgrozy.

- Babcia mówi, że ja też mam być spokojna.

Shelby zaakcentowała twardo słowo „mam”, tak jak uczyniła to matka, jak gdyby różnica między tym, jaki świat powinien być, a tym, jaki faktycznie jest, była kolosalna.

- Mogłybyśmy razem się położyć - przyмила się Laurel. - Miałaś ciężką noc.

Shelby trwała w bezruchu, ale teraz przynajmniej patrzyła jej prosto w oczy.

- Gdzie ona jest? - zapytała. - Gdzie jest Molly?

Dla Laurel to pytanie było jak cios w brzuch.

- Jest w niebie, kochanie - odparła.

- Nie mam czterech lat i nie jestem głupia - wycedziła Shelby przez zaciśnięte wargi. - Tato mówił, że zabrał ją ambulans, że ją zabrali, to znaczy, właściwie zabrali jej...

Zaczęła się płatać i zamilkła, a Laurel uzmysłowiła sobie, że stara się usilnie, by nie użyć słowa „ciało”.

- Do kostnicy, kotku - powiedziała by Thalia, gdyby uczestniczyła w tej rozmowie. - Gdzieś po drugiej stronie miasta uczeni ludzie kręcą się wokół jej zwłok i szukają śladów, żeby ustalić, co Molly robiła na naszym podwórku. Co takiego knułyście? Miałyście z kimś się spotkać? Czy ona się spotykała ze Stanem Webelovem? A ty?

Thalia podgrzała by ją i otworzyła niczym ostrygę, bo gdyby Shelby pękła, mogłaby wyjawić coś, co pomogłoby Laurel ją ochronić. Shelby coś ukrywała. Nie patrzyła jej prosto w oczy i kłamała, a Laurel nie potrafiła sobie z tym poradzić. Zebrała się w sobie i już była gotowa, aby wyjawić smutną prawdę swej zagniewanej dziewczynce o wilgotnych oczach.

- Do domu pogrzebowego, mój skarbie - wtrąciła się matka, nim Laurel zdołała cokolwiek wykrztusić. Oczywiście matka miała

w zanadrzu piękne kłamstwo, które koiło i odwracało uwagę. - Włoszą jej świeże ubranie i wyszczotkują te piękne włosy. Jest pod dobrą opieką.

Shelby pokiwała głową i opuściła wzrok.

- Zasłaniasz mi ekran - zwróciła się do Laurel.

Laurel opadła niżej i siedząc płasko na podłodze, czekała cierpliwie. Nie mogła tego zrobić w obecności matki. Matka wracała do kuchni, a kiedy mijała ojca, przejechała dłonią po jego ramieniu.

- Wciąż są takie miejsca na świecie, gdzie wołanie jest tak silne, że żeglarze muszą przywiązywać się do masztów - odezwał się ojciec, jak gdyby dotknięcie matki go obudziło. - A mnie nikt nie przyniósł kawy.

- Och, biedaczysko - westchnęła matka ze zniecierpliwieniem. - Jakby nogi mu odjęło i ręce też jakieś lewe. Odejdź stamtąd i sam sobie weź.

Nawet kiedy byli już grubo po pięćdziesiątce, Laurel była pewna, że ludzie wciąż się zastanawiają, jak jej ojciec, z tymi swoimi odstającymi uszami i żabimi oczami, potrafił zdobyć taką piękność jak matka. Matka miała kształtny nos i śliczną skórę, a w młodości jej włosy były koloru kukurydzy. Tylko jej zęby, krzywe i wciąż lekko odbarwione mimo stosowania pasty wybielającej, świadczyły o tym, że wychowała się w DeLop.

Ale kobiety lubiły słuchać, jak ojciec mówił swoim donośnym głosem. Pobrzmiwała w nim delikatna nutka dystansu, jak gdyby żadna kobieta nie potrafiła zaskarbić sobie w pełni jego uwagi. Poza tym jego i matkę łączył fakt, że obydwójce byli sierotami. Kiedy miał szesnaście lat, przyjechał do DeLop z grupą młodzieżową Kościoła Chrystusowego. Zorganizowali przyjęcie w opuszczonym kościele baptystów, rozdając konserwy i używane buty wszystkim miejscowym dzieciom, które przyszły.

Znając ponury i konserwatywny Kościół Chrystusowy, który jej rodzice popierali po dziś dzień, Laurel mogła sobie wyobrazić, jak dzie-

ciaki z DeLop siedzą w rzędach, przyciskając do piersi papierowe torby z darami. Wyobrażała sobie, jak opiekun czyta rozdział piąty Ewangelii świętego Marka, a na stole obok kilku smutnych zielonych chorągiewek stoi waza do ponczu wypełniona po brzegi nektarem owocowym. Nie ma żadnej muzyki i z pewnością nikt nie tańczy.

Pomimo to między nimi rozbłysła oślepiająca iskra, która jak nieoczekiwany gość skąpała w blasku dziwną postać ojca Laurel i przywołała uśmiech gejszy na usta jej matki, tak że musiała zakryć dłonią swe krzywe zęby. Zauroczony ojciec wciąż przyjeżdżał do DeLop, żeby się z nią zobaczyć, a kiedy nadeszła wiosna, razem uciekli. Czterdzieści lat później trwali nadal niewzruszenie i oto siedzieli w salonie Laurel.

- Shelby! - zawołała matka. - Dlaczego nie zatrzymacie filmu, żeby pójść się umyć i przebrać? Poczujecie się lepiej, kiedy umyjecie sobie włosy. Właśnie zaczynam przyrządzać lunch. Laurel, ty też powinnaś się ubrać.

Pilot leżał na podłokietniku sofy, a gdy tylko Shelby wzięła go i zatrzymała odtwarzacz, Bet wstała i ruszyła w stronę schodów, jakby była marionetką. Shelby okrążyła szybkim krokiem Laurel i wybiegła za nią.

Laurel również wstała. Matka ułatwiła jej zadanie. Będąc na górze, mogła posłać Bet pod prysznic i zostać z Shelby sam na sam. Zanim jednak zdążyła postawić nogę na pierwszym stopniu schodów, usłyszała za sobą głos matki.

- Zaczekaj, Laurel. Mogłabyś mi pomóc poszukać kilku rzeczy? Doprawdy, nigdy nie będę umiała znaleźć się w twojej kuchni. Co ta zupa robi między puszkami z fasolą?

Laurel zniecierpliwiona zawróciła do kuchni. Matka położyła dłoń na jej ramieniu i uśmiechnęła się, wykrzywiając zaciśnięte wargi, a potem spojrzała w stronę schodów, aby upewnić się, czy dziewczynki już sobie poszły.

- Powinnaś się postarać, aby dzisiejszy dzień był możliwie jak najbardziej normalny - oświadczyła. - Nie idź tam i nie męcz już Shelby.

Laurel poczuła się, jakby matka czytała w jej myślach.

- To nie jest normalny dzień - odparła.

- Chciałam tylko powiedzieć, że to nie jest najlepsza pora na zadawanie dociekliwych pytań. - Matka uniosła brwi. - Niech Shelby robi to, co zwykle.

- To, co zwykle - powtórzyła Laurel.

Zwyczajy był ostatni tydzień. Shelby i Molly wracały z prób, wpadając w podskokach do domu, ubrane w obcisłe trykoty i buty do stepowania. Codziennie ze stukotem przebiegały kuchnię, a David szedł za nimi. Kiedyś po powrocie Shelby przypadła do Laurel i objęła ją ramionami.

- Tańczyłam w duecie z Jimmym Brassem - zapisała.

Molly uśmiechała się, stojąc obok Davida. Ze swą twarzą czirliderki i kształtną drobną figurą była taka ładna. Shelby wciąż miała wystające kolana i łokcie, a jej uszy rosły szybciej niż cała reszta ciała. Kiedy jednak obie szły gdzieś razem, ludzie zwykle zwracali uwagę na Shelby. Była tak pełna blasku, że mogła olśniewać ludzi.

Laurel rozpuściła spięte w kok włosy córki, wyciągając z nich spiniki jedną po drugiej.

- To wspaniale - powiedziała. - Jak się miewasz, Molly?

- W porządku - odparła z uśmiechem, opuszczając wzrok. - To nie jest nic wielkiego. Nie żebym...

- Owszem, jest - przerwała jej Shelby. - Molly dostała rolę w premierowym występie!

- No to będziecie gwiazdami wieczoru.

Laurel uwolniła ostatnie pasmo włosów Shelby i złożyła na nim pocałunek. Dziewczynka była spocona od tańca i Laurel poczuła zapach cytrusa i woń, jaka unosi się w wiosennym powietrzu tuż przed deszczem. Woń rychłego rozkwitu.

- Bez przesady. - Shelby odrzuciła na bok kosmyk włosów. - To tylko jesienny recital. Ten na wiosnę, to będzie dopiero coś.

David stał przy drzwiach, przysłuchując się bacznie rozmowie, a spojrzenie jego ciemnych oczu przesuwano się między nimi tam i z po-

wrotem. Shelby miała takie same oczy, jasnobrazowe niczym greckie oliwki.

- Muszę się nauczyć nowej figury i byłoby dobrze, gdybym już więcej nie urosła - oświadczyła Shelby z poważną miną. - Mówię serio, mamó. Powinnam zacząć pić kawę.

- Nawet nie lubisz tego zapachu - odparła Laurel. - Nie piłam kawy aż do studiów, a urosłam jedynie do metra sześćdziesiąt pięć.

- Metr sześćdziesiąt pięć to praktycznie wielkolud. - Shelby obróciła się na pięcie i ze stukotem wyszła do kuchni, a Molly podażyła za nią. - Musimy iść do Starbucksa - rzuciła przez ramię.

David wprowadził je wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie. - Uśmiechnął się. - Próbowałem kłaść jej książkę na głowie, odkąd skończyła cztery lata.

To było normalne. Zwyczajne i prawdziwe. Laurel nie wyobrażała sobie, jak mogłaby to przywrócić. Podeszła bliżej do matki, zerkając przez ramię na ojca, który snuł się po kuchni i nucił sobie coś pod nosem.

- Muszę wiedzieć, co się stało, mamó - zniżyła głos Laurel.

Spojrzała matce prosto w oczy, pragnąc ją zmusić siłą woli, by sobie przypomnieć, by przyznała jej rację. Dawno temu Laurel przekonała się ponad wszelką wątpliwość, że jej matka skrywa gdzieś w głębi takie pokłady miłości, która jest silniejsza od tego skrupulatnego zaślepienia, silniejsza od milczenia. W tym dniu, który liczył się najbardziej, matka zdecydowała się coś dostrzec i przemówić, choćby tylko szeptem.

- Muszę wiedzieć, by móc ją chronić - dodała Laurel. - Tak jak ty ochroniłaś mnie.

Matka opuściła na moment powieki, a kąci jej ust wygięły się ku górze. Kiedy znów na nią spojrzała, jej twarz miała wyraz Prymulki.

- Laurel, nigdy w tobie nie grzebałam, jakbyś była martwym robakiem w szkolnej pracowni biologicznej.

- Nie o to mi chodziło - odparła Laurel. - Shelby jest...

- Więc ją przyciśnij - przerwała jej matka. Mówiła cierpkim tonem, lecz nie było w nim pobłażania, z jakim zwracała się do ojca. - Wypytuj i zadreńczaj. Ale ja nigdy nie widziałam takiej autopsji, która wyszłaby robaczkowi na dobre.

Laurel słyszała nikle echo DeLop w akcencie matki. Przeważnie mówiła jak kalifornijski aktor starający się naśladować południową intonację. Wypowiadała słowa z przydechem, nieznacznie wydłużając samogłoski i starannie budując zdania. Prenumerowała „Reader's Digest”, jeszcze nim Laurel przyszła na świat, i Bóg wie, ile jeszcze płaciła, by wzbogacić swój zasób słownictwa. Kiedy jednak znalazła się pod jednym dachem z Bet Clemmens, w jej wyważonym sposobie mówienia zaczynały dochodzić do głosu stare nawyki.

- Jak możesz ode mnie oczekiwać, że potraktuję dzisiejszy dzień jako normalny, kiedy na moim podwórku roi się od policji, a w każdej chwili może wrócić tamta kobieta i zacząć od nowa przepytywać Shelby - odezwała się Laurel donośnym szeptem. - Byłoby lepiej, gdybym...

Matka uniosła palec i pokiwała nim z boku na bok, aby ją uciszyć.

- Och, skarbie, nie! - wykrzyknęła. - Bardzo cię przepraszam. Pytałaś tatę o tę policjantkę, więc pomyślałam, że David ci powiedział przed wyjściem. A ty się zamartwiałaś przez cały czas i na próżno. Oni wszyscy już sobie poszli.

- Kto sobie poszedł? - zapytała Laurel.

- Policja. Patolog stwierdził, że śmierć nastąpiła wskutek wypadku. Nie ma ich tu już od godziny.

- Wskutek wypadku? - Laurel nie mogła się powstrzymać od powtórzenia słów matki. Spojrzała na swoje dłonie i potrząsnęła głową.

- Nie. Ja jej dotykałam. Ona krwawiła.

- Oni twierdzą, że Molly stała na trampolinie. Prawdopodobnie się wygłupiała. Nikt tego nie wie. Upadła i rozbiła sobie głowę o brzeg deski. Znaleźli to miejsce. Uderzyła się i straciła przytomność. Jest to tragedia tak czy inaczej, ale im szybciej wszystko wróci do normalności, tym lepiej dla Shelby.

Laurel odwróciła się i podeszła tak szybko, jak tylko potrafiła, do miejsca, gdzie stał ojciec, który wciąż zerkał przez szparę między zasłonami, jak gdyby miał na co patrzeć. Odsunęła na bok ciężkie sukno. Podwórze było puste. Taśma znikła, a reflektory zabrano. Padał lekki kapuśniaczek, marszcząc powierzchnię wody w basenie. Było tak, jak gdyby nic się nie stało.

A jednak podwórko nie wyglądało jak należy. I nie chodziło tylko o pochmurne niebo i deszcz przytłumiający kolory. W obrębie ogrodzenia panował głębszy mrok. Szczyty drzew rosnących na sąsiednich podwórzach i dach wieżyczki wieńczącej dom Mindy Coe wyglądały normalnie i znajdowały się idealnie na swoim miejscu. Za to drzewa w ogrodzie Laurel, basen i meble na tarasie sprawiały wrażenie, jakby zostały przesunięte o ćwierć centymetra w lewo. Wszystko było takie samo, a jednak odrobinę inne. Po plecach Laurel przebiegł dreszcz i odruchowo wsunęła dłoń między dłonie ojca.

Jako mała dziewczynka często stała z nim właśnie tak na werandzie i patrzyła, jak świtliki latają nad ogrodem. Przyglądała się im w pedowoszarzym zmierzchu. Były brzydkie i ruchliwe, ale jarzyły się pomarańczowym światłem. Kiedy niebo stawało się ciemniejsze, owady zlewały się z aksamitną czernią nocy i widziało się tylko ich rozżarzone odwłoki.

- To wróżki - powiedział kiedyś ojciec dziewczynkom.

Thalia wlepiła wzrok w jego twarz, jakby była ona o wiele ciekawsza od tysięcy wrózek, Laurel zaś wpatrywała się uporczywie w świtliki, aż ujrzała wygięty kształt smukłej jak niteczka dziewczyny, która lśniła blaskiem wszystkich światła.

- Skończ z tymi bzdurami, Howardzie, zanim brzęczenie tego robaactwa doprowadzi mnie do szału. - Zza siatkowej osłony na drzwi dobiegł głos matki. - Chodźcie do domu i wypijcie kakao, zanim komary zjedzą was żywcem.

- Za chwilę, Junie - zawołał ojciec, po czym zwrócił się do dziewczynki: - Widzicie je?

- Nie - odparła Laurel i weszła do domu.

- A ja je widzę, tatusiu - skłamała Thalia, nie odrywając nawet wzroku od twarzy ojca, która rozbłysła uśmiechem niczym wschodzące słońce.

Teraz, stojąc w milczeniu obok ojca, który trzymał ją za rękę, i patrząc na pofalowaną od deszczu taflę wody w basenie, Laurel miała ochotę szepnąć, że wtedy je widziała, że widziała wróżki tamtego wieczoru. Miała też ochotę zapytać ojca, co widzi, zerkając na podwórze.

Jej podwórko również spoglądało na nich oczyma duchów. Duchów Molly albo Marty'ego, nie miała pojęcia czyich, więc wolała nie pytać. Nigdy nie rozmawiała z ojcem o Martym. Jak zresztą nikt z rodziny. Unikała tego do tego stopnia, że nawet nie wymawiała jego imienia w obecności ojca. Marty go wychował. Ojciec bardzo go kochał i to on trzymał broń.

- Chodźmy stąd. - Chwyliła go za rękę.

Nie miała ochoty już patrzeć. Być może matka miała rację. Powinna zaciągnąć zasłony i odczekać trochę czasu, aż jej podwórze wróci do normalnego stanu. A powinno.

Skoro Moreno sobie poszła, to Laurel nie miała już potrzeby wpuszczać Thalii do swego spokojnego świata. Owa bystrooka policjantka i jej śledczy z pewnością nie przeoczyli najmniejszego śladu pomimo deszczu. Molly przyszła do sypialni Laurel, zaprowadziła ją do okna i spłynęła na dół, aby zaprezentować swoje ciało, jakby była Vanną White* i chciała jej pokazać główną wygraną. Ale być może chciała tylko, aby zostało odnalezione.

Marty szybujący na linie jak latawiec był tylko snem, jej reakcją na ponowne spotkanie z duchem po upływie tak wielu lat. Rozglądała się za nim, więc pojawił się w jej śnie. Jej podwórko wyglądało podejrzanie, jednak to chyba dlatego, że statywy, na których umieszczono reflektory, zapadały się w ziemi i zniszczyły trawnik. Laurel czuła, że matka oddziałuje na nią usypiająco, i poddawała się temu. Cofnęła się o krok, próbując pociągnąć ojca za sobą, ale on stał twardo w miejscu.

* Vanna White, znana amerykańska prezenterka prowadząca quizy telewizyjne.

- Co to jest? - pokazał na podwórze.

Laurel wypuściła powietrze, wydając z lekka chrapliwy odgłos, po-
dejrzenie podobny do śmiechu. Jej ojciec, wskazując na coś, posługi-
wał się środkowym palcem. Gdy Thalia chodziła do liceum, miała zwy-
czaj prowokować go do tego. Kiedy była o coś zła na matkę, wynajdywała
jakiś obiekt położony w jej pobliżu i pytała ojca, gdzie to coś jest. Po-
tem, spoglądając na Laurel porozumiewawczo, poruszała brwiami,
podczas gdy ojciec prezentował matce obraźliwy gest.

Musiało to być uwarunkowane genetycznie, bo Shelby w niemow-
łectwie wskazywała rzeczy w taki sam sposób. Gaworząc, pokazywała
ptaszki, pieski i samochody na obrazkach, kiedy Laurel czytała jej ksią-
żeczkę. Laurel brała ją za rączkę i delikatnie zginała nieprzyzwoity pa-
luszek, po czym rozprostowywała właściwy, wyłuskując go z mocno za-
ciśniętej piąstki. Teraz poczuła ochotę, aby to samo zrobić z dłonią
ojca, który pokazywał jej coś na podwórzu.

Podeszła do nich matka. Laurel czuła jej obecność.

- Co cię bawi? - spytała.

- Nic takiego - odparła Laurel. - Rzeczywiście sobie poszli. Prze-
praszam. Pójdę się przebrać.

- Ale co się stało? - nalegał ojciec.

Trzymał środkowy palec wycelowany w ogrodzenie, które oddzie-
lało ich podwórze od posesji Coe'ów. Laurel spojrzała w tamtym kie-
runku i zauważyła ciemny punkt, który szpecił drewniany słupek. Głę-
boki szerniały otwór wyglądał tak naturalnie, jakby znajdował się tam
od lat. Ale tak nie było.

- Naprawdę nic - zapewniła go, choć sama w to nie wierzyła. Jej
głos zdrzął. - To tylko dziura po sęku.

Ojciec wciąż pokazywał palcem w tamtą stronę, lecz nie było to już
zabawne. Matka zaciągnęła zasłony, jak gdyby tkanina mogła powstrzy-
mać Marty'ego.

- To zwykły dzień - oznajmiła, a na jej twarzy pojawił się uśmiech
Prymulki.

Rozdział 5

Laurel miała jedenaście lat, gdy po raz pierwszy pozwolono jej pójść na polowanie. Był to zarazem jej ostatni raz. Wtedy też po raz ostatni polował wuj Marty.

Laurel i Thalia, szurając nogami, szły w ślad za ojcem po gruntowej drodze. Na Florydzie ziemia miała szarobrazowy kolor, za to w Alabamie była czarna i gęsta jak torf, więc na nowiutkich trampkach Laurel pojawiły się brudne plamy. Thalia była już doświadczona i wiedziała, że trzeba włożyć stare buty. Marty szedł całkiem z przodu i obaj mężczyźni nieśli sztucery lufami skierowane ku niebu. Laurel wymachiwała małą torbką pełną kanapek i owoców. Thalia dźwigała torbę izotermiczną z napojami.

Sosny sprawiały, że rosnący wokół las połyskiwał zielenią, chociaż liście na drzewach nabrały już złotej, pomarańczowej i rdzawej barwy. Powietrze wypełniał śpiew ptaków. Zbliżał się świt i lekka mgła osiadała, zamieniając się w rosę. Thalia trzymała w wolnej ręce niewidzialnego papierosa i zaciągała się nim, a potem wypuszczała z ust białą chmurkę pary, która rozpływała się w chłodnym powietrzu. Laurel miała wrażenie, że jej ubranie robi się ciężkie od wilgoci, i czuła wilgotną woń gnijących na ziemi liści oraz igliwia.

Przed wyjściem z szałasów Laurel oznajmiła ojcu, że nie chce patrzeć, jak jeleni będzie upadał, chociaż rok wcześniej Thalia upolowała swego pierwszego jelenia ze sztucera taty. Polowania były wspólnym zajęciem ojca, Marty'ego i Thalii, a cała trójka oddawała się swoim dziwacznym obrzędom, podśpiewując pod nosem wymyślone napręd-

ce piosenki. Tymczasem Laurel zostawała w domu i pomagała matce kroić marchew na potrawkę albo składała ręczniki, żeby miały równe kanty. Na tę wyprawę Laurel ułożyła sobie własną sekretną piosenkę, którą na okrągło powtarzała w myślach: „Tyle chodzenia, a nie ma jelenia. Tyle chodzenia, a nie ma jelenia”.

Nie minęło jednak dziesięć minut, kiedy wprost przed nimi wyszedł na drogę młody kozioł. Stawiał drobne wytworne kroczi, a nos trzymał uniesiony wysoko, wężąc w poszukiwaniu bezbarwnej woni metalu. Oni jednak stali na zawietrznej. Jelonek obrócił się bokiem do nich, a jego brązowy tułów stanowił tak szeroki i bliski cel, że zdawać by się mogło, jakby sam go im oferował.

Wuj Marty wyciągnął rękę do tyłu, nakazując im milczenie.

- Jest twój - szepnął, cofając się o krok.

Ojciec zaczął opuszczać lufę swego sztucera.

- Zamknij oczy, skarbie - szepnął do Laurel.

Laurel nic nie widziała, kiedy niosący się echem huk wystrzału wstrząsnął jej ciałem, które rozdygotało się, jakby chciało odpaść od kości. Potem usłyszała szelest liści pod kopytkami uciekającego jelenia i głos ojca:

- Bierz go.

Marty rzucił coś w odpowiedzi, ale nie dosłyszała co, a potem zagrzmiął drugi strzał. Nie otworzyła oczu, nawet gdy rozległ się krótki zduszony krzyk Thalii.

Kiedy wreszcie uniosła powieki, jelenia nie było, Marty leżał na drodze twarzą do ziemi, a na jego podniszczonej kurtce widniał niewielki otwór. Thalia patrzyła na to wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, jej ręce zwisały bezwładnie, torba z napojami leżała u jej stóp. Ojciec upuścił sztucer, podbiegł do leżącego brata i obrócił go na plecy. U dołu klatki piersiowej Marty'ego Laurel dostrzegła taki sam otwór jak na plecach, tylko z niego sączyła się krew. Usłyszała własny głos, dobiegający jakby z oddali.

- Przeszła na wylot - zwróciła się do Thalii.

- Tato mówił, że takie pociski nie uszkadzają zwierzyny - odparła Thalia i uniosła powoli rękę, jak gdyby była bardzo ciężka, po czym wcisnęła sobie kciuk do ust.

- Thalia? - głos Laurel miał cichy, ale rozpaczliwy ton.

Thalia nie odpowiadała. Jej oczy były skierowane na siostrę, lecz zdawała się jej nie widzieć. Thalii nie było tam z nimi. Thalia była całkowicie nieobecna i to przeraziło Laurel bardziej niż cokolwiek innego.

W powietrzu unosił się zapach spalonego smaru i siarki, jaki pozostawiły po sobie strzały. Ojciec przyciskał twarz do twarzy brata i raz za razem wykrzykiwał jego imię, a oczy Marty'ego były otwarte i zupełnie puste.

Potem, w szafasie, dziewczynki siedziały opatulone kocami, chociaż Laurel nie było wcale zimno. Tymi kocami okrył je najsympatyczniejszy z policjantów, jakby zostały uratowane z katastrofy statku. Koc Thalii był bładoniebieski, a kiedy naciągnęła go sobie na głowę, wyglądała jak postać z czasów biblijnych. Wracała powoli do życia, choć wciąż tak wytrzeszczała oczy, że widać było w całości białka otaczające jej źrenice. Jej twarz była zeszywniała, tak samo jak twarz Laurel, która zastanawiała się, czy Thalia celowo próbuje się do niej upodobnić. Nigdy jednak nie słyszała, aby jej siostra mówiła tak chrapliwym głosem.

Ojciec powiedział ludziom od szeryfa, że to był wypadek. Potknął się, a wtedy jego broń wypaliła. Thalia to potwierdziła, kiedy przyszła kolej na ich zeznania.

- Tato strzelił do jelenia, a on uciekł - powiedziała. - Wujek Marty pobiegł za nim, a tato za wujkiem. Potem tato się przewrócił. Usłyszałam, jak znowu strzeliło, i zobaczyłam, że wujek Marty leży na ziemi.

Laurel przyglądała się swej siostrze. Widziała, jak Thalia potrafi grać. Była urodzoną aktorką. Nigdy jednak się nie zdarzyło, by Thalia kłamała tak kiepsko. Pomyślała, że tak by właśnie mogło to wyglądać, gdyby Thalia próbowała skłamać i nie była w tym dobra. Jej gardło faloowało, kiedy z trudem przełykała ślinę.

- A gdzie ty byłaś? - policjant zwrócił się do Laurel.

- Moja głupkowata siostra miała zamknięte oczy - oświadczyła Thalia.

Odezwwała się, zanim Laurel zdołała w ogóle otworzyć usta. Wypowiedziane ostrym tonem słowa bardziej już przypominały sposób mówienia Thalii, lecz potem jej głos stał się słodki i mdły, jak mleczny budyń.

- Laurel, chodź na lunch.

Laurel podskoczyła.

- Słyszysz mnie? - Jej matka taktownie pukała do drzwi.

Laurel siedziała w swej pracowni, nad rozłożoną na stole narzutą, nad którą ostatnio pracowała. To miał być normalny dzień.

Jej pracownia mieściła się w położonym za kuchnią dużym pokoju o kremowych ścianach z akcentami w kolorze ciepłego brązu i karmelu. Nic nie rzucało się w oczy. Biurowe krzesło obite czekoladową skórzaną tapicerką stało przed Sylwią, maszyną do szycia marki Bernina. Przystawiała ją rzadko, kiedy miała ochotę skorzystać ze swego starego ukochanego singera. Obok stołu, na którym Laurel robiła wszystkie wykroje i zdobienia, znajdowało się regulowane krzesło z podniesionym wyżej siedziskiem. W bocznej ścianie wbudowane były przeszklone szafki, gdzie przechowywała cały swój zapas tkanin. Laurel zazwyczaj wypełniała ów cichy pokój swą obecnością i twórczym zapałem, jednak w tym dniu czuła się tak obojętna, jak otaczające ją blade ściany, jałowe i zepchnięte na drugi plan przez wszystko, co miało jakiś kolor.

- Czy Shelby zeszła na dół? - zawołała przez drzwi.

- Pozwoliłam dziewczynkom zabrać talerze do bawialni - odparła matka. - Chciały dokończyć oglądanie filmu.

- Zaczynjcie z tatą beze mnie.

- Laurel - matka z wyrzutem wypowiedziała jej imię, przeciągając samogłoski.

- Zwykle opuszczam lunch, kiedy pracuję - niemal krzyknęła Laurel w odpowiedzi. - To normalne.

Czuła, jak obecność matki przenika przez drewniane drzwi. Odczekała chwilę, aż w końcu stukot jej obcasów oddalił się, wypełniając dom dziwnym echem.

Laurel wzięła prysznic, jak kazała jej matka, potem włożyła dzinsy i wełniany sweter, a mokre włosy spięła z tyłu w kucyk. Matka powiedziała jej, by zadzwoniła do Sissi Clemmens, wykorzystując czas, zanim Bet i Shelby skończą się ubierać. Usiadła więc przy telefonie wiszącym nad kuchennym narożnikiem i wybrała numer. Sissi nie odbierała jednak telefonu i nie miała poczty głosowej. Matka kazała spróbować jej później - więc postanowiła spróbować później. Matka kazała jej robić to co zwykle - a ona posłusznie usiadła w pracowni i zaczęła dekorować postać panny młodej umieszczoną na samym środku swojej najnowszej narzuty.

Panna młoda miała oczy w kształcie lśniących półksiężyców, a jej policzki unosiły się w uśmiechu, choć nie miała jeszcze ust. Laurel wyszywała płatki róży z cienkiej satynowej wstążeczki. Zamierzała uformować z nich usta, które miały przypominać szeroko wyszczerzony trójwymiarowy bukiet. Wielki dzwon ślubnej sukni unosił się, odsłaniając przystrojone stokrotkami trzewiczki. Stopy panny młodej były ogromne, a jej głowa bardzo mała, jak gdyby patrzyło się na nią od dołu.

Laurel przykleiła owalne perełki, które miały imitować płatki stokrotek, a kiedy zaschły, przymocowała je srebrnym drucikiem. Trzewiki miały staromodny fason i były zapinane po bokach na guziczki. Jeden z bucików, ten bardziej wysunięty do przodu, dało się rozpiąć. Jego wnętrze Laurel wypełniła ciemnoniebieskim pluszem, a na nim wyszyła oko, które spełniało rolę jej podpisu. Oko spoglądało na wprost, połyskując dziwnym paciorkiem, który wydawał się zbyt szpiczasty i wygładzony jak na perłę. Był to ludzki ząb, siekacz.

Gdy przed rokiem po raz pierwszy rozmyślała nad projektem tej narzuty, wpadła na pomysł, że mogłaby wykorzystać jeden z mlecznych zębów Shelby. Przechowywała je wszystkie w sypialni, pod po-

dwójnym dnem szkatułki z biżuterią. Ten skrawek przestrzeni był przeznaczony dla relikwii i wspomnień będących w jej wyobrażeniu punktem wyjścia narzut, których nigdy nie uszyła - bursztynowego oka lalki, odłamków bombki choinkowej czy przywieszki od starej bransoletki w kształcie myszki.

Ostatecznie jednak nie potrafiła się zdecydować, aby przeznaczyć choćby jeden z mleczaków do przyozdobienia narzuty, którą zamierzała wystawić i sprzedać. Te zakłete w drobniotkach ząbkach wspomnienia sześćioletniej Shelby, odsłaniającej różowe dziąsła w szczerbatym uśmiechu, były dla niej zbyt cenne.

Laurel odłożyła więc na bok narzutę z panną młodą i zajęła się innymi, dopóki podczas wyprzedaży nie natknęła się na zęby ukryte w szufladzie starego sekretarzyka. Prawdopodobnie nie były celowo wystawione na sprzedaż, więc aby je mieć, musiała kupić najbrzydszy mebel, na jakim kiedykolwiek spoczął jej wzrok.

Elementy narzuty z panną młodą były już pozszywane ze sobą, a oglądane od przodu zdawały się tworzyć przypadkowy deseń, jednak zawierały obrazy, litery i znaki w kształcie oka, prezentujące się idealnie na ręcznie farbowanej bawełnie, którą Laurel wykorzystała jako tło. Całość obramowała pożółkłą satyną wyciętą ze starej, zmurszałej sukni ślubnej, którą znalazła na innej wyprzedaży.

Chciała wystawić swoje dzieło na Pacific International Quilt Festival, który rozpoczynał się już pod koniec miesiąca. W poprzednim roku zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie Innovative Quilts, a w tym przymierzała się do Best in Show. Teraz jednak wydało się jej to głupie. Panna młoda bez ust, szykująca się do dziarskiego marszu, jakby lada chwila miała w swoich wysokich, zapinanych na guziki trzewiczkach wkroczyć w jakąś wspaniałą przygodę. Laurel nie mogła sobie przypomnieć, co sprawiło, że poczuła szczególne przywiązanie do tego właśnie elementu.

Jednym ze ślubnych zdjęć Laurel była polaroidowa odbitka wykonana przez urzędnika magistratu. Na zdjęciu tym David stał z zaciśniętymi

szczękami i zmarszczonymi brwiami, jakby zamierzał gołymi rękami objąć Mount Everest i wdrapać się na niego. Kiedy miał pięć lat, jego ojciec opuścił rodzinę i na tym ślubnym zdjęciu widać było wyraźnie, że David już postanowił nigdy nie być taki jak on. Laurel wyglądała na rozdygotaną i miała podpuchnięte oczy, a Shelby nieznacznie wydymała jej najlepszą błękitną sukienkę.

Ruchliwe palce Laurel formowały czerwone płatki róż, jeden po drugim, wykonując normalne zadanie typowe dla normalnego dnia, jaki zgodnie z nakazem matki miał nastąpić. Laurel chciała uwierzyć, że jest już po wszystkim, lecz nie mogła złapać oddechu. Śledztwo mogło się skończyć, ale nie wydawało się dokończone.

Powinna była czuć ulgę, że policjantka już nie wróci, aby dręczyć Shelby. Zamiast tego czuła osobliwe i przemożne pragnienie, aby znów zadzwonić na policję. Aby skłamać. Aby powiedzieć, że na pewno widziała Stana Webelowa, a nie tylko włosy, które przypuszczalnie mogły należeć do niego. Mogliby odkryć, że ów ruchomy cień, który dostrzegła obok basenu, był duchem, snem, albo, co gorsza, czymś prawdziwym. Mogliby się przekonać, że Shelby skrywała po prostu tylko jakiś głupi dziewczęcy plan, który się nie powiódł. Wtedy Laurel wiedziałaby, że jej córka jest bezpieczna.

Shelby sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie i przepojonej poczuciem winy. Szukała schronienia w pobliżu Bet Clemmens i prosiła ją o wsparcie, a Laurel doskonale wiedziała, że jej córka kłamie. Gdyby Shelby planowała spotkać się z Molly, czy nawet ze Stanem, gdyby zawiodła Molly w jakiś sposób, byłoby to coś karygodnego... Ale to nie było możliwe. Laurel nigdy by w coś takiego nie uwierzyła. Skoro jednak choć przez sekundę rozważała taką ewentualność, podobnie mogła postąpić Moreno. Czy zatem Laurel rzeczywiście chciała ściągnąć z powrotem na swą córkę zimne i zabójcze spojrzenie tej kobiety?

Matka powiedziała jej, by pozwoliła wszystkiemu wrócić do normalności. By poszła na pogrzeb. Pożegnała Molly. Opłakiwała. I żyła dalej. Jednak jej dom nie sprawiał wrażenia normalnego domu. Ota-

czał ją swą ciszą i zbyt wielką przestrzenią, jak gdyby został wydrążony do głębi. Jakieś zło, które czaiło się na podwórzu, przyciskało nos do szyby, a Laurel miała wrażenie, jakby coś małego i nieokiełznanego miotało się w jej brzuchu. Ilekroć wydawało się jej, że zatraciła się w pracy, owo coś haratało ostrym zębem ścianę jej żołądka. Było zbyt cicho, jakby ojciec zgonił wszystkich, wyprowadził z domu i gdzieś wywiózł, zostawiając Laurel samą z jej upiorami.

Laurel odłożyła gotowy płatek róży i nachyliła się, aby przycisnąć mały guzik interkomu. Słyszała odgłosy filmu, w którym Billy Elliot wytrząsał z siebie w tańcu chude bebechy, ale Shelby i Bet nie rozmawiały ze sobą. Domyślała się, że rodzice siedzieli w jadalni, gdzie domowy system łączności nie miał odbiornika. Najbliższy znajdował się za rogiem w korytarzu. Przy stole w kuchni mogłoby się wygodnie usadowić sześć osób, ale matka wolała leszczynowy stół w oficjalnej jadalni Laurel. Wspinała się na palce i lustrowała wspianiałą zabytkową porcelaną stojącą na wbudowanych w ścianę półkach. Dostali ją od matki Davida, kiedy Shelby przyszła na świat. Spóźniony prezent ślubny, o ile - jak podkreślała tysiące razy - pięć minut w urzędzie stanu cywilnego można w ogóle uznać za ślub.

Laurel podkreśliła dźwięk interkomu na cały regulator, a wtedy jej ucho wychwyciło lekkie podzwanie srebrnych sztućców i świst powietrza wydychanego przez zęby, jaki wydawał ojciec między najbardziej smakowitymi kęsami jedzenia. Dom cierpiał ogarnięty chrobotliwą ciszą. Laurel nie była jedyną osobą, której przeszkadzało milczenie, jej ojciec bowiem również potrzebował być otoczony dźwiękami. Zwykł włączać telewizor albo radio w każdym pokoju, przez jaki przechodził.

Domowy system łączności był połączony z radiem, które Laurel włączyła, ustawionym już na stację jazzową. Ojciec lubił jazz i czuł się szczęśliwszy, gdy coś grało w tle, chociaż gdyby teraz zaczął rozmawiać z matką, Laurel nic by nie usłyszała, a muzyka i tak nie była w stanie oczyścić powietrza z posmaku pustki.

Laurel zaczęła układać płatki róży na twarzy panny młodej, formując z nich kształt warg. Kiedy je przyszywała, stłoczone ciasno koło siebie, próbowała sobie wyobrazić, jaki kształt mają usta. Uśmiechnęła się na tyle szeroko, aby odsłonić zęby i język. Musiała wypełnić tę przestrzeń.

Rozległo się pukanie do drzwi pracowni.

- Laurel? - Matka znów przyszła, jakby zwabiona dźwiękami jazzu.

Laurel obróciła się i podjechała na krzesło na tyle blisko drzwi, by móc je otworzyć, nie wstając.

- Powiedziałaś, że to ma być zwykły dzień - odezwała się nieco mocniejszym tonem, niż zamierzała. - A więc zwyczajnie próbuję wykonywać moją zwykłą pracę.

- Przyszłam tylko zapytać, czy chcesz, żebym przyniosła ci jedzenie. Zrobiłam sałatkę z kurczaka na gorąco i zaraz wystygnie.

- Mogę sobie ją później odgrzać w mikrofalówce.

- W porządku - odparła matka, ale zrobiła krok naprzód, stając w drzwiach, by Laurel nie mogła ich zamknąć. - Dzwoniłaś jeszcze raz do Sissi Clemmens?

- Próbowałam niecałą godzinę temu.

- Musisz próbować przez cały czas. Musisz ją złapać, kiedy jest w domu. Kiedy jest przytomna i kiedy... odbiera telefon. - Matce chodziło o to, żeby Sissi nie była naćpana. To było trudne do utrafienia. - Nie jestem pewna, czy wpływ Bet Clemmens jest teraz korzystny dla Shelby.

Laurel zamrugała oczami. Bet Clemmens nie potrafiła nawet wpłynąć na kostkę masła, by przenieść ją z jednego końca stołu na drugi, a co dopiero na taki mały żywioł jak Shelby. Jeśli już, to wpływ oddziaływał w przeciwną stronę - Bet wybierała taki rodzaj dżinsów, jaki podobał się Shelby, i próbowała potraw, jakie tamta jadła. Do poprzedniego lata Bet nie znała smaku innej sałaty niż lodowa.

- Bet Clemmens mówi czasem dziwne rzeczy - odrzekła Laurel. - Z pewnością jest oryginalna, ale Shelby nie uważa jej za fascynującą.

- Właśnie teraz Shelby mogłaby jej ulec łatwiej niż zwykle - stwierdziła matka. - Klei się do tej dziewczyny, odkąd tylko tu przyjechałam.

- Spróbuję zadzwonić do Sissi. - Laurel usłyszała ton niecierpliwości we własnym głosie, ale matka wciąż blokowała drzwi.

- Nasz lunch pojutrze jest nadal aktualny, prawda? - zapytała matka. Laurel zupełnie o tym zapomniała. Chodziły z matką na lunch, tylko we dwie, raz albo dwa razy w miesiącu, w jakieś wytworne miejsca. Laurel już zarezerwowała stolik.

- Pewnie tak. Chyba że będę odwoziła Bet do domu. Albo Shelby będzie mnie potrzebować.

- Doskonale - skwitowała matka. - Zjawię się tu przedtem. Tato może spędzić z Shelby trochę czasu, albo obydwójce możemy z nią zostać, jeśli uda ci się dołapać Sissi. Shelby nie powinna być teraz sama.

Podczas rozmowy o Bet Laurel mogła się dosłuchać naleciałości z DeLop w wypowiedziach matki. „Dołapać” nie było typowym elementem jej słownictwa, a przypuszczalnie zamiar pozbycia się Bet nie miał nic wspólnego z wpływem tej dziewczyny na Shelby.

- To dobrze, mamó. A teraz próbuję zabrać się do pracy.

Matka zrobiła krok w głąb pokoju i spojrzała na narzutę. Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła palcem różanych ust.

- Oj, ale to ładne. Podoba mi się.

- Naprawdę? - spytała Laurel z nutką zaskoczenia w głosie.

Matce nie podobały się prace Laurel, raziły ją odpinane zasłonki, ukryte pod nimi kompozycje i zastosowane w nich przedmioty. Laurel popełniła kiedyś błąd, prosząc ją o opinię na temat narzuty z syreną, z której była szczególnie dumna. Matka zmierzyła wzrokiem kawałki rozbitych muszli i pogardliwie wydeła usta.

- Po co tu powtykałaś cały ten śmietnik? To jest niewygodne.

Najwyraźniej była przekonana, że cała wartość dzieła polega na tym, by można było opatulić nim nogi podczas robienia na drutach.

Thalii również nie podobała się ta narzuta, chociaż z zupełnie innego powodu.

- Wszystko to, co jest interesujące, poukrywałaś w sekretnych kieszonkach i teraz to wygląda jak jakiś pieprzony koc - stwierdziła. - Powinnaś to zrobić z jajem. Odsłonić tych martwych żeglarzy.

Mimo to Laurel wysłała tę narzutę do galerii, gdzie została wystawiona i w niespełna tydzień ktoś kupił ją za dwanaście tysięcy dolarów, musiała mu się więc spodobać.

- Nie będę ci przeszkadzać w pracy. - Matka wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

Laurel ogarnęła pannę młodą świeżym spojrzeniem. Usta z płatków róży i skrytka w zapinanym trzewiczku sprawiały, że jej dzieło wyglądało jak całkiem przytulny koc.

W ubiegłym roku zajmowała się starszym projektem, który nazwała *Szkielet oka*. Składał się z wielu warstw, które można było odsłaniać i przyczepiać za pomocą haczyków, rzepów i guzików, więc widoczne i ukryte elementy przeplatały się ze sobą. Niezależnie od ich układu twarz kobiety w samym środku kompozycji nigdy nie była symetryczna ani kompletna. Była to jedna z bardziej wstrząsających prac Laurel. Prawie się jej nie podobała, chociaż David nie wydawał się wstrząśnięty. Jakkolwiek David lubił wszystko, co robiła, bardziej dlatego, że były to jej dzieła, niż ze względu na poczucie estetyki. Nie miał go za grosz.

Bardziej wymowny był fakt, że *Szkielet oka* niemalże spodobał się Thalii. W tym roku Laurel próbowała trochę stonować swoją wyobraźnię, ale skoro narzuta podobała się matce, musiała chyba za bardzo przystopować, cofając się do poziomu *Zuzi Ogrodniczki*.

Ze złością przejechała dłonią po twarzy panny młodej, zgarniając luźne płatki róży, które rozsypały się po jej sukni. Wstała, by je pozbiierać, i zauważyła, że małe plamki czerwieni rozmyły się, a jednocześnie nabrały wyrazu, leżąc beładnie na tle beżu, złota i bieli.

To było interesujące. Ta panna młoda miała swoje tajemnice. Pozbawiona ust tylko kształtem oczu sugerowała widzowi, że się uśmiecha, a niewidzialne wargi zdawały się wyginać w grymasie zadowole-

nia. Wzbudzało to chęć, by ją odkrywać i poznawać. Laurel przestała zbierać płatki i zaczęła je przesuwać, aż przypadkowo rozrzucone planiki czerwieni pokryły ręce panny młodej aż do łokci.

Odcięła parę kawałków szkarłatnej wstążki i nadała im kształt smug, które żywym kolorem spływały po bladych przedramionach. Potem odeszła parę kroków w tył i przez dłuższą chwilę przyglądała się swemu dziełu.

To było dokładnie to, co jej odpowiadało.

Nie wyglądało to tak, jak zamierzyła sobie na samym początku, ale nowy układ różanych płatków odnowił jej więź z tą narzutą. Jak na tę chwilę, było dobrze. Patrząc na poplamione ręce panny młodej, Laurel poczuła spełnienie. Docierało to do niej tak jak większość innych rzeczy, czuła to w dole klatki piersiowej, ale nie pod postacią ubranych w słowa myśli.

Mogła robić to, czego chciała matka, wypełnić normalnością wszystkie rysy tego dnia i przysypać go hałdą innych dni, aż powierzchnia jej życia stanie się gładka i jednolita. Ale jeśli Shelby miała jakąś tajemnicę, nieważne jak niewinną, to czy Laurel powinna zakrywać ranę, której należy się dostęp powietrza? Pod uroczą przykrywką normalności jakiś sekret mógł zżerać jej córkę, trawić ją i pustoszyć niczym zgnilizna. Laurel mogła się przyczynić do tego spustoszenia. A jeżeli to włosy Stana Webelowa widziała w nocy? Z pewnością policja może dociec prawdy, jednak Laurel nie chciała, by Moreno znów nękała jej dziecko.

Chciała Thalii. Potrzebowała jej, i to już od samego początku.

David powiedział, że jej pomoże, ale w jego wydaniu pomoc polegała na ściągnięciu matki. I teraz matka wchodziła jej na głowę. Kiedy wyjedzie, David będzie gorliwie próbował jej pomóc, imając się wszystkich niewłaściwych sposobów, byle tylko Thalia nie snuła się znów po kątach ich życia. Laurel mogłaby wtedy zapomnieć o tym, co tkwiło w niej głęboko w tym momencie; o czymś tak rzeczywistym, że było jak gorejąca dziura w samym środku jej tułowia.

Laurel czuła się najbardziej pewna siebie, kiedy wykonywała swoją pracę. W tym pokoju nie powieliała utartych wzorców, by sprawić przyjemność matce, ani nie wyzwała szpetoty, by zadowolić Thalię, ani też nie martwiła się, czy coś przypadnie do gustu Davidowi, czy też nie, co byłoby równoznaczne z tym, że w ogóle przestała mu się podobać. Narzuta z panną młodą była udana. Wiedziała o tym. W obrębie tych ścian to wystarczyło.

W swojej cichej pracowni Laurel wiedziała też, co jest dobre dla Shelby, i rozumiała, o co Molly przyszła ją poprosić. Molly tak naprawdę nie potrzebowała Laurel i z pewnością nie kierowała nią nadzieja na spotkanie z jej matką. Wzrok Laurel spoczął na telefonie. Nieustraszona Thalia, poszukiwaczka i badaczka, która patrzyła na świat dostatecznie trzeźwo i wytrwale, by go poznać i się w niego wcielić. Dzieliło ją od niej zaledwie jedenaście cyfr.

Laurel wyciągnęła rękę, by podnieść słuchawkę, zanim matka znowu zapuka do drzwi albo zadzwoni kolejny sąsiad lub zaprzyjaźniony parafianin i zapewniając o swym współczuciu oraz proponując wsparcie, zablokuje linię.

Telefon w Mobile zadzwonił dwa razy, ale Thalia do niego nie podeszła. Zrobił to jej mąż.

- Teatr „Pod Łaciatym Psem”. - Głos Gary'ego miał głęboką barwę, ciepłą i gładką, jak gdyby jego gardło było pokryte warstwą ciemnej czekolady.

- Cześć, to ja - odezwała się Laurel. - Jest Thalia?

- Owszem, jest - rzekł Gary uprzejmym tonem, po czym odłożył słuchawkę.

Wdając się w konflikt z Thalia, miało się przeciwko sobie również Gary'ego. Laurel wcisnęła przycisk ponownego wybierania.

- Och, przepraszam. - Gary odebrał w połowie pierwszego dzwonka. - Myślałem, że już skończyliśmy.

- Mogłabym poprosić moją siostrę?

- Nie! - odparł Gary pogodnym tonem i znów się rozłączył.

Laurel wzięła trzy głębokie oddechy i jeszcze raz wybrała numer siostry. Tym razem odebrała Ethel Merman*.

- Ojoj! Mam śliskie ręce! - zawołała i słuchawka upadła z trzaskiem.

Głos Gary'ego był niebywale uniwersalny, skoro obejmował takie wysokie rejestry.

Laurel ukryła twarz w dłoniach. Miała już dosyć. To musiało stać się teraz albo nigdy.

Wstała i z rozmachem otworzyła drzwi. Długimi krokami przemierzyła kuchnię, zatrzymując się obok stolika na telefon, by wygrzebać ze swej torebki kluczyki do samochodu. Potem okrążyła narożnik i wchodząc do jadalni, przemówiła mocnym, oficjalnym i nieznośnym sprzeciwu tonem:

- Jadę do Alabamy, żeby... - zawiesiła głos, ale musiała dokończyć.

Wtedy właśnie zauważyła, że David wrócił już do domu. Dołączył do jej rodziców i siedział przy stole, zjadając potężną porcję sałatki z kurczaka. Wszyscy patrzyli na nią, a siedzący tyłem do wejścia ojciec obrócił się na krześle. Dawid uniósł brwi, nieświadomy jej zamiaru, a ona nie mogła dokończyć. Przede wszystkim unikała wypowiedzienia imienia swej siostry, ponieważ ją o to prosił.

- ...żeby przywieźć tu Thalię - wykrztusiła z siebie wreszcie prawie niedosłyszalnie. - Proszę, zostańcie z Shelby - dodała głośniej.

Matka wstała od stołu i uśmiechnęła się szeroko, zaciskając wargi.

- Wspaniale! - powiedziała. - Widzisz, mówiłam ci, żebyś cały czas próbowała skontaktować się z Sissi. Skoczę na górę i pomogę Bet się spakować.

Laurel z niedowierzaniem zamrugała oczami. Matka myślała, że chodziło jej o DeLop. Kiedy odwróciła wzrok w stronę stołu, zauważyła, że ojciec i David pomyśleli to samo, dając się ponieść przypuszczeniu matki.

Ethel Merman (1908-1984) - amerykańska aktorka i piosenkarka.

Laurel otworzyła usta, by zaprzeczyć, by powiedzieć, że nie dozwoniła się do Sissi i że wybiera się do cholernego Mobile, by zabrać stamtąd swą cholerną siostrę. Nie powiedziała jednak ani słowa. David obiecał jej pomoc, ale najwyraźniej nie miał pojęcia jak. Ojciec owszem, przyjechał, lecz on był prawą ręką matki, nie Laurel. A przede wszystkim była tu matka, która potrafiła ją przyszpilić pustym spojrzeniem Prymulki i nafaszerować sałatką z kurczaka na ciepło oraz obietnicami nadejścia normalnych dni. Nie potrafiła ich wszystkich pokonać.

Przesunęła odrobinę swe spojrzenie, tak by nie patrzeć prosto w oczy matki, która mogłaby dostrzec kłamstwo. Laurel skupiła się na jej dolnych rzęsach, a że dzieliła je cała długość jadalni, sztuczka Thalii działała znakomicie.

- Bet już w nocy spakowała większość swych rzeczy - oznajmiła Laurel, a jej głos brzmiał pewnie.

David i ojciec od razu zaproponowali, że odwiozą Bet Clemmens do domu. Matka odwiodła jednak Davida od tego zamiaru, twierdząc, że nie jest obznajomiony z okolicą. Pod jej przymilnym uśmiechem krył się mur determinacji; od lat zabiegała, by wychowany w Cherry Hill zięć nigdy nie zobaczył przegniłych korzeni jej rodziny.

- Wolałabym, żebyś nie prowadził taki zmęczony, tato. - Laurel zbyła propozycję ojca machnięciem ręki. - Zresztą wrócę, zanim się obejrzycie. Jeszcze przed zachodem słońca.

Była to absolutna prawda. Mobile było oddalone o godzinę drogi.

- To prosta przejażdżka, do tego w dzień - wtrąciła matka. - Dobre drogi przez większość trasy, a słońce zachodzi teraz tak późno, prawda? Jak to mówią, kanikuła.

- Tak, kanikuła - potwierdziła Laurel i stojąc z rękami w kieszeniach, starała się nie patrzeć w stronę Davida, dopóki nie skinął głową i zajął się na powrót swoim talerzem.

Potem wraz z matką udała się na piętro, w poszukiwaniu Bet Clemmens. Znalazły ją w bawialni, siedzącą na miękkiej sofie. Unosi-

la talerz, trzymając go blisko twarzy, i zgarniała prosto do ust spory kęs sałatki.

- Bet, moja droga, pozbierajmy twoje rzeczy - zaczęła matka, nim Laurel zdążyła zapukać w futrynę. - Laurel odwiezie cię do domu dziś po południu.

Bet uniosła wzrok i szybko pochłonęła następny kęs, a zaraz potem jeszcze następny. Miała tak wypchane usta, że nie mogła ich domknąć, a w kącikach warg pojawiły się cieniutkie bąbelki ściekającego majonezu. Przełknęła część na wpół przeżutego jedzenia i sięgała już widelcem po kolejną porcję.

- Nie udław się. Masz czas, żeby dokończyć lunch - uspokoiła ją Laurel.

- Mówisz poważnie? - odezwała się Shelby.

Leżała rozparta na ogromnej pufie i tylko jej głowa wystawała spod wełnianego koca. Talerz sałatki leżał nietknięty obok krzesła, a ząbki widelca lśniły nieskazitelną czystością. Laurel myślała, że matka zareaguje, ona jednak milczała. Shelby przez chwilę mierzyła je obie wzrokiem, aż w końcu jej spojrzenie zatrzymało się na Laurel.

- Co za bzdura - powiedziała.

- Takie odzywki są nie na miejscu, Shelby - zabrała głos matka. - Sissi Clemmens odchodzi od zmysłów z powodu tego, co się tutaj dzieje. Pomyśl, jak bardzo jej zależy, aby Bet była bezpieczna w domu.

Shelby była jedyną osobą w tym pokoju, która uwierzyła w jej słowa. Laurel zorientowała się nagle, że jej własna mina jest taka sama, jak wyraz twarzy Bet Clemmens. Obie nie potrafiły sobie wyobrazić, jak Sissi miota się w desperacji, wyczekując powrotu swego dziecka. Laurel szybko opuściła głowę i zamrugała, chcąc przywrócić oczom normalny wyraz. W całkowicie fikcyjnym DeLop, które Thalia odmalowała w wyobraźni Shelby, Sissi właśnie tak by się zachowywała.

Shelby zapadła się jeszcze głębiej w miękkiej pufie i ukrytymi dłońmi podciągnęła sobie koc pod brodę. Widać było tylko jej oczy i czubek głowy.

- To dobrze. Więc idźcie - mruknęła, nie patrząc nawet na Bet.
- Shelby! - zganiła ją Laurel.
- No to pa - odezwała się Bet, po czym dodała: - Szkoda, że się nie dowiem, co będzie dalej z tych chłopcem.

Chodziło jej o film. Billy Elliot właśnie ubiegał się o przyjęcie do szkoły baletowej.

- Umrze - odparła Shelby zgorzkniałym tonem.
- Shelby Ann! - powtórzyła Laurel.
- Tak myślałam. - Bet pokiwała głową.
- Możesz obejrzeć go do końca, kiedy tu wrócisz. - Laurel zwróciła się do Bet. - Dobrze się kończy. I on wcale nie umrze.
- A owszem - wtrąciła Shelby, a po chwili milczenia dodała: - Prędeej czy później i tak umrze.

Wtedy przemówiła matka, a w jej głosie pojawił się ten słodko-cierpki ton, który zazwyczaj stosowała, rozmawiając z ojcem.

- Tak, Shelby, a potem rozpęta się gdzieś straszliwa wojna i nastąpi koniec świata - powiedziała, po czym nieznacznie pochyliła się w stronę Bet. - Rzecz jasna, to wszystko nastąpi wiele lat po tym, jak skończą się napisy.

- Nie mogę uwierzyć, że nie zadzwoniłeś do swojej mamy, żeby zapytać, czy możesz zostać - odezwała się Shelby. Bet, patrząc tępo, wzruszyła ramionami, a wzrok Shelby spoczął na Laurel. - Zapytałeś w ogóle, czy może u nas zostać, czy po prostu zadzwoniłeś do jej mamy i napędziłeś jej strachu?

- Bet sama zapytała, czy może zostać. Zapytała o to mnie - odpowiedziała Laurel.

Zamilkła na moment. Nie chciała kłamać w żywe oczy i kiedy kluczyła między różnymi kombinacjami, usiłując stworzyć zdanie, które uświadomiłoby Shelby, że jej kuzynka wróci niespodziewanie szybko, Bet niespodziewanie zabrała głos.

- Może ty też byś pojechała? - zaproponowała. - Tak tylko na krótkie odwiedziny.

Shelby zaczęła się podnosić, ale matka i Laurel jednocześnie powiedziały „nie” i zrobiły to tak szybko, że jej usta zaledwie zdążyły wyłonić się spod koca, zanim z powrotem zapadła się w miękką pufę.

Laurel nieomal krzyknęła, choć przecież wiedziała, że nie zbliży się do DeLop na odległość mniejszą niż sto pięćdziesiąt kilometrów. Jednak na samą myśl o tym, że Shelby mogłaby załźnić w tym mrocznym miejscu, Laurel poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Kto wie, co mogłaby wywołać swoim blaskiem?

- Chcę, żebyś została w domu, Shel - dodała łagodniejszym tonem.

- Chcę jechać z Bet. - Shelby buntowniczo zmarszczyła brwi, a Laurel już zaczynała się szykować do stoczenia niechcianej walki o podróż, w którą wcale nie zamierzała się udać.

Gdyby nie obecność matki, zabrałaby Shelby ze sobą. Bądź co bądź jechała do Mobile, do Thalii. Gdyby nie obecność matki, powiedziałaby Davidowi, że musi mieć przy sobie Thalię i koniec. Zresztą kto zadzwonił po matkę? Nikt inny, tylko David, i jeżeli Laurel kłamała, to on ponosił za to odpowiedzialność.

- Shelby, kochanie, jeżeli pojedziesz, nie zdążysz na pogrzeb Molly. - Głos matki przybrał słodki ton.

Wojowniczo zmarszczone brwi Shelby wykrzywiły się teraz w grymasie rozpaczy. Konflikt został zażegnany, a Shelby nakryła się kocem aż po czubek głowy.

- Cześć - rzuciła Bet w stronę koca.

- Wrócę w mgnieniu oka, Shelby - powiedziała Laurel.

Shelby nie odpowiadała. Bet zerkała w jej stronę, jakby chciała zapewnić ją spojrzeniem i uśmiechem, że wszystko będzie dobrze. Shelby wciąż jednak kuliła się pod kocem i wyglądała jak halloweenowy duszek bez oczu zrobiony z ognistoróżowej wełny.

Rozdział 6

Sflaczały plastikowy worek Bet był zbyt mały, by trzeba było chować go do bagażnika lub nawet odkładać na tylne siedzenie. Bet spakowała do niego tylko te rzeczy, które przywiozła ze sobą z DeLop. Ubrania, które kupiła jej Laurel, leżały ukryte w szafie, w małym pokoju gościnnym, wciśnięte między gwiazdkowe zapasy butów i zabawek.

- Wolę, żeby tu leżały - stwierdziła Bet. - Powiedziałaś mi, że wrócę tu naprawdę niedługo. Obiecałaś.

Laurel nie sprzeciwiała się. Nie miała ochoty tracić czasu na dyskusje, wiedząc, że Bet wróci tu wcześniej, niż sobie wyobrażała. Za trzy lub cztery godziny. Laurel pomyślała, że jest to nawet urocze, że Bet zostawia swoje klapki Rainbow i džinsy American Eagle jako dowód wiary w jej obietnicę, po czym ze stoickim spokojem zasiada w samochodzie z czarnym foliowym workiem u stóp.

Zanim jednak zdążyły wytoczyć się z podjazdu, Laurel usłyszała dobiegający z fotela pasażera odgłos pociągania nosem. Spojrzała w tę stronę, by zobaczyć łzę, która spłynęła po twarzy Bet i rozprysła się na gołej skórze jej nogi.

- Och, przestań, kochanie. Myślę, że doszło tu do nieporozumienia - uspokoiła ją Laurel i spłoneęła rumieńcem, gdyż było to nie tyle nieporozumienie, ile jedno wielkie łgarstwo.

Bet nic nie mówiła. Jej kanaliki łzowe nadal działały, a wokół nozdrzy pojawiły się różowe obwódki, jednak całe ciało było rozluźnione, a na niedbale wydętych ustach malował się wyraz obojętności, co by-

ło całkowitym przeciwieństwem jej wilgotnych oczu. Tak jakby płacz był zadaniem należącym wyłącznie do nich.

Zresztą jak dotąd Laurel nie widziała, aby Bet Clemmens okazywała aż tak silne emocje. Poklepała dziewczynkę po chłodnej skórze nogi i pomyślała, że niedługo i tak wszystko wyjdzie na jaw. Bet powinna się zorientować, że coś nie gra, kiedy zostaną na drodze I-10, zamiast zjechać na międzystanową 29. Laurel pomyślała, że będzie to pierwsza chwila prawdy, pierwsza z wielu tego dnia, ponieważ gdy wróci do domu w towarzystwie Bet i Thalii, każdy, kto ma choć trochę pofałdowany mózg, przejrzy jej kłamstwa. Poza prawdą nie było innej wymówki, która mogłaby wytłumaczyć powrót Bet i obecność Thalii. To dlatego, aby postawić na swoim, Laurel uśmiechała się, przytakiwała i świadomie nie wyprowadzała z błędu matki, która się przestyszała.

Matka była skłonna dokonać zemsty, zgodnej z dobrymi obyczajami, ale srogiej. Laurel była tego pewna. Co gorsza, pozwoliła, aby kłamstwo wkradło się między nią a Davida i niczym maleńki klin stworzyło rozłam w miejscu, gdzie go nigdy dotąd nie było. Zresztą David miał nawet rację. Sama wiedziała z doświadczenia, że jej przebywanie z siostrą pod jednym dachem może skończyć się kataklizmem.

A gdyby miało się to powtórzyć? Laurel brała pod uwagę takie konsekwencje, ale przeciwstawiała im szare spojrzenie upiornych oczu i obce, jakby przesunięte podwórze, i Shelby, która stała się małomówna, i Molly, która zamilkła na zawsze. Gdyby Laurel znów stanęła przed takim wyborem, postąpiłaby tak samo.

- Nie odwożę cię do domu, Bet. To było wielkie kłamstwo. Przepraszam cię. Jedziemy do Mobile po moją siostrę. A potem w trójkę wrócimy tutaj, dobrze?

Prowadząc samochód, obserwowała Bet kątem oka. Dziewczynka powoli zamrugała dwa razy powiekami, po czym grzbietem dłoni otarła sobie nos.

- Dobrze - mruknęła.

I to było wszystko, co powiedziała.

Shelby na jej miejscu już by ryczała jak rozwścieczony lew. Każde dziecko z Victorianny też. Shelby, mając trzynaście lat, była dojrzała niż Laurel w jej wieku - bądź co bądź mieli HBO - ale w głębi duszy wciąż pozostawała dzieckiem. Wierzyła, że pozytywni bohaterowie ostatecznie triumfują, że świat powinien być piękny i można go takim uczynić, a jej matka nigdy nie pozwala sobie na egoistyczne kłamstwa.

Bet Clemmens nie była jednak wściekła. Nie była nawet zaskoczona. Kopnięciem przesunęła swój czarny worek do przodu, by móc oprzeć na nim nogi, i rozpada się wygodnie na siedzeniu, pogodzona ze wszystkim.

Przyglądając się jej spokojnej reakcji, Laurel nagle pojęła, że pozostawione na półce nowe ubrania nie są świadectwem wiary i zaufania. Bet nie znała czegoś takiego. Nie zabrała tych rzeczy do domu, ponieważ stałoby się z nimi to samo, co z walizką na kółkach. Laurel powinna była to wiedzieć.

Kiedy Bet była u nich, ubrana tak, by krążąc na obrzeżach towarzystwa Shelby nie odstawać od reszty, Laurel dawała się omamić i zapominała, jakie naprawdę jest życie tej dziewczyny. A było jak jej akcent - na wskroś twarde, przesiąknięte klimatem DeLop. Gdy tydzień wcześniej Laurel pojechała po Bet, Sissi była zbyt naćpana albo pijana, albo jedno z drugim, by samodzielnie utrzymać się na nogach. Laurel podała jej rękę i pomogła wstać z sofy, krzywiąc się na nieprzyjemny piskliwy dźwięk, który pokryte błękitnymi żyłkami nogi Sissi wydawały, przesuwając się po winylowej tapicerce.

- Laurel? - wybełkotała Sissi, wlepiając w nią zamglony wzrok. - Co to, już święta?

Zapomniała, że Laurel zabierała jej córkę na dwa tygodnie do siebie. Sissi pierwsza ukradłaby Bet jej sandały za osiemdziesiąt dolarów, po to, by w nich chodzić albo zastawić je w lombardzie. Laurel czuła, że serce się jej kraje, ale gdzieś w głębi nawiedzała ją natrętna myśl -

Shelby i Bet miały całkowicie odmienne wyobrażenie o tym, co należy ukrywać przed matką.

Bet Clemmens nikt nie pilnował, by nie wracała zbyt późno do domu i chodziła spać o normalnej porze. Nie musiała takich rzeczy trzymać w tajemnicy przed swoją matką, tak samo jak Shelby nie miała potrzeby chować konsoli do gier. Gdyby Laurel zdołała tak ukierunkować swe pytania, by trafiły w otchłań dzielącą styl życia obu dziewczynek, Bet grzecznie udzieliłaby jej odpowiedzi, nie zdając sobie nawet sprawy, że nie powinna tego robić.

- Domyślam się, że miałyście jakieś plany ostatniej nocy - zagadnęła.

Starała się, by jej słowa brzmiały swobodnie, jak gdyby to było coś, o co równie dobrze mogłaby zapytać Shelby, gdyby tylko z nimi jechała. Thalia uczyła swoich studentów, że aktorstwo zaczyna się we wnętrzu, od sprawowania psychicznej kontroli. Nie zgadzała się z Metodą*. „Zapanuj nad ciałem - mówiła - a reszta przyjdzie sama”.

Laurel rozluźniła więc całe ciało, rozsiadła się wygodnie, odprężyła ramiona i pozbyła się napięcia, które ogarniało mięśnie jej ud.

- Nie wiem - odparła Bet. - Shelby i jej koleżanki nie mówiły mi o wszystkich swoich sprawach.

- Ale myślisz, że Shelby i Molly coś planowały? - spytała Laurel.

- Nie wiem - powtórzyła Bet.

Laurel była w ślepym zaułku.

Dojeżdżały już prawie do bramy osiedla wykonanej z kutego żelaza. Laurel włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo, zatoczyła okrąg, po czym odbiła w lewo, by zjechać na Queen's Court. Jechała powoli. Domy stojące przy tej ulicy były mniejsze i o rok starsze. Cookie Webelow kupiła swój brzoskwinowy dom przed dwudziestu laty, gdy reszta osiedla była jeszcze w budowie.

* Metoda Stanisławskiego - reguły sztuki aktorskiej opracowane przez rosyjskiego reżysera Konstantego Stanisławskiego, oparte na realizmie psychologicznym postaci.

- Czy znasz kogoś, kto mieszka na tej ulicy? - Laurel zadała kolejne pytanie.

- Tam jest dom tej rudej dziewczynki, tej Carly. - Bet wskazała palcem przed siebie.

- Czy kogoś jeszcze? - dopytywała się Laurel.

Mijały właśnie dom Stana Webelowa, jadąc najwyżej piętnaście kilometrów na godzinę. Bet milczała, więc Laurel zatrzymała samochód na wprost domu.

- Wiesz, kto tu mieszka? - zwróciła się do Bet.

- Pan Webelow - odparła dziewczynka bez wahania.

- Byłaś kiedyś tam w środku?

- Nie, nie byłam - powiedziała Bet. - Shelby mówiła, żeby tam nie chodzić, nawet gdyby on mi dawał coś do picia albo do jedzenia, albo jakby chciało mi się sikać.

Takie były zasady, jakie Laurel od dawna wpajała Shelby, powtórzone niemal słowo w słowo, poza tym, że Laurel używała określenia „skorzystać z toalety”.

A czy Shelby mówiła dlaczego?

- Nie. A dlaczego?

- To po prostu taka dobra zasada - wyjaśniła Laurel. - Młode panienki nie powinny przebywać sam na sam z dorosłymi mężczyznami, których nie znają zbyt dobrze.

Laurel przyszło na myśl, że sama powinna była przekazać Bet te zasady. Może nie rozmawiając z nią na ten temat, naraziła ją na ryzyko, chociaż patrząc na Bet, trudno było oskarżać się o lekkomyślność.

Bet przebrała się w rzeczy, które przywiozła ze sobą z domu. Miała na sobie obcięte dzinsy, które były o wiele za krótkie, i marszczoną kusą bluzeczkę w szkocką kratę, kupioną w hipermarkecie. Był to strój zbyt skąpy jak na nastolatkę. Był zbyt skąpy dla każdej kobiety, która nie zamierzała robić kariery pod latarnią, jednak Bet Clemmens przy swojej prostoduszności wyglądała w nim całkiem niewinnie.

Miała figurę, którą Thalia nazywała „kaczym ciałem”, małą głowę i wąskie opadające ramiona, przez co sprawiały wrażenie jeszcze drobniejszych. Wątle obojczyki, tak delikatne jak ptasie kosteczki, były przypuszczalnie najlepszą cechą jej wyglądu. W miejscu piersi widoczne były dopiero drobne zgrubienia, a jej klatka piersiowa rozszerzała się ku dołowi, zamiast zwęzać się w talii. Biodra miała jeszcze wydatniejsze, a najszerszym punktem jej sylwetki była zewnętrzna część ud. Niżej nogi Bet zwężyły się gwałtownie, przechodząc w smukłe łydki i drobne stopy, które pasowały do jej ramion. Miała woskową i gładką skórę, jak u lalki. Nawet w takim stroju nie wyglądała pociągająco.

- Widziałaś kiedyś, żeby Shelby tam wchodziła? - zapytała Laurel.

- Nie - znów odpowiedziała dziewczynka, ale tym razem Laurel zauważyła, że coś kryje się pod tą odpowiedzią.

Odczekała chwilę, a wtedy Bet zerknęła na nią kątem oka. Każdy, kto rozmawiał kiedykolwiek z nastolatkami, powinien rozpoznać to spojrzenie. Oznaczało ono, że Bet coś wie, tylko Laurel nie zadała jej właściwego pytania. Gdyby odpowiednio je sformułowała, Bet udzieliłaby jej odpowiedzi. Serce Laurel trzepotało w piersi, jakby składało się z tysiąca małych skrzydełek, z których każde chciało odlecieć w inną stronę. A potem to zrobiła.

- A może ktoś inny tam wchodził?

- Molly - natychmiast odparła Bet. - Kiedyś widziałam, jak wchodzi tam Molly Dufresne.

Krew zastygła Laurel w żyłach. Spojrzała ponad głową Bet, przez szybę po stronie pasażera, na zeschnięte szczątki wspaniałego ogrodu Cookie Webelów. Stan wychodził z domu tylko po to, żeby truchtać po ulicach w króciutkich spodenkach. Zatrudnił firmę usługową, która utrzymywała ogród przed domem w tak przyzwoitym stanie, jak wymagał tego statut osiedla, ale było to nic w porównaniu z kępami dzikich kwiatów kwitnącymi za życia Cookie wokół skrzynki na listy i dumnym szpalerem tulipanów ciągnącym się wzdłuż ścieżki.

- Czy Shelby była z tobą, kiedy widziałas, jak Molly tam wchodzi?
- Laurel dokładała starań, by jej głos brzmiał nadal swobodnie.

Bet wzruszyła ramionami.

- A pytałaś Molly, po co tam poszła?

- Koleżanki Shelby nie mówią mi o wszystkich swoich sprawach - powtórzyła Bet.

Laurel sama to zauważyła. Bet trzymała się razem z gangiem roztańczonych koleżanek Shelby, ale nie była jedną z nich. Podczas gdy one pluskały się w wodzie i wskakiwały do basenu, Bet brodziła ostrożnie, zanurzona nie głębiej niż po pas. Szczególnie w zeszłym roku Laurel przyglądała im się bacznie, i to nie tylko dlatego, że nie wiedziała, czego się spodziewać po Bet. Dwunastoletnie dziewczęta nie należą do najbardziej wyrozumiałych istot na świecie, a Bet Clemmens była inna od nich. Wśród nastolatków odstawanie od towarzystwa to straszliwy grzech.

Niemniej jednak zaakceptowały one Bet i traktowały ją jak opóźnioną w rozwoju maskotkę. Mogły roztaczać nad nią opiekę, trochę się przy tym wywyższając, ale nie dokuczały jej ani nie robiły złośliwych kawałów. Bet trzymała się ich i wystarczało jej do szczęścia, że może oglądać z nimi filmy albo włóczyć się po sklepach. Kiedy jednak dwie albo trzy z nich zbijały się w gromadkę i zaczynały szeptać, robiły to w najdalszym kącie basenu, jak najdalej od miejsca, gdzie Laurel, wylegując się w cieniu, odgrywała rolę ratownika, Bet zaś nigdy nie brała w tym udziału. Nie spoglądały w jej stronę, więc nie wyglądało na to, by była tematem ich plotek. Rozmawiały o chłopcach i o nauczycielach, których Bet nie znała, stała więc na płyciźnie, rozgarniająca rękami chłodny błękit wody, i to nie tylko dlatego, że nie potrafiła pływać.

- Shelby widziała ją, jak tam wchodziła? - spytała Laurel.

Bet zmarszczyła czoło, jakby się zastanawiając, ale nie odpowiadała.

- Jak długo tam była? Widziałas ją, jak wychodzi? - Laurel coraz trudniej było zachować swobodny ton.

- Nie pamiętam.

- Kiedy to było, Bet? - Laurel mówiła najspokojniej, jak tylko umiała.

- Zeszłego lata - odparła Bet. - Widziałam, jak Molly tam wchodzi. Shelby i ja szliśmy chyba do Tom Thumb. Ale nie wiem, czy Shelby ją widziała. Jeśli tak, to nic nie mówiła.

- Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? - zapytała Laurel. Bet spojrzała na nią ze zdziwieniem, jak gdyby nie miała pojęcia, dlaczego nie powiedziała albo dlaczego powinna była powiedzieć. - Shelby ci mówiła, że nie należy tam chodzić...

- Myślałam, że Shelby nie chce, abyśmy zadawały się z pedziem.

- Proszę, nie używaj tego słowa, Bet - zareagowała automatycznie Laurel.

- Myślisz, że on nie jest pedziem?

- To nie ma znaczenia - odparła Laurel.

Być może Stan Webelow był gejem. Edie, przyjaciółka Laurel, tak myślała. Nieraz patrzyła na jego gibkie i lśniące od potu ciało, kiedy przebiegał, i wzdychała: „Taki chłop na zmarnowanie”.

Za to Trish Deerbould i Eva Bailey zawsze wyciągały do niego ręce, poklepując go, jakby był ich pieskiem salonowym, a on puszył się i rozkoszował ich dotykiem. Eva próbowała wyswatać go z jakąś rozwiedzioną przyjaciółką, ale zarówno ona, jak i Trish łykałyby valium garściami, gdyby Stan pokazał się na osiedlowym pikniku z siedmioskładnikową sałatką i w męskim towarzystwie. Laurel poczułaby się tysiąc razy spokojniejsza, gdyby tak się stało. Mając siostrę aktorkę, miała do czynienia z gejami przez całe życie. Obawiała się, że Stan Webelow jest kimś innym.

Laurel zauważyła, że w dużym oknie wykuszowym poruszyła się zasłona. Był w domu i patrzył na nią, a ona patrzyła na niego. Zdjęła nogę z hamulca.

- To nie jest ładne słowo - wyjaśniła, gdy samochód zaczął toczyć się naprzód. - Znam kilku takich mężczyzn i może któregoś z nich

poznasz dzisiaj u Thalii. To mili ludzie. Jak by się poczuli, gdybyś nazwała ich tak brzydko?

Nie zwracała sobie głowy tłumaczeniem, że jednym z tych mężczyzn jest mąż Thalii. Była to zbyt skomplikowana kwestia, by się w nią zagłębiać.

- No to jak ładnie powiedzieć, że to pedzio? - zapytała Bet.

- No cóż, nijak - odparła Laurel. Postanowiła nie zwracać, tylko skrócić w najbliższą przecznicę. Nie chciała, aby po raz kolejny dosięgło ją spojrzenie zielonych oczu Stana. - Mówiąc o kimś, używaj jego imienia. Albo możesz powiedzieć, że ktoś jest gejem.

Tak naprawdę Laurel nie słuchała tego, co sama mówiła. Zastanawiała się, jaki był powód, dla którego Molly udała się w zeszłym roku do domu Stana Webelowa. Laurel ostrzegła Shelby, a skoro ona przekazała te zasady Bet Clemmens, musiała też powiedzieć coś Molly, znacznie bliższej przyjaciółce. Może matka Molly posłała ją tam, aby coś pożyczyła? Niemożliwe. Stan mieszkał kilka ulic dalej. Jeżeli ktoś chce pożyczyć szklankę cukru, idzie do najbliższego sąsiada, a nie na drugi koniec dużego osiedla. No i która dwunastolatka zapukałaby do drzwi samotnego mężczyzny i oznajmiła, że chce do toalety, zwłaszcza gdy cztery domy dalej mieszkała Carly?

W ubiegłym roku Molly wyglądała tak jak Shelby teraz. Drobnutkie paczuski jej piersi dopiero zaczynały się rozwijać, biodra miała wysmukłe jak u chłopca, a brzuch zaokrąglał się leciutko pod wpływem estrogenów. Tego lata kostium kąpielowy Molly leżał na niej idealnie. Wyglądała tak, jakby była starsza od Shelby o trzy lata, a nie trzy miesiące. Laurel pomyślała wtedy, że Dufresne'owie będą musieli ubierać swą córkę w zgrzebny worek i zamykać na kłódkę, kiedy pójdzie do liceum i zaczną się wokół niej kręcić wszyscy ci starsi chłopcy w samochodach.

- A co z „ciotami”? Mogę mówić o nich „cioty”? - zapytała Bet.

Laurel już miała zaprzeczyć, powiedzieć, w żadnym wypadku, gdy znów dostrzegła ten drobny błysk w pozbawionych wyrazu oczach Bet.

- Żartujesz sobie, prawda? - odparła Laurel dosyć zaskoczona, że powiedziała to na głos.

Bet potrząsnęła ramieniem. W wydaniu Shelby taki gest oznaczał: „Winna zarzucanego czynu”. Nie był to najprzyjemniejszy żart na świecie, ale dziewczyna się starała.

Laurel wyciągnęła rękę i uściśnęła chude ramię Bet. Dziewczynka nieznacznie przysunęła się do niej ostrożnym ruchem, jak podwórkowy kot, który nie nawykł do pieszczot, ale mógłby je polubić. Laurel przypomniało się nagle, jak kiedyś w Boże Narodzenie trzymała na rękach Bet, która była jeszcze niemowlęciem.

Laurel była w tak zaawansowanej ciąży, że lekarz odradzał jej tę podróż. Owo niemowlę - Laurel niemal miała pewność, że była to Bet - wyprężyło nagie tłuściutkie nóżki i wbiło się stópkami w szczyt ogromnego brzucha Laurel, wlepiając w jej twarz skupione i poważne spojrzenie okrągłych oczu. Dokładnie w tym momencie Shelby kopnęła i Laurel poczuła nacisk dwóch par maleńkich stóp, z zewnątrz i od wewnątrz. Zwalczyła w sobie pragnienie, by mocniej objąć Bet i popędzić do samochodu. Wskoczyłyby na tylne siedzenie i krzyknęłyby do ojca: „Jedź już, no jedź!”.

Taki impuls nie był niczym nowym. Co roku miała ochotę ukraść jakieś niemowlę, odkąd skończyła sześć lat i zobaczyła maleństwa, które porzuciła córka wuja Poota. Podeszła wtedy do kojca i wpatrywała się w nie uporczywie, głównie by uniknąć patrzenia na stopę, której tam nie było. Niemowlęta spały, skulone i przytulone do siebie jak brudne szczeniaki w starym zapchlonym legowisku. Obok na podłodze leżał pluszowy dinozaur, a jego jedyne oko dyndało na nitce. To było coś, co matka Laurel nazywała „niebezpieczeństwem zadławienia”. Laurel oderwała to oko i schowała je do kieszeni, po czym odłożyła maskotkę.

Laurel sama była dzieckiem, ale wiedziała już, że niemowlęta powinny mieć na sobie czyste żółte piżamki i spać w domu, który pachnie jak jej własny dom - olejkiem sosnowym i obiadem mamy.

Wiedziała, że dzieci nie należy zostawiać z Pootem. Jego ryczący głos i siwiejąca szczecina na twarzy nasuwały jej skojarzenie z trollem. Oczy miał tak głęboko osadzone w czaszce, że ich kolor pozostawał tajemnicą. Szklane oko dinozaura dotarło bezpiecznie do domu w jej kieszeni, ale dzieci zostały w swoim kojcu, i kiedy przyjeżdżała co roku do DeLop, widziała, jak rosną i jak się marnują.

Z roku na rok poznawała tam coraz więcej dzieci, które musiały w taki sam sposób zostawić. Gdy zatrzymała samochód przy żelaznej bramie osiedla, za którą rozciągał się świat, zaczęła rozmyślać, jaka byłaby teraz Bet, gdyby pozwolono jej wtedy ją zabrać.

- Muszę zadzwonić do Sissi, Bet - powiedziała, nie zastanawiając się nad tym. - Jesteś jej dzieckiem, byłoby nie w porządku nie powiadomić jej, co tu się dzieje. Ale jeśli nie będzie nalegać, byś wcześniej wróciła do domu, odwieziemy cię w weekend przed rozpoczęciem szkoły, jak planowaliśmy.

Bet lakonicznie przytaknęła. Był to pozbawiony przekonania gest, który oznaczał „pożyjemy, zobaczymy”. Potem spuściła głowę, jakby onieśmielona.

- Czy mogę włączyć radio? - zapytała.

Nerwy Laurel nie były w stanie znieść ponadgodzinnej dawki tańecznego popu, w jakim Bet gustowała w tym roku pod wpływem Shelby.

- Sprawdź w schowku - powiedziała. - Shelby zostawiła swój odtworzacz w samochodzie i wydaje mi się, że tam go włożyła.

Bet wygrzebała ze schowka iPoda, krzykliwie różowy przedmiot, którego działania Laurel nie potrafiła pojąć. Shelby musiała udzielić Bet instrukcji, ponieważ dziewczynka włożyła słuchawki i z wprawą zaczęła operować przyciskami. Laurel słyszała pohukiwanie basów i cienki głos Pink, a może Christiny Aguilery. Muzyka nie była na tyle głośna, by jej przeszkadzać. Skręcając w stronę Mobile, czuła się względnie spokojna i nie zwracała uwagi na stado robaczek, które postanowiły urządzać sobie wyścigi w jej brzuchu.

I oto jechała po Thalię, którą zamierzała zabrać ze sobą, jeśli Thalia pozwoli się zabrać. Gdyby musiała przełknąć gorzką pigułkę upokorzenia, zrobiłaby to bez wahania. Była na to przygotowana. Autentyczny problem, jaki musiała pokonać, jeśli potrzebowała pomocy swej siostry, był tylko jeden. Skoro chciała ją otrzymać, musiała porozmawiać z Thalia.

Rozdział 7

Laurel wjechała na parking przed teatrem „Pod Łaciatym Psem”. Była to dawna remiza, strzelisty budynek o podstawie węższej niż jego wysokość. Thalia i Gary mieszkali w starej kwaterze strażackiej na najwyższym piętrze. W garażu urządzili scenę studyjną o czarnych ścianach, a potężne drzwi otwierano tylko na czas zmiany scenografii. Za teatrem powoli zapadała się w ziemię ogromna przyczepa z kontenerem o opływowym kształcie. Była po sufit wyładowana rekwizytami oraz dekoracjami i stwarzała zagrożenie pożarowe na tyłach budynku, który nie posiadał już stosownego wyposażenia na takie okazje.

Pacer Thalii stał zaparkowany obok przeszklonych drzwi prowadzących do holu. Laurel zatrzymała się obok i wyłączyła silnik. Szkłane drzwi zostały zabezpieczone przerdzewiałą kratą, gdyż teatr „Pod Łaciatym Psem” mieścił się w nie najlepszej okolicy. Sąsiedował ze sklepem alkoholowym i najczęściej rabowaną w całym stanie stacją benzynową Starvin' Marvin. Laurel zaciągnęła hamulec ręczny, a Bet wyciągnęła słuchawki z uszu i czekała. Ponieważ Laurel nie kwapiła się do wysiadania, ona również trwała w bezruchu.

Ostatnim razem Laurel była tutaj, gdy przyjechała na jedną ze sztuk Thalii, niosąc gałązkę oliwną, jeśli w ogóle coś takiego było możliwe. Thalia wystawiała *Dom lalki*, więc Laurel kupiła również bilet dla Shelby. Jak przez mgłę przypominała sobie, że czytała tę sztukę na lekcjach literatury w liceum.

Nie pamiętała już dokładnie treści; było tam coś o jakimś liście, o jakimś przyjęciu, lecz skoro konserwatywna szkoła Pace High dopu-

ściła taką lekturę do programu, miała pewność, że Shelby może obejrzeć spektakl. Skądinąd Thalia była znana z „adaptacji” klasyki, więc kiedy Laurel zadzwoniła, by zamówić bilety, upewniła się przy okazji, czy może przyjść z dzieckiem.

- To jest Ibsen. Oczywiście, weź Shelby. Chyba powinno się jej to przydać w szkole - odparła Thalia, a po krótkiej pauzie dodała: - Cieszę się, że przyjdiesz właśnie na tę sztukę, Robaczku.

Laurel przyjęła to jako znak, że Thalia akceptuje jej posunięcie i też jest skłonna wyciągnąć rękę do zgody. Pomyślała, że mogłaby zabrać również Davida, a wszystko wróciłoby w końcu do przyprawiającej o mdłości normy.

Potem zobaczyła spektakl. A w każdym razie większą jego część.

Siedząc w ciemności i obserwując rozwój akcji, zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę Thalia miała na myśli, mówiąc, że cieszy się z jej wizyty w teatrze. Wyglądało to tak, jakby Ibsen napisał każdą ze scen, aby upokorzyć Laurel. Głównie chodziło o to, jak straszne i niespełnione jest życie żony i matki. Grana przez Thalię Nora była raczej bezrozumną maskotką swego męża niż jego partnerką.

Laurel panowała nad nerwami nawet kiedy Nora zaczęła zuć opuszkę kciuka w taki sam sposób, jak ona robiła to w dzieciństwie. Musiała trzymać się krzesła, kiedy Nora wyprosiła za drzwi służącą, która cerowała suknię, aby oszczędzić swemu mężowi przyziemnego widoku kobiety z igłą.

Ten przytyk był tak dosadny, że Laurel zaczęła się zastanawiać, czy aby Thalia sama nie dodała tej sceny. W końcu to przecież ona ze złościwą satysfakcją nazywała swą siostrę „szwaczką”.

Mimo to Laurel wzięła głęboki oczyszczający oddech i wypuszczając powietrze, wyszeptwała do siebie: „Pokój. Czyń pokój”. To nie było nic nowego. Thalia zawsze musiała wprowadzić jakiś drobny zgrzyt. Laurel dzielnie trzymała fason, dopóki jej siostra nie zaświeciła gołym tyłkiem.

Podczas sceny, w której Torvald udziela Norze protekcjonalnej lekcji tańca, Thalia zaczęła wymykać się spod kontroli. Torvald, grany

przez Gary'ego, próbował protestować, ale jej taniec stawał się jeszcze bardziej dziki i niesamowity. W końcu ściągnęła suknię przez głowę, zdarła majtki i zaczęła wykorzystywać dawny strażacki słup w sposób, jaki zdaniem Laurel ani strażakom, ani Ibsenowi przez myśl by nie przeszedł.

Laurel pozwoliła jeszcze, aby Shelby patrzyła, jak Thalia przemyca pogardliwą karykaturę jej matki. Ale potem zobaczyła gołe pośladki Thalii, które zataczały prowokujące kręgi w pierwotnym szale i wierzyły to w stronę Gary'ego, to publiczności. Laurel złapała Shelby pod ramię i pociągnęła za sobą między rzędami w stronę wyjścia. Kiedy szły, dziewczynka oglądała się przez ramię, rozdziawiając szeroko usta, i Laurel musiała obrócić jej głowę do przodu. Wychodząc, trzasnęła drzwiami najmocniej jak tylko potrafiła.

- Chcę wiedzieć, jak to się skończy! - wyszeptała Shelby z wściekłością, kiedy znalazły się w holu.

- To możesz sobie przeczytać - odparła Laurel znacznie głośniej.

- Ale bez tej rozbieranej sceny, ponieważ należy ona wyłącznie do interpretacji twojej ciotki Thalii.

- Tego tam naprawdę nie ma? - zapytała Shelby.

- Dam ci książkę. - Laurel pociągnęła ją za sobą, kręcąc głową.

- Nic z tego. I tak było nudno aż do tej gołej sceny - mruknęła dziewczynka i przez całą drogę do domu siedziała naburmuszona.

Laurel dopisała na konto Thalii długą podróż w towarzystwie roztrzęsionej i wyraźnie cierpiącej nastolatki i od tamtej pory nie próbowała już wyciągać ręki do zgody.

Wzrok Laurel spoczął na wielkim afiszu. Był on rozpięty na starej, wolno stojącej tablicy z rodzaju tych, których kościoły używają do obwieszczenia haseł typu: „Bóg odpowiada na wszystkie listy” albo „Najlepsza witamina dla chrześcijanina to B1”. Nazywanie tego afiszem było i tak zbytkiem elegancji. Głosił on: „Następne wyjście, sztuka Alena Mallory'ego”, a pod spodem widniały daty spektakli. Ostatni został wystawiony w poprzednim tygodniu, na zakończenie letniego sezonu. Aż do września teatr miał przerwę.

- Bet, teraz będę musiała porozmawiać z moją siostrą sam na sam - oznajmiła Laurel. - Ona jest wściekła, ja jestem wściekła i mogą paść słowa, których nie powinnaś słuchać.

Dziewczynka spojrzała na nią zdezorientowana i Laurel uzmysłowała sobie, że znów zapomniała, skąd pochodzi Bet.

- To coś osobistego. Sprawa między siostrami - dodała. - W holu znajdziesz jakieś dobre czasopisma, a ja nie zabawię długo. Możesz zabrać ze sobą iPod'a Shelby.

Bet sięgnęła do klamki, ale Laurel powstrzymała ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Siedziała przez kolejną krótką minutę, próbując zebrać się w sobie. Po raz tysięczny w swym życiu potrzebowała śmiałości swej siostry. Próbowała wywołać w sobie wrażenie, że jej skóra jest gruba. Usiłowała sprawić, by jej serce uderzało powoli i miarowo.

- No dobra - odezwała się w końcu i pchnęła drzwi.

Wysiadły z samochodu i ruszyły w stronę szklanych drzwi. Laurel nacisnęła niewielki przycisk, który uruchamiał dzwonek w położonym na górze mieszkaniu. Potem czekały, jednak domofon milczał i nikt nie wpuszczał ich do środka. Laurel zauważyła, że na metalowej bramie nie ma kłódki. Popchnęła ją lekko, a brama ustąpiła pod naciskiem, więc postanowiła wejść tą drogą. Bet szła za nią.

We wnętrzu pachniało jak w każdym innym małym teatrze, do którego zaciągnęła ją Thalia. Powietrze było przesiąknięte suchą wonią stęchlizny, która przebijała się spod warstwy farby. W holu znajdowała się kasa biletowa, mały sklepik i stary, obity czerwonym pluszem szeszlony stanowiący komplet z niewielką dwuosobową sofą. Obok sklepiku znajdowało się przejście zasłonięte welwetową kotarą, również w kolorze spłowiałej czerwieni. Za nim mieściły się garderoby i magazyn kostiumów oraz schody prowadzące do mieszkania Thalii i Gary'ego.

- Halo! - zawołała Laurel, stojąc przy kontuarze.

Po minucie Gary wystawił głowę zza zasłony i na widok Laurel wykrzywił w dół kąciki ust. Nie był powalająco przystojny, jego płaska twarz odznaczała się regularnymi rysami, nad jego skórą zdawał się

rozbrzmiewać szum rozsadzającej go od środka energii. Laurel zawsze odczuwała jego obecność, nawet kiedy się nie odzywał.

- No i proszę - powiedział takim tonem, jak gdyby Laurel była wrzodem, który pojawiając się po raz kolejny z rzędu, doprowadza go do frustracji. Potem zauważył stojącą obok Bet i wyrócił oczami na widok jej bluzki z marszczeniami. - Dobry Boże! A cóż to?

- To Bet, jedna z przyjaciółek Shelby - wyjaśniła Laurel, a kiedy Gary uniósł brwi, dodała: - Właściwie jest jej dalszą kuzynką.

Laurel widziała, jak Gary zaczyna kojarzyć, że chodzi o De Lop. Jego mina złagodniała.

- No dobrze. Miło cię poznać, dalsza kuzynko siostrzenicy mojej żony. - Skłonił się w stronę Bet, zdejmując z głowy wymaginowany kapelusz, po czym znów spojrzął na Laurel i dodał o wiele bardziej złowrogim tonem: - Nie wiedziałem, że znów się do niej odzywasz.

Laurel czuła niechęć, która sączyła się z niego niczym słone fale, ale nie przejmowała się tym. Ona pierwsza przestała go lubić i nie mogło mu się to pomieścić w głowie, Gary bowiem nie wyobrażał sobie, aby jakaś istota ludzka go nie lubiła. Był błyskotliwy, zabawny i utalentowany, nie wspominając o wrodzonym uroku, pełen zestaw zalet, i Laurel na samym początku go polubiła. Aż do dnia, kiedy ożenił się z jej siostrą i obydwójce przenieśli się do Mobile, by wcielić w życie najbardziej szalone pomysły, jakie Laurel mogła sobie wyobrazić.

Obydwójce udawali, że Thalia nie ma pojęcia, iż Gary jest gejem. On zaś lawirował, wdając się w ekscytujące zakazane przygody z różnymi mężczyznami, którzy myśleli, że należy zachować tajemnicę przed Thalia, dzięki czemu Gary mógł o wiele łatwiej ukrywać ich przed sobą nawzajem. Co wieczór wygrzebywał się z łóżka, w którym akurat się gził, i wracał na noc do Thalii. Spali przytuleni jak dzieci, nasyceni wymyślną komedią, która przydawała ich życiu interesującego posmaku w stylu Noela Cowarda*.

Noel Coward (1899-1973) - brytyjski scenarzysta, reżyser, kompozytor i aktor filmowy. Był homoseksualistą, ale nigdy nie przyznał się do tego oficjalnie.

Thalia utrzymywała, że ich małżeństwo jest idealne, ponieważ obydwoje nade wszystko kochają teatr.

- Gary chroni mnie przed samotnością - wyznała kiedyś w rozmowie z Laurel po urodzinowym lunchu i pięciu kieliszkach martini. Opróżniła cztery z nich, zresztą były to jej urodziny. - Człowiek pozwala sobie na samotność, potem pragnie kochać, ale miłość jest złudzeniem, Robaczku. A nawet urojeniem. Prowadzi do małżeństwa i monogamii. M&M - ten przysmak zabija sztukę.

Nie oznaczało to, że Thalia żyła w celibacie. Rola „pokrzywdzonej cnotliwej żony” zdecydowanie do niej nie pasowała. Zgodnie ze swą koncepcją małżeństwa doskonałego wychodziła z domu, by uprawiać seks w taki sam sposób, w jaki Laurel szła kupić seler, ale zawsze wracała do domu do Gary'ego.

Laurel nie potrafiła pojąć, co takiego łączyło jej siostrę z Garym, lecz najwyraźniej Thalia również nie rozumiała jej małżeństwa. Thalia nieraz próbowała ją zaszokować opowieściami o urokach takiego wyzwolonego życia, jak gdyby seks był czymś, czego Laurel brakowało. Laurel po raz pierwszy słyszała słowa używane przez Thalię na określenie czynności, które sprawiały wrażenie wyjątkowo plugawych.

Po jednej takiej szczególnie zalatującej rynsztokiem i jednostronnej konwersacji Laurel skorzystała z internetowego słownika slangu, by wyszukać wszystkie sformułowania, których nie знаła. Wszystkie prócz jednego okazały się nazwami rzeczy, które odkryła wraz z Davidem już dawno temu. Laurel doszła do wniosku, że może być całkowicie szczęśliwa przez całą resztę swego życia, nie doświadczając ani razu ostatniej z tych rzeczy. Jedyne, czego jej brakowało, to słownictwo Thalii, które nie wyrosło na „Reader's Digest”, oraz jej zamiłowanie do dzielenia się każdym intymnym detalem.

Teraz Laurel obdarzyła Gary'ego uśmiechem, od którego powiało przenikliwym chłodem.

- Thalia i ja zawsze dochodzimy do porozumienia, w taki czy inny sposób - powiedziała.

- Przecież za każdym razem trzymam za was kciuki. - Przyłożył sobie doń do czoła przesadnym gestem, dając do zrozumienia, że żartował. - Taki ze mnie niepoprawny optymista.

Nie żartował.

- Czy Thalia jest na górze?

- Nie. - Gary wskazał w stronę sali teatralnej. - Jest tam.

- Zaczekasz tutaj, Bet? - zapytała Laurel.

W odpowiedzi dziewczynka opadła ciężko na brzeg sofy, a obłoczek kurzu zawirował wokół jej bioder. Włożyła z powrotem słuchawki do uszu i sięgnęła po leżący na niewielkim stoliku stary numer magazynu „Interview”. Zmarszczyła brwi zaintrygowana, wpatrując się w coś, co wyglądało jak zdjęcie Kirsten Dunst liżącej małe kociątko. Gary patrzył na Bet z niemal identyczną miną. W końcu pokręcił głową i znikł za kotarą.

Laurel zostawiła Bet w holu i weszła do sali. Drzwi znajdowały się na końcu jednego z przejść między rzędami. Teatr „Pod Łaciatym Psem” nie posiadał sceny z prawdziwego zdarzenia. Krzesła były ustawione z trzech stron, zwrócone lekko przodem w stronę miejsca, gdzie występowali aktorzy. Była to bardzo elastyczna przestrzeń, jak twierdziła Thalia, ponieważ można było na niej ustawić podesty i podzielić ją na kilka poziomów, albo pozostać na podłodze i ustawić krzesła widowni zgodnie z wymogami spektaklu. Obecnie scena była pusta. Albo *Następne wyjście* miało minimalistyczną scenografię, albo dekoracje zostały już zdemontowane. Kiedy tylko za Laurel zamknęły się drzwi, otoczył ją mrok, jednak na scenę padał krąg ciepłego światła, w którym igrały pomarańczowe i złote refleksy.

Thalia stała na czarnej macie do ćwiczeń jogi znajdującej się w samym środku świetlnego kręgu. Plecy miała łukowato wygięte do tyłu, oparta na jednej nodze drugą wyciągała za siebie i tak wyginała, że bosa stopa zwisała nad jej twarzą. Szyję wyciągnęła tak, że patrzyła na stopę, a ramiona trzymała uniesione nad głową.

Ubrana była w czarny obcisły kombinezon z długimi rękawami, który okrywał ją od kostek po szyję, jednak był on tak cienki i tak do-

pasowany, że Thalia wyglądała w nim bardziej nago, niż gdyby go nie włożyła. Z miejsca, gdzie stała Laurel, widziało się doskonałość sylwetki jej siostry, cholernie doskonałej sylwetki.

Laurel wyglądała jak lekko wyblakła kopia matki. Regularne kształty, bez szczególnej urody. Thalia miała podobne kształty, ale zupełnie inne proporcje, dzięki czemu potrafiła być koszmarnie brzydka, a pół minuty później olśniewająca. Jej nos był prosty, krótki, podobny do nosa Laurel, ale znacznie mniejszy, osadzony w płaskiej i szerokiej twarzy ojca. Reszty dopełniały wydatne usta i wąskie, śliwkowe oczy, charakterystyczne wyłącznie dla niej.

Kiedy Laurel po raz pierwszy zobaczyła w sklepie lalkę Bratz o jasnych włosach i smukłych chłopięcych biodrach, która stała wyprężona w pudełku, odsuwając w cień najśmielsze wyobrażenie o Barbie, onie miała z wrażenia. Chuda jak chart lalka miała wielkie oczy, mięsiste usta i była prawie bez nosa. Laurel zastanawiała się, któż wpadł na pomysł, by zaprojektować lalkę na podobieństwo jej siostry. Shelby miała absolutny zakaz przynoszenia takich lalek do domu. Tandetne stroje i tak stanowiły wystarczający argument, ale prawdziwy powód, z jakiego Laurel nie zamierzała zwierzać się Shelby, był taki, że nie chciała, by po podłodze walały się miniaturowe Thalię, wystrojone niczym prostytutki, i leżąc w niedbałych pozach, wpatrywały się w nią martwymi plastikowymi oczami.

Thalia stała na macie, utrzymując równowagę, i albo nie zauważyła Laurel, albo udawała, że jej nie zauważyła. Być może Gary powiedział jej, że Laurel dzwoniła. Być może Thalia czekała tak od kilku godzin, aby Laurel, wchodząc, zobaczyła ją w tej niewyobrażalnej pozycji.

Thalia powoli wypuściła powietrze, po czym rozprostowała się płynnym ruchem. Stała na obu nogach i rozluźniła plecy, które teraz wyginały się w przeciwną stronę. Położyła obie dłonie płasko na podłodze i przybrała kształt odwróconej litery V, wypinając pośladki w stronę sufitu. Kiedy się poruszała, mogłoby się zdawać, że jej

wysmukłe ciało wypiera więcej powietrza, niż powinno. Podmuchał chłodnego powietrza, który nadleciał spomiędzy krzeseł, owionął skórę Laurel, przyprowadzając ją o gęsią skórę.

Poczuła obecność Marty'ego.

Jednakże nie był to jego duch, lecz jego wspomnienie, wypełniające swym zimnym żywotem przestrzeń pomiędzy Laurel i jej siostrą. Wisząca w powietrzu wilgoć zdawała się krystalizować w jego chłodzie. Plecami Thalii wstrząsnął silny dreszcz, jakby też to poczuła, jakby jakaś niewidzialna ręka przesunęła się po jej ciele. Thalia westchnęła, wygięła szyję i znieruchomiała.

Laurel przeszła między rzędami krzeseł i zatrzymała się na krawędzi oświetlonego kręgu.

- Cześć, Thalia.

Thalia obróciła głowę, by zerknąć przez ramię.

- Cześć, Jezusowy Robaczku - odparła.

- Wolałabym, żebyś tak mnie nie nazywała - powiedziała Laurel.

Siostra nazywała ją „Jezusowym Robaczkiem” od czasów, kiedy były nastolatkami. Była to nazwa, której używał ich ojciec na określenie maleńkich owadów śmigających po powierzchni stawów i sadzawek.

Thalia odepchnęła się rękami od maty i stanęła wyprostowana.

- Co to, już święta? - zapytała, nieświadomie naśladowując Sissy Clemmens.

- Dopiero sierpień - wyjaśniła Laurel.

- Rany boskie! - wykrzyknęła Thalia, udając nadęty szekspirowski akcent. Wsunęła prawą stopę do przodu, jakby przyjmowała pozycję baletową, przy czym jedną rękę odrzuciła zamasyście na bok, drugą podkrecając niewidzialnego węża. - Cóż cię tedy przyzywa, ma droga pani, tak kurewsko zawczasu?

Laurel nie była już pewna, czy chłód, który poczuła, miał w ogóle coś wspólnego z Martym. Mógł to być gniew Thalii, który niczym lodowiec okrywał ją grubą skorupą.

- Proszę, nie bądź taka - odezwała się Laurel.

- To jaka mam być? - Thalia wróciła do swego normalnego tonu, przekrzywiając głowę na bok.

- Musisz wiedzieć, że musi być bardzo źle, skoro tu przyjechałam. I jest, Thalia. Jest tak źle, że okłamałam Davida - w pewnym sensie, prawie tak, jakbym okłamała - żeby do ciebie przyjechać.

Bo faktycznie tak było. Celowo dopuściła do tego, że prawda wyszła z domu wraz z nią i Bet Clemmens, po czym zwała winę na niego, ponieważ to on wezwał matkę. Nie mogła jednak teraz o tym myśleć. Stała, nie odrywając wzroku od twarzy Thalii.

- Doprawdy. - Thalia opuściła rękę i wróciła do normalnej pozy. - Problemy w raju. No któż by pomyślał? Robaczku, nie czytujesz „Woman's Day”? Zajrzyj tam i poszukaj między przepisami na domowe wypieki i setką pomysłów na zabawy w deszczowy dzień. Będzie tam coś o tym, że powinnaś witać go na progu całkiem naga albo owinięta tylko folią spożywczą, coś o zapachowych świeczkach, coś o żelach do masażu, o czymkolwiek, co ludzie waszego pokroju uważają za seksowne. Wracaj do domu i zrób coś z tym. Wasze kłótnie to nie mój problem.

- Nie jestem tu dlatego, że okłamałam Davida - odparła Laurel, starając się panować nad głosem. - David nie jest problemem.

- I tak powtarzaj - rzuciła Thalia w stronę pustych krzeseł. - Wróć do mnie, kiedy dojdiesz do wniosku, że jednak jest.

Jej czwarta ściana opadła i niemalże dał się słyszeć jej łoskot. Laurel przestała istnieć i Thalia znalazła się sama na środku sceny, grając rolę Pięknej Kobiety Ćwiczącej Jogę. Usiadła w pozycji lotosu, odchyliła głowę i zaczęła powoli oddychać.

Laurel zaczęła się cofać, aż wyszła z kręgu światła, usiadła na jednym z krzeseł i patrzyła, jak ciało jej siostry wije się, przybierając niewyobrażalne pozy, a pod skórą grają napięte mięśnie. Zgrała swój oddech z oddechem Thalii i odkryła, że jest to sposób na odzyskanie spokoju. Po chwili odwróciła wzrok, ponieważ łatwiej było jej zapanować nad gniewem, gdy nie patrzyła na Thalię.

Kiedy była gotowa, przemówiła.

- Pamiętasz Molly Dufresne? Przyjaciółkę Shelby? Ona nie żyje. Wpadła do naszego basenu i utonęła.

Thalia znieruchomiała. Opuściła nogę, którą trzymała założoną za głowę, a jej oczy próbowały odnaleźć Laurel w ciemności.

- Jak tam moja dziewczynka? - zapytała cicho.

- Źle - odparła Laurel.

- No dobrze, więc miejmy to szybko za sobą. - Thalia podniosła się z podłogi z oszczędną gracją. - Ty jędz, wyszłaś w samym środku najlepszej adaptacji Gary'ego. Trzasnęłaś drzwiami i położyłaś cały trzeci akt.

- Cisnęłaś swoimi majtkami prosto w widownię. Przeleciały tuż obok ucha Shelby.

Upłynęło pół minuty.

- Więc jesteśmy kwita? - spytała Thalia.

- Tak.

- No to kwita. Co się dzieje z Shelby?

Laurel wciągnęła głęboko powietrze w oczyszczającym oddechu, jaki podpatrzyła u Thalii.

- Molly utonęła w środku nocy. Zjawił się jej duch, obudził mnie i pokazał, gdzie szukać ciała. Policja uznała to za wypadek, ale Shelby nie było w jej pokoju, kiedy Molly zginęła, a Molly musiała przyjść do mnie z jakiegoś powodu. Muszę się dowiedzieć, o co w tym chodzi.

Minęło kolejne pół minuty.

- Wiesz, że nie wierzę w te twoje duchy - odezwała się Thalia.

- Wiem. - Laurel pomimo relaksującego oddechu czuła, że coś się w niej gotuje. Właściwie nie był to gniew, raczej irytacja. - Nie wierzysz w duchy ani w Boga, ani w małżeństwo, ani w państwo, ani w to, że szczenięta są naprawdę cholernie szczęśliwe. Ty w nic nie wierzysz.

- To nieprawda - odpowiedziała Thalia automatycznie. - Wróc tu do mnie, chcę cię widzieć.

Laurel wstała z krzesła i dołączyła do niej. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na przeciwległych końcach maty, twarzami zwrócone do siebie. Thalia wpatrywała się uporczywie w siostrę, jakby chciała przeniknąć przez jej zmęczone oczy i zajrzeć w głąb mózgu.

- Powiem ci, w co wierzę - zaczęła. - Wierzę, że mówisz serio. Ze kiedy widzisz duchy, to mówisz sobie w ten sposób, że dzieje się coś bardzo złego. Wierzę, że jesteś mądra. Jeśli odczuwasz to tak mocno, to wierzę, że to prawda. Uzbierała się całkiem spora lista.

- Tak naprawdę sprowadza się tylko do jednego - odparła Laurel.
- Mówisz, że wierzysz we mnie, a to jedyna rzecz, jaka się teraz liczy, Thalia. Proszę, pojedź ze mną do domu.

Thalia nie odpowiadała przez minutę.

- Przypominam sobie tę Molly - rzekła w końcu. - Nawet kiedy miała jedenaście lat, widać było, że wyrośnie na piękność.

- To prawda - potwierdziła Laurel.

- No to wyłóż mi to wszystko po kolei, Robaczku. Tak, jak ciocia Moff kładła karty.

- Kiery to miłość, karo to pieniądze - zaczęła Laurel.

- Ale tym razem nie odkładaj na bok asa pik - przestrzegła ją Thalia. - Nie tym razem.

Laurel zaczęła więc od samego początku, starając się myśleć o wydarzeniach, jakby to były karty, które odkrywała. Tak było znacznie lepiej, a jej opowieść okazała się bardziej przejrzysta, niż kiedy próbowała wszystko wytłumaczyć Davidowi w jego pracowni. Thalia nie odzywała się w ogóle, dopóki nie wysłuchiwała historii do samego końca - do tego, jak David wezwał matkę, a Laurel dopuściła się kłamstwa.

- Typowy David, ale przynajmniej tym razem to widzisz - odezwała się, gdy Laurel skończyła mówić.

- Zatracasz sedno sprawy.

- Czyżby? No dobra. Widziałaś ducha. Łóżko Shelby było puste, a tobie się wydaje, że widziałaś włosy obleśnego, samotnego faceta. To

niewiele. Nie sądzę, aby ten oślizły typ nosił różowe koszulki i mieszkał z jakimś wypieczonym w solarium bożkiem, o którym mówiłby „Sean, mój życiowy partner”.

- No, nie - zgodziła się Laurel.

- Jeżeli jest gejem, prawdopodobnie będę w stanie to rozpoznać. Po tylu latach z Garym mam do tego nosa. Będę musiała znaleźć się z nim w jednym pomieszczeniu.

- Da się zrobić. - Laurel była gotowa zgodzić się na wszystko, a jej głos zabrzmiał tak, jakby notowania Thalii zaczynały wzrastać.

- Stan Webelow - powiedziała Thalia. - Jesteś pewna, że nie jest to, no wiesz, twoja projekcja?

Wymówiła imię Stana. Nie Marty'ego. Ale teraz Laurel była już pewna, że towarzyszyło im wspomnienie Marty'ego. Siedziały obie w milczeniu, rozmyślając o Marty' Grayu i o wszystkich tych złych rzeczach, jakie mogą się przytrafić nieśmiałym, grzecznym i posłusznym dziewczynkom. Takim, które mają swoje sekrety. Takim, którymi łatwo można manipulować.

- Nie wiem - szczerze odpada Laurel. - To możliwe, ale nie mogę ryzykować. Nie, jeśli chodzi o Shelby.

- Jeżeli ten człowiek nie kocha Boga ani mężczyzn, ani kobiet, to coś z tym musi robić - stwierdziła Thalia i uniosła brew. - Czy on hodoruje kozy?

- Thalia!

Thalia rozciągnęła ramiona, unosząc je ponad głowę.

- Robaczkę, to wszystko może być w twojej głowie. Myślisz, że włóknął Molly przez całe osiedle aż do twojego basenu, a potem walnął ją cegłą w głowę i utopił? Sekcja by to wykazała.

- A jeżeli on po prostu tam był? - Laurel wzruszyła ramionami. - Może Molly miała zamiar o wszystkim powiedzieć. Powiedzmy, że zamierzała spotkać się z Shelby i wyjawić jej swój sekret. Zagroziła Stanowi? A może właśnie wyszła z jego domu? Jakoś się o tym dowiedział i przyszedł ją powstrzymać. Basen to jedyne oświetlone miejsce na po-

dwórz, więc Molly tam właśnie czekała na Shelby. Siedziała na trampolinie. Zobaczył ją tam, a ona zobaczyła jego. Wystraszona zerwała się, straciła równowagę, upadła i uderzyła głową o deskę. A on nie kiwnął palcem, tylko patrzył, myśląc, że jego problem sam się rozwiązał. To on był tym umykającym cieniem, który widziałam.

Thalia w milczeniu kiwała głową, słuchając siostry.

- W porządku, to by się trzymało kupy. Przesłuchanie nieudzielenia pomocy - stwierdziła, a gdy Laurel uniosła brwi, dodała: - No co? Oglądam *Kryminalne zagadki Miami*. Twój scenariusz jest prawdopodobny, chociaż nie najbardziej realny, jaki przychodzi mi do głowy. Mamy skłonność do szukania zbrodniarzy w krzakach, zarówno ty, jak i ja. Z drugiej strony świat pełen jest drapieżników. Jeśli masz choć cień podejrzenia, że coś obnażyło kły na twoim podwórku, niespełna dziesięć metrów od miejsca, gdzie śpi twoje dziecko, to nie możesz zmrzyć oka i żyjesz nadzieją, że następnym razem pojawi się na sąsiednim podwórku. Je też nie potrafiłabym inaczej. Najlepiej będzie, jak spakuję sobie kilka par majtek. Zaczekaj w holu, żebyś mogła załatwić to z Garym. Nie będzie najszczęśliwszy, kiedy się dowie, że wyjeżdżam z tobą, ponieważ przez cały okrągły tydzień mamy nabór do zespołu.

Thalia wstała i wyszła z kręgu światła, kierując się w stronę zasłoniętego kotarą wyjścia po lewej stronie, z którego korzystali aktorzy. Laurel zaledwie mogła ją dostrzec, kiedy wsuwała stopy w pantofle i rozwijała długi płat lekkiej tkaniny, który podniosła z podłogi.

- Mała Shelby i ten wasz dziwaczny sąsiad, co za lista podejrzanych - mruknęła Thalia do siebie.

- Shelby nie jest podejrzana - powiedziała Laurel tak głośno i dobitnie, że dobra akustyka sali spotęgowała jej słowa, aż sama poczuła w uszach ich dzwonięcie.

- Och, wyluzuj, Matko Niedźwiedzico. Jadę tam z tobą głównie dlatego, że dla Shelby zrobiłabym wszystko i dobrze o tym wiesz - wyjaśniła Thalia. - Chodziło mi o to, że twoja lista nie powinna się kończyć

na rudych włosach Stana Webelowa i mrocznym sekrecie Shelby. Przeoczyłaś to, co najbardziej oczywiste.

Obcasy jej czarnych pantofelków zastukały na drewnianej podłodze, kiedy podeszła znów do krawędzi oświetlonego kręgu. Potrzęsnęła długą przewiewną szarfą w lamparcie cętki i owinęła się nią. Okrycie to wcale nie sprawiało, że wyglądała na mniej obnażoną. Był to jedynie dodatek.

- Nie wyłożyłaś trefli, Robaczku - dodała. - Kiedy ciotka Muff wróżyła z kart, trefle oznaczały rodzinę. Może coś złego działo się w domu Molly? Czy zauważyłaś kiedyś u niej siniaki albo coś w tym rodzaju?

- Nie - odparła Laurel.

- Skoro jednak młoda dziewczyna wymyka się nocą i przychodzi do swej najlepszej przyjaciółki, należy zadać sobie pytanie, czy w jej domu stało się coś, co nakłoniło ją do tego. Ze statystycznego punktu widzenia to jest bardziej prawdopodobne. Prawie zawsze się okazuje, że to członkowie rodziny zabijają się nawzajem. - Thalia wycofała się w cień, obróciła się i poszła w stronę wyjścia, które prowadziło za kulisy. - Nikt nie wie tego lepiej niż ty i ja - dodała, po czym znikła za kotarą.

Rozdział 8

Wuj Marty miał zły dotyk.

Tak by można to było nazwać, gdyby kiedyś poszedł do więzienia. Ale nie poszedł. Zamiast tego ojciec Laurel zabrał go na polowanie do hrabstwa, gdzie obaj na tyle dobrze znali miejscowego szeryfa, że używał im swego szałas. Marty miał zły dotyk, a ojciec go zastrzelił.

Gdyby spojrzeć na to w ten sposób, to nie wyglądało na morderstwo. Laurel spotkała się z podobnymi przypadkami w filmach, które oglądała nocą na kablówce. W jednym z nich występował Clint Eastwood i wydawało się jej, że widziała też podobny film z Charlesem Bronsonem. Clint Eastwood grał główną rolę. To była niezła historia, ale Laurel nie mogła uznać jej za swoją. Chociaż coś wydarzyło się między nimi w dniu poprzedzającym śmierć Marty'ego, ich wujek nigdy nie dotknął Laurel w sposób, który nie byłby przyzwoity. Laurel nie wiedziała nawet o jego upodobaniach aż do dnia, w którym pożegnał się z życiem.

Laurel miała jedenaście lat, a Marty jak co roku przyjechał na pierwszy weekend sezonu na jelenie. Przywiózł bransoletki z wisiorkami wykonane z prawdziwego srebra, po jednej dla Laurel i Thalii. Bransoletka Laurel była cukierkowo dziecinna, z muszką o drobnych opalizujących oczkach, za to Thalia dostała bransoletkę z wisiorkiem w kształcie bucika na wysokim obcasie ozdobionego drobnymi klejnocikami, które na czubku układały się w kształt stokrotki.

Kiedy Laurel i Thalia wróciły w piątek ze szkoły, było już widać, że Marty i matka zdążyli się pokłócić. Marty był dla niej najbliższą rodziną

od strony ojca i ścierali się o niego jak te dwie zwaśnione kobiety, które przyszły do króla Salomona z owym nieszczęsnym dzieckiem, wydzierając je sobie nawzajem.

Marty siedział na brzegu wyblakłej różowej sofy, matka zaś zajęła miejsce na przeciwnym końcu. Obydwoje popijali kawę i nie spoglądali w swoją stronę. Na twarzy matki widniał triumfujący uśmiezek, a powietrze wokół Marty'ego zdawało się iskrzyć od gniewu.

- Czy jest w ogóle sens się zakładać o to, kto dziś w nocy uszczelnie sobie kawałek taty? - wyszeptała Thalia, wywracając oczami.

Laurel zatrzymała się w drzwiach, ale Thalia rzuciła szybkie „cześć” na powitanie i ruszyła korytarzem w stronę pokoju, który dzieliła z siostrą. W połowie drogi, tam gdzie matka i Marty jej nie widzieli, przystanęła i obróciła się przodem do Laurel. Kończówkami palców ujęła swą bluzę na wysokości małych piersi i naciągnęła tkaninę.

- Ładny biuścik - bezdźwięcznie ułożyła wargi i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Laurel spłonęła rumieńcem. Zapomniała wyjąć płatki bawełniane, którymi przed wyjściem do szkoły wypchała sobie sportowy stanik.

- Chcecie coś przekąsić? - zapytała matka.

Matka nie zdążyła jeszcze zauważyć gwałtownego rozkwitu jej kształtów, więc Laurel zsunęła tornister z pleców i przycisnęła go do piersi. W korytarzu, poza zasięgiem wzroku matki, Thalia zaśmiewała się po cichu, pokazując siostrze dwa uniesione kciuki. Potem weszła do ich pokoju i zamknęła drzwi z wyszukaną delikatnością. Thalia nie uznawała trzaskania drzwiami.

Laurel, wciąż przyciskając do siebie tornister, skinęła głową w stronę matki, która wstała i znikła za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni. Wtedy westchnęła z ulgą i wypuściła tornister, przytrzymując go za pasek, aż zsunął się do jej stóp i oparł ciężkim wypchanym książkami dnem o podłogę.

- Powiedz mamie, że poszłam się przebrać - zwróciła się do Marty'ego.

- Zaczekaj - odpowiedział Marty.

Miał na sobie wyblakłe dzinsy, zmiękczone od częstego prania, i jedną ze swych wygodnych flanelowych koszul, ale pozycja, w jakiej siedział, nie była tak komfortowa jak jego ubranie. Długi tułów Marty'ego zginał się sztywno w pasie, a plecy nie dotykały oparcia sofy.

Kiedy wahadłowe drzwi przestały się kołysać, obrócił głowę na bok i zmierzył Laurel wzrokiem, aż pożałowała, że już nie trzyma tornistra w objęciach.

- Mała Laurel, czy w końcu zaczynasz rosnąć? - zapytał.

Na jej twarzy znów pojawił się rumieniec. Obróciła się plecami do niego i wpatrywała się w widok za oknem, jak gdyby nagle zafascynowało ją własne podwórko. Karmnik dla ptaków był pusty.

- Muszę iść się przebrać - powtórzyła.

- Ale się zmieniasz. Zaczynasz wyglądać dokładnie jak twoja matka. Nigdy dotąd tego nie zauważyłem. - W jego głosie pojawił się jakiś obcy ton. Nie mówił ze swym charakterystycznym prowincjonalnym akcentem, jak wujaszek, który nazywał ją Groszkiem i obdarowywał owocową gumą do żucia. - Zamieniasz się w damę - stwierdził, a słowo „dama” zabrzmiało w jego ustach jak coś plugawego, w co żadna dziewczynka nie chciałyby się zamienić.

Laurel wypuściła szelkę tornistra i skrzyżowała ręce na piersi, choć i tak stała zwrócona plecami do niego. Czuła, jak płatki kosmetyczne robią się płaskie, a gdzieś w głębi uderza serce, coraz mocniej i szybciej.

- Mała damo Laurel, chcesz coś zobaczyć?

Nie poruszyła się ani nic nie powiedziała. Czuła się nieswojo i nie miała pojęcia dlaczego. A potem w schludnym saloniku jej matki rozległ się odgłos, którego z niczym nie mogła pomylić; odgłos rozsuwanego zamka błyskawicznego.

- Chcesz zobaczyć? - powtórzył przymilnym tonem.

Laurel poczuła skurcz żołądka i cierpki smak w ustach, jakby zjadła coś, co zaczynało gnić. Wiedziała, co zrobił Marty. Jego flanelowa

koszula miała perłowe zatrzaski, a skórzana kurtka leżała trochę dalej, ale była zapinana na guziki.

- Chcesz zobaczyć, panno Laurel?

Panowała taka śmiertelna cisza, że słyszała stłumiony szmer, jaki wydawały jego zrogowaciałe palce, pocierając o tkaninę spodni. Wpatrywała się w pusty karmnik, nie poruszając powiekami, aż zaczęły ją boleć oczy. Najgorsze nie było to przerażające zabarwienie jego głosu. Najgorsze nie było nawet to, że kochała go przez całe życie. Najgorsza była ta jej część, która przeżywała katusze, nie mogąc popatrzeć. Laurel skończyła jedenaście lat i miała tylko siostrę. Nigdy czegoś takiego nie widziała.

Wtem usłyszała, jak drzwi do kuchni znów się otwierają, a obcasy matki po raz ostatni zastukały na linoleum przed wejściem na dywan.

- Laurel, skarbie, mówiłam ci, żebyś poszła się przebrać. - Matka odezwała się po chwili milczenia, a jej głos był słodki i jak zawsze melodyjny, jak gdyby nie widziała wystawionego na wierzch kutasa Marty'ego.

Laurel skierowała kroki w stronę korytarza, który prowadził do jej pokoju, starając się iść tak, aby się nie odwrócić i nie spojrzeć w stronę matki i Marty'ego. W końcu dotarła do pokoju, który dzieliła z siostrą.

Thalia leżała na podłodze, rozciągnięta na brzuchu, a obok niej spoczywał wypatroszony plecak, trzy otwarte książki, zeszyt i rozłożona żółta teczka na papiery. Laurel z trudem mogła dostrzec wolny skrawek dywanu.

- Co się stało? - Thalia aż usiadła, gdy zobaczyła siostrę.

- Wujek Marty - odparła Laurel, jakby jego imię zawierało w sobie wszystko, co chciała wyrazić.

Thalia zrobiła jedną z min ojca, wlepiając w Laurel zapalczywe ptasie spojrzenie, wytężone i niesamowite, jak gdyby chciała przejrzeć ją na wylot, by dojrzeć coś pięknego albo osobliwego, co kryje się za jej plecami. Potem zamrugowała i stwierdziła rzeczowym tonem:

- Wciąż nosisz te sztuczne cycki.

Wzięła do ręki różowy marker i położyła sobie na kolanach książkę do historii. W tym momencie odgrywała pilną uczennicę, nie zwracając uwagi na obecność siostry. Laurel wzięła swoje domowe ubranie i poszła do łazienki, aby się przebrać i wyrzucić płatki kosmetyczne. Odrobiła zadanie i zjadła owsiane ciasteczka, które przyniosła jej matka, dokładnie tak, jak codziennie po powrocie ze szkoły.

Przy obiedzie wuj Marty zachowywał się normalnie, udawał, że nie zauważa matki, żartował z ojcem i nazywał Thalię „damą z kucykami”. Laurel z trudem przełykała zupę pomidorową, która miała gorzki smak, a prażony ser stawał jej w gardle jak woskowe grudy. Marty był dla niej przegrany pod każdym względem. Z drugiej strony jednak ledwie go zauważała. Był jak ruchoma kolorowa plama, a błękit i rdzawa czerwień jego koszuli wsiąkały w żółte tło tapety, zlewając się z innymi kształtami przy stole. Jedynym obiektem o wyostrzonych konturach była matka, która siedziała na końcu stołu, najbliżej kuchni, i wytworzenie delektowała się zupą.

- Czy mogę odejść? - zapytała Laurel.

- Ja też - zawtórowała jej Thalia.

Matka skinęła głową, a one jak na komendę odsunęły się z krzesłami i wzięły swoje talerze, aby odnieść je do zlewu. Wuj Marty pociągnął Laurel za długi warkocz, kiedy próbowała przemknąć obok, nie dotykając nawet jego krzesła. Utkwione w niej spojrzenie było jak najbardziej normalne, jak gdyby to był ten sam Marty, co zawsze. Matka nie ruszała się z miejsca, pozwalając mu patrzeć na Laurel i dotykać jej warkocza tymi samymi zgrubiałymi palcami, które wydawały chrapliwy odgłos, pocierając o tkaninę jego spodni.

- Thalia, najlepiej jak pójdziesz do łóżka - odezwał się Marty. - Musimy dotrzeć do Alabamy przed wschodem słońca, jeśli chcemy upolować dla nich tego jelenia.

Laurel zatrzymała się przy krześle Marty'ego. Jej warkocz wydawał się wyposażony w zakończenia nerwowe i wciąż czuła na nim dotyk

jego palców. Matka nakładała owoce na talerz ojca, a jej twarz była pozabawiona wyrazu. Nawet nie uniosła wzroku.

„Prymulka”, pomyślała Laurel, ale to nie było to słowo. Potem dowiedziała się, jak to nazwać, kiedy w jednym z należących do matki numerów „Reader's Digest” natrafiła na właściwe słowo. To słowo brzmiało „współudział”.

Matka nie była zaskoczona. Było to coś, czego Laurel nie potrafiła jej wybaczyć. Matce nie zaparło tchu ze zdziwienia, ani nawet nie westchnęła. Musiała już wiedzieć, że Marty jest taki. Kilka miesięcy wcześniej nauczycielka od gimnastyki pokazywała im przeznaczony tylko dla dziewczynek film, z tych, co to opowiadają, jak się dostaje okres. Ten był o zbokach, jak to określała Tammy, przyjaciółka Laurel. Rozśmieszała ją przez cały czas, szepcząc podejrzliwie o nauczycielu matematyki, który nosił ogromne wasy. Ale oto Laurel miała naprawdę przed sobą kogoś takiego i był to jej wujek siedzący z nią przy stole, a matka musiała o tym wiedzieć. Wiedząc o tym, pozwalała jej zapraszać koleżanki, kiedy był u nich Marty. Miesiąc wcześniej Thalia spróbowała seksu oralnego z chłopakiem ze szkoły średniej.

- Smakuje jak kurczak - oznajmiła siostrze radosnym szeptem.

Czy była to forma odreagowania, o czym mówił film, czy po prostu Thalia była sobą? Czy Thalii również wujek zadał kiedyś to pytanie? Zapytał ją, czy chce zobaczyć?

Jeżeli zapytał i jeżeli Thalia w ten sposób odreagowywała, to matka była winna współudziału. Teraz chciał pokazać Laurel, ulubienicy matki, matka tymczasem pozostawała ślepa, bierna i niewzruszona.

Laurel stała, jakby zapuściła korzenie obok krzesła Marty'ego, wciąż trzymając w ręku brudny talerz i czekając, dopóki jej oczekiwanie nie stało się widoczne. Dawała matce czas, aby ta wstała i wyłupiła Marty'emu oczy albo przejechała kuchennym nożem po palcach, które dotykały jej warkocza. Ale matka nie ruszała się z miejsca. Thalia zatrzymała się przy wahadłowych drzwiach, a ojciec odłożył widelec i patrzył pytająco na Laurel, unosząc brwi. Marty wykręcił szyję i spoj-

rzał za siebie, z taką samą miną, jaka malowała się na twarzy ojca. Tylko matka nie przerywała jedzenia.

- Chcę iść z wami na polowanie - odezwała się Laurel.

Matka zastygła z łyżką na wpół zanurzoną w talerzu.

- Jesteś za mała - zachichotał ojciec.

- Jestem teraz w szóstej klasie - odparła Laurel. - A Thalii pozwoliłeś, jak była w czwartej.

- W szóstej klasie? - zdziwił się Marty. - Już?

- Och, proszę, ona wszystko zepsuje - weszła mu w słowo Thalia.

- Traci przytomność nawet na widok zadraśniętego kolana.

- Chcę iść. To jest bezpieczne - upierała się Laurel, patrząc na matkę. - Jeśli tato i Thalia będą ściągać jelenia, nic mi nie będzie. Zostanę z wujkiem Martym.

Laurel widziała, że matka z trudem przełyka ślinę, jej spojrzenie tężeje.

- Nie będzie żadnego strzelania, dopóki nie pójdziesz ze mną i z Thalia na poligon - oświadczył ojciec.

Mówiąc o „poligonie”, miał na myśli pusty skrawek pola, gdzie spędzał kilka godzin w każdą sobotę. Wraz z Thalia zabierali pudełka naboju, wszystkie jego trzy strzelby i pistolet do kompletu. Ustawiali w rzędach dwulitrowe butelki albo puszki po coli i strzelali do nich tak długo, aż zamieniały się w poskręcane strzepy plastiku i blachy.

Laurel przyłączyła się do nich raz czy dwa, ale nie podobało się jej to drapieżne spojrzenie ojca utkwione w połyskujących puszkach, które ustawiała dla niego Thalia. Kiedy była tam z nimi ostatnio, ojciec zaczął strzelać z pistoletu z takim zapamiętaniem, że nie mógł przestać, nawet kiedy skończyły mu się naboje. Pociągnął jeszcze z pięć razy za spust, zanim się zorientował, a potem zaproponował Laurel następną kolejkę.

- Byłam już na poligonie - odpowiedziała mu teraz.

- Ale nie potrafiałabyś jeszcze upolować jelenia - odparł ojciec. - Jedyne możesz iść i się przyglądać.

Matka przekroiła na pół kawałek melona, który nadziała na widelec i włożyła do ust, a potem zaczęła starannie przeżuwać w milczeniu.

- Pozwoliłabyś mi z nimi pójść? - zapytała Laurel, spoglądając na matkę.

- Mamo, obiecałaś, że upieczecie ciasteczka na nasz powrót - odezwała się Thalia.

- Pozwolisz? - powtórzyła Laurel. - Będę mogła z nimi iść?

- Polowanie oznacza, że będziemy strzelać do zwierząt, dopóki nie wyzioną ducha. - Thalia nie dawała za wygraną. - One mają flaki, wiedziałaś o tym? A my wypruwamy z nich te flaki, Jezusowy Robaczku, i rzucamy na ziemię.

- Nie używaj imienia Bożego nadaremnie, Thalio - zganiła ją matka.

- Patrzcie, ona już się robi zielona, kiedy o tym mówię - ciągnęła Thalia.

Matka przekroiła kolejny kawałek melona na pół.

- Gwoli sprawiedliwości, twoja siostra ma prawie dwanaście lat i może iść, jeśli chce - powiedziała, po czym dodała po krótkiej chwili: - Chcesz iść?

Równie dobrze mogłaby spojrzeć na Laurel i powiedzieć: „Nie kocham cię”.

- Tak, mamo - odparła Laurel. - Jeśli mi pozwolisz, to pójdę.

Tamtego wieczoru Laurel położyła się spać otoczona przez posępny świat, gdzie osoba, do której była najbardziej przywiązana, siedziała, uśmiechając się w milczeniu, i pozwoliła jej podreptać na spotkanie niebezpieczeństwa.

Laurel nie doceniała jej jednak.

Matka przywiązywała tak wielką wagę do przywoitości, że sypiała na osobnym łóżku. Thalia nazywała przestrzeń między łózkami rodziców Wielką Przepaścią i jak twierdziła, jej istnienie stanowiło dowód, że ktoś musiał zdobyć się na odwagę, aby ją przekroczyć. Była skłonna iść o zakład, że to ojciec.

- Wrócił co najmniej jeszcze raz - zaprotestowała Laurel, kiedy siostra po raz pierwszy wyłożyła jej swą teorię.

Thalia wyszczerzyła wszystkie białe zęby w uśmiechu.

- Nie - odparła. - Podejrzewam, że mama poczęła cię całkiem samodzielnie.

Tamtej nocy matka musiała obrócić się na swym łóżku przodem w stronę ojca i opowiedzieć mu wszystko, szepcząc w ciemną pustkę. Być może nie powiedziała nic na temat Laurel czy tamtego popołudnia. Bądź co bądź Thalia była starsza i dojrzała wcześniej. Gdyby Thalia była w to wmieszana, wyjaśniałoby to wiele jej zachowań, które wymagały wyjaśnienia, a Thalia była oczkiem w głowie ojca.

Cokolwiek powiedziała matka, to wystarczyło. Jej słowa musiały godzinami odbijać się echem w przestrzeni między ich łóżkami, przybierając na sile. Zalęgły się w ojcu i pulsowały w jego żyłach, wędrowały od serca do mózgu i z powrotem, krążąc tak przez całą długą noc aż do rana. A potem w lesie, gdy jeleń rzucił się do ucieczki, Marty powiedział coś i znalazł się w zasięgu wzroku ojca, a on zacisnął mocno palec na spuście.

To nie mogło być zaplanowane. Ojcu nigdy by nie przyszło na myśl, by zastrzelić brata na oczach swych córek. To była kwestia chwili i Laurel wierzyła, że gdyby ojciec tylko mógł, powstrzymałby ten pocisk i cofnął czas do momentu, zanim rozległ się strzał. Ojciec odwracał ciało Marty'ego z taką troską i ostrożnością. Zatykał dłońmi ranę, próbując zatamować krew i ze wszystkich sił pragnął, aby jego brat nie umarł. Nigdy nie przestał tego żałować i chociaż to on pociągnął za spust, Laurel była przekonana, że ocalił ją szept matki.

Matka już od wczesnych lat była ślepa na ohydę tego świata, a ponieważ dorastała w DeLop, taka zdolność dawała gwarancję przetrwania. Jeśli jednak chodziło o Laurel, nie była ślepa. Aby ją chronić, była gotowa stawić czoło wszystkiemu.

Do tego też sprowadzało się wszystko, co Laurel robiła teraz. Chroniła swe dziecko. Musiała wciąż sobie o tym przypominać, a przychodziło

jej to z coraz większym trudem, gdy samochód gnał z powrotem w stronę Pensacoli. Podróż do domu upływała w szaleńczym tempie.

Thalia bawiła się przyciskami, odchylając i prostując oparcie swego fotela. Znalazła wyłącznik ogrzewania i dźgała go palcem, patrząc, jak zapala się czerwona kontrolka.

- To służy do podgrzewania dupy? - zapytała pogardliwie.

- Taksądzę - odparła Laurel.

- Masz za dużo pieniędzy - stwierdziła Thalia i spojrzała na tylną kanapę, gdzie w równym rzędzie spoczywały jej trzy walizki oraz Bet wraz ze swym czarnym foliowym workiem, jednakowo pogrążone w milczeniu. Bet wciąż słuchała muzyki, która była tak głośna, że do uszu Laurel dobiegał głos Justina Timberlake'a ryczący w słuchawkach.

- Wiesz, kogo mi ona przypomina? - Thalia wskazała kciukiem za siebie.

- Kto? - spytała Laurel. - Ta dziewczynka, która jedzie z nami?

- Tak. Ta ze słuchawkami w uszach - potwierdziła Thalia. - Pamiętasz, jak tuż po urodzeniu Shelby chciałaś mieć kolejne dziecko?

- Nie, nie chciałam - zaprzeczyła Laurel.

- Ależ tak. Przynieśli ci Shelby do twojej sali, a ty wciąż byłaś zprawiona po epiduralu. Mój Boże, to trwało piętnaście godzin. Spojrzałaś na pielęgniarkę i zapytałaś, jak długo potrwa, zanim będziesz mogła, no wiesz, pozbierać się i znów ujeżdżać swego mechanicznego byka...

- Nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała - wzburzyła się Laurel, po czym zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Głowa Bet podrygiwała lekko, a jej oczy zdawały się na nic nie patrzeć.

- Nie takimi słowami. Jestem pewna, że użyłaś określenia „uprawiać piękną miłość z robotem”, ale chodziło ci o to samo. Siedziałaś tam z trzykilowym dzieckiem w ramionach i wtedy zauważyłam, jak wierzysz dupcią, która swoją drogą musiała cię boleć jak skurwysyn. Powiedziałam ci: „Tylko nie mów, że cię zbiera na czułości, Robaczku. Kim ty jesteś, chomikiem?”. David był purpurowy.

- W ogóle tego nie pamiętam - odparła Laurel, po czym zamilkła, ponieważ wszystko sobie przypomniała. - Och, Boże, zapasowe dziecko.

Shelby była bardzo czujna przez kilka godzin tuż po narodzeniu. Opatulona w powijaki wpatrywała się w Laurel z uroczystą miną na pomarszczonej małpiej twarzyczce. Miała ciemne, poważne oczy, które mrużyła w ostrym świetle, i ani śladu włosów na główce. Była taka wiotka i bezbronna, śliczna i doskonała. Laurel nie mogła uwierzyć, że to jest istota, którą przed niecałą godziną miała w swym brzuchu i którą stworzyła wraz z Davidem. Nie mogła się pogodzić z tym, że Shelby musi oddychać szpitalnym powietrzem, w którym mogły się unosić zabójcze bakterie, albo pić mleko z piersi skażonej chipsami, które Laurel jadła, gdy odeszły jej wody.

W jej przemęczonej głowie pojawiła się szalona myśl: „Muszę mieć coś na podmiankę”. Bez zastanowienia zapytała pielęgniarkę, kiedy ona i David będą mogli znów spróbować. Chciała czegoś dodatkowego. Gumowatego dziecka bez twarzy, które byłoby kimś innym niż Shelby. Nie kochałaby go tak bardzo. Byłoby to wrzaskliwe dziecko, głośny wabik dla odwrócenia uwagi, który mogłaby wystawić drapieżnemu światu na żer, podczas gdy Shelby ukryłaby w jakimś bezpiecznym i tajemniczym miejscu.

- To były popołogowe majaki - wyjaśniła Laurel. - W gruncie rzeczy nie chciałam przecież zapasowego dziecka.

W ogóle nie chciała żadnego innego dziecka, tak ogromna i bezrozumna była jej miłość do Shelby. Nie wybierała tego uczucia. To było coś, co się jej przytrafiło, i nie umiała sobie wyobrazić, że znów rozmyślnie podjęłaby podobne ryzyko. Gdyby urodziła drugie dziecko, pachniałoby ono tak samo, jak pachniała Shelby. Wydawałoby takie same bezbronne odgłosy jak ona. Zanimby jeszcze przyszło na świat, wierciłoby się i kopało z takim samym zapałem, a Laurel zatraciłaby się jeszcze bardziej w kipiącej potędze miłości.

Kiedy Shelby rosła, zmieniała się i stawiała pierwsze niepewne kroki, Laurel wyobrażała sobie czasem jej brata lub siostrę, ale potem

widziała, jak każde z dzieci podąży w innym kierunku. Nie potrafiła by chronić każdego z nich, rozdziwić się, aby stanąć pomiędzy nimi a wszystkimi okropieństwami tego świata.

- Chcesz znowu spróbować? - pytał David od czasu do czasu.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz - odpowiadała za każdym razem, aż w końcu przestał pytać.

- Dla mnie to był fantastyczny pomysł - oświadczyła Thalia. - Moglibyśmy nazwać to zapasowe Pacynką. Myślę, że Pacynka byłaby najbardziej obłądnym imieniem dla dziecka.

- Pozwolę sobie zauważyć, że skoro chciałaś mieć dziecko o imieniu Pacynka, mogłaś wyjść za normalnego faceta i sobie takie urodzić - odcięła się Laurel.

- No już dobrze, koteczku, schowaj pazurki. - Thalia się roześmiała. - Wspomniałam o tym, bo kiedy spojrzałam na tylną kanapę, przypomniałam sobie o tym zapasowym dziecku, całym z gumy. No i proszę, trzynaście lat później pojechałaś do DeLop i sobie takie znalazłaś.

- Thalia! - wzburzyła się Laurel, bardziej niż powinna, głównie dlatego, że w słowach siostry był nikły cień prawdy. - To jest obrzydliwe.

- To chyba nic nowego. - Thalia wzruszyła ramionami. - Obudź mnie, kiedy dojedziemy do Tary.

Znów zaczęła manipulować przy guziczkach, odsuwając swoje siedzenie do tyłu i odchylając oparcie tak daleko, jak tylko się dało. Potem zamknęła oczy. Thalia sypiała jak żołnierz, krótko i wszędzie, gdzie znalazła wygodne miejsce. Po dwóch minutach spała w najlepsze.

Dało to Laurel chwilę do namysłu. Zastanawiała się, jak właściwie powinna wytłumaczyć się przed Davidem ze swego kłamstwa. Celowo zwolniła i obniżyła wskaźnik automatycznej kontroli prędkości, ale miała wrażenie, że czas upływa zbyt szybko, a podróż przypomina pokaz slajdów - most, granica stanu, zjazd z autostrady, brama z kutego żelaza. W końcu samochód wtoczył się na podjazd przed domem.

Powieki Thalii uniosły się w momencie, kiedy zgasła silnik.

- Jesteśmy już? - Usiadła prosto, wydając jęklivy odgłos. - Cholera, jesteśmy. Nigdy nie spałam tak mocno.

- Wyrażaj się. - Laurel odchyliła głowę do tyłu, wskazując na Bet, która wyciągała właśnie słuchawki z uszu.

- Tak, w porządku. - Thalia znów stęknęła i zaczęła wysiadać z samochodu. - Wybacz, Bet, na moment zapomniałam o twoim istnieniu.

Laurel i Bet również wysiadły, po czym wspólnie wypakowały walizki. Laurel otworzyła drzwi i puściła przodem Thalię i Bet, przeklinając własne tchórzostwo.

Przeszły przez korytarz, minęły salon oraz jadalnię i dotarły do pokoju kominkowego. David był w kuchni i wkładał naczynia do zmywarki. Shelby siedziała zgarbiona przy stoliku śniadaniowym, a na talerzu leżały przed nią pozostałości jakiejś kanapki.

Kiedy David je zauważył, najpierw zrobił zdumioną minę, a potem uniósł wysoko brwi, próbując pojąć, co się dzieje. Wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony, tymczasem Shelby na widok Thalii i Bet wydała najszcześliwszy okrzyk, jaki Laurel słyszała w ciągu ostatnich dwóch dni. Zerwała się z wigorem od stolika i padła w ramiona Thalii, która musiała upuścić walizkę, żeby móc ją objąć.

- Słodkości ty moje. - Thalia cmoknęła ją przeciągle w policzek.

- I Bet też wróciła! - Shelby niemal piszczała z zachwytu, wciąż trzymając Thalię w uścisku. Potem zwróciła się do Laurel: - Co się stało, mamo?

- Zdawało mi się, że naprawdę chcesz, żeby Bet tu została, więc postanowiłam, że powinna dokończyć swoją wizytę. A ja chciałam, aby była tu ze mną Thalia, tak samo jak ty chciałaś Bet. - Laurel spojrzała na Davida, kończąc ostatnie zdanie, ale jego twarz wciąż była pozabawiona wyrazu.

- Thalio - odezwał się David, kiwając zdawkowo głową w jej stronę.

- Davidzie - powiedziała Thalia, odpowiadając mu dokładnie takim samym skinieniem.

- Mogę zobaczyć, co się stanie z tym chłopcem? Z tego filmu? - zapytała Bet, zwracając się do Shelby.

- Pewnie, że możesz. Możemy rozpakować twoje rzeczy, ciociu Thalio?

W szafie Thalii nie było niczego poza džinsami, podkoszulkami i elastycznymi kombinezonami, ale w podróż zabierała rzeczy z magazynu kostiumów teatralnych. Shelby uwielbiała grzebać w jej walizkach.

- Oczywiście. Pomóżcie mi, dziewczynki, zanieść ten bagaż na górę. Bet, mam nadzieję, że śpisz w małym pokoju gościnnym, bo ja właśnie wtykam francuską flagę w sypialnię z wielkim królewskim łożem. A Francja to ja.

- Ze co? - zapytała Bet.

- Tak, ona śpi naprzeciwko mnie - odparła Shelby.

Zaczęły dźwigać walizki po schodach, a Shelby przystanęła i spojrzała przez ramię na Laurel.

- Dzięki, mam - poruszyła bezgłośnie ustami.

Laurel została sam na sam z Davidem. Stali po przeciwnych stronach niskiego blatu, który oddzielał kuchnię od pokoju kominowego.

- Rozumiem. - David odezwał się pierwszy. - Naprawdę rozumiem.

- Proszę, nie bądź zły - powiedziała Laurel.

- Nie jestem zły - odparł. Ze złością w głosie.

- A wiesz dlaczego? - spytała.

David miewał do czynienia z nieprawdopodobnie zawiłymi obliczeniami, więc tak prosty rachunek nie stanowił dla niego problemu. Było oczywiste, że Laurel nie wyprowadziła matki z błędu i pojechała do Mobile. Przypuszczalnie domyślał się również, że w rzeczywistości Laurel nie zadzwoniła do Sissi Clemmens. David mógłby mierzyć się z Sherlockiem Holmesem, jeśli trzeba było wyjaśnić, kto, kiedy i jak, jednak motywy nie były jego mocną stroną.

- Musisz wiedzieć dlaczego - dodała.

- To nie ma znaczenia - odparł. - Powiedziałem ci, że jej tu nie chcę, a ty mimo to ją przywiozłaś. Jest zatem jasne, że ty potrzebujesz jej bardziej, niż ja jej nie znoszę.

- Właśnie tak jest - potwierdziła Laurel. - To tak, jak wtedy, kiedy urodziła się Shelby. Pamiętasz?

Po czternastu godzinach ciężkiego porodu bez wyraźnych postępów lekarz oznajmił, że pora zacząć myśleć o cesarskim cięciu. Laurel wysłała Davida do poczekalni, aby przyprowadził Thalię. Był tak zdenerwowany, że nie chciał jej zostawiać, ale w końcu go ubłagała. Wrócił z jej siostrą, po czym stanął z boku. Laurel tak mocno ścisnęła go za rękę, że czuła, jak trzeszczą jego kości, ale to Thalia nazwała ją ciotką i powiedziała, że „pora wziąć się w garść i przeć”. Laurel była wściekła, że siostra zwraca się do niej jak do mężczyzny, ale to zadziało. Zebrała się w sobie i przeklinając Thalię, wypchnęła z siebie Shelby na świat.

- Pamiętam - odpowiedział David, naprężając mimowolnie rękę, jakby na wspomnienie jej uścisku.

- Czy między nami wszystko w porządku? - zapytała Laurel.

- Między nami zawsze jest wszystko w porządku. - David machnął ręką. - Ale ja idę na dół pracować przez najbliższe... Na jak długo? Kilka dni?

- Tak, może kilka dni.

- Bo przywiozła tyle bagażu.

- Thalia zabiera ze sobą tyle rzeczy nawet na jedną noc - wyjaśniła Laurel.

- Wszystko jasne. No dobra. Zobaczmy, co będzie. Jest w porządku - mówił bardziej do siebie niż do niej. - Muszę wracać do pracy. Powinienem złapać w sieci programistkę z Richmond Games, żeby przetestować jeszcze tę grę.

- Jasne - odparła Laurel. - Idź zamienić się w Dave'a.

David ruszył w stronę schodów prowadzących do piwnicy tak sztywnym krokiem, jakby bolały go nogi.

- Jesteś zły - odezwała się Laurel.

- Tak, trochę jestem zły. - Jego głos był lekko podniesiony. Potem zatrzymał się, wziął głęboki oddech i odwrócił się przodem do niej, po czym dodał spokojnym tonem: - Ale będę na dole, gdybyś mnie potrzebowała, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała, patrząc za nim, jak schodzi po schodach.

Z każdym krokiem jego głowa opuszczała się coraz niżej, jakby zapadał się w siebie. Powiedział jej, że jest na tyle blisko, by mogła go wezwać w razie potrzeby, i czuła, że było to szczere, aż do momentu, kiedy znikł jej z pola widzenia.

Rozdział 9

Długie ciało Thalii spoczywało rozciągnięte na drewnianej podłodze w jadalni Laurel. Leżała na plecach ze złączonymi nogami, a jej kręgosłup wyginał się w łuk, kiedy rozciągała się w promieniach porannego słońca, które wpadały do środka przez wielkie okno wykuszowe, rozświetlając jej włosy. Thalia miała włosy o dwa odcienie jaśniejsze niż Laurel, w kolorze kukurydzy, takie jak matka za młodu. Laurel przyklękła obok jej stóp, cały czas zerkając przez okno.

Thalia była znów prawie naga. Tym razem miała na sobie elastyczny sportowy biustonosz o tak skąpych rozmiarach, że trudno byłoby go pomylić z podkoszulkiem. Jej biodra opinały krótkie spodenki, które zsuwały się z każdym ruchem, odsłaniając skrawek pośladków. Thalia nie miała ani odrobiny cellulitu, a jej piersi przypominały dojrzałe śliwki, jędrne i wysoko osadzone.

- Czasami aż cię nie cierpię - odezwała się Laurel, patrząc na płaski brzuch siostry.

- To joga - odparła Thalia. - I zdrowy styl życia. Widzisz go już?

- Jeszcze nie.

Thalia usiadła i wciąż trzymając kolana razem, zgięła się w pasie i dotknęła dłońmi palców u nóg.

- Boże, któż biega w południe na Florydzie? - zapytała, naprężając swe długie stopy.

- On nigdzie nie pracuje - wyjaśniła Laurel. - Myślę, że to pierwsza rzecz, jaką robi rano.

- Czy Data* jest na dole?
- David - poprawiła ją Laurel. - Pracuje dziś w biurze. A jakie to ma znaczenie?
- Jeśli Stan Webelow pójdzie na moją propozycję, będziemy potrzebowali jakiegoś miejsca. - Thalia wyszczerzyła wszystkie zęby w uśmiechu.
- Och, co za świństwa. - Laurel skrzywiła usta, gdy oczyma wyobraźni ujrzała śliskie od potu, złociste ciało Stana Webelowa w samych tylko krótkich spodenkach. - Nie będziecie potrzebować.
- Weź się w garść, Robaczku - powiedziała ze śmiechem Thalia, po czym wstała i wyciągnęła ramiona wysoko w górę, w stronę sufitu.
- Jeśli jest gejem, rozpoznam go w trzy minuty. Jeśli nie, idę o zakład, że będę to wiedziała już po dwóch. W obu wypadkach będziemy mogły skreślić go z listy i zacząć szukać tam, gdzie powinnyśmy. To zawsze jest rodzina.
- Skończyła się rozciągać i przyklekła obok Laurel. Obie wyglądały przez okno, bacznie lustrując ulicę niczym krokodyle. Nawet przez cienką zasłonę Laurel widziała, jak gorące powietrze drga, unosząc się nad asfaltem.
- Barb i Chuck Dufresne'owie wydają się tacy... normalni - odparła Laurel.
- Z zewnątrz nawet nasza rodzina sprawia wrażenie normalnej. - Thalia parsknęła śmiechem. - O ile pamiętam, Chuck Dufresne to dupek. Jak on ją nazywa? Zajączkiem?
- Króliczkiem.
- Otóż to. A ona pije jak smok.
- Boże, ona to pije - przyznała Laurel. - Zawsze pilnowałam, żebym to ja podwoziła dziewczynki. Nawet w ciągu dnia. Po prostu dla pewności. Ale nie wyobrażam sobie, żeby oni mieli z tym coś wspólnego.

Data to imię androida, bohatera serialu *Star Trek*.

- Więc powinnaś zbadać sprawę, żeby móc ich wykluczyć, ja tymczasem pocieram się o Stanleya na drodze i zobaczymy, czy coś się podniesie...

- Thalio!

- Ja tylko nazywam rzeczy po imieniu, Jezusowy Robaczku. Założę się, że trzymasz w zamrażarce zapiekanki, w sam raz na stypę, prawda? Dobry pretekst, żeby złożyć jej wizytę? - Thalia obróciła twarz ku siostrze i wbiła w nią przenikliwe spojrzenie, a gdy Laurel nie odpowiadała, roześmiała się i dodała: - To znaczy, że zgadłam. Wyciągnij jedną, żeby się rozmroziła. Musimy zamienić chociaż słówko z Króliczkim. Chyba że wolisz zakraść się w środku nocy jak kot przez okno do ich domu i przetrząsnąć pokój Molly w poszukiwaniu jej pamiętnika, w którym pisałyby, że matka ją biła?

- Nie, absolutnie. W żadnym wypadku - zaprotestowała Laurel.

Propozycja Thalii zabrzmiała raczej jak żart, ale z Laurel lepiej było rozmawiać konkretnie. Z tego też względu Thalia nie oświadczyła definitywnie, iż nie zamierza bałamucić Stana Webelowa w jej piwnicy. Laurel zanotowała w pamięci, by po wyjściu Thalii zamknąć drzwi na zasuwkę, tak na wszelki wypadek.

- Nie mówiłam poważnie, ty cioto. A to oznacza, że musimy zostać zaproszone do środka niczym spalone, apetyczne muchy. Kto zatem jest Panią Pajęczycą? Kto wyczuwa najdrobniejsze drgania na osiedlowej pajęczynie?

- Trish Deerbold - odparła Laurel po chwili zastanowienia. - Ale nie jesteśmy przyjaciółkami.

- Nie, nie chodzi mi o to, która nadziana jędra zna wszystkie plotki. Mam na myśli kogoś, kto jest na pierwszej linii. Kto pilnuje tej komedii i obdzwaniania całą okolicę, by dograć termin kolacji, gdy jedna z tych krów powije cielę?

- No cóż, Thalio. To ja - oznajmiła Laurel.

Thalia spojrzała na nią skonsternowana, po czym ukryła twarz w dłoniach.

- Czasami się zastanawiam, czemu jeszcze nie wyrznęłaś w jakiś mur, żeby zakończyć ten żywot - wymamrotała przez palce.

Laurel, która czasami myślała o swej siostrze to samo, musiała mocno przygryźć wargę, by jej tego nie powiedzieć.

- No dobra, skoro ty jesteś Kirkiem, to kto jest twoim Spockiem?

- Thalia uniosła głowę.

- Pająki, krowy, *Star Trek*. Zadręczasz mnie. Nie możesz wyrażać się prościej?

- Wybacz, Robaczku, ale spiskowanie wymaga obrazowego języka. - Thalia pokręciła głową.

- Coś tu jest bardzo nie w porządku - wzburzyła się Laurel. - To nie zabawa.

Thalia znieruchomiała. Wciąż wypatrywała Stana Webelowa, nie odrywając wzroku od ulicy, ale kiedy mówiła, jej głos stał się bezbarwny i zimny jak stojąca woda.

- Ja się nie bawię. Niedługo złożą do ziemi to biedne dziecko, które kochała Shelby. Shelby nie jest sobą. Widzę to. Tak, jakby zgasło światło. Jeżeli jakiś skurwiel przyłożył do tego ręki, znajdziemy go i dopilnujemy, żeby pożałował.

Laurel uwierzyła w słowa siostry. W milczeniu klęczały obok siebie przy oknie i Laurel żałowała, że David nie widzi ich w tym momencie. Wskazałyby na Thalię, która obserwowała ulicę jak wytrawny snajper, i powiedziałyby mu: „Oto dlaczego cię okłamałam. Właśnie po to pojechałam”.

- Ale na tym etapie będziemy traktować to jako zabawę - dodała Thalia swym normalnym tonem. - Musimy, w przeciwnym razie oszaleję z wściekłości, a ty się rozpłaczesz i będziemy do niczego. Nie myślmymy o całej tej sprawie. Będziemy skupiać się na drobnych elementach i udawać, że każdy z nich to jedna całość. Zadanie na dziś? Ja uderzam w zaloty do Stana Webelowa i zamierzam wygrać. Ty bierzesz się do Dufresne'ów. No więc kto jest twoim Spockiem?

- Mindy Coe? - odparła Laurel. - Mieszka obok.

- Zadzwoń do niej i dowiedz się, kiedy jest pogrzeb. Pewnie coś już wiadomo, skoro policja umorzyła... - Thalia zamilkła gwałtownie i w ciszy Laurel usłyszała odgłos kroków.

Do holu weszły, powłócząc nogami, Shelby i Bet Clemmens. Shelby trzymała podłużne, płaskie pudełko.

- Czy możemy... - zaczęła i przystanąła w miejscu, po czym spytała zdziwiona: - Co robicie na podłodze?

- Rozciągamy się - wyjaśniła Thalia. - Idę pobiegać. Czego potrzebujesz, Shel?

- Nudzi się nam - oświadczyła Shelby. - Możemy zagrać w tę grę?

- Jasne - odezwała się Laurel. - Weźcie ją do bawialni.

- Ale ja pytałam cioci Thalii. Znalazłyśmy to w jej walizce.

- Nie zgubcie żadnego z elementów - powiedziała Thalia i odwróciła się z powrotem do okna.

Laurel popatrzyła na pudełko w rękach córki i przyjrzała mu się dokładniej. Było to stare pudełko, tak stare, że jego kartonowy bok był wgnieciony do wewnątrz i nie mogła odczytać, co jest na nim napisane, jednak kształt drobnych liter pokrywających denko wydał się jej znajomy.

Wstała tak gwałtownie, że zatrzęszczały jej kolana. Podeszła do Shelby i zobaczyła wieczko w kolorze sepii, na którym znajdował się obrazek przedstawiający planszę do gry. Na środku umieszczono wszystkie litery alfabetu ułożone w dwóch rządach wygiętych na kształt tęczy. Wszystkie miały staromodny krój, pełen ozdobników i zawijasów. W prawym górnym rogu znajdowało się blade słońce ze słowem „tak” pośrodku, a czarny księżyc o ponurym profilu był opatrzony słowem „nie”. Na spodzie, między dwoma Oczami Opatrzności, rozciągało się słowo „żegnaj”.

Laurel wyrwała z rąk Shelby swoją starą tabliczkę ouija. Był to najbardziej poroniony prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek podarowała jej Thalia, nie licząc wodnego stanika, który dostała od niej przed ośmiu laty.

- Nie - powiedziała. - Nie będziecie się tym bawić.

Nawet ona sama nigdy tego nie zrobiła. Zdawała sobie sprawę, czym to pachnie, chociaż przed laty siedziała na łóżku oparta plecami o ścianę i tylko patrzyła, co wyprawia Thalia i jej koleżanki. Duchy, które wywoływała Thalia, zawsze były gadatliwe i miały lubieżne myśli, a Laurel nigdy się nie zastanawiała, kto operuje wskaźnikiem.

- Idźcie się pobawić Xboksem - dodała.

- Już się bawiliśmy - odpowiedziała Shelby.

- No to pobawcie się jeszcze trochę - rozkazała Laurel, patrząc na córkę.

- A możemy pobiegać z cicią Thalia? - zapytała Shelby.

- Nie - zaprotestowała Laurel jeszcze głośniejszym głosem. Cokolwiek Thalia zamierzała robić ze Stanem Webelowem, Shelby nie powinna na to patrzeć.

- Mamo, dobrze się czujesz? - Shelby wytrzeszczyła oczy.

Laurel wzięła głęboki uspokajający oddech i zrobiła krok w tył, wciąż przyciskając pudełko do piersi.

- Może byście... - zaczęła, po czym zamilkła przerażona.

Miała zamiar zasugerować dziewczynkom, żeby poszły się położyć koło basenu i czekały na nią kilka minut, aż przyjdzie ich przypilnować, kiedy będą pływać. Większość letnich dni spędzały, pływając w basenie albo wylegając się obok niego. Teraz przeszklone drzwi w pokoju kominkowym zasłonięto kotarą. Całe wnętrze było przyćmiewione, a jego złote i zielone barwy, tak ciepłe w świetle słońca, stały się nieprzyjazne.

- ...pobawiły się Xboksem? - dokończyła wreszcie.

- Mówiłaś to już. Nie jesteśmy chłopakami, przecież wiesz - odpada Shelby. - Już się nam znudził. Dlaczego nie możemy pobiegać z cicią Thalia?

- Dostałybyście udaru. - Był to jedyny argument, jaki przyszedł Laurel na myśl.

- Więc pozwól mi wziąć to ouija. - Shelby wzruszyła ramionami.

- To nie ła-ja, Shelby - odezwała się Bet Clemmens, zanim Laurel zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Mówi się „uj-dża”.

Shelby popatrzyła ze zdumieniem na Bet. Nawet Thalia odwróciła głowę, by na nią spojrzeć.

- Wiem, bo Della ma coś takiego. - Bet, przestępując z nogi na nogę, zarumieniła się.

To wszystko wyjaśniało - Della była córką ciotki Moff.

- A może byście się przebrały i po południu zawiozłabym was na twój kurs tańca? - Laurel zwróciła się do Shelby najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Niezły pomysł, prawda? Zobaczyłabyś się z koleżankami. Wydzieliła trochę endorfiny.

Shelby tak zrzędała mina, że jej twarz stała się nijaka i pozbawiona wyrazu niczym zamknięte drzwi.

- To my już pójdziemy się pobawić tym głupim Xboksem - oznajmiła.

Szybkim i precyzyjnym ruchem okręciła się na pięcie i odeszła. Bet podążyła za nią, ale po chwili przystanąła.

- Tak? - Laurel zwróciła się do Bet, ale dziewczynka czekała, dopóki na schodach nie rozległo się tupanie Shelby.

- Ja nie mam dość Xboksa - przemówiła prawie szeptem. - Niczego tutaj nie mam dość.

- To miłe, Bet. Dziękuję ci - odpowiedziała Laurel, lecz Bet zdążyła już czmychnąć i na schodach zadudniły jej kroki.

- To dziecko zaczyna tu zapuszczać korzenie - stwierdziła Thalia. Laurel nie zwróciła jednak uwagi na jej słowa.

- Na cholere ci to? - trąciła siostrę kartonowym pudełkiem.

Thalia wzruszyła ramionami i odwróciła głowę, by wyrzec na ulicę.

- To on. - Odsunęła się od okna i poderwała na równe nogi.

- Niech to szlag! - Laurel cisnęła pudełko na stół.

Thalia już biegła w stronę frontowych drzwi.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie. - Laurel ruszyła za nią.

- Kiedy tylko minie zakręt, wychodzę - szepnęła Thalia, wyglądając przez wizjer. - Pobiegnę sprintem w przeciwną stronę, aż do

skrzyżowania, żeby się zmachać. Wycisnę z siebie trochę świeżego potu. Mężczyźni to lubią.

Laurel zignorowała jej słowa.

- Przywiozłaś to, żeby mi dopiec. - Machnęła ręką w stronę tabliczki ouija, choć Thalia i tak była odwrócona plecami.

- Nieprawda - odparła Thalia.

- Powiedziałaś, że chcesz mi pomóc, ale ty stroisz sobie żarty.

- Świetnie się zgrywamy w tym przełomowym momencie, naprawdę, Robaczku. - Thalia obróciła się w stronę siostry. - Ujmując to w skrócie, chodzisz we śnie. Z otwartymi oczami. Widziałam to. Zabrałam tę tabliczkę, bo pomyślałam, że zaaranżowana rozmowa z jednym z tych twoich tajemniczych przyjaciół pozwoliłaby twojej podświadomości wyjaśnić, co to był za cień, który widziałas na podwórzu. Co albo kto? Przywiozłam ją, żeby ci pomóc, a tymczasem twój potencjalny zboczeniec już minął dom. Mam za nim biec czy wolisz się kłócić o tę tabliczkę?

- Idź. - Laurel machnęła ręką.

Thalia wyśliznęła się na zewnątrz.

- Zadzwoń do Missy Coe - rzuciła w pośpiechu.

- Ona ma na imię Mindy - poprawiła ją Laurel, lecz Thalia właśnie zamknęła za sobą drzwi.

Laurel zaczęła już odchodzić, ale wróciła i przekręciła zamek, wkładając w to nieco więcej energii, niż było trzeba. Potem biegiem przemierzyła jadalnię i wpadła do kuchni przez wahadłowe drzwi. Tuż za nimi znajdował się niewielki wbudowany w ścianę blat. Laurel porwała bezprzewodowy telefon z ładowarki i pędem wróciła do okna. Tabliczka ouija leżała tam, gdzie ją zostawiła. Czarne i wyraziste litery odznaczały się na opakowaniu, a wszystkowiedzące oczy umieszczone w dolnych narożnikach zdawały się na nią łąpać. Laurel obróciła pudełko dnem do góry i zostawiła je tam, gdzie leżało. Na razie.

Znów przyklekła skulona nisko przy oknie. Thalia, która pognała sprintem do skrzyżowania, znikła już z pola widzenia. Czekając na nią,

Laurel zamierzała zadzwonić do Mindy, ale kiedy nacisnęła guzik telefonu, usłyszała sygnał, który przypominał o nieodebranych wiadomościach. Musiało się ich trochę nabierać, bo ostatnio unikała telefonu.

Automat poczty głosowej poinformował ją, że ma sześć wiadomości. Pierwsze trzy pochodziły od zatroskanych Mindy i Edie oraz jeszcze jednej przyjaciółki z kościoła. Czwartą nagrał jakiś reporter z „Pensacola News Journal”. Laurel usunęła ją po odsłuchaniu pierwszego zdania.

Przez szerokie okno widziała spory kawałek ulicy. Po prawej stronie zobaczyła Thalię, która wracała, biegnąc ze sporą prędkością.

Telefon odtwarzał piątą wiadomość. Laurel rozpoznała głos Trish Deerbold: „Och! Laurellll...”. Nacisnęła przycisk kasowania, zanim przebrzmiało długie i pełne żalu „l”.

Na zakręcie pojawił się Stan Webelow, który nadbiegał od strony ślepego zakończenia Chapel Circle.

Ostatnia wiadomość pochodziła również od Mindy. Laurel słuchała, patrząc jednocześnie, jak Thalia i Stan Webelow zbiegają ku sobie z przeciwnych stron po wąskim białym pasku chodnika.

„Skarbie, oddzwon do mnie, proszę” - mówiła Mindy. „Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, to tylko powiedz. Chciałam ci powiedzieć, że już podali termin pożegnania Molly. Pojutrze od siódmej do dziewiątej w Fernwood. Nazajutrz o dziesiątej odbędzie się pogrzeb”.

W zimie i jesienią Laurel biegała po tych samych chodnikach trzy albo cztery razy w tygodniu. Przy takiej pogodzie korzystała z bieżni stojącej w bawialni. Znała jednak zasady. Stan Webelow powinien usunąć się na trawę, mijając Thalię. Mężczyźni zawsze ustępowali miejsca kobietom, a młodsze kobiety zbiegały na bok, by przepuścić starsze. Wyglądało na to, że Thalia i Stan spotkają się dokładnie na wprost domu Laurel. Obydwoje byli tak spoceni, że nawet przez zasłony widać było ich połyskujące ciała.

Z telefonu wciąż dobiegał głos Mindy. Laurel nie skupiała się na jej słowach, patrzyła bowiem na swą siostrę biegnącą wprost na Stana, który właśnie unosił rękę w uprzejmym geście i już zbaczał na trawnik.

Wtedy jednak Mindy powiedziała coś tak dziwnego, że przykuło to z powrotem uwagę Laurel.

„Nikt nie ma do ciebie pretensji” - mówił nagrany głos Mindy Coe. „Nikt, nawet Dufresne'owie. Swoją drogą Króli... znaczy Barb, byłaby niezmiernie rada, widząc Shelby na ceremonii pożegnalnej. Absolutnie nikt o nic cię nie wini, Laurel”.

Przez myśl jej nie przeszło, że ludzie mogliby ją o coś winić. Zresztą dlaczego? Laurel zapisała wiadomość i znów spojrzała na ulicę, akurat w tym momencie, gdy Thalia i Stan dobiegali do siebie. Jak można było się spodziewać, Stan usunął się na trawnik, nie zwalniając biegu. Thalia również nie zwolniła. Kiedy ją mijał, straciła równowagę, jakby poplątały się jej nogi, i runęła prosto na niego, głową i rękami uderzając go w klatkę piersiową. Laurel poderwała się, ale zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że Thalia zrobiła to celowo. Stan Webelow upadał i Thalia upadała razem z nim, ześlizgując się po jego spoconym ciele.

Wylądował plecami na trawie, a ona na nim, z twarzą wciśniętą w jego brzuch, tuż nad ściągaczem skąpych szortów. Thalia, która w teatrze ćwiczyła techniki bezpiecznego upadania, zasłoniła się rękami, ale tak ugięła łokcie, że jej szyja i ramiona spoczywały na kroczu Stana. Stan Webelow zamarł w bezruchu, a potem wycofał się na rękach i nogach jak wystraszony krab. Thalia usiadła.

Laurel zaczęła się rozglądać, by sprawdzić, czy któryś z sąsiadów nie widzi tej sceny, a kiedy znów spojrzała na tamtych dwoje, ze zdumieniem zauważyła, że Stan robi dokładnie to samo - kręci głową, zerkając dokoła, czy nikt ich nie widzi. Była to dziwna reakcja. Laurel rozglądała się, gdyż wiedziała, że Thalia celowo doprowadziła do zderzenia. Ale czemu on? Wtem spostrzegł ją za zasłoną i wzdrygnął się, a Thalia tymczasem wstała, schyliła się i wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Jasna cholera! - zaklęła Laurel i upuściła telefon.

Telefon potoczył się po podłodze, a ona schyliła się i zaczęła go gonić na czworakach, starając się nie unosić głowy ponad parapet, świadoma własnej śmieszności. Stan i tak już ją zauważył.

- Ty też będziesz biegać? - usłyszała za plecami głos Bet Clemmens i krzyknęła wystraszona.

Odpełzła od okna i wyprostowała się dopiero w łukowato sklepionym przejściu prowadzącym do holu. Spojrzała na Bet, która właśnie wyszła z kuchni. Miała na nogach same skarpetki i bezgłośnie podrepotała w stronę okna.

- Chodź tu - przywołała ją Laurel stanowczym tonem.

- Rozciągałaś się? - spytała Bet z powątpiewaniem, patrząc na jej luźne lniane spodnie i sandały.

- No już, chodź tu - powtórzyła Laurel.

Bet niepewnie zerknęła przez okno i podeszła do Laurel.

- Shelby mnie przysłała i kazała spytać, czy możemy napić się coli - oświadczyła.

- Tak - odparła Laurel, myśląc gorączkowo, co powinna zrobić osoba, która była świadkiem takiego wypadku. Osoba, która nie szpiegowała, tylko widziała wszystko przez przypadek.

- To on tam jest przed domem, co? - Oczy Bet nabrały poważnego wyrazu. - Ten, u którego była Molly?

Laurel mrugała tak długo, że miała wrażenie, jakby zamknęła oczy. Doszła do wniosku, że taka osoba wyszłaby natychmiast na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało jej siostrze, której upadek widziała.

- Nie mów o tym Shelby, dobrze? - powiedziała Laurel. - Nie mów nikomu.

- Dobrze. - Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- A teraz idź po tę colę - zwróciła się Laurel do Bet, po czym otworzyła frontowe drzwi i wyszła na ganek.

Thalia i Stan Webelow stali na trawniku i rozmawiali. Thalia stała bardzo blisko niego, wypinając biodra przed siebie i wyraźnie naruszając jego osobistą przestrzeń.

- Nic ci nie jest? - zawołała Laurel, a Stan i Thalia obrócili się w jej stronę.

Laurel dostrzegła, że twarz jej siostry skrzywiła się na moment w grymasie rozdrażnienia. Stan Webelow miał rumieńce na policzkach, lecz mogły być one jedynie efektem upału. Kiedy ujrzał Laurel, zaczął truchtać w miejscu.

- Nic się nie stało! Nic poważnego! - odkrzyknął. - Możesz tu podejść i podać siostrze rękę? Chyba coś się jej stało w kostkę. Pomógłbym jej, ale właśnie przyszłaś, a mnie spada tętno...

Wyszczerzył białe zęby w uśmiechu, który Edie uważała za tak cholernie olśniewający, a Laurel zmusiła się, by wykrzywić zaciśnięte wargi i odpowiedzieć mu tym samym. Przecięła trawnik, idąc w stronę Thalii, a Stan Webelow wrócił na chodnik i pognął wzdłuż Chappel Circle.

- Idiotka! - warknęła Thalia.

Laurel przełożyła sobie rękę siostry przez ramię i ruszyła w stronę domu.

- Zobaczył mnie w oknie - wyszeptła. - To by wyglądało podejrzanie, gdybym nie wyszła.

- Kurwa. Stoimy w miejscu - stwierdziła Thalia, pozorując utykanie na wypadek, gdyby Stan się obejrzał. - Miałam za mało czasu. Gej prawdopodobnie uznałby to za śmieszne, że moja twarz znalazła się prawie między jego nogami, ale on zachowywał się dziwnie, jakby czuł się winny. Bardziej jak żonaty mężczyzna, lecz on nie ma żony. To było naprawdę dziwne. Chociaż te jego spodnie z satynową lamówką...

- No i co teraz? - zapytała Laurel.

- Miałam nadzieję dzisiaj go rozgryźć, ale mogę ci jedynie powiedzieć, że nie sądzę, aby był gejem. Gary rozpoznałby go lepiej. Mam po niego zadzwonić, żeby się tym zajął, że tak powiem?

- O Boże, nie - zaprotestowała Laurel z przerażeniem.

- Poza tym nie sądzę, aby Gary chciał ci wyświadczyć przysługę, Robaczku - rzekła Thalia z uśmiechem.

Kiedy dotarły do ganku, Thalia chciała wejść na schody, jednak Laurel ją powstrzymała.

- Zostańmy tu przez chwilę - powiedziała. - Bet Clemmens prze-
myka po domu cichaczem bez butów.

Thalia skinęła głową i zatrzymała się przy stopniach. Zdjęła rękę
z ramienia Laurel i cofnęła się o krok.

- Zadzwońiłaś do swojej przyjaciółki? - spytała, a kiedy Laurel
przytaknęła, dodała: - I co, możesz przyjść na pogrzeb?

- Oczywiście - odparła Laurel. - Mindy twierdzi, że Króliczkowi
zależy, aby przysłała Shelby, chociaż sama nie wiem, co o tym myśleć.
A potem powiedziała coś bardzo dziwnego. Powiedziała, że nikt mnie
nie wini.

- Kurwa - mruknęła Thalia i przysiadła ciężko na schodach, zwie-
szając swobodnie ręce między nogami.

- Czy to według ciebie coś oznacza? - Laurel usiadła o jeden sto-
pień niżej.

- Tak. Ich dziecko nie żyje, Robaczku, a jeżeli nie zdają sobie do-
skonałe sprawy z tego, że to ich wina, będą zwać ją na kogoś inne-
go. Ty jesteś dobrym celem. To się stało w twoim basenie. A oni mogą
sobie mówić „czemu ta suka się nie obudziła, jak mogła nie wiedzieć,
że coś takiego dzieje się na jej podwórku?” - wyjaśniła Thalia. - Jeśli
Króliczek nie wskazuje palcem na ciebie, musimy się dowiedzieć,
w którą stronę wskazuje. Jeśli nie robi tego w ogóle, jest winna jak
cholera. Ona albo Chuck. Miałam nadzieję skreślić dzisiaj z listy two-
jego zboczka albo tę rodzinę, i wcale nie chodzi mi o wpychanie twa-
rzy między kulasy twoich obleśnych sąsiadów. Jutro musimy wybrać
się do Króliczka. - Thalia zawiesiła głos i po chwili dodała: - A na dziś
wieczór pozostawmy sobie sekrety tabliczki ouija.

Laurel spojrzała w dal i poczuła, że wypełnia ją chłód, a krew wolniej
krąży w żyłach, chociaż temperatura na ganku przekraczała trzydzieści
stopni. Nie wierzyła w ukryte wspomnienia tak samo, jak Thalia nie wie-
rzyła w duchy, ale Molly Dufresne już raz ją odwiedziła, nieproszona.
Chciała zostać wysłuchana. Jeśli ruchomym cieniem, który widziała
Laurel, był Stan Webelow, nie dało się tego inaczej potwierdzić.

- Możemy spróbować - odezwała się, a jej żołądek zamienił się w mały zimny kamień, który ugniatał ją gdzieś na samym dnie trzewi.
- Wieczorem po kolacji, kiedy wszyscy pójdą spać. Spróbujemy.

- A jednak dzielna dziewczynka ma jaja - stwierdziła Thalia, a Laurel odwróciła się i wymierzyła jej cios w ramię.

- Au! Całkiem nieźle, Robaczk. - Thalia zachichotała.

Laurel wcale nie było do śmiechu. Czuła się chora i rozdygotana i powstrzymywała się, by jeszcze raz nie uderzyć siostry, ot tak, dla zasady. Thalia miała rację, że w ten sposób mogą uzyskać odpowiedź. Laurel nie mogła jednak zapomnieć, że przez połowę swego dzieciństwa odwracała się twarzą do ściany i zaciskała powieki, gdy pojawiał się Marty, a potem wygładzała jego ślady na dywanie.

Gdyby Molly otrzymała takie narzędzie, mogłaby przemówić. Dokądkolwiek jednak odeszła, pozostawiła za sobą otwarte drzwi, a to wykorzystała matka. Molly Dufresne nie była jedynym duchem w ogrodzie Laurel.

Rozdział 10

Zbliżała się dwudziesta trzecia, kiedy Thalia wśliznęła się z powrotem do salonu przez szklane drzwi.

- Zostańmy tutaj - powiedziała. - Te świece śmierdzą.

- Odstraszają owady! - odrzyknęła Laurel z kuchni, wycierając mokre ręce w ścierkę do naczyń. - Zresztą lubię ich zapach.

Kuchnia była wysprzątana, naczynia załadowane do zmywarki, a dziewczynki poszły już na górę. Shelby chciała spać na rozsuwanym łóżku w pokoju gościnnym, więc równie dobrze obie mogły jeszcze szeptać w najlepsze. Laurel miała taką nadzieję. Lepiej, gdyby Shelby z kimś porozmawiała, nawet gdyby miała to być tylko Bet Clemmens. Shelby nie kwapiła się do rozmów z Laurel. Przy kolacji prawie się nie odzywała.

- Może powinniśmy poczekać - dodała Laurel. - Dajmy dziewczynom czas, żeby zasnęły.

Thalia spojrzała na siostrę w taki sposób, który dawał do zrozumienia, że przenika ją wzrokiem na wylot i widzi jej strach.

- Shelby jest w pokoju gościnnym. Tamto okno wychodzi na frontowy trawnik.

Laurel skinęła głową i rozprostowała ramiona.

- Odłożyłam jedno dla Davida - oświadczyła, pakując do plastikowego pojemnika czekoladowe ciastka z orzechami przeznaczone dla Dufresne'ów. Zdjęła folię z deserowego talerzyka. - Zaniosę mu je tylko i już jestem gotowa.

Gotowa, jak nigdy dotąd. Chociaż właśnie wytarła dłonie, czuła, że znów są wilgotne.

- David jest w domu? - zdziwiła się Thalia. - Kiedy to się stało? Laurel uniosła brwi ze zdziwienia.

- Kilka godzin temu. Kiedy piekłam ciastka. Siedziłaś na sofie i czytałaś. Przeszedł przez salon i powiedział ci cześć.

- Jesteś pewna? - Thalia powoli pokręciła głową.

- Oczywiście - odparła Laurel. - Pracuje teraz na dole. Zaniósłam mu tam obiad.

- Niewidzialny mąż.

Laurel przechyliła głowę na bok.

- Nie pojmujesz tego. On naprawdę jest miły, Thalio. Ma pilny termin w pracy i ostatnią rzeczą, jakiej mu trzeba, są dodatkowe nerwy. A mimo to pojechałam po ciebie i przywiozłam cię tu. David schodzi nam z drogi i nie kłóci się z tobą. To jakby jego prezent dla mnie.

- Wielki człowiek, co? - Thalia przekrzywiła głowę tak samo, naśladując Laurel. - Daj mi to ciastko.

- Nie - zaprotestowała Laurel.

Szła już w stronę schodów prowadzących do piwnicy, kiedy Thalia dogoniła ją i złapała za brzeg talerzyka. Laurel nadal mocno go trzymała.

- Ja też mogę być wielkim człowiekiem i dać ci prezent. - Thalia delikatnie pociągnęła talerzyk ku sobie, ale ponieważ Laurel nie zamierzała go puścić, przemówiła tak łagodnym głosem, że stała się niemal zupełnie do siebie niepodobna. - Brakowało mi ciebie, Robaczku. Pozwól mi czynić pokój.

Laurel puściła brzeg talerzyka, lecz gdy jej siostra doszła do schodów, krzyknęła za nią:

- Proszę, bądź miła!

Thalia przystanęła na najwyższym stopniu.

- Będę miłutka jak królicze futerko, słodka jak cukiereczek. Poczekaj na zewnątrz. Wrócę za chwilę.

Zeszła na dół, niosąc ciastko przed sobą w obu rękach, jakby to była tarcza albo ofiara.

Chociaż Thalia kazała jej wyjść na zewnątrz, Laurel nie miała na to ochoty. Nie sama. Przeszła więc przez salon, chcąc zasłonić przeszklone drzwi i zaczekać na siostrę, ale gdy chwyciła kotarę, zamarła w bezruchu i zaczęła patrzeć na podwórze. Nie wychodziła tam od czasu, gdy policjanci odeskortowali całą jej rodzinę do domu Coe'ów. Ostatni raz wyglądała tam, stojąc obok ojca, kiedy to zauważyła w ogrodzeniu dziurę po sęku.

Oświetlenie tarasu było wyłączone, a lampa nad altaną wciąż nie działała, ale Thalia porozstawiała cytrynowe świece na balustradzie i ustawiła tam również stolik do kart. To Laurel zaproponowała, aby przeniosły się na zewnątrz, miały zrobić coś, co zatłoczyło zgnilizną, której nie chciała dopuszczać do swego domu. Miała jednak na myśli patio, a nie ten narożnik w głębi ogrodu, pomiędzy dziurą po sęku a cementarzykiem dla zwierząt. Altana lśniła w blasku świec i Laurel czuła obecność znajdującej się tam tabliczki ouija, która zdawała się ją przyciągać.

Rozsunęła przeszklone drzwi i wyszła na zewnątrz, stąpając ostrożnie niczym kot, jak gdyby nie była pewna, czy płytki pokrywające taras utrzymają jej ciężar. Poczowała, jak fala dusznego powietrza wdziera się do salonu, i zamknęła za sobą drzwi. Przez szczelinę między zasłonami wylewało się żółte światło, które wąskim prostokątem ścieliło się u jej stóp. Światła w basenie były zgaszone, ale kiedy wzrok Laurel przyzwyczaił się do mroku, zauważyła delikatną mgiełkę unoszącą się nad wodą.

Skrzyżowała ręce na piersi, ściskając dłońmi ramiona. Nocne powietrze było gęste od upału i wilgoci, lecz Laurel czuła chłód, a na jej plecach i ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Przekroczyła niski płotek i zeszła na trawnik. Tabliczka czekała na nią w altanie, a ona zmierzała w jej stronę jak zahipnotyzowana. Od basenu zatłoczyło chlorem, spod którego przebijał zapach późnego lata na Florydzie. Była to zielona, omszała woń, bardzo delikatna i znajoma. Cykady, żaby i świerszcze prowadziły między sobą rozmowę,

a ich głosy zlewały się w tak jednostajny dźwięk, że słyszany wewnątrz domu przypominał biały szum klimatyzatora. Tutaj, w ciemności, rozbrzmiewał głośniejszy, jak brzęczący chór, który uwydatniał bezmiar ciszy. Laurel nie słyszała żadnych ludzkich odgłosów oprócz własnych kroków, bicia serca i ciężkiego oddechu.

Obeszła łukiem wysokie żelazne ogrodzenie otaczające basen. Migocące płomyki ustawione na balustradzie altany tworzyły równomierny krąg światła. Przy stojącym na drewnianej podłodze altany stoliku do gry w karty było akurat tyle przestrzeni, że Laurel mogła usiąść przy nim na ławce i wsunąć nogi pod blat. U dołu tabliczki ouija leżała płytką ze wskaźnikiem, który był wymierzony w literę N w słowie „żegnaj”.

Thalia odstąpiła jej tę tabliczkę, kiedy chodziły do liceum. Laurel nigdy jej nie rozkładała, ani razu nie dotknęła wskaźnika. Teraz wyciągnęła rękę i dotknęła krawędzi płytki. Opuszki jej palców spoczęły na chłodnym plastiku i poczuła, jakby jakaś energia wysysała z niej ciepło, jakby prąd elektryczny wydostawał się z wnętrza jej ciała i przepływał do tabliczki. Był to otwarty obwód i czuła instynktownie, że może go zamknąć druga ręka spoczywająca po przeciwnej stronie płytki. Wydobywająca się z niej energia, chociaż niekompletna, skupiała się i nabierała kształtów. Coś się zbliżało. Albo ktoś. Laurel nie wiedziała kto. Gwałtownie cofnęła rękę i ukryła obie dłonie pod stołem, przyciskając je sobie do brzucha.

- To nie jest dobry pomysł - odezwała się.

Nie było przy niej Thalii, która mogłaby usłyszeć te słowa, jednak Laurel nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że nie jest sama. Zaczęła podnosić się z ławki, ale kątem oka ujrzała jakiś błysk. Obejrzała się w stronę domu. Thalia odsunęła do połowy zasłonę i otworzyła drzwi, wypuszczając na zewnątrz trochę światła. Wyszła na taras, sięgnęła do środka i znieruchomiała na moment, a jej podłużna sylwetka zarysowała się na złocistym tle. Potem zaciągnęła kotarę z wyszukaną delikatnością i zasłoniwszy światło, stała się niewidzialna. Laurel szukała

jej wzrokiem, lecz zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła Thalię idącą w jej stronę po trawniku.

Thalia przecisnęła się między blatem stolika a wbudowaną w ścianę altany ławeczką i zajęła miejsce naprzeciwko siostry. Uśmiechnęła się do niej, ale był to zbyt szeroki, drapieżny uśmiech. Laurel widziała wszystkie jej zęby połyskujące w blasku świec.

- Twój mąż to rzadkiej maści dupek - odezwała się Thalia łagodnym tonem i oparła dłoń na krawędzi płytki. - Chwytaj drugą połowę i zaczynamy.

- Gdzie się podziało milutkie królicze futerko? - zapytała Laurel, wciąż trzymając ręce pod stołem, chociaż energia, którą czuła przed momentem, znikła rozproszona przez iskrzący gniew Thalii. - Proszę, powiedz mi, że poszłaś tam, żeby wywołać awanturę.

- Niczego nie wywołałam. Nawet nie zauważył, jak weszłam.

Thalia zabrała rękę z płytki i zaczęła się w nią wpatrywać, jakby się spodziewała, że poruszy ją samą siłą swego spojrzenia.

- Jeśli miał na uszach słuchawki, pewnie cię nie słyszał. Słucha naprawdę głośnej muzyki albo rozmawia przez ten swój komunikator - wyjaśniła Laurel pojednawczym tonem. Thalia mogła ścierpieć wszystko, tylko nie ignorowanie.

- Mogę cię o coś spytać? - odezwała się Thalia, ale nie czekała na pozwolenie. - Teoretycznie, co by się musiało stać, żebyś od niego odeszła?

- Proszę, nie zaczynamy znowu tej rozmowy. - Laurel czuła, jak zaciska się wokół nich pętla ciemności otaczająca krąg wątego światła. Powietrze było tak nagrzane i gęste od wilgoci, że miała wrażenie, jakby owiewał je gorący oddech czegoś potwornego. - Nie tutaj, Thalio.

- Ale powiedzmy, że by cię uderzył - nalegała Thalia. - Albo uzależnił się od heroiny. Albo cię oszukiwał, albo...

- Do czegoś takiego nie dojdzie - przerwała jej Laurel.

- Teoretycznie - podkreśliła Thalia, ignorując pełne irytacji westchnienie siostry. - A gdyby obracał teraz w waszej piwnicy jakąś rudą

cizię? Założmy, że powiedziałałabym ci o tym, a ty byś poszła i zobaczyła to na własne oczy. Wtedy odeszłabyś od niego?

Laurel poczuła mrowiący ból u podstawy czaszki, jakby zgromadziło się tam szemranie cykad.

- Nawet bym tam nie poszła. Nie ma żadnej rudej cizi w naszej piwnicy. I nigdy nie będzie - oświadczyła. - Thalio, my jesteśmy szczęśliwi.

- A więc to tak wygląda szczęście - prychnęła Thalia. - Zawsze mnie to intrygowało.

- Oczywiście dzisiaj nie jestem szczęśliwa - odparła Laurel, a szemranie z tyłu jej głowy przybrało na sile. - To najgorszy tydzień w moim życiu, co jest kolejnym znakomitą powodem, aby zakończyć tę rozmowę.

- Nawet nie wiesz, co to znaczy szczęście. - Thalia odchyliła się, przyciskając plecy do oparcia, i podciągnęła kolana pod brodę, ostrożnie, by nie potrącić stolika. Potem uniosła się i opada chude pośladki na balustradzie między dwiema świeczkami. Blask migocących płomyków oświetlał ją od dołu, a jej oczy wydawały się głęboko zapadnięte, kiedy patrzyła na Laurel. Mówiła rzeczowym tonem, który był jak chłodny powiew w ogarniającym je upale. - Znalazłaś się w kropce i przyjechałaś po mnie, bo nie umiałaś sobie z tym poradzić. Nie wiesz, co to upadek, tak samo jak i wzlot. Błądząc we śnie, przechodzisz obok istoty rzeczy, zabawiając się sekretnymi kieszonkami. Tworzysz sztukę dla bogatych, zmanierowanych ludzi, którzy uwielbiają trzymać swoją szpetotę w ukryciu, zapiętą na guziczek, i oto dajesz im narzuty będące odzwierciedleniem ich dostatniego życia. Mogłabyś być cholernie dobrą artystką. Sposób, w jaki postrzegasz kolory, kształty i Bóg wie co jeszcze, daje ci ogromną siłę wyrazu. Gdybyś tylko chciała. Ale ty wolisz się wygłupiać z klapkami, skrytkami i bajerami, które są bezpieczne i eleganckie. Tkwisz w niby-małym małżeństwie z tym pół człowiekiem, pół robotem, który cię nie kocha. Masz tylko jedno dziecko, więc nie możesz odwrócić od niego wzroku, aby choć raz mogło swobodnie zaczerpnąć powietrza bez twojej kontroli.

Laurel zamknęła oczy i mocno przycisnęła sobie dłonie do powiek.

- Nie mam teraz zamiaru się kłócić - powiedziała. - Nie wiesz, co to prawdziwe małżeństwo, Thalio. Nie masz dziecka, więc nie udzielaj mi rad.

Potarła dłonią podstawę czaszki i uniosła powieki, by spojrzeć na siostrę. Thalia nachyliła się w jej stronę.

- Bo ja wybrałam teatr. Oddałam mu się całkowicie i bez reszty i jestem szczęśliwa w taki sposób, w jaki ty nigdy nie będziesz.

- Wzloty i upadki - odparła Laurel.

Thalia przytaknęła jej, energicznie kiwając głową.

- Rozumiem cię - dodała Laurel. I faktycznie ją rozumiała.

Thalia roztaczała wokół siebie aurę niepokoju. Przychodziła na przyjęcie i po dziesięciu minutach wiedziała, kto z kim sypia, a kto się do tego przymierza, kto pielęgnuje skryte urazy i na jakim tle rywalizują kobiety. Laurel uważała za udane takie przyjęcie, na które ktoś przyniósł zapiekane ziemniaki, ale Thalii nigdy to nie wystarczało. Tu wtrąciła słówko, tam coś szepnęła i w ciągu paru minut sympatyczna kolacja zamieniała się w wojnę domową pograżoną w okrutnym chaosie. Wtedy Thalia brała koktajl, rozsiadała się wygodnie i obserwowała rozwój wypadków.

- Ty nie wiesz, jak żyć bez wzlotów i upadków. Jeżeli coś jest normalne i przyjemne, musisz to zniszczyć, bo wiesz, że nigdy nie będziesz tego miała.

- Tu nie chodzi o mnie. - W głosie Thalii pojawiła się złość. Przerzuciła nogi na drugą stronę balustrady i zeskoczyła na trawnik okalający altanę, stojąc na krawędzi kręgu światła.

- Zawsze chodzi o ciebie. - Laurel się roześmiała, czując niewielki przypływ podłej satysfakcji. - Wściekasz się, bo mam rację, a nie lubisz, gdy ktoś cię przejrzy na wylot.

- Masz nasrane we łbie - warknęła Thalia. - To ty masz problem, kiedy zaszywasz się z Davidem i waszą piękną wpadką, która... w porządku, tu dokonałaś właściwego wyboru. Shelby jest cudowna, ale ty

usiłujesz ją wtłoczyć w swoje schematy, a ona jest taka jak ja. Shelby chce żyć pełnią życia. A ty otuliłaś ją ciasno skrzydłami, wtrąciłaś do tej prywatnej szkoły. Odsiewasz jej przyjaciół i wybierasz wszystkie zajęcia. Nigdy nie była w DeLop, chociaż cię o to błagała, ale ty nie pozwoliłaś, aby zobaczyła coś tak rzeczywistego. A może by tak pójść na całość i wyłupić jej oczy? Oślepić ją. To by ci zaoszczędziło trochę kłopotów.

Thalia chodziła wokół altany, w której wciąż siedziała Laurel, okrążając ją niczym drapieźnik i poruszając się na granicy mroku i blasku świateł.

- Shelby chce widzieć brzydotę. Ona chce widzieć brzydotę i widzieć prawdę, również piękną prawdę. Być może twoje życie to jakaś rachityczna odmiana szczęścia, w całej swej stłumionej szarości, ale twoja córka potrzebuje jaskrawych kolorów, a potem nocnego mroku. Chcesz wiedzieć, co myślę? Co naprawdę myślę?

- Nie - odparła Laurel, lecz Thalia napierała dalej, krążąc za jej plecami i stając się częścią szumu, jaki narastał w tyle jej głowy.

- Chcę sprawdzić, czy istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że Stan Webelow jest popaprańcem. Jeśli się okaże, że jest, z dziką rozkoszą obedrę go ze skóry, aby odsłonić przed światem jego ohydne trzewia. Sprawdzę również, czy Chuck i Króliczek nie zrobili czegoś, przez co ta dziewczyna uciekła w nocy z domu. Ale wiesz, co według mnie się stało? Myślę, że Shelby i Molly zamierzały uciec...

- To jest śmieszne - Laurel weszła jej w słowo.

Thalia nawet nie przerwała. Wyłoniła się właśnie zza pleców Laurel i okrążając ją po raz kolejny, znów patrzyła jej w oczy.

- Myślę, że Shelby czuje się stłamszona i kontrolowana, więc umówiła się z Molly tu, na tym podwórzu, aby dać drapaką. Ale Shelby zasnęła i nie przyszła. Teraz czuje się winna, bo gdyby wtedy się pojawiła, obie zostałyby już słynnymi aktorkami albo kurwiętami w Nowym Jorku, czy też, co bardziej prawdopodobne, siedziałyby w namiocie pod urwiskiem, dzieląc się kradzionym piwem. Bo w ich wieku uciecz-

ka to taki wybryk, żeby zwrócić na siebie uwagę, żeby zawołać: „Spójrz na mnie, mamó! Nie mogę oddychać pod twoim kloszem i...”.

- Zamknij się! - Laurel niemal krzyknęła, lecz na tyle głośno, że Thalia jej posłuchała, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Żaby i świerszczki w pobliżu również jej posłuchały i noc wypełniła się ciszą.

- Przepraszam, Robaczku - odezwała się Thalia, a jej głos stracił całą swą zaciętość. Zatrzymała się przy wejściu do altany i z powrotem wśliznęła się na swoje miejsce przy stoliku. - Ale tak właśnie myślę. Powinnaś zapytać Shelby. Wprost. Twierdzisz, że ona nie rozmawia, lecz ty nie pytasz. Tak naprawdę nie chcesz wiedzieć, że najbardziej prawdopodobną przyczyną milczenia Shelby jest poczucie winy - ponieważ miała zamiar uciec od ciebie wraz z Molly i skończyło się to źle.

- Zamknij się - powtórzyła Laurel, ale tym razem słabym i zagubionym głosem, w którym nie czuła przekonania.

- Wiesz, że mogę mieć rację - odpowiedziała Thalia. - Nie zamierzałam rzucić ci tego w twarz w samym środku kłótni o tego twojego C-3PO.

Laurel wydała z siebie dziwny, krótki pomruk, który zabrzmiał jak ponury śmiech.

- Zamierzałaś powiedzieć mi te okropieństwa w miły sposób. Rozumiem.

- Nie chciałam w ogóle tego mówić. Pomyślałam, że pozwolę, abyś sama to sobie powiedziała. - Thalia skinęła głową w stronę tabliczki i pogładziła palcami brzeg wskaźnika. - Za pomocą tego.

Laurel wyjęła rękę spod stolika i przytknęła cztery palce do krawędzi płytki. Pod opuszkami czuła teraz martwy plastik, a jedyna energia, jaka przez niego przepływała, pochodziła od Thalii.

- Myślisz, że jesteś nawiedzana, Laurel? - zapytała Thalia. - Jedy-ny duch na tym podwórzu jest duchem mojej siostry. Zabrałam ze sobą tę tabliczkę w nadziei, że pozwoli mi do ciebie przemówić. Pomyślałam, że poruszając nią, sama powiesz sobie pewne rzeczy. Ale David

mnie wkurzył i ja ci je powiedziałam. Ojej. Nie jest za późno. Powinnaś spróbować. Zadać sobie te trudne pytania, nie tylko związane z Shelby. Zapytaj tabliczki. Czy Laurel jest szczęśliwa?

Płytką drgnęła, pociągając za sobą dłoń Laurel i kierując się płynnie i zdecydowanie w stronę narożnika z czarnym słowem „nie”.

- To twoja sprawka. - Laurel czuła zmęczenie, strach i rozdrażnienie jednocześnie.

- Może. - Thalia wypróbowała na Laurel swój najbardziej ujmujący uśmiech. - Ale może to był twój duch. A może to ty próbowałeś powiedzieć sobie prawdę, którą już znasz, lecz nie możesz przyjąć jej do wiadomości.

- Za każdym razem, kiedy widziałam, jak porusza się płytka, robiłaś to ty, Thalia - odparła Laurel. - Co tak naprawdę stało się w piwnicy?

- David posuwał rudą cizię? - Thalia zmierzyła siostrę przeciągłym badawczym spojrzeniem, a jej głos złagodniał, kiedy dodała: - Nic się nie stało. Ot co. Tu się nigdy nic nie dzieje. Nie odezwał się do mnie ani słowem, tak jak ty przez ostatnie dwa lata. I nie mów mi, że to nie z jego powodu.

- Bo nie mogło być z twojego powodu, prawda? - spytała Laurel i chciała dodać coś jeszcze, lecz uszła z niej para. Nie miała czasu ani energii, aby ciągnąć dalej ten spór, który trwał od trzynastu lat. Nie wtedy, gdy stawką było bezpieczeństwo Shelby. - Porozmawiam z Shelby, dobrze? Porozmawiam. Ale nie jutro. Sprawdźmy co innego. Żeby mieć pewność. Stana Webelowa i Króliczka. Jeśli oni nic nie zrobili, zapytam Shelby, jak mi radziłaś.

Thalia kiwnęła głową, lecz Laurel jeszcze nie skończyła.

- Nie jesteś w stanie przejrzeć mojego małżeństwa, Thalia. Jest przed tobą zamknięte. Nawet nie próbuj się dobijać - dodała. Obie wciąż dotykały martwej plastikowej płytki. - Czy już skończyłyśmy?

- Ja tak. - Thalia cofnęła rękę. - Idę spać.

Wysunęła się zza stolika i wyszła poza krąg światła, po czym rozplynęła się w ciemności. Laurel usłyszała dobiegający zza ogrodzenia ło-

skot i stłumione przekleństwo. Brzmiało to tak, jakby Jeffrey, syn Mindy, potknął się o krzesło ogrodowe. Kilka sekund później rozległ się plusk, kiedy wskoczył do basenu. Laurel dobrze się czuła, słysząc takie odgłosy normalności w sąsiedztwie, ale drewniane ogrodzenie oddzielające jej świat od tamtego świata wydawało się grube na kilometr i niewyobrażalnie wysokie.

Laurel nie zauważyła, że świerszcze znów się odezwały i nocny szum znów rozbrzmiewał całą pełnią. Złote światło zalało taras, kiedy Thalia wślizgiwała się do domu, a potem znikło, gdy zaciągnęła szczelnie zasłonę. Thalia właśnie sobie poszła, Jeffrey pływał, a reszta sąsiadów już spała, mimo to Laurel czuła, że nie jest sama.

Poczuła znów przyciąganie tamtej energii. Jej palce wciąż spoczywały na płytce, która zdawała się coś z niej wysysać.

Znała zasady działania tej tabliczki. Widziała, jak Thalia bawi się nią ze swymi koleżankami. Należało zadać pytanie. W liceum koleżanki Thalii pytały, którym chłopcom wpadły w oko, kto jest zdziurą, a kto jeszcze dziewicą. Duchy zawsze to wiedziały, ponieważ wiedziała Thalia, a to ona opiekowała się tabliczką.

Teraz jednak Thalii przy niej nie było.

Laurel cofnęła płytkę do środka tabliczki, kładąc ją na pustej przestrzeni pod ułożonymi w łuk literami alfabetu. Wzięła głęboki oddech i położyła drugą rękę po przeciwnej stronie płytki. Poczuła, że obwód został zamknięty, jakby coś zaskoczyło z trzaskiem. Płytką ożyła pod jej dłońmi, lecz ona nie wiedziała, o co pytać. Była zbyt zmęczona, by ułożyć właściwe pytanie.

- Tamta noc, kiedy umarłaś, Molly... - odezwała się w końcu szeptem. - W Bogu pokładam nadzieję, że to ty. Powiedz mi, co powinnam wiedzieć o tamtej nocy. Powiedz mi, co powinnam wiedzieć, aby ochronić Shelby.

Zanim zdążyła wymówić ostatnie słowo, płytka zaczęła się ruszać. Laurel jej nie popychała. Opierała na niej swobodnie palce, a filcowe podbicie ślizgało się po planszy tak szybko, że Laurel ledwie mogła

utrzymać płytkę w dłoniach. Poruszyła się jedenaście razy, wskazując na jedenaście liter, a potem Laurel gwałtownie oderwała od niej rękę.

- To nieprawda - wykrztusiła.

Na tabliczce znów spoczywał nieruchomo martwy kawałek plastiku. Laurel wysunęła się zza stolika, wstała i sięgnęła po płytkę. Rzuciła ją na stopień altany i nadepnęła. Cztery razy uderzała nogą, aż posypały się odłamki, a igła wskaźnika przepadła gdzieś w trawie. Potem chwyciła tabliczkę i przełamała ją na pół, uderzając o kolano. Cisnęła odłamki w głąb ogrodu i obeszła altanę dookoła, zdmuchując po kolei świece. Krąg światła stawał się coraz mniejszy, aż zapanowała niemal całkowita ciemność. Zostawiła ostatnią świeczkę, którą chwyciła za chłodny ceramiczny spód i oświetlając sobie nią drogę, wróciła do domu.

Była w stanie uwierzyć w słowa Thalii, zanim jeszcze uwierzyła w to, co powiedziała jej tabliczka. Nie było to ani możliwe, ani realne, a Laurel nie chciała już nigdy więcej o tym myśleć.

Jedenaście liter. Wiedziała, że kiedy wejdzie na górę, położy się w łóżku i zamknie oczy, sen wymaże je z jej pamięci. Wiedziała, że rano obudzi się wolna od nich i nieświadoma. Potrafiła tego dokonać. Wystarczająco wiele razy widziała, jak jej matka robiła to samo.

Zapytała, co powinna wiedzieć o tamtej nocy, aby ochronić Shelby. Przed Stanem Webelowem, przed okrutną prawdą o Króliczku, przed Thalia, czy nawet przed samą sobą. Odpowiedź była jednak bliższa temu, za czym węszyła tamta obmierzła policjantka, gdy zadreczęła Shelby. To było niemożliwe.

Shelby nie mogła być tym ruchomym cieniem. Shelby nie wychodziła z domu tamtej nocy, kiedy zginęła Molly. Laurel nie dopuszczała takiej możliwości i nie miała zamiaru już nigdy więcej o tym myśleć ani pamiętać o tych jedenastu literach, które wskazała jej płytka.

Co powinnam wiedzieć, aby chronić Shelby? - zapytała.

W odpowiedzi płytka przeliterowała jej dwa słowa.

Ona widziała.

Rozdział I I

Poranek wdzierał się pod jej zaciśnięte powieki, ale nawet mając oczy zamknięte, wyczuwała nieobecność Davida. Musiał już czmychnąć do biura, opuszczając dom nawiedzony przez Thalię. Laurel nie była jednak sama w łóżku. Materac ugiął się pod niewielkim ciężarem, a wokół unosiła się woń imbirowego szamponu jej siostry.

- Obudziłaś się? - zapytała Thalia.
- Nie. - Głos Laurel był chropowaty od snu.

Otworzyła jedno oko i spojrzała na stojący obok łóżka zegar. Było wpół do jedenastej. Nic zaskakującego. Nocą położyła się obok zagrożonego we śnie Davida i wpatrywała się w sufit, aż świerszcze zakończyły swój nocny koncert. Leżała z otwartymi oczami, a w bezwietrznej ciszy zaczęły się odzywać pierwsze radosne nawoływania ptaków. Patrzyła, jak wschód słońca przesuwania cienie w sypialni, i starała się wyprzeć z siebie całą tę noc, jednak po głowie tłukły się jej uparcie, niczym małe plugastwa, dwa słowa.

Ona widziała.

Gdyby to była prawda, gdyby Shelby to widziała, postawiłaby krzykiem cały dom na równe nogi. Gdyby to widziała, wskoczyłaby do wody i sama wyciągnęła Molly. Czy mogłaby spokojnie wrócić do domu po tym, jak zobaczyła w basenie martwą albo umierającą przyjaciółkę? Laurel nie mogła sobie wyobrazić, jak jej córka z zimną krwią resetuje alarm i chowa się w fałdach kotary albo za blatem kuchennym, podczas gdy ona sama z krzykiem przebiega obok. Niemożliwe. Dlaczego więc nie potrafiła wymazać z pamięci tych dwóch słów?

- Gdzie jest Shelby? - zapytała.

- Wyszła z Bet Clemmens - odparła Thalia z zadowoleniem.

Laurel ogarnęła nagle tak wielką ulgą, że poczuła się zawstydzona. Odwróciła się przodem do siostry. Musiała okręcić się w miejscu, ponieważ Thalia leżała rozciągnięta w poprzek łóżka, pozostawiając jej niewiele wolnej przestrzeni.

- Co to znaczy, że wyszła z Bet? Do parku?

- Robaczku, jestem geniuszem. - Zadowolenie Thalii przybierało na sile. - Geniuszem zła? Być może. Ale nie wybieramy naszych zdolności. Czy ktoś był dzisiaj umówiony z matką na lunch?

- Jasna cholera. - Laurel odruchowo przygładziła włosy. - Nie ogarniam tego.

- Nie musisz. Powiedziałam jej, że śpisz jak umyślowo niedorozwinięta. A może powiedziałam „spustoszona emocjonalnie”. Nieważne. Zapytałam, czy ona i tato nie byłiby tak kochani, aby zabrać dziewczynki do centrum handlowego, może do Wendy's, na jedną z tych pysznych sałatek orientalnych, a może nawet do siebie na noc. Odniosła się do tego z entuzjazmem, więc wcisnęłam jej do ręki kartę kredytową, zresztą jedną z twoich, i wyprawiłam je w drogę. A teraz mogę w spokoju zbadać Króliczka.

- Jesteś geniuszem zła - powiedziała Laurel, nie kryjąc podziwu.

Miała zamiar znów napuścić Thalię na Stana Webelowa, a gdyby okazał się winny, mogłyby zostawić zrozpaczoną rodzinę Molly w spokoju. Teraz jednak była skłonna zdać się całkowicie na swą siostrę i pozwolić jej wywinąć każdy numer, jaki tylko sobie wymyśli. Thalia mogła własnoręcznie rozpruć Króliczka i grzebać w jej trzewiach, jeżeli było to konieczne. Udzieliła jej rozgrzeszenia i dała jeden dzień na wskazanie winnego. Nie obchodziło jej, czy będzie to Stan Webelow, czy Dufresne'owie, byle tylko skrywana przez nich prawda zatarła tamte dwa słowa. Laurel nie chciała patrzeć na swą córkę tak, jak patrzyła na nią Moreno, nie chciała jej zdręzczać pytaniami, szukając sugerowanego przez Thalię niezadowolenia, albo, co gorsza, potwornego chłodu.

- Na Boga, Thalio - odezwała się znów, by uciszyć gonitwę myśli.
- Matka nawet się nie spodziewała, że Bet wciąż tu jest.

- Wiem. - Thalia wyciągnęła ręce przed siebie i przeciągnęła się jak duży leniwy kot. - Shelby pojawiła się, ciągnąc za sobą Bet jak zabawkę na sznurku. Matka aż rozdziawiła usta ze zdumienia. Tak jakbym dolewała kwaśnego mleka do owocowych płatków śniadaniowych. Potem zmusiła się do tego upiornego, łaskawego uśmiechu. Wyglądała, jakby zaraz miała się udławić. A wiesz, co było najdziwniejsze? Wręcz niepojęte, ale była to cała nasza matka. Kiedy powiedziała, że zabierze dziewczynki, moim zdaniem miała na myśli Shelby i Molly. Potrafiła już zapomnieć, że to dziecko nie żyje.

- Wiesz, że potem wszyscy za to zapłacimy - powiedziała Laurel, odgarniając kosmyk włosów Thalii, który leżał na poduszce i łaskotał ją w nos.

- Och tak. - Thalia się roześmiała. - Matka dopuszcza do siebie fakt istnienia DeLop tylko w święta, a dzięki mnie wdepnęła tam dzisiaj jak w wielką parującą kupę, która w dodatku przylepiła się jej do butów.

Laurel usiadła i spuściła nogi na podłogę.

- A więc dzisiaj spotkamy się z Króliczkiem? - zapytała. - U niej w domu?

Thalia nie odpowiedziała od razu, a chwila milczenia tak się przeciągała, że Laurel wstała i obróciła się w stronę siostry.

- Thalio?

Thalia zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech, wciągając powietrze nosem.

- Dlaczego twoja narzuta pachnie lawendą? - zapytała.

- Bo do środka włożyłam suszki - odparła Laurel. - Przestań wachać moje łóżko i powiedz mi, jaki jest plan.

- Plan to ja, Gospodarna Zuziu.

- Nie wiem, co to ma znaczyć. - Laurel zmrużyła oczy. - To moja nowa bluzka. Zabrałaś ze sobą trzy walizki i wkładasz moją bluzkę?

- To przebranie Króliczka - wyjaśniła Thalia. - Dzięki niemu oraz rekwizytom w postaci twojej zapiekanki i ciasteczek powinnam zostać zaproszona do króliczej nory.

- Chciałaś powiedzieć, że my zostaniemy zaproszone - poprawiła ją Laurel. - My, Thaliao.

Thalia usiadła na łóżku, a jej ciało otrząsnęło się z lenistwa. Nagle ogarnęło ją nadmierne ożywienie.

- Nie zniżając się do szkolnego poziomu, Robaczku, chyba nie muszę ci przypominać, że to mnie Króliczek lubi najbardziej.

Była to prawda. Thalia zawsze była w Victoriannie wybitnym zjawiskiem, głównie dlatego, że prosiła ją o to Laurel.

Kiedy Laurel i David wprowadzili się do swego domu, stowarzyszenie mieszkańców wybrało Trish Deerbold i Mindy Coe, aby złożyły im wizytę z tradycyjnym koszem babeczek. Laurel była tuż po ślubie i nie zaczęła jeszcze wybierać mężowi strojów. Nie przyszło jej w ogóle na myśl, że David nie miałby nic przeciwko temu, czy nawet by nie zauważył, gdyby wyrzuciła większość jego ubrań i zastąpiła je nowymi. Tego dnia był ubrany w ciężkie czarne trepy, które Laurel nazywała butami po dziadku, i wystrzępione spodnie khaki z przykrótkimi nogawkami pamiętające jeszcze chyba jego czasy szkolne. Na jego głowie sterczały na wszystkie strony zmierzwione strąki. Chciał sam przenieść swój sprzęt komputerowy, ale pracownicy firmy przewozowej nie chcieli go wpuścić do ciężarówki. Coś w związku z ubezpieczeniem. Nieomal wychodził z siebie, patrząc, jak wyładowują jego rzeczy. W momencie, gdy pierwsze z pudełek zjechało po pochylni, zażądał, aby kolejne podawano mu do rąk, i nie spoczął, dopóki nie ustawił wszystkich na podjeździe. Zanosił je, jedno po drugim, do swej kryjówki w piwnicy, kiedy pojawiły się Trish i Mindy. Niespokojna i nękana przez mdłości Laurel musiała dosłownie zastąpić mu drogę, aby przystanął i się przywitał. Wymówił zaledwie trzy słowa, ale to wystarczyło, aby usłyszały akcent z New Jersey. Potem znów zaczął nosić pudełka, mamrocząc coś pod nosem.

- To do jego pracy - wyjaśniła Laurel, ciężarna i zmęczona długą przeprowadzką. Miała zamiar jeszcze dodać: „Chce je przenieść osobiście”, ale przypadkowo powiedziała „łosobniście”, jak mawiał jej ojciec. Zarumieniła się i poprawiła swe przejęzyczenie.

- W ciąży zdarzają się takie zaćmienia. - Mindy poklepała ją przyjaźnie po ramieniu. - Pamiętam te czasy. Który to już miesiąc?

Trish Deerbould przeniosła cały ciężar ciała na jedną nogę i cofnęła się o krok, jakby niepoprawna wymowa była czymś zaraźliwym. Pewnie chciała już umknąć i czym prędzej opowiedzieć swoim przyjaciółkom o nowych sąsiadach, autystycznym Jankesie i jego żonie analfabecie.

Potem Laurel długo obracała w ustach słowo „suka”, gotowa wyrzucić je z siebie, gdy tylko Trish Deerbould odejdzie dostatecznie daleko. Ale David odezwał się pierwszy.

- Miłe sąsiadki - stwierdził, a w jego głosie nie było ironii. - Czy we wszystkich babeczkach są orzechy?

Laurel przełknęła więc przeznaczoną dla Trish obelgę, a wieczorem wypłakała się siostrze przez telefon. Thalia, która planowała przyjechać i obejrzeć nowy dom, od razu chciała wszystko zaognić.

- Zaczernię sobie jeden z przednich zębów i zepnę włosy w kuczki. Mogę kosić twój trawnik w dżinsowych szortach i sandałach na wysokim obcasie - zaproponowała. - Zobaczymy, czy Trish Wredna Mysz będzie zachwycona.

Laurel przetarła oczy wolną ręką i wydała dziwny odgłos, coś pomiędzy szlochem a chichotem.

- Już sobie to wyobrażam. Ale lepiej nie - powiedziała. - Myślę, że z tą drugą mogę się naprawdę zaprzyjaźnić, a ona mieszka tuż obok. Spróbuj się wtopić w otoczenie. Jeśli się postarasz, możesz sprawić, że ludzie będą tacy jak ty.

- Chcesz, żebym sprawiła, by były takie jak ja? Czy chcesz sprawić, bym była taka jak one? - spytała Thalia zaczepnie, ale Laurel była zbyt zmęczona ciążą i płacziwa, żeby szukać podtekstów w słowach

siostry i odciąć się jej. Zamiast tego pociągnęła nosem do słuchawki, aż Thalia dodała w końcu: - Wygrałaś, Smętny Prosiaczk, ale tylko dlatego, że się rozmnażasz. Wtopię się.

Thalia przewrotnie starała się olśnić każdą kobietę, która była nie-miła wobec jej siostry. Wybrała się na sąsiedzkie przyjęcie wystrojona w eleganckie sandały i obcisłą suknię z dzianiny, w której wyglądała jak wstęga ciemnego materiału. Zajęła miejsce tuż obok Trish Deerbald i rzucała ściszym głosem krótkie komentarze na temat każdej z obecnych kobiet, okrutne, lecz trafne i utrzymane w tonie czarnego humoru. Trish i jej czarownice jadły jej z ręki. Gdy Thalia urzekła je wszystkie, wyglądało to tak, jakby przebiegły paw, wywijając dziobem i gruchając, torował sobie drogę w sam środek stada próżnych i spasionych gołębi.

Barb Dufresne nie była częścią tego, co Thalia nazywała Trójcą Megier. O ile Laurel zdążyła się zorientować, Barb nie przyjaźniła się bliżej z nikim, co nie było niczym niezwykłym dla kogoś, kto popija do lustra. Podczas sąsiedzkich spotkań towarzyskich Barb zwykle starała się naśladować otoczenie Trish i krążyła wokół, pozostając jednak na zewnątrz, więc również dała się oczarować Thalii.

- Może i kiedyś cię uwielbiała, Thalio, lecz nie widziała cię od kilku lat - oznajmiła Laurel.

- Czy ja się spodziewam, że przyjmie od ciebie tę zapiekankę jak bilet wstępu i obnaży przede mną swą zranioną duszę? - Thalia pokręciła głową. - Zapewne nie. Ale jeśli pójdziesz ze mną, weźmie jedzenie, podziękuję i zatrzasknie nam drzwi przed nosem. Będziesz miała powtórkę z wczoraj, a ona wymknie się nam jak Stan Webelow. To jest moja działka i bez urazy, Robaczku, ale jesteś cienka w intrygach. Najwyraźniej za mało czasu spędziłaś, pieszcząc się z tabliczką ouija, albo zbyt wiele rozmyślałaś o wynajęciu dobrego adwokata od rozwodów, żeby wchodzić mi w drogę. Jeśli nie nauczyłaś się niczego zeszłej nocy, naucz się dziś rano. Idź przygotować ulotki komitetu rodzicielskiego lub upiec ciasto i pozwól mi się tym zająć.

- Proszę, nie zaczynaj znowu czepiać się Davida. Nie odwrócisz tym mojej uwagi i nie pójdziesz do Barb beze mnie. Koniec i kropka.

Thalia wstała z łóżka, wyrastając naprzeciw Laurel. Górowała nad nią prawie o dziesięć centymetrów, lecz Laurel nieustępliwie patrzyła jej w oczy.

- Dobrze. Ale nie będę z tobą improwizować - odezwała się w końcu Thalia. - Ubierz się ładnie i zaproś mnie na ten lunch, który należał się matce. Ja wybieram miejsce. Będziemy się opychać krewetkami w maślanym sosie i wszystko zaplanujemy. Nie powiesz do Barb nic ponad to, co ci wcześniej zapiszę. Jasne?

- Tak, proszę pani - odparła Laurel.

- Ale załóż się z tobą, Robaczku, że w końcu i tak pójde do Króliczka bez ciebie. Nawet nie spróbujesz mnie powstrzymać.

Thalia wciąż próbowała zdeprymować Laurel spojrzeniem, lecz ona ani drgnęła.

- To był kiepski zakład - powiedziała, a w jej głowie znów pojawiły się te słowa. *Ona widziała*. Podążając tropem tej zagadki, Laurel była bezwzględna. - Może nie wiesz tego wszystkiego, co ja wiem.

- Jesteś dzielna, mały ołowiany żołnierzyku. - Thalia wykrzywiła usta. - Ale może ty też nie wiesz tego wszystkiego, co ja wiem.

W jej głosie pojawił się cień przygnębienia, jednak otrząsnęła się z niego i gdy znów się odezwała, była pełna wigoru.

- Ubieraj się. Wychodzimy za pół godziny.

Laurel wzięła prysznic w takim pośpiechu, że zdążyła się ledwie opłukać, po czym włożyła pasową sukienkę usianą kaskadami pomarańczowych tulipanów. Kiedy robiła makijaż, Thalia, bębniąc paznokciami w drzwi łazienki, wołała na przemian „nudzi mi się” i „jestem głodna”.

- To naprawdę nie pomaga mi się pospieszyć! - odkrzyknęła Laurel.

Kiedy zeszyły na dół, Thalia wyciągnęła z szuflady pod stolikiem na telefon zapasowe kluczyki Laurel, podeszła do jej volva i bez pytania

siadła za kierownicą. Laurel nie miała pojęcia, dokąd się wybierają, więc zajęła miejsce po drugiej stronie i zapięła pas. Za bramą Thalia skrzyła w lewo i wjechała na drogę prowadzącą wzdłuż urwisk.

- Twoje milczenie jest okropne, Robaczku - odezwała się.
- A ty jesteś bez serca - odgryzła się Laurel. - Tak mnie poganiałaś, że nie zdążyłam nawet napić się kawy.

Nie miała ochoty na rozmowę. Nie miała również ochoty na lunch. Chciała tylko ułożyć plan i potem go zrealizować. Czas płynął nieubłaganie, a Shelby miała wrócić do domu nazajutrz rano.

Thalia, co dziwne, dała za wygraną. Prowadziła w milczeniu aż do momentu, kiedy wjechały na parking przy restauracji o nazwie Scampi. Był to nowy lokal i Laurel jeszcze go nie odwiedziła. Mieścił się w otynkowanym na beżowo budynku z niebieskimi markizami i pękającą kopułą w miejscu dachu. Wyglądał jak świątynia z Bliskiego Wschodu i na skraju śródmieścia Pensacoli prezentował się dość obco.

Laurel sięgnęła do klamki, ale Thalia powstrzymała ją, dotykając jej nogi. Wyglądała dziwnie, jakby nie była sobą, a na jej twarzy pojawiła się mina, której Laurel nie znała. Lekko zaciskała skurczone wargi, jakby oceniała swą siostrę.

- Nie jestem bez serca - odezwała się wreszcie.
- Chodziło mi tylko o to, że potrzebuję kofeiny - odpowiedziała Laurel z uśmiechem.

- Opuśćmy sobie to - zaproponowała Thalia. - Podrzucę cię do domu i sama zobaczę się z Barb.

- Idź do cholery - odparła Laurel łagodnym tonem. - Kawa. Krewetki. Plan. Barb. W takiej kolejności.

Wysiadła z samochodu i ruszyła przez parking, nie zwracając uwagi, czy siostra idzie za nią. Kiedy dotarła do wejścia, Thalia stała obok niej. Ukłoniła się i otworzyła przed nią drzwi wytwornym gestem, a dziwny wyraz znikł z jej twarzy.

Wewnątrz po prawej stronie znajdował się bar w nowoczesnym stylu, a na powitanie wyszła im starsza kobieta o włosach spiętych w lśni-

cy kok. Laurel omiotła ją przelotnym spojrzeniem i uniosła wzrok w stronę kopuły. Całe sklepienie pokrywała mozaika przedstawiająca dno oceanu pokryte muszlami i rozgwiazdami, między którymi przemykały czerwone kraby. Nieco niżej, w pobliżu ścian, wypoczywały syreny, a pośród nich leżał rozparty sam Tryton okręcony swym wężowym ogonem. Po ciemnoniebieskich ścianach pływały rybki w jaskrawych kolorach, połyskując i łypiąc oczkami. Laurel opierała stopy na podłodze, która miała barwę pogodnego nieba.

- O rany - szepnęła do Thalii.

Kobieta z kokiem zapytała Thalię o nazwisko, na które dokonano rezerwacji.

- Och, już widzę resztę naszego towarzystwa - odpowiedziała jej Thalia, po czym chwyciła siostrę za łokieć i pociągnęła za sobą w głąb lokalu.

Laurel wciąż wpatrzona w sufit pozwalała się prowadzić, ale potem przystanąła.

- Jaką resztę naszego towarzystwa? - zdziwiła się.

- Wybacz mi, Robaczk. - Głos Thalii brzmiał szczerze. Ruchem głowy wskazała siedzących przy stolikach gości.

- Nie zrobiłaś tego.

Laurel nagle nabrała pewności, że Thalia zadzwoniła po matkę. Ze jakimś sposobem wkradła się do jej umysłu i odczytała te dwa straszne słowa, a potem nakłoniła matkę, aby przywiozła tu Shelby na udka kraba i przesłuchanie.

Restauracja miała dwa poziomy. Do usytuowanej niżej sekcji jadalnej schodziło się po kręgach otaczających ją jasnoblękitnych stopni. Była to położona centralnie, pod samym środkiem kopuły, okrągła przestrzeń. Na górze siedzący pod ścianami biznesmeni stapiali się w rozmytą linię czerni, szarości i granatu złożoną z mężczyzn w krawatach i kobiet w szpilkach. Laurel zlekceważyła ich i zaczęła przyglądać się gościom na dolnej kondygnacji. Wypełniały ją kobiety w jaskrawych strojach, które siedziały dwójkami, trójkami lub w większych

grupach i rozmawiały, popijając chardonnay albo pellegrino. Laurel wodziła wzrokiem od stolika do stolika w poszukiwaniu bujnej fryzury matki i jasnych warkoczyków Shelby.

- Nie widzę ich - powiedziała.

Zdała sobie sprawę, że trzyma ramię Thalii w mocnym uścisku. Zbyt mocnym. Musiało ją to chyba boleć. Miała nadzieję, że choć trochę boli. To miał być dzień odpuszczenia.

- Tam. - Thalia wskazała podbródkiem w prawo.

Laurel znów wyteżyła wzrok, tym razem patrząc w stronę ściany, pod którą zajmowali miejsca goście biznesowi w stonowanych strojach. Wtem jej oczy dostrzegły znajomą postać. To był David.

Siedział przy dwuosobowym stoliku, ubrany w swe codzienne spodnie khaki i ciemnoniebieską koszulę zapinaną na guziki. Miał na sobie pożyczoną w restauracji kraciastą marynarkę w ohydny rdzawym kolorze, bez wątpienia lepką od brudu, jaki pozostawiły na niej spocone karki tysięcy gości. Naprzeciwko niego siedziała jakaś brunetka, ale Laurel prawie nie zwróciła na nią uwagi.

- Jak babcię kocham. - Laurel spojrzała na siostrę, nie do końca pewna, czy odczuwa irytację, czy zwykłą ulgę. - Zabrałaś mnie tutaj, żeby mi to pokazać?

Thalia spodziewała się zapewne, że Laurel porwie nóż do steków z niesionego przez kelnera półmiska i tratując po drodze innych gości, rzuci się Davidowi do gardła. Najchętniej sama już dawno by go zadźgała. Ale Thalia nie znała Davida. David nie poradziłby sobie z żadnym romansem, gdyby Laurel nie przygotowała mu odpowiedniego stroju, nie zarezerwowała hotelu i nie wprowadziła terminu oraz miejsca spotkania do jego organizera, który zawsze nosił w kieszeni i nazywał Doktorem Theophilusem.

Tymczasem Thalia kiwała głową i spoglądała na siostrę z tym samym dziwnym grymasem, zaciskając skurczone wargi. Tym razem Laurel wiedziała już, co to za mina. To było zwykłe współczucie, które nie gościło na twarzy Thalii od tak dawna, że Laurel nie rozpoznała go od razu.

- Czyś ty oszalała? - oburzyła się Laurel. - David nie zrobiłby tego mnie i Shelby. Nie mógłby. Nigdy.

- Nie wiesz, co... - zaczęła Thalia.

- Owszem, wiem - przerwała jej Laurel. - Kiedy zaniostaś mu na dół ciastko, podsłuchałaś, jak umawia się na lunch przez ten swój komunikator. Ruda cizia w piwnicy, śmiechu warte. To służbowy lunch, w sprawie gry, nad którą pracuje. - Zerknęła znów na kobietę siedzącą przy stoliku z Davidem. - Ona nawet nie ma szminki, Thalia. Któż wybierałby się na randkę bez szminki?

- Laurel. - Thalia zwróciła się do siostry, używając jej imienia, co wystarczyło, aby Laurel zamilkła. - Przestań patrzeć na mnie. Popatrz na nich.

Laurel obróciła się i spojrzała w stronę męża. Kiedy gestykulował, jego nadgarstki sterczały z rękawów wypożyczonej marynarki, które były zbyt krótkie, by pomieścić jego pajęczne ramiona. David gestykulował zżywieniem, jak zauważyła Laurel, a to dlatego, że rozmawia z kobietą. David. Rozmawiał.

Jej mąż żywił tak wielką awersję do spotkań towarzyskich, że kiedyś wysłał ją nawet, by sama reprezentowała go na obowiązkowym przyjęciu świątecznym w jego firmie. Tutaj jednak był na lunchu, zadowolony i podekscytowany, jego usta poruszały się z zawrotną prędkością, a mózg znajdował się w stanie wzmożonej aktywności. Wywijął dookoła kościstymi dłońmi, które na moment objęły jego głowę, mierzwiąc ciemne włosy.

Siedząca naprzeciw kobieta, a właściwie dziewczyna, miała najwyżej dwadzieścia pięć lat. Nachylała się w jego stronę, podpierając się bezwstydnie łokciami, które tworzyły obramowanie dla sałatki rybnej. Nie wyglądała ani na jedną z eleganckich dam, ani na kobietę biznesu. Była ubrana w cieniutką bluzkę z szerokimi rękawami w hipisowskim stylu, a włosy miała zaczesane do tyłu i spięte przepaską. Wyglądała na oczarowaną, jakby usłyszała coś niewiarygodnie błyskotliwego, a ponieważ rozmawiała z Davidem, było to całkiem prawdopodobne. Była olśniewająco piękna, nawet bez szminki.

- To jego koleżanka z pracy - odezwała się Laurel, ale nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to niepewnie.

- Doprawdy? - zapytała Thalia, przeciągając „a” we właściwy sobie obmierzły sposób. - A więc powinnyśmy się z nią zapoznać.

Thalia ruszyła w ich stronę, przecinając salę w poprzek, Laurel zaś w głębi duszy czuła, że powinna w tym momencie wyjść, usiąść w samochodzie i pozwolić, by cała scena rozegrała się bez jej udziału. Była niemal pewna, że nie ma to nic wspólnego z jej małżeństwem, ale Thalia zmierzała w stronę Davida z zamiarem wywołania zamętu, więc zbiegła za nią po schodach i kluczyła między zajętymi przez kobiety stolikami.

Kiedy po trzech stopniach wspięła się na drugą stronę, miała wrażenie, jakby przekraczała jakąś granicę, wyłaniając się z innego świata w pokrytej tulipanami sukience i zmierzając w stronę ściany, gdzie pannaowały stonowane kolory, a rozmowy toczone były półgłosem. Laurel podeszła już tak blisko, że słyszała słowa dziewczyny. Rozpoznała jej głos. To była ta kobieta z Kalifornii, która nazywała jej męża Dave'em, rozmawiając z nim za pomocą komunikatora.

- ...rzeczywistość zawsze wyprzedza prawdopodobieństwo, a jajo jest zaledwie potencjalną kurą - mówiła.

Dłonie Davida znów znalazły się w ruchu, obejmując wymaginywany owal i potrząsając nim nad talerzem z zupą.

- Nie, jajo jest rzeczywistym jajem. Kura posiada potencjał stworzenia jaja, a w jaju tkwi potencjał stworzenia kury.

- Wspaniale. Kura była pierwsza. - Dziewczyna, chichocząc, odgarnęła z ramienia długie włosy. - Oszczędź mi już fizyki, proszę. Porozmawiajmy o deserze jak poważni ludzie.

Ich rozmowa nie sprawiała wrażenia służbowej, a kiedy Laurel i Thalia podeszły do stolika i stanęły im nad głowami, ani David, ani dziewczyna nie podnieśli wzroku.

- Cześć - odezwała się Laurel.

David podskoczył wystraszony, a jego dłonie natychmiast złączyły się w jednolity spokojny obiekt, który spoczął na stole. Wyglądał na za-

skoczonego jej widokiem, ale nie było to bezgraniczne zaskoczenie. Skinął zdawkowo głową w stronę Thalii, po czym zwrócił się do Laurel:

- Cześć. Co tu robicie?

Szeroki drapieżny uśmiech rozpełznął się po twarzy Thalii, nadając jej osobliwy wyraz zdziżałatego piękna.

- Mam lepsze pytanie - powiedziała, zanim Laurel zdążyła się odezwać. - Co ty tutaj robisz?

Talerz Davida wypełniała zawieszista maź, która z wyglądu przypominała gumbo. Spojrzał na niego skonsternowany, jakby ta zupa miała za niego udzielić wyjaśnienia.

- Jem - odparł.

Ton jego głosu był tak zmanierowany i oficjalny, że Laurel nie poznawała swego osobistego, szalonego geniusza. Spojrzała na niego, unosząc brwi ze zdziwienia, po czym lekko skinęła głową w stronę dziewczyny, która z uprzejmym i znudzonym uśmiechem na twarzy czekała, aż zostanie przedstawiona. David nie zauważył tej wskazówki albo ją zignorował, a chwila milczenia przeciągała się niemiłosiernie, urastając do rozmiarów wieczności.

Thalia odezwała się pierwsza. Oblizała wargi różowym językiem i zwróciła się do dziewczyny z lekkim akcentem lubieżnego zachwytu w głosie.

- Jesteś prześliczna. Kiedy patrzyłam z drugiej strony sali, myślałam, że jesteś bardzo piękna, ale kiedy tu podeszłam i naprawdę zbliżyłam się do ciebie, o tak... - Thalia pochyliła się nad nią. - Ach! Olśniewająca.

- Och. Mmm, dziękuję - odpowiedziała dziewczyna.

Odwróciła się w stronę Davida, co dowodziło, że nie znała go zbyt dobrze. Szukanie u niego wsparcia w takich sytuacjach było jak zamawianie koktajlu na Saharze.

Niemniej jednak Thalia miała rację. Dziewczyna okazała się jeszcze piękniejsza, kiedy podeszły bliżej. Nawet bez makijażu jej kremowa skóra pałała blaskiem. Miała ciemne, szeroko rozstawione oczy, kształtne kości policzkowe i pełne usta.

Płynnym krokiem zbliżył się do nich kelner. Był to młody mężczyzna o zrosniętych nad nosem brwiach przypominających swym kształtem ptaki, które Shelby rysowała w przedszkolu.

- Czy panie przysiądą się do stolika? - zwrócił się do Thalii.

- Boże. Mam taką nadzieję - odparła Thalia, która nie spuszczała wzroku z brunetki.

Dziewczyna zarumieniła się, a kelner uniósł brwi i Laurel przyszło na myśl, że zaraz oderwą się od jego czoła i odlecą w stronę sufitu, by zawisnąć obok jednej z syren niczym niewzruszone czarne M.

- Proszę nam dać jeszcze chwilę. - Laurel posłała mu uśmiech, aby go udobruchać. Po chwili wahania kelner wycofał się i odszedł.

Thalia opada dłoń na ramieniu dziewczyny i pochyliła się nad nią jeszcze bardziej.

- A może dostałabym twój numer telefonu? - zapytała.

- Kim ty jesteś? - Brunetka cofnęła ramię i schowała dłoń pod stół.

- Przestań - zwrócił się David do Thalii, po czym spojrzął na dziewczynę i dodał: - To moja szwagierka, Thalia. Ona nie jest lesbijką.

Thalia wyprostowała się i spojrzała na Laurel.

- Odepchnęła mnie. A to potrafi być takie silne - przemówiła ostentacyjnie głośnym szeptem. - Ale co ty możesz o tym wiedzieć, prawda?

- Przepraszam - powiedziała Laurel, rumieniąc się. - Moja siostra jest trochę niespełna rozumu. A tak w ogóle, jestem Laurel.

Dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną, jakby to imię nic jej nie mówiło.

- No właśnie - odezwał się David. - Laurel, to jest Kaitlyn Reese z Richmond Games. Przyleciała dziś rano na pokaz gry. Kaitlyn, to jest moja żona.

W momencie gdy David wypowiedział słowo „żona”, wyraz twarzy Kaitlyn uległ zmianie. Kiedyś Laurel zastała czteroletnią Shelby stojącą nad stertą odłamków szkła, które były kiedyś jej ulubionym wazo-

nem. Shelby natychmiast zapiszczała „Nie dotykałam go!”, a jej oczy zrobiły się okrągłe z przestachu. Teraz Kaitlyn miała taką samą minę.

Świat Laurel zachwiał się i odwrócił do góry nogami, a ją zaczęły ogarniać mdłości.

- Miło cię poznać. - Ton głosu Kaitlyn był przesadnie radosny.

Dziewczyna uniosła się, w pośpiechu uściśnęła dłoń Laurel i z powrotem opadła na krzesło. Jej dłoń była wilgotna. Siadając, zerknęła na lewą dłoń Davida. Chociaż było to ledwie dostrzegalne, przelotne spojrzenie, nie uszło ono uwagi Laurel.

- Jest w jego kieszeni - przemówiła Laurel subtelnym tonem, nachylając się w stronę Kaitlyn.

Dziewczyna zarumieniła się lekko.

- Co? - spytał David.

- Kaitlyn zastanawiała się, gdzie masz obrączkę - odparła Laurel, a David zmarszczył brwi.

- Zapomniałem o niej. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd obrączkę wraz z garścią drobniaków i zegarkiem bez paska. - Nie lubię niczego nosić na rękach - wyjaśnił, zwracając się do Kaitlyn.

- Myślę, że nic tu po mnie - odezwała się Thalia i potrząsnęła kluczami do samochodu, a ich radosne podzwanianie wydało się Laurel szalenie niestosowne. - Nadal chcesz iść ze mną do Barb?

Laurel pokręciła głową. Nie miała zamiaru odejść od tego stolika, nawet gdyby stanął w ogniu. Thalia obróciła się na pięcie płynnym ruchem gwardzisty z pałacu Buckingham i odmaszerowała.

- Czy powinnaś puszczać ją samą? - zaniepokoiła się Kaitlyn.

- To nie jest ten rodzaj szaleństwa - odparła Laurel. - Nie stanowi zagrożenia dla siebie ani innych.

- Co ty powiesz? - wymamrotał David. - Gdzie jest Shelby?

Laurel zamknęła oczy. David od tygodni pracował nad swoim przedsięwzięciem, był pogrążony w pracy do tego stopnia, że prawie wcale go nie widywała. Spędzał czas z tą kobietą, wirtualnie i sam na sam, w dzień i w nocy. Zespół z Richmond Games przylatywał tu nieraz,

więc jak Kaitlyn Reese mogła nie zorientować się przez ten czas, że David jest żonaty?

- Shelby jest z matką - odparła Laurel i tak mocno zacisnęła dłoń na blacie stolika, że pobielaly jej palce. - Shelby to nasza córka - zwróciła się do Kaitlyn. Wzmianka o Shelby mogła już całkiem pograżyć Davida, ale Kaitlyn odzyskała zimną krew.

- Mała tancerka Dave'a. - W oczach Kaitlyn pojawił się zacięty wyraz. - Opowiada o niej cały czas.

Położyła subtelny nacisk na słowo „niej”, dając wyraźnie do zrozumienia, o kim David nie opowiada.

- Dobrze się czujesz? - zwrócił się David do Laurel.

Nie czuła się dobrze. Cały jej świat stał na głowie.

- Drażni mnie ten sufit.

- Twoja siostra właśnie wyszła frontowymi drzwiami - poinformowała ją Kaitlyn. - Czy jej wolno prowadzić?

- Nic jej nie będzie. - Odpowiedź Laurel zabrzmiała jak warknięcie.

Kaitlyn zmierzyła ją wzrokiem, a ślady rumieńców na jej twarzy pobladły.

- Cóż, jeśli przyjechałyście razem, to właśnie zostawiła cię na lodzie. Możesz ją dogonić? Dave i ja mamy za niecałą godzinę prezentację gry. - Odwróciła się w stronę Davida i opada łokieć na blacie, a jej ciało zamieniło się w mur, który odcinał Laurel od stolika. - Powinniśmy już jechać do biura.

Laurel miała przemożną ochotę złapać męża za rękę i pociągnąć go za sobą, mówiąc: „Ty pójdiesz ze mną, Dave”.

Mogłaby zedrzeć tę marynarkę z jego kościstego grzbietu i wyprowadzić go na zewnątrz, pozostawiając Kaitlyn Reese z rachunkiem. David od tygodni przygotowywał się do tej prezentacji, ale pal licha jego pracę i całą tę Kaitlyn. Laurel zapragnęła zaciągnąć go przez parking do jego samochodu. Usiedliby na tylnej kanapie i całowałyby ją, a ona opowiadałaby mu szeptem o codziennych sprawach, o tym, co

ugotować na obiad, i o tym, że trzeba pomalować łazienkę, aż przypomniaby sobie, kim jest. Kim są razem.

Jednak David wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził, która jest godzina.

- Ale zrobiło się późno. - Pomachał na przechodzącego kelnera, dając do zrozumienia, że prosi o rachunek. - Czy ona naprawdę zabrała twój samochód?

- Nie wiem - odparła Laurel. - Chyba tak.

- Cała Thalia - stwierdził David, wydymając nozdrza.

Kelner przyniósł rachunek na tacy. David spojrzął na niego, wyciągnął portfel i odliczył pieniądze, powoli i precyzyjnie. Zachował się w sposób opanowany, jak zwykle w obliczu kryzysu, ale to nie był kryzys. To był lunch. Lunch nie był kryzysem, o ile Thalia zachowywała się poprawnie.

- Nie mam czasu, żeby podrzucić cię do domu - powiedział. - Muszę być na tym spotkaniu.

- Daj jej swój samochód - odezwała się Kaitlyn. - Możesz zabrać się ze mną tym wynajętym.

- Dobrze. - David wstał i cmoknął Laurel w kącik ust, a ona zmusiła się, by nie odskoczyć w tył.

- Zaraz, Davidzie. A jak wrócisz do domu? - zapytała, ale ten nieudolny wybieg powstrzymał go tylko na moment.

- Odwiozę ci go z powrotem. - Kaitlyn wykrzywiła zaciśnięte usta w uśmiechu, po czym dodała, jakby żartem: - Kiedy już z nim skończę.

David zdawał się tego nie słyszeć. Ściągnął z siebie tę szkaradną marynarkę i zawiesił ją na oparciu krzesła.

- Zadzwoń i powiem ci, jak poszło - zwrócił się do Laurel. - Przepraszam cię za...

Zatoczył dłonią w powietrzu, ale Laurel nie wiedziała, czy chodzi mu o Thalię, czy o Kaitlyn, czy też o to, że zostawia ją samą.

- Dave - ponagliła go Kaitlyn, schodząc już po stopniach do krateru pełnego sobowtórów Trish Deerbald.

- Przepraszam - powtórzył i ruszył w ślad za Kaitlyn Reese.

Laurel pozostała przy stoliku, w swoim wywróconym na opak świecie. Jej stopy spoczywały na podłodze o barwie błękitu nieba i miała wrażenie, jakby przygniatał ją ciężar oceanu.

Rozdział 12

Siedząc za kierownicą bulwarowca Davida, Laurel krążyła po mieście bez wyraźnego celu. Skręciła do supermarketu, ale wyjechała z parkingu, okrążywszy go dwa razy, chociaż było na nim mnóstwo wolnych miejsc. Wciąż miała przed oczami obraz Davida, który nachylając się nad stolikiem, zasypywał potokiem słów jakąś kobietę.

Ze swoimi starymi kumplami z uniwersytetu David potrafił paplać w nieskończoność o kwarkach i załamaniu przestrzeni. Komputerowe pogawędki z innymi inżynierami sprawiały, że jego tułów sztywniał i nieruchomiał, a ręce zaczynały wykonywać dziwne ruchy, kreśląc diagramy w powietrzu. Potrafił tak się podniecić ciągiem liczb, że oczy wychodziły mu z orbit. Ale wszyscy programiści w jego branży byli mężczyznami. Nigdy nie mówił do Laurel w taki sposób i nigdy nie opowiadał jej o swoich uczuciach tak, jak robią to normalnie ludzie. Jeśli Davidowi zdarzyło się rozpocząć zdanie od słowa „czuję”, Laurel mogła być pewna, że dalszy ciąg będzie brzmiał „chęć na jeszcze jeden kawałek kurczaka”.

David nie rozmawiał z kobietami, ledwie potrafił zamienić słowo ze swą własną matką. Dopóki Laurel nie zobaczyła go, jak wywijał rękami i trajkotał podekscytowany do Kaitlyn Reese, nie byłaby skłonna uwierzyć, że to w ogóle możliwe.

Kaitlyn była niebywale piękna i swoją błyskotliwością imponowała Davidowi, a Laurel wiedziała, jak działają takie damsko-męskie mechanizmy. Słowa wytwarzały połączenia w mózgu, a za nimi podążało ciało. Przerabiała tę lekcję w wieku dziewiętnastu lat. Tymczasem jej

mąż dawał tej dziewczynie, która nazywała go Dave'em, coś, czego Laurel nigdy od niego nie dostała. Z kolei Kaitlyn Reese obdarowywała go w zamian czymś, czego Laurel nigdy nie miała.

Objechała parking przed drogerią i marketem ogrodniczym, zanim zdała sobie sprawę, że nie zamierza wysiadać i kupować szamponu lub owoców ani nawet odbierać ubrań z pralni chemicznej. Nie chciała nikomu patrzeć w oczy ani pytać, czy tłusta plama dała się usunąć ze spódnicy, jakby wszystko było normalnie.

Wróciła do Victorianny i wstukała kod, a żelazna brama stanęła przed nią otworem. Kiedy samochód toczył się po schludnych uliczkach osiedla, zaczął ją drażnić brak ohydnych, odlanych z gipsu gęsi i gnomów lub nawet różowych flamingów. Statut zabraniał umieszczania takich rzeźb w ogrodach, przynajmniej od frontu. Specjalna klauzula uchylała ten zakaz na okres świąt, więc gdy pierwszego grudnia zaczynała się inwazja i wszędzie roiło się od podświetlanych rzeźb, Laurel zawsze odnosiła wrażenie, jakby Bóg zesłał na Victoriannę plagę reniferów. Teraz, pod koniec lata, widać było tylko kamienne skrzynki na listy, klomby pełne kwiatów i dobrze nawodnione trawniki, a śliczne pastelowe domy ciągnęły się rzędem, jeden za drugim. Wszystko idealnie tkwiło na swym idealnym miejscu, wszystko prócz Laurel. Brakowało jej widoku jakiegoś wybitego okna albo brakujących dachówek, jakiegoś małego defektu, który mógłby jej posłużyć jako punkt orientacyjny, lecz eleganckie parcele gładko zlewały się jedna z drugą i poczuła się zagubiona.

Talia chciała zapytać tabliczkę ouija o to, czy Laurel jest szczęśliwa, ale to niewłaściwe pytanie. Laurel była szczęśliwa. Kiedyś była. Powinna zapytać, czy Shelby jest szczęśliwa. Thalia twierdziła, że nie, a Laurel zachowywała się, jakby nie było problemu, dopóki nie doszło do śmierci Molly, a Shelby nie stała się tajemnicza. *Ona widziała.*

Uznała również, że David jest szczęśliwy, ale teraz widziała, że jeśli nie przespał się jeszcze z tamą dziewczyną, to rychło do tego doj-

dzie. Laurel słyszała, jak rozmawiali przez komunikator internetowy, i powinna na to wpaść, kiedy Kaitlyn nazwała go Dave'em. Dave był kimś obcym, kimś, kto nie należał do Laurel, ale ona udawała przed sobą, że tego również nie widzi.

Jak mogła ochronić Shelby, skoro wolała nie dostrzegać nadciągającego niebezpieczeństwa? Nie dostrzegą go, kiedy czaiło się w domu i narastało wokół niej, wylewając się z jej butów i przesiąkając przez skórę.

Krażyła powoli i bez celu po uliczkach, zmierzając w stronę drugiej części osiedla. Gdyby skręciła w następną przecnicę, dotarłaby pod dom Barb i Chucka. Zatrzymała się na skrzyżowaniu i spojrzała w lewo, w głąb ulicy. Nie zauważyła swego volva na posesji Dufresne'ów. Najwyraźniej Thalia, nawet uzbrojona w zapiekankę i ciasteczka, musiała ponieść klęskę.

Laurel znów ruszyła. Było wczesne popołudnie i rozpalone powietrze drgało nad chodnikami. Ulice były opustoszałe. Skręciła na kolejnym skrzyżowaniu i za rogiem zobaczyła, że w jej stronę zmierza truchtem Stan Webelow. Zatrzymała się i błogosławiąc przyciemniane szyby w bulwarowcu Davida, zaczęła go obserwować. Sylwetka Stana rosła w oczach, kiedy biegł chodnikiem. Nie mógł zajrzeć do samochodu, a Laurel wątpiła, aby go rozpoznał, ale zbliżając się, uniósł rękę w sąsiedzkim pozdrowieniu. Nad jego drobnym, okrągłym podbródkiem rozlał się szeroki uśmiech, a kąciki ust podjechały tak blisko uszu, że wyglądał jak drapieznik.

Nagle Laurel poczuła, że nie może pozwolić, aby ją minął. Jeśli Thalia miała rację, jeśli Laurel faktycznie była taka jak ich matka, to mogła teraz postąpić jak ona. Matka była Prymulką, ale kiedyś nachyliła się nad przepaścią ziejącą między jej łóżkiem a łóżkiem ojca i przemówiła, sprzeciwiając się całej naturze, aby chronić Laurel. Teraz ona mogła zrobić to samo dla Shelby.

Nacisnęła klakson. Klakson jej własnego samochodu pohukiwał kontraltem i był delikatny jak chrząknięcie. Za to terenówka Davida

miała sygnał, który ryczał niczym syrena holownika, przesywając dostojną popołudniową ciszę Victorianny. Stan Webelow zwolnił kroku i zerknął w stronę samochodu, jakby nie był pewny, czy chodzi o niego. Laurel zatrąbiła jeszcze raz.

Stan przestał biec, gdy zrównał się z przednią szybą, i z wahaniem podszedł do drzwi od strony pasażera, stawiając kroki jak nerwowy koń. Miał na sobie obcisłe szorty, podkoszulek na ramiączkach i sportowe buty. Jego brązowe włosy o miedzianym połysku przypominały chłopięcą czuprynę, jakby przed wyjściem z domu mierzył je przez pół godziny i przy użyciu rozmaitych specyfików doprowadzał do artystycznego nieładu.

Nierówny i chrapliwy oddech Laurel zdawał się zagłuszać pomruk silnika, ale chociaż mechanizmy samochodu funkcjonowały płynniej niż jej naprężone ciało, nacisnęła guzik i szyba w oknie po stronie pasażera zjechała w dół.

Stan Webelow musiał uważnie się jej przyjrzeć, zanim ją rozpoznał. Kogokolwiek spodziewał się ujrzeć w tym zwalistym wozie, ktokolwiek trąbił na niego jak niecierpliwy licealista czekający na dziewczynę - na pewno nie była to Laurel.

- Pani Hawthorne? - odezwał się uprzejmym i zaskoczonym tonem, ale Laurel weszła mu w słowo:

- Widziałam pana.

- Co proszę? - Zakłopotany zaczął mrugać powiekami.

- Tamtej nocy, kiedy zginęła Molly, widziałam pana na trawniku przed domem Trish Deerbould.

Stan otworzył usta, jak gdyby słowa Laurel wytrąciły go z równowagi, lecz po chwili w jego zaokrąglonych oczach pojawił się przebiegły i tajemniczy wyraz. Jego ciało znieruchomiało, a usta zacisnęły się powoli. Zmarszczył brwi, jakby poczuł zmieszanie, ale była to sztucznie sfabrykowana mina. Nie był nawet w połowie tak dobrym aktorem jak Thalia.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - odparł.

Odpowiednio dobrał siłę głosu, który był o jeden ton wyższy niż zwykle, jednak nie był w stanie kontrolować swego organizmu i jego policzki zalały się rumieńcem.

- Owszem, ma pan. - Głos Laurel brzmiał spokojnie. - Stał pan z tyłu za zbiegowiskiem. Wszyscy patrzyli na mój dom i byli odwrócenii do pana plecami. Ale nie ja. Ja patrzyłam na nich i widziałam pana.

- To niemożliwe. - Jego słowa zabrzmiały autentycznie i wiarygodnie.

Nie mówił jednak, że go tam nie było, tylko że Laurel nie mogła go dostrzec, a rumiane kręgi na jego policzkach nabrały jeszcze koloru.

- Wydaje się panu, że stał pan dostatecznie daleko, ukryty w mroku, ale zdradziły pana światła odblaskowe. - Laurel dotknęła własnej grzywki. - One są po to, żeby odbijać światło.

- Widziała pani jakieś włosy połyskujące w ciemności? - Stan Webelow zmrugał oczy. - I stąd wniosek, że to byłem ja?

- Wiem, że to był pan - oświadczyła. Serce tłukło się jej w piersi tak mocno, że czuła pulsowanie krwi w nadgarstkach i na szyi, ale z głosu przebijała siła i pewność siebie.

Nagle Stan Webelow przestał dbać o pozory, a jego czaszka zdawała się pęcznieć pod skórą.

- To nie pani sprawa - odparł spokojnie, lecz z taką zawziętością, że niemal syczał. Potem rzucił się w kierunku samochodu z ręką wyciągniętą do klamki po stronie pasażera.

Laurel zdjęła nogę z hamulca i nacisnęła pedał gazu. Samochód ruszył z piskiem opon, a wtedy znów nadepnęła hamulec. Zatrzymała się kilka metrów dalej, Stan zaś wybiegł na drogę i znalazł się dokładnie za nią. W lusterku wstecznym widziała czerwone plamy na jego rozgorączkowanej twarzy. Naszła ją straszliwa ochota, aby wrzucić wsteczny bieg, ruszyć gwałtownie do tyłu i rozjechać go, kończąc to wszystko. Czuła, jak świerzbi ją stopa oparta na hamulcu. Przycisnęła guzik i opuściła szybę po swojej stronie, po czym wychyliła się i spojrzała na niego.

- Zboczeniec! - wrzasnęła na tyle głośno, by usłyszał ją każdy, kto zwrócił wcześniej uwagę na klakson.

Stan Webelow uniósł ręce w błagalnym geście, a jego wargi zbiegły się tak, jakby chciał powiedzieć „ciii”. Rozejrzał się nerwowo dookoła, sprawdzając, czy nikt nie słyszał.

- Przejrzałam cię! - krzyknęła Laurel.

Jego klatka piersiowa falowała, jakby przebiegł już osiem kilometrów, a na jego czole i ramionach pojawiły się kropelki potu. Ruszył przed siebie niemal bezwiednie, jak gdyby jego ciało postanowiło gościć samochód, nie pytając o zgodę.

Laurel wcisnęła gaz, a samochód zerwał się gwałtownie z miejsca i pognął naprzód. Wciąż spoglądała w lusterko, aby się upewnić, czy sylwetka Stana maleje w oddali. Ręce zaciskała tak mocno na kierownicy, że nie mogła dostrzec, jak bardzo się trzęsą.

Krew pędziła w jej żyłach, rozrzedzona i ożywiona za sprawą adrenaliny. Zrobiła coś autentycznego. Postąpiła tak, jak matce zdarzyło się postąpić raz w życiu i jak Thalia postępowała przez cały czas. Nie był to jeszcze powód, aby zawiadomić policję, ale wiedziała, że ma rację. On tam był tej nocy, kiedy zginęła Molly, i ukrywał coś okropnego. Mogła odciągnąć Thalię od nieszczęsnej rodziny Molly i napuścić ją na Stana. Thalia powinna znaleźć sposób, aby udowodnić, że on tam był, coś niepodważalnego, z czym mogłyby pójść do Moreno. Potrzebowały tylko czegoś, co wystarczyłoby, żeby policjantka przyjrzała mu się czujnym i badawczym okiem. Gdyby Moreno zdołała dobrać mu się do skóry, Molly mogłaby spoczywać w pokoju.

Laurel pojechała prosto do domu, a kiedy otworzyła bramę garażu, by zaparkować terenówkę Davida, zauważyła, że drugie miejsce jest puste. Thalia i volvo Laurel wciąż były w akcji.

Laurel wjechała do garażu, nacisnęła guzik pilota i czekała w samochodzie, dopóki brama całkiem się nie zamknęła. Spodziewała się, że może mieć towarzystwo. Stan Webelow mógł przecież przybiec tu za nią. Rozjuszyła go, a nie miała pojęcia, jak bardzo był nie-

bezpieczny. Pędem dobiegła do wejścia i zaryglowała za sobą drzwi, ale wewnątrz domu wydawało się ogromne i zbyt spokojne. Jej poziom adrenaliny zaczynał spadać, kiedy poczuła lekkie mdłości i dostała dreszczy.

Chodziła energicznie po domu, zbyt podenerwowana, by usiąść. Lękała się wizyty Stana Webelowa, jednak w głębi duszy dręczyło ją to, że jeśli on się nie pojawi, będzie znów rozmyślała o Davidzie i Kaitlyn Reese. Ostatecznie weszła do swej pracowni i rozłożyła na stole narzutę. Panna młoda patrzyła na nią jak pozbawiony ust świadek tego, co miało nastąpić. Laurel celowo zajęła się przyszywaniem płatków róż i kawałków szkarłatnej tasiemki. Zadanie to wymagało tak wiele skupienia, że było w stanie ukoić jej skołatane myśli, ale wciąż ogarniało ją napięcie, ilekroć słyszała samochód przejeżdżający uliczką. Nie była pewna, czy bardziej przerażało ją spotkanie ze Stanem Webelowem, czy z Davidem.

Jednak każdy z tych samochodów mijał jej dom i jechał dalej w swoją stronę, nawet nie zwalniając. Na zewnątrz cienie wydłużały się w popołudniowym słońcu, a Thalia wciąż nie wracała. Laurel przyszyła ostatni z płatków i cofnęła się parę kroków, by obejrzeć ukończony dzieło. Nie potrafiła stwierdzić, czy podoba się jej ono, czy nie. Zostawiła narzutę na stole i udała się do kuchni.

Otworzyła schłodzoną butelkę chablis i nalała sobie hojną porcję, po czym zasiadła na sofie, zbyt zdenerwowana, by odczuwać głód. Kiedy opróżniła kieliszek, nalała sobie następny. Pociągnęła jeszcze jeden łyk i poczuła, że zaczyna szumieć jej w głowie. Nie jadła lunchu, a zbliżała się już pora kolacji. Laurel odniosła kieliszek z powrotem do kuchni i wstawiła go do zlewu.

Z zewnątrz dobiegi odgłos nadjeżdżającego samochodu i Laurel wyprężyła się, nasłuchując. Tym razem samochód zwolnił i skręcił na podjazd. Laurel poszła do jadalni i kryjąc się za zasłoną, wyjrzała przez okno. To było jej volvo, nareszcie. Popędziła do drzwi wejściowych, odblokowała wszystkie zamki i wyszła na ganek.

Po chodniku kroczyła Thalia, ale nie była sama. Jedną ręką obejmowała za ramię Barb Dufresne. Obie szły chwiejnym krokiem, podpierając się nawzajem. Wspięły się na ganek, roztaczając woń korzennego rumu i likieru kokosowego, a kiedy podeszły bliżej, Laurel zauważyła, że Barb ma rozmazaną szminkę.

- Postawisz dziewczynce drinka? - wymamrotała Thalia i wtoczyła się do środka, holując za sobą Króliczka.

Rozdział 13

Barbara Dufresne każdego ranka była rześka, bystra i przenikliwa. Jej mąż zawsze nazywał ją Króliczkiem, lecz Laurel myślała o niej w ten sposób tylko popołudniami. Codziennie o piętnastej Barb całkowicie zatracala swą wyrazistość, a wokół oczu robiły się różowe obwódki jak u królika. Wprawdzie nie brakowało jej sprytu i potrafiła funkcjonować w takim stanie, ale DeLop pękało w szwach od rozmaitej maści alkoholików i Laurel poznała się na niej już przy drugim spotkaniu.

Ich córki stały się nierozłączne, więc Laurel oswoiła się z obydwoma wcieleniami Króliczka, jednak kobieta, którą Thalia przywlokła ze sobą do domu, była zupełnie obca. Laurel nie widziała jej nigdy kompletnie zaprutej. Barb i Thalia minęły ją płynnym tanecznym ruchem i zataczając się, ruszyły w stronę salonu.

- Barb mówi, że dojrzała już, by napić się trochę kawy - rzuciła Thalia przez ramię, bełkocąc radośnie.

- Dobry Boże, co wyście robiły? - wykrztusiła Laurel, odzyskując mowę.

Thalia z wysiłkiem obróciła głowę i wybałuszyła oczy jak pijana w sztok sowa.

- Po prostu zrób kawę, Robaczku - mruknęła i pociągnęła Króliczka za sobą.

Laurel poszła za nimi do salonu i patrzyła, jak z trudem okrążają stół i ciężko opadają na sofę.

- Kawy! - dopominała się Thalia.

Laurel udała się do kuchni, a Barb odprowadziła ją wzrokiem, mrugając jak zmorzone sennością dziecko.

- Może być po irlandzku - odezwała się. - Masz whisky i śmietankę?

- Nie - wybuchła Laurel. - Nie mam niczego takiego.

- Zawsze pieczesz na święta takie ciasto z orzechami - wtrąciła się Thalia, tłumiąc beknięcie. - Ono aż ocieka rumem.

- I o to chodzi. - Barb uniosła palec wskazujący.

- Możemy dodać mleka, rumu i cukru - oświadczyła Thalia.

- I otrzymamy kawę z rumem - dodała Barb.

Laurel zmierzyła Thalię wzrokiem. Było gorzej niż beznadziejnie. Było po prostu strasznie. Brakowało im tu jeszcze Stana Webelowa, kiedy pijane i bezbronne rozwały się na sofie. Laurel i Thalia mogłyby wypróbować na nim własną wersję dochodzenia - dobry glina i wstawiony glina. Ale nie na biednej Barb. Laurel wzięła dzbanek do kawy i zaczęła napełniać go wodą.

- Gdzie jest Shelby? - Barb rozglądała się dookoła.

- U moich rodziców - wyjaśniła Laurel, dziękując Bogu za ten przypadek.

- Och... - Barb wydała z siebie żałosne westchnienie. - To urocza dziewczynka.

- Najlepszego sortu - potwierdziła Thalia.

- Można by dolać rumu do jakiegoś soku i nie czekać. Byłoby łatwiej - zaproponowała Barb. - Albo po prostu dolać rumu do rumu.

- Już się parzy. - Laurel włączyła ekspres. - Myślę, że kawa to znakomity pomysł.

- Mnie by się bardziej przydał jakiś drink - powiedziała Barb, a jej powieki po raz kolejny powoli spłynęły w dół. - Chuck wrócił dziś do pracy. Wyobrażacie sobie? Wysłał chłopców na obóz, a potem na zgrupowanie piłkarskie. Jak gdyby nigdy nic. A ja zostałam sama ze sobą. Nie jest za dobrze.

- Chodź ze mną. Zdejmiesz mi z półki rum. - Laurel zwróciła się do Thalii surowym tonem. - Stoi w tej szafce, nad gablotką z porcelaną w jadalni. Nie sięgnę tam.

Thalia podniosła się ostrożnie z sofy i okrążyła blat, który oddzielał kuchnię od salonu. Laurel poszła wraz z nią, pozostawiając Barb rozpartą na sofie w bezwładnej pozie. Milczała aż do momentu, gdy znalazły się za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do jadalni, poza zasięgiem wzroku Barb.

- Nie mogę uwierzyć, że prowadziłaś w takim stanie - syknęła do Thalii.

- Och, daj spokój. - Thalia lekko potrząsnęła ramionami i cały stan upojenia spłynął z niej bez śladu. - Kiedy tylko wstawiony Króliczek poszedł przypudrować nos, poprosiłam barmana, by nie dolewał już dzinu do moich drinków. Wypiłam tyle toniku, że będę sikać z bąbelkami. Porwałam rachunek, żeby nie zobaczyła, że wzięłam ją na tę starą sztuczkę, i zapłaciłam. A właściwie ty zapłaciłaś. Kiedy wyjmowałam z twojej torebki Amex dla mamy, pozwoliłam sobie przywłaszczyć Visę. - Thalia wyciągnęła z kieszeni kartę kredytową i wręczyła ją siostrze wraz z rachunkiem. Laurel wybałuszyła oczy ze zdziwienia. - Miej pretensje do Króliczka. Zamówiła drinków za całe dziewięć dolarów. Dla takiego chudzielca jak ona w zupełności wystarczyło.

- Musisz ją odstawić do domu - powiedziała Laurel, a w jej głosie wciąż słychać było gniew.

- Jeszcze nie teraz - odparła Thalia. - Kiedy zaczęła mówić, była na granicy pomiędzy wielkim schlaniem a kontrolowanym rauszem. Wiedziałaś o tym, że Chuck wyprowadził się do pokoju gościnnego? Grozi rozwodem. To z powodu jej picia. Tak podejrzewam, chociaż nie powiedziała mi tego wprost. Miałam rację, Robaczku, w domu Dufresne'ów szykuje się jakieś niezłe piekiełko. Musimy teraz doprowadzić Króliczka z powrotem do stanu świadomości. - Thalia otworzyła szafkę i dłońią wymacała w środku butelkę rumu. - Możemy

udawać, że tego dolewamy i w ciągu najbliższej godziny wpompujemy w nią tyle kawy, ile wlezie. Musisz zrobić jej jakąś kanapkę. - Zdjęła rum z półki i odwróciła się do Laurel. - No i czemu wciąż się tak na mnie gapisz?

- Odwieź Barb do domu - rozkazała Laurel. - Bawisz się teraz jej życiem, bez powodu. Musimy się skupić na Stanie, jak zawsze ci potwarzałam. Spotkałam go dziś. Wygarnęłam mu wszystko a on na mnie naskoczył. On tu był tej nocy. Potwierdził to.

Ten jeden jedyny raz to Thalię ogarnęło zaskoczenie, a jej usta przybrały kształt litery „o”.

- Robaczku, właściwie od kiedy ty masz jaja? Jakoś umknęło to mojej uwadze.

- Musimy zabrać stąd Króliczka i odstawić do domu - powtórzyła Laurel. - Teraz. Zanim wróci David.

- A Davida tu nie ma? Myślałam, że po tym, jak brutalnie przerwaliśmy jego zaloty...

- Przerwaliśmy mu lunch. - Głos Laurel stał się lodowaty.

- Och, wciąż udajemy, że w to wierzymy? - Thalia uniosła brew. - Wdziąkałam jego samochód, więc pomyślałam, że...

- Dał mi go, ponieważ ty porwałaś mój.

- Jasne. A on zabrał się na przejażdżkę z Kaitlyn?

- Przestań. - Laurel mówiła z taką zaciętością, że jej głos stał się chrapliwy. Chwyliła mocno Thalię za ramię. - Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o Davidzie. Nigdy. Tamtej nocy był tu Stan. To był on. Musimy odwieźć biedną Barb Dufresne do domu i położyć ją do łóżka. Nie chcę, żeby David zobaczył, czego tu narobiłaś. Na co ci pozwoliłam.

- Czy ty mnie słyszysz? - zapytała Thalia. - Ona czuje się winna jak jasna cholera i właśnie teraz może nam wszystko wyśpiewać.

- To Stan - upierała się Laurel. - Boże, pomóż. Nie dopuszczę do tego, żebyś zadrezczała tę nieszczęsną kobietę.

Na ustach Thalii rozlał się najszerszy i najbardziej obmierły z jej uśmiechów.

- Jak przypuszczam, Bóg zapewne wie, że nigdy nie cierpiałaś Króliczka.

- Odwieź ją do domu - powtórzyła Laurel.

Thalia wzruszyła ramionami, po czym odwróciła się i odeszła z butelką rumu w ręku. Laurel nie wiedziała, czy to przejaw ignorancji, czy jej siostra dała za wygraną. Thalia pchnęła drzwi prowadzące do kuchni i znalazłszy się w zasięgu wzroku Barb Dufresne, znów zaczęła się zachowywać jak zalana w trupa. W następnej sekundzie była jednak z powrotem trzeźwa.

- Jasny szlag - zakląła. - No i zobacz.

Barb spoczywała bezwładnie na sofie z głową odrzuconą na oparciu, a z jej gardła wydobywało się lekkie pochrapywanie. Thalia z hukiem postawiła butelkę na kuchennym blacie.

- Barb? Barb? - zawołała, ale pozostało to bez odzewu.

- Niech nas piekło pochłonie - wyszeptła Laurel, wpatrując się w zwiotczałą twarz Barb.

Thalia machnęła na nią lekceważąco ręką.

- Rano nie będzie niczego pamiętała, Robaczku. Pomóż mi ją postawić na nogi.

- O nie, Thalio - zaprotestowała Laurel. - Nie przyłożę do tego ręki.

Thalia zmierzyła siostrę badawczym wzrokiem od stóp do głów, a potem kiwnęła głową, jakby wydała ocenę.

- Dobrze. Poradzę sobie z tym sama. Jak zawsze. - Zerknęła na śpiącą Barb, po czym złożyła dłoń na kształt pistoletu i wycelowała palec wskazujący w pierś Laurel. - Zamknij oczy, skarbie. - Opuściła kciuk i wydała odgłos naśladujący wystrzał.

Laurel poczuła, jak uchodzi z niej powietrze, jak gdyby rzeczywiście została trafiona, a dłoń Thalii była naładowana. Tymczasem Thalia odwróciła się, napełniła kubek kawą i poszła w stronę Barb. Laurel odprowadziła ją wzrokiem i nagle zrobiło się jej słabo. Zadrżała. Była zupełnie zagubiona. Sięgnęła do zlewu po opróżniony do połowy

kieliszek wina, który tam zostawiła. Chablis miało temperaturę pokojową i smakowało zbyt słodko. Laurel przełykała je z trudem, oparta o blat.

Prawie zawsze się okazuje, że to członkowie rodziny zabijają się nawzajem. Tak powiedziała Thalia, kiedy rozmawiała z nią w teatrze. Obie myślały wtedy o Martym, przypuszczalnie po raz pierwszy od wielu lat. Teraz Thalia, strzelając do niej z palca, przywiodła jej na myśl ojca. Było to coś więcej niż zwykłe przypomnienie. To było jak wezwanie, które miało coś przywołać. Laurel czuła, że coś w niej narasta. Poczwała, jak jeżą się jej włosy, a skóra wydaje się naładowana elektrycznością.

- Pobudka, Barb - mówiła Thalia. - Czas na małą kawkę.

Barb ani drgnęła, nawet kiedy Thalia usiadła obok niej na sofie.

Laurel dokończyła wino, spijając ciepły osad z dna kieliszka. A może Thalii chodziło tylko o to, że Barb jest jeleniem. Że zamierza ją ustrzelić i jeżeli jest to dla Laurel zbyt drastyczny widok, właśnie teraz powinna odwrócić wzrok.

Poradzę sobie z tym sama. Jak zawsze. Tak powiedziała.

- Thalia - odezwała się Laurel, ale jej głos był słaby i zdawał się dobiegać z oddali.

Thalia poklepywała Barb po dłoni, co też nie dawało żadnego efektu.

Tymczasem gdzieś tam na zewnątrz Marty wydostawał się ze swojej dziury po sęku. Nadchodził, przywołany przez Thalię. Laurel wiedziała, że gdyby odsunęła kotarę zasłaniającą drzwi, ujrzałaby jego bladą twarz przyciśniętą do szyby.

Mała damo Laurel, chcesz coś zobaczyć?

Nie chciała. Szczerze i z całego serca nie chciała.

Laurel otworzyła szufladę i zaczęła grzebać wśród nożyków do obierania, łyżek do wydrążania melonów, łyżeczek do herbaty i sitek, dopóki jej palce nie natrafiły na metalową miarkę. Butelka rumu stała wciąż na blacie i Laurel otworzyła ją, po czym napełniła sobie miarkę po brzegi. Opróżniła ją jednym haustem. Alkohol palił jej gardło i przełyk i spłynął do żołądka, gdzie zmieszał się z winem, tworząc nie-

bezpieczną kombinację. Laurel musiała stać w bezruchu i bardzo się starać, aby od razu go nie zwrócić. Łapczywie chwyciła powietrze, próbując powstrzymać torsję, chociaż jej niespokojne ręce już nalewały kolejną porcję płynnego żaru.

- Laurel? - Od strony sofy dobiegł ją głos siostry.

Laurel syknęła, aby ją uciszyć. Nie miała ochoty słuchać tego głosu dobiegającego z zewnątrz. Thalia mówiła już wystarczająco głośno we wnętrzu jej głowy.

Zamknij oczy, skarbie.

Laurel poczuła, że jej ciało przekroczyło jakiś próg, akceptując to, co w siebie wlała, a wtedy szybko uniosła miarkę i wychyliła następną kolejkę. Miała wrażenie, że rozjarzona na niebiesko ognista pięść trafiła ją z impetem w brzuch. Zakrztusiła się, a jej kaszel przypominał prychanie kota. Potem skoncentrowała się na oddechu i zaciskając usta, powoli wciągnęła powietrze przez nos.

- Bum! - huknęła Thalia, po czym wstała z sofy, na której Barb pochrapywała sobie w najlepsze, i podeszła do Laurel. - A to z jakiej okazji?

Ręce Laurel trzęsły się tak mocno, że gdy po raz kolejny przechyliła butelkę nad miarką, część rumu rozlała się na palce i spłynęła na blat.

W milczeniu czekała, aż jej ciało znów przekroczy tę granicę.

Thalia nachyliła się nad blatem w stronę siostry. Przechylała głowę z boku na bok, a na jej twarzy malowało się typowe dla ojca przenikliwe ptasie spojrzenie.

- Bawisz się w wujka Petey-Boya - powiedziała z nutką podziwu.

Laurel wlała w siebie następną kolejkę. Tym razem potrzebowała nadludzkiej siły woli, aby nie zwymiotować. Zgięła się wzdłuż, usiłując stłumić ogień w trzewiach, i obróciła głowę na bok, by przyłożyć policzek do chłodnego, zalanego rumem blatu.

Spod palącego bólu zaczęły przebijać się słabe przebłyski świadomości. Piła jak Petey, bez wątplenia najbardziej zdeklarowany alkoholik

w DeLop. Potrafił pić świeżo zwarzoną whisky z taką nonszalancją, że napełnianie żołądka domowej roboty destylatami stało się jego codziennym zajęciem. Teraz Laurel miała ochotę przesłać mu specjalne podziękowania i zachichotała na myśl o jednej ze swych ozdobnych kart w płóciennej oprawie z monogramem, którą wysłałaby mu w zalakowanej kopercie do DeLop. W środku napisałaby, starannie kreśląc literki: *Tak bardzo jestem Ci wdzięczna! Gdyby nie Ty, nigdy bym się nie dowiedziała, jak należy postępować w razie nieodpartej potrzeby sięgnięcia po flaszkę.*

- Całkiem jak wujek Petey-Boy - skwitowała Thalia. - Ale myślę, że powinnaś już przestać.

- Nie gadaj - warknęła Laurel.

Kiedy Thalia ją zagadywała, Laurel musiała bardziej wyteżać wyobraźnię, by ujrzeć wuja Petey-Boya, który siedząc bez koszuli, nalewa sobie kielicha i czyta jej kartkę, a zwiotczała skóra na jego piersi zwisa załośnie.

- Robaczku, odstaw ten kieliszek i zacznij powoli wracać do siebie.

- Prosiłam cię, żebyś do kurwy nędzy przestała mi pierdolić nad uchem.

Laurel słyszała własny głos dobiegający z oddali i choć nie była pewna, wydawało się jej, że krzyczała. Krzyknęła tak głośno, że Barb Dufresne wydała chrapliwy odgłos i poruszyła się we śnie. Było za późno. Thalia znów się odezwała, a Laurel wyteżyła wszystkie siły, aby nie patrzeć na to, co przenikało przez szybę i zbliżało się prosto do niej, jakby w odpowiedzi na specjalne zaproszenie.

Poradzę sobie z tym sama, powiedziała wtedy Thalia. *Jak zawsze.* A potem jej ręka ułożyła się na kształt pistoletu. Wycelowała i strzeliła. *Zamknij oczy, skarbie.*

A jeśli to była Thalia, wtedy przed laty, w gęstych zielonych lasach Alabamy? Jeśli to Thalia „poradziła sobie z tym sama”? Czy to Thalia zastrzeliła Marty'ego?

- Powiedziałaś takie brzydkie słowo, Robaczku? - zapytała Thalia.
- I to dwa razy. Co się dzieje?

Laurel zamknęła oczy, przyciskając twarz do blatu. Zobaczyła jelenia, który wyszedł na drogę.

Jest twój - szepnął chrapliwie wuj Marty, schodząc ojcu z linii strzału. Ustąpił również miejsca Thalii. Mogliby siedzieć cały dzień w ukryciu i nie doczekać się jelenia, który stąpając powoli, stanowił tak łatwy cel. Być może Marty chciał odstąpić ten strzał najmniej doświadczonemu z myśliwych, swej ulubionej bratanicy, która rok wcześniej upolowała swego pierwszego jelenia.

Ojciec unióśł ręce, w których trzymał sztucer.

Zamknij oczy, skarbie.

Laurel posłusznie zacisnęła powieki, więc nie mogła widzieć, czy ojciec złożył się do strzału, czy przekazał broń Thalii. Zachowywali konieczne milczenie. Byli na zawietrznej, gdzie nie zdradziłyby ich zapach, ale dźwięk mógłby spłoszyć jelenia.

Czy ojciec podał Thalii sztucer z niemym pytaniem w oczach? Może mu odpowiedziała, kiwając głową albo wyciągając rękę. Laurel wyobrażała sobie, jak broń układa się prawidłowo w chudych ramionach jej siostry. A przed nią, na drodze, stoi Marty.

Laurel usłyszała pierwszy strzał. Chybiony. Jeleń rzucił się do ucieczki. Ona wciąż miała zamknięte oczy. *Bierz go!* - krzyknął ojciec, a wtedy Marty coś odpowiedział. Czy zwracał się do ojca? A może do Thalii? Potem sztucer wypalił po raz kolejny, Laurel zaś wciąż czekała. Kiedy w końcu uniosła powieki, broń leżała porzucona na pylistej drodze, a ojciec klęczał nad ciałem brata, próbując przywrócić go do życia.

Laurel patrzyła na siostrę, która z wysiłkiem unosi ciężką rękę i wpycha sobie kciuk do ust. Niezłomna Thalia, która cofa się do poziomu niemowlaka.

- To nie powinno mieć znaczenia - powiedziała Laurel na głos.

Niezależnie od tego, czy zrobił to ojciec, czy Thalia, panująca w rodzinie zmowa milczenia byłaby taka sama. Marty miał zły dotyk, a oni

go zastrzelili. Ale dla niej miało to znaczenie i rozpaczliwie pragnęła wymazać z pamięci powód.

- Co nie powinno? - zapytała Thalia.

W zamku frontowych drzwi zachrobotał klucz. Laurel usłyszała baryton Davida, a potem wyższy, kobiecy głos. Z radością odkryła, że od trzewi aż po gardło wypełnia ją gniew, który powitała ochoczo, jak wyczekiwanego z utęsknieniem kochanka. Jej wzrok napotkał oczy Thalii.

- Powiedz mi tylko, że nie przyprowadził tej wywłoki do mojego domu - szepnęła.

Thalię momentalnie ogarnęła dzika furia, a jej oczy zwięzły się jak u drapieżnika.

- Bawisz się w wujka Petey-Boya z powodu Davida? - Troska w jej głosie ustąpiła miejsca czemuś groźnemu. - Doskonale. Więc weź się do niego.

Laurel już była w ruchu, okrążyła kuchenny blat i przecinała salon, idąc w stronę holu. Czuła, że coś ją przeważa i ciągnie do przodu, i że nawet gdyby tego chciała, nie mogłaby się zatrzymać inaczej, niż upadając na twarz. Ale ona nie chciała się zatrzymywać. Wychodząc z kuchni, czuła, że wraz z jej siostrą coś tam zostaje. Chciała to pozostawić za sobą.

Wypadła przez drzwi prowadzące do holu i nagle gwałtownie przystanęła, jak gdyby zderzyła się ze szklaną ścianą. Była gotowa wyrzucić z siebie ognisty oddech, który wzbierał w jej brzuchu, i spalić na popiół Kaitlyn Reese, ale Kaitlyn tam nie było.

Tuż obok wejścia stał David, przytrzymując drzwi jej matce, która właśnie puszczała przodem dziewczynki, jedną rękę obejmując Shelby w talii.

- ...zdecydowała na noc wrócić do domu ze względu na jutrzejsze pożegnanie Molly - matka dostojnym szeptem zwracała się do Davida. Potem uniosła wzrok i dostrzegła wchodzącą do holu Laurel. - Witaj, moja droga, właśnie... - Zamilkła gwałtownie w momencie, gdy

Laurel przystanęła, opierając się rękami o futrynę. - Dlaczego jesteś blada jak ściana, Laurel? Coś ci dolega?

Za plecami matki widać było ciemnego sedana, który w tej chwili ruszał, oddalając się od krawężnika. Bez wątpienia wynajęty samochód Kaitlyn Reese. Niebieski buick rodziców stał zaparkowany przy chodniku z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział ojciec, rozmazany jak zwykle, nie zwracając uwagi na nic, co istotne.

Spojrzenie Laurel nieuchronnie spoczęło znów na twarzy matki. Cokolwiek usiłowała pozostawić za sobą tam, w kuchni, teraz liczyło się to, co miała przed sobą. Wzięła urywany oddech, a powietrze niczym garść żyletek wypełniło jej gardło falą ognistej czerwieni.

- Dobrze się czujesz? - zapytał David.

Zrobił dwa kroki w jej stronę, a ona nie mogła się cofnąć, bo drogę odwrotu zablokowała Thalia, stojąc za jej plecami jak wątpa ściana ciepła. Laurel wykonała zwrot i nie spuszcżając Davida z oczu, zaczęła iść w stronę jadalni. Przystanęła w łukowato sklepionym przejściu i przytrzymała się ściany, by zachować równowagę.

David odwrócił wzrok od Laurel i spojrzzał na Thalię. Nagle w całkowitej ciszy, jaka zapanowała, rozległo się pochrapywanie i stłumiony bełkot Barb Dufresne. David ponad ramieniem Thalii zjrzał do salonu, gdzie na brzegu sofy spoczywała Barb. Laurel czuła, że obwody w jego mózgu zaczynają się przegrzewać. Nie potrafił znaleźć żadnego wytłumaczenia dla tego, co zobaczył.

- Mamo, co się dzieje? - zapytała Shelby spokojnym tonem. Wraz z Bet stała za plecami matki, która zasłaniała im cały widok.

- Czy to Barb Dufresne? - zapytał David. Jego głos przyciągnął uwagę Laurel. Wolała już patrzeć na niego. Przynosiło jej to ulgę. Wolała patrzeć na cokolwiek. - Laurel, dobrze się czujesz? - dopytywał się David.

- Nie - odparła Thalia. - Ona nie czuje się dobrze i jest pijana.

Cała uwaga Davida skupiła się na Thalii. Laurel poczuła się opuszczona, a cały korytarz zaczął oddalać się w jej oczach.

- Laurel, czy ty piąś? - zapytała matka.

Laurel zmrzyła na chwilę oczy i ujrzała jelenia, który powolnym krokiem wychodził na ścieżkę.

- Ale z was kłamcy! - krzyknęła, unosząc gwałtownie powieki.

Rzuciła to na oślep, wprost przed siebie, do wszystkich. Matka wyglądała na oburzoną, na twarzy Davida malowało się zażenowanie. Powieki Shelby opadły, zasłaniając jej wielkie oczy, i tylko Bet nie zareagowała, stojąc spokojnie z tyłu. Nie zrobiło na niej wrażenia, że w salonie leży jakaś kobieta zalana do nieprzytomności, a druga w upojeniu wykrzykuje oskarżenia. Taka scena nie była dla niej niczym nadzwyczajnym. Nawet nie drgnęła.

- Przepraszam - tym razem Laurel zwróciła się do Bet i do swej córki.

Shelby mocno chwyciła Bet za ramię i obie trwały nadal w cierpliwym milczeniu. Ręce Davida zaczęły się poruszać. Jedną dłoń zaciskał i prostował, nabierając raz za razem pełną garść włosów, drugą zaś uniósł na wysokość ramienia i rozczapierzył palce.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Myślę, że to jest właśnie pytanie, które chciałyby ci zadać Laurel? - krzyknęła Thalia.

- Ty mu to powiedz - zwróciła się do niej Laurel. - Zastrzel go, Thalia. Zastrzel go palcem.

Thalia przesuwiała się ukradkiem naprzód, dopóki nie zajęła miejsca siostry pośrodku niewielkiego holu.

- Shelby, kochanie, idź na górę - odezwała się matka.

- Co tu robi mama Molly? - Na policzkach Shelby pojawiły się silne rumieńce.

Matka otoczyła Shelby ramieniem, popychając ją w stronę Thalii i salonu. Kiedy Laurel zobaczyła, że zbliżają się do niej, szybkim ruchem okrążyła drewniany stół, jakby chciała się za nim ukryć przed matką. Zatrzymała się obok wbudowanych w ścianę półek, na których lśniła antyczna porcelana obramowana szlachetnym drewnem.

Matka przystanąła, wciąż obejmując Shelby, i patrzyła, jak Laurel chwiejnym krokiem wycofuje się za stolik. Zza pleców matki wychylał się David, Thalia zaś stała tuż przy drzwiach do salonu. Laurel zmierzyla wzrokiem całą czwórkę obramowaną łukiem półkoliście sklepionego przejścia.

- Zamknij drzwi wejściowe, Bet - zakomenderowała matka.
- Tak, zamknij drzwi - zawołała Laurel, chociaż nie widziała Bet, która stała w głębi holu. - Jeżeli nikt tego nie widzi, to nic się nie dzieje.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi, ale Bet nadal pozostawała poza zasięgiem wzroku Laurel.

- To do ciebie niepodobne - odezwał się David, patrząc na Laurel.
- Może nie znasz jej zbyt dobrze - odparowała Thalia.
- To w twoim stylu - zwrócił się do niej David.
- Shelby, na górę. Ale już - rozkazała matka tonem nieznośnym sprzeciwu.

- Co się dzieje? - Głos Shelby był piskliwy, niemal histeryczny. Przyglądała się Barb Dufresne. - Co ona tu robi? Czy jest na mnie zła?

Laurel poczuła pragnienie, aby podejść do Shelby, lecz matka wciąż osłaniała ją ramieniem. Nie była w stanie się zmusić, aby zrobić chociaż krok w jej stronę.

- Dość tego - włączył się David. Mówił lekko podniesionym głosem, ale jego ton był opanowany i stanowczy. - Shelby, pani Dufresne zaraz wraca do domu. Możesz porozmawiać z nią jutro. Idź na górę z babcią.

- Czy ona wie, że jest mi przykro? - zapytała dziewczynka z żalem.
- Jestem pewien, że tak, kochanie - odpowiedział David. - A teraz idź na górę.

Shelby potrząsnęła głową w niemym proteście, a jej wielkie oczy zrobiły się szkliste od łez, ale posłusznie dała się poprowadzić w kierunku schodów. Laurel czuła, że każdy krok, każdy centymetr, z jakim oddalają się jej matka i Shelby, są dla niej bezcenne.

David zrobił krok w stronę jadalni i stanął na wprost Laurel, po przeciwnej stronie stolika. Thalia zajęła miejsce po jego lewej ręce, jak sam diabeł, a Bet Clemmens, milcząca i niewidoczna w głębi holu, znalazła się po jego prawicy, w roli jedynej anioła, jakiego miał do pomocy.

- Ty weźmiesz Barbarę i zawieziesz ją do domu. - David użył tego samego tonu, jakim wcześniej zwrócił się do Shelby, tylko mówił o wiele głośniej i z większym gniewem. Było oczywiste, że kierował swe polecenie do Thalii, chociaż stał odwrócony do niej plecami.

- Nie wydzieraj się na nią - zganiła go Laurel. - Boże, muszę się jeszcze napić.

- To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz - stwierdził David.

- Wybij to sobie z głowy - zawtórowała mu Thalia.

- Nie będziecie na mnie krzyżeć, obydwójce - odparła Laurel, po czym zwróciła się do Davida: - To ja będę krzyżeć na ciebie. Bo to ty kręcisz.

David przyjrzał się jej badawczo rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Co robisz?

- Kręcisz - powtórzyła Laurel. - Z Kaitlyn Reese.

- Skąd ci to przyszło do... - David przerwał i ostentacyjnie obrócił się powoli w stronę Thalii.

- Nie patrz na nią - wzburzyła się Laurel. - Popatrz na mnie. Widziałam cię. Jeżeli jeszcze z nią nie sypiasz, to do tego dążysz. Jesteś... Nie wiem, jak to nazwać. Rozmawiasz z nią o mnie.

- Co to ma znaczyć? - David znów zwrócił się do Thalii. - Zabierz Barb Dufresne do domu, a potem wróć tu i się spakuj. Bo wynosisz się precz z mojego domu.

- To nie jest tylko twój dom - wtrąciła Laurel.

- Ale to ja życzę sobie, żeby znikła z naszego domu - mówił ze złością, podniesionym głosem. Ona jest jak trująca... - Zamilkł, szukając odpowiedniego słowa. Zastanawiał się przez moment, nerwowo poruszając szczęką, aż w końcu dał za wygraną i rzucił: - Jak trucizna.

- Skoro ty masz swoją, to ja też będę miała swoją - odpowiedziała Laurel.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że masz inną kobietę. Twoją rozmowną koleżankę Kaitlyn.

- Nie mam żadnej innej kobiety! - krzyknął David, unosząc dłońe ku twarzy. Palce miał wygięte tak, jakby chciał pokazać Laurel niewidzialną kulę, w której mogła zobaczyć prawdę.

- Rozmawiaj tak dalej - odrzekła Laurel - to będziesz miał.

David wziął głęboki oddech, a kiedy znów przemówił, jego głos był przepełniony wystudowanym spokojem.

- Kochanie, jesteś pijana - stwierdził.

- Byłeś tu w ogóle szczęśliwy? - zapytała Laurel. - Właśnie o to powinnam była zapytać tabliczkę ouija. Byłeś szczęśliwy czy tkwiłeś tu tylko ze względu na Shelby?

David pobladał i jedynie na jego policzkach zachowały się ślady rumieńców, jak gdyby Laurel dwa razy uderzyła go w twarz.

- Mówisz rzeczy, których nie można cofnąć. I wcale tak nie myślisz. To wszystko gadanie Thalii.

- Czy widzisz, żebym trzymała rękę w jej dupie? - zirytowała się Thalia. - Ona porusza ustami całkiem samodzielnie.

- Dziewczęta! - uciszyła je matka wyniosłym tonem, który Laurel pamiętała z dzieciństwa. Znów znalazła się w zasięgu jej wzroku, stojąc tuż obok Thalii. - Myślicie, że Shelby was nie słyszy? Macie przestać. Natychmiast.

Laurel przestała. Matka znalazła się z powrotem w salonie i uwagi Laurel nie mogła teraz rozproszyć nawet perspektywa rozpadu jej małżeństwa. Teraz zajmowało ją coś, przed czym próbowała uciec od momentu, gdy siostra wymierzyła w nią palec i strzeliła. To wyraźne i oczywiste, prawdziwe i przerażające.

Jeśli Marty dobierał się do Thalii, a ona poradziła sobie z tym sama, strzelając do niego, to ocalenie Laurel nie było zasługą matki. Ojciec zajęty odwiedzinami swoich duszków nie miał nawet pojęcia, że

jego córka mogła potrzebować pomocy. Matka nigdy nie odwróciła się ku niemu w ciemności i nigdy nie wyszeptwała prawdy w czeleść między ich łózkami. Pozwoliła, by Laurel poszła z nimi do lasu, wiedząc doskonale, jaki jest Marty i czego chce. Milcząc, dała mu przyzwolenie.

Laurel czuła, że nic nie zostało jej oszczędzone. Thalia uświadomiła jej, jak bardzo była nieszczęśliwa, i jak nieszczęśliwa jest Shelby. Z kolei Shelby wydawała się przerażona obecnością matki Molly, pytając, czy Barb nie jest na nią zła. Być może istniało jakieś sekretne oblicze Shelby, którego Laurel od dawna wolała nie dostrzegać. Shelby, która beczynn timer patrzyła na poryw nastoletniej wściekłości i pozwoliła, aby do tego doszło, być może powiedziała: „Molly, przestań wreszcie”, nie wierząc do końca, że Molly nie żartuje i naprawdę ucieka i się ukrywa. Shelby, która nie miała pojęcia, jak to wszystko może się skończyć, wolała niczego nie widzieć i nie rozumieć. Mogła się tego nauczyć od Laurel, która z kolei tę zdolność przejęła po swej własnej matce.

Thalia pokazała jej, że David należy do niej w mniejszym stopniu, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała, a ta jego część, której posiadaniem cieszyła się kiedyś, została jej odebrana. Tymczasem matka, jedyna stała opoka, jaka jej pozostała, okazała się kruchym piaskowcem, który rozpadł się pod dotykiem palca wskazującego Thalii.

To nie matka ją ocaliła, tylko ten strzał, więc jak Laurel, córka ukształtowana na jej własny obraz i podobieństwo, mogła sama ocalić cokolwiek czy kogokolwiek? Nie Shelby. Nie własne małżeństwo.

Laurel miała wrażenie, że jej ciało jest nieożywioną materią. Z owej materii wydobył się głos, który mówił:

- Precz z mojego domu.
- No proszę, widzisz? - zwrócił się David do Thalii.
- Ona nie mówi do mnie - odparła Thalia, ale wyglądała na zmieszana. - Do kogo mówisz, Robaczku?

Laurel zamknęła oczy, lecz wciąż czuła dobiegający od matki zapach talku zmieszany z jakąś bladozieloną wonią przypominającą se-

ler. Wspomnienia tysięcy chwil, kiedy to przez wzgląd na matkę była przywilna, ślepa i niema, otoczyły ją niczym tłum upiorów, unosząc się na fali tego zapachu, a potem nadciągnęły dziesiątki tysięcy innych zjaw. Napierały na nią ze wszystkich stron. Laurel wierzyła kiedyś, że miłość jej matki jest silniejsza niż wszystko to, co mogło ją zniszczyć, silniejsza niż DeLop. Teraz jednak przejrzała na oczy.

- Laurel, myślę, że potrzebujesz pomocy. - Głos matki był przesłodzony i przesadnie dobrotliwy.

Zamknij oczy, skarbie, pomyślała Laurel, ale tym razem uniosła powieki.

Zauważyła, że spojrzenie matki jest skierowane nieznacznie w lewo, ponad jej ramieniem, i pomyślała, że to teatralna sztuczka Thalii, ale być może Thalia nauczyła się tego już wcześniej, od matki. Matka zawsze była geniuszem, jeśli chodziło o unikanie patrzenia prawdzie w oczy.

- Weź się w garść, idź na górę i dodaj otuchy swojemu dziecku.

Laurel zerknęła przez ramię, by zobaczyć, na czym skupia się spojrzenie matki. Piękne porcelanowe naczynia.

- Laurel. - Matka pstryknęła palcami. - Czy ty mnie słyszysz?

Laurel sięgnęła za siebie i otworzyła przeszkłone drzwi jednej z szafek. Wyjęła delikatną filiżankę do herbaty i obróciła się, pokazując ją matce.

Matka właśnie otwierała usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Laurel cisnęła filiżanką o drewnianą podłogę. Porcelana rozprysła się na tysiące drobnych kawałków.

- Precz z mojego domu - powiedziała delikatnie.

- Laurel! - matka podniosła głos.

W tym momencie Laurel pochwyciła spodeczek i roztrzaskała go na szczątkach filiżanki.

- Wynoś się - powtórzyła.

Thalia i David, obydwoje zszokowani, przyglądali się jej w milczeniu. Matka nadal stała jak wryta, więc Laurel zanurzyła rękę w szafce,

wsuwając ją za komplet delikatnych kieliszków do wina, które stały równo jak żołnierze za rzędem salatek. Jednym ruchem zgarnęła to wszystko z półki. Rozległ się wielki huk, po którym nastąpiła symfonia kryształowych odłamków podzwaniających o resztki potłuczonej porcelany i z brzękiem toczących się po podłodze.

- Przestań! - krzyknęła matka, lecz Laurel zagłuszyła jej słowa, tłukąc stertę talerzy obiadowych.

David stał oniemiały z wrażenia, za to Thalia zaczęła wydawać z siebie dziwny zdławiony odgłos, który brzmiał tak, jakby lada chwila miał się przerodzić w histeryczny śmiech.

- Wyrzuć tę sukę z mojego domu - zwróciła się do Davida.

David zrobił krok w stronę Thalii, zatrzymał się, spojrzał na matkę i znów zastygł w bezruchu.

Laurel wyjęła z szafki masywny kryształowy dzban i uniosła go nad głowę.

- Wyjdź stąd, bo tym razem rzucę w ciebie - warknęła Laurel, spoglądając na matkę.

Matka lekko pokręciła głową w nieśmiałym przeczeniu. Jej rozbiegane oczy próbowały znaleźć jakiś punkt, na którym mogłyby się zatrzymać. Podszedł do niej David i ze śmiertelnie poważną miną chwycił ją za ramię. Wyglądał na dziwnie zmieszanego.

- Chodź - powiedział.

Poprowadził ją w stronę drzwi frontowych, gdzie znalazła się poza zasięgiem wzroku Laurel. Rozległ się odgłos otwieranych drzwi i Bet Clemmens, która wciąż tam stała, usunęła im się z drogi i stanęła obok Thalii, na środku przedpokoju. Jej pozbawione wyrazu, spokojne spojrzenie boleśnie przesywało skórę Laurel.

Laurel słyszała stukot obcasów matki, który oddalał się, kiedy przekroczyła próg i zmierzała tam, gdzie czekał ojciec. Nagle poczuła, że dzban w jej rękach waży tonę. Odstawiła go ostrożnie z powrotem do szafki i ruszyła w stronę siostry.

- Laurel, nie! - krzyknęła Thalia. - Masz bosa stopy.

Zdezorientowana i niepewna Laurel stała na maleńkim skrawku podłogi wolnym od potłuczonego szkła, którym była usłana cała podłoga. Thalia uniosła dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym, po czym znikła w korytarzu. David nie zamknął drzwi frontowych i do środka wdarła się fala sierpniowego upału i rozlała po salonie. Gorący podmuch sprawił, że Laurel poczuła osłabienie.

Thalia wróciła, niosąc zrolowany chodnik z przedpokoju. Zgięła się w głębokim ukłonie i rozwinęła go uroczyście, jakby to był czerwony dywan. Kiedy Laurel postawiła stopę na tym moście przerzuconym przez morze szklanych odłamków, Thalia wyprostowała się i zaczęła klaskać, najpierw powoli, raz za razem, a potem coraz szybciej, aż wreszcie jej dłonie zlały się w zamazany obraz. Bet stała oszołomiona w głębi holu i wodziła po nich wzrokiem.

- Brawo! Bis! Bis! - wołała Thalia, wciąż klaszcząc.

Laurel minęła ją, biegiem przemierzyła salon i dotarła do schodów. Nadal słyszała oklaski Thalii, jednoosobową owację na stojąco, która nie ucichła nawet wtedy, gdy wpadła do łazienki. Nie zapalając światła, osunęła się na kolana i wymiotowała tak długo, aż wyrzuciła z siebie wszystko.

Rozdział 14

Laurel znów śnił się chłopiec o włosach koloru pszenicy. Tym razem biegał po jej własnym podwórku i bawił się z psem. Nie była to jednak Miss Sugar, jak ostatnio, lecz jakiś podobny pies, który wyglądał jak skundlony beagle. Laurel obserwowała wszystko z dołu. Widziała wysmukłą sylwetkę chłopca, ale nie mogła dojrzeć jego twarzy, tylko wygięty spód szpiczastego podbródka. Chłopiec miał zabarwioną na niebiesko skórę, a jego kończyny były zniekształcone i powykrzywiane. Otaczający go ogród wyglądał jak baśniowa kraina połyskująca migotliwym światłem i pełna skapanych w błękicie kamiennych aniołów oraz kwiatów o rozwiniętych pąkach. Nagle Laurel zdała sobie sprawę, że znajduje się na dnie basenu i przez lustro wody widzi, jak chłopiec mija ją i się oddala.

Chciała za nim pobiec, lecz poczuła w dłoni znajomy dotyk. Trzymała Shelby za rękę. Ścisnęła jej dłoń, ale ona nie zareagowała. Shelby miała otwarte oczy, lecz nie dostrzegała chłopca, a jej ręce i nogi kołysały się lekko, poruszane przez falującą wodę. Jej ciało było wiotkie i bezwolne. Laurel nie przypominała sobie, aby Shelby kiedykolwiek była taka nieruchoma. Tylko jej włosy zdawały się żyć, a ich kosmyki wiły się i kołysały, próbując dotrzeć do słonecznego światła niczym żółte płatki kwiatów. Laurel szarpnęła Shelby za rękę i chciała wypłynąć wraz z nią na powierzchnię, ale silna dłoń zacisnęła się na jej kostce.

Tym razem nie była to matka. To ręka Thalii ciągnęła ją w dół. Laurel widziała jej wyszczerzone pęrlowe zęby, opalizujące wśród kępy wodorostów, które wyrastały z betonowej podłogi.

- Nie wydostaniesz się z tego. - Thalia nonszalancko wzruszyła ramionami, jakby w ogóle się tym nie przejmowała.

- Spójrz na mnie - odparła Laurel i obudziła się na dźwięk własnego głosu.

Świat wywinął koziołka. Laurel nie leżała na dnie basenu. Patrzyła na niego z góry, stojąc przy oknie. Chwyciła się parapetu, by zachować równowagę. Musiała przebyć ten krótki dystans, podejść do okna i odsunąć zasłony, kiedy spała.

Basen był pusty i emanował nieskazitelną przejrzystością błękitu. Na podwórzu nie zobaczyła ani psa, ani chłopca, tylko Bet Clemmens, która ubrana w piżamę siedziała na stopniu altany i przesypywała z ręki do ręki coś, co wyglądało jak kawałki drobno pokruszonych patyczków.

Nawet z okna na piętrze Laurel widziała wyraźnie dziurę po sęku ziejącą w ogrodzeniu i czuła, że zło panoszy się na jej podwórzu jak jakaś żywa istota. Próbowwała nie wpuścić go do środka, ale ono już tam się wdarło, nawet do jej pięknej sypialni. Wszystkie kolory wydawały się jakieś dziwne, a powietrze było pozbawione smaku, jednak przejmowała się tym znacznie mniej, niż mogłaby się spodziewać. Zeszłego wieczoru przełamała wszystko, co mogła przełamać, i tego ranka obudziła się pusta.

- Przepraszam cię - zwróciła się do Molly.

Prawie się jej udało. Rozpoczęła utarczkę ze Stanem Webelowem i nie wierzyła, że zdoła ją sama doprowadzić do końca. A zносиło się na to, że już wkrótce zostanie sama. Nie mogła dłużej zatrzymywać Thalii w swoim domu.

Odwróciła się od okna i spojrzała w stronę łóżka. Poduszka Davida była wgnieciona. Musiał przyjść w nocy, kiedy już skończyła wymiotować i położyła się po swojej stronie łóżka. Byłoby bardziej pocieszające, gdyby nie wyszedł, kiedy spała. Laurel zrzuciła z siebie piżamę i zostawiła ją tam, gdzie upadła. W łazience przełknęła na sucho parę tabletek przeciwbólowych, po czym weszła pod prysznic. Stała pod

strumieniem wody, która lała się jej na głowę tak długo, aż ból zelżał i Laurel poczuła, że zaczyna dochodzić do siebie. Trwało to dłuższą chwilę.

Włożyła dżinsy i bladozieloną bluzkę na ramiączkach, po czym z przyzwyczajenia sprzątnęła piżamę i wrzuciła ją do kosza na brudną bieliznę. Kiedy ścieliła łóżko, otoczyła ją woń lawendy. Narzutę, która służyła do przykrywania łóżka, uszyła przed pięciu laty i nigdy nie przypuszczała, że suszki tak długo mogą trzymać zapach.

Kiedy doprowadziła już wszystko do porządku, przejrzała się w lustrze zawieszonym na drzwiach. Była bez makijażu i boso, a wilgotne włosy miała spięte w kucyk. Widziała przed sobą zwykłą Laurel, bez planów na przyszłość i niczego, co mogłaby jeszcze z siebie wyrzucić. Na dole czekały na nią resztki potłuczonych rzeczy, które powinna uprzątnąć i sprawdzić, czy coś ocalało.

Otworzyła drzwi gotowa zejść na dół i natknęła się na Bet Clemens. Dziewczynka miała właśnie zapukać i stała z uniesioną ręką, a wyglądało to tak, jakby chciała uderzyć Laurel w twarz. Laurel poczuła, jak jej serce uderza gwałtownie, i odruchowo cofnęła się o krok.

- Przepraszam - Bet niemal krzyknęła i opuściła rękę.

- Nic się nie stało. - Laurel przycisnęła dłoń do piersi. - Wiesz, że potrafisz skradać się jak kot?

- Dałaś mi kiedyś książkę na gwiazdkę. - Bet przekrzywiła głowę.
- Tam było o tym, że mgła podchodzi właśnie w taki sposób.

- Pamiętam - powiedziała Laurel, chociaż nieszczególnie sobie przypominała, aby dawała tę książkę Bet. Shelby uwielbiała ją, chodząc do przedszkola, więc w tamtych czasach Laurel zawiozła kilka egzemplarzy do DeLop.

Laurel spojrzała ponad ramieniem Bet w głąb korytarza. Drzwi do małego pokoju gościnnego były zamknięte. Bet obejrzała się przez ramię, podążając za wzrokiem Laurel.

- Shelby jeszcze tam śpi - oświadczyła.

- Nie budź jej. Nie będzie miała łatwego dnia.

- Bo dziś wieczór wystawiają Molly.
- Również dlatego - potwierdziła Laurel.

Miała jednak na myśli to, do czego musiało dojść, kiedy Shelby się obudzi. Myślała o słowach matki. „Nigdy nie widziałam takiej autopsji, która wyszłaby robaczkowi na dobre”. Ale ona próbowała już uporać się z tym jak jej matka. Dowiedziała się tylko tego, że matka ją zawiodła.

- Potrzebujesz czegoś? - zwróciła się do Bet.

- Nie. On zostawił dla ciebie tamto na dole, bo powiedział, że lubisz kawałki rzeczy - odparła Bet. - No to ja wzięłam i przyniosłam ci to.

Laurel zamrugała oczami, nie mogąc pojąć sensu jej słów, a wtedy Bet uniosła rękę, w której trzymała foliową torebkę na kanapki. Na jej dnie leżały odłamki beżowego i przezroczystego plastiku. Laurel wzięła torebkę i rozłożyła ją sobie na dłoni, przyglądając się dokładnie jej zawartości. Nagle zorientowała się, czego dotyka, i gwałtownie cofnęła palce, jak gdyby kawałki plastiku na jej dłoni stały się gorące.

- Czy to jest ta płytką? - powiedziała z taką intonacją, że jej słowa zabrzmiały jak pytanie, chociaż znała odpowiedź.

- Nie - odparła Bet. - To jest ta wskazówka. Z tej połamanej ouija, co leżała w trawie.

- Tak, to się nazywa... Nieważne. Pozbierałaś wszystkie kawałki? - spytała Laurel.

Bet pokiwała głową.

- Nawet wygrzebałam tego trochę z trawy, aż znalazłam tę igłę.

Faktycznie, na dnie torebki Laurel dostrzegła srebrną igłę, która wskazywała litery, jedną po drugiej, kiedy płytką ożyła i poruszała się samodzielnie w jej rękach.

- Ale po co? - zdziwiła się Laurel.

Dotykając tego przedmiotu, nawet roztrzaskanego na kawałki, poczuła tak silny dreszcz przebiegający po plecach, że miała wrażenie, jakby jej kręgi zagrzechotały o siebie.

- Źle zrobiłam, tak? - Bet cofnęła się o krok, a jej ciemne oczy zaokrągliły się ze zdumienia. - Myślałam, że to by ci się przydało do kapy.

Laurel stłumiła kolejny dreszcz i podeszła do Bet, by z bliska przyjrzeć się jej twarzy.

- Pomyślałaś, że chciałabym wykorzystać te kawałki do narzuty? - zapytała.

Bet kiwnęła głową w nieśmiałym potwierdzeniu, a na twarzy Laurel mimo wszystko pojawił się uśmiech.

- To naprawdę bardzo miłe z twojej strony. Może kiedyś się przydadzą.

- Nie - odparła Bet. - Widzę, że cię wkurzyłam.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Laurel. - Chodź, coś ci pokażę.

Z torebką w ręku podeszła do komody. Bet szła za nią, stawiając tak drobne kroczki, że Laurel musiała zaczekać, aż dziewczynka przejdzie przez sypialnię.

Laurel otworzyła szkatułkę na biżuterię. Wewnątrz w równym rzędzie tkwiły pierścionki wetknięte w obsadki, a bransoletki i naszyjniki leżały w swoich aksamitnych pudełeczkach. Nie miała zbyt wiele biżuterii, a wszystko to, co przechowywała w tej szkatułce, kupiła sobie sama. Kupowanie biżuterii nie było mocną stroną Davida. A nawet gdyby było, nie należał on do tych, którzy pamiętają o walentynkach. Tak naprawdę nie należał on nawet do tych, którzy zdają sobie sprawę, że jest luty.

Shelby przypominała mu, kiedy zbliżał się Dzień Matki, ale musiał jeszcze pamiętać o ich rocznicy. Trudno było mieć o to żal do niego, skoro zapominał również o własnych urodzinach. Gdyby nie żywił wstrętu do przyjęć, Laurel mogłaby co roku robić mu niespodziankę i przypuszczalnie byłby pierwszą osobą w dziejach, która wpadałaby w autentyczny popłoch na widok przyjaciół wyłaniających się zza sofy z urodzinowym tortem w rękach. Lukrowe serduszka, kwiaty i klejnoty nie były częścią życia, jakie wspólnie tworzyli. Nie przeszkadzało jej

to, ale tego dnia żałowała, że nie ma pęrlowego naszyjnika z okazji piątej rocznicy ślubu ani diamentowej bransoletki otrzymanej na dziesiątą rocznicę. Potrzebowała czegoś konkretnego, czegoś namacalnego i wartościowego, co byłoby jak świadectwo.

Laurel wyjęła ze środka tackę i odłożyła ją na bok.

- Zobacz to - wskazała palcem tajemniczą skrytkę na dnie szkatułki.

Była bardziej zapełniona niż przegródki na biżuterię, zatłoczona po brzegi dziwnymi przedmiotami, które dla nikogo poza Laurel nie stanowiły żadnej wartości. Na samym środku, pomiędzy korkiem z butelki wina, którą David otworzył podczas ich pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru, a złamanym szczyrykiem wuja Poota, spoczywało plastikowe oko dinozaura. Laurel przykryła je plastikową torebeczką jak kocem.

- W tym miejscu przechowuję ważne przedmioty. Takie, których jeszcze nie jestem gotowa wykorzystać do narzuty - wyjaśniła. - Schowam tutaj twoją płytkę.

Bet wyciągnęła palec i dotknęła srebrnej zawieszki w kształcie myszki, a potem małego aksamitnego woreczka pełnego mlecznych zębów Shelby. Laurel stała nieruchomo, dopóki dziewczynka nie cofnęła ręki, a wtedy włożyła tackę na swoje miejsce, zakrywając szczątki swej przeszłości. Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę i pogłaskała Bet po policzku, a ona natychmiast zamknęła oczy i przylgnęła do jej dłoni.

Thalia powiedziała: „To dziecko zaczyna tu zapuszczać korzenie”, ale Laurel jakoś tego nie zauważała. W każde święta zawoziła szynkę, buty i jakąś zabawkę albo grę dla Bet i robiła to regularnie, odkąd dziewczynka przysłała na świat. Bet była u niej po raz drugi z dłuższą wizytą, jednak Laurel miała wrażenie, że nigdy dotąd nie przyjrzała się jej dokładnie.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwała się Laurel. Było to coś, z czym powinna zwrócić się do Davida albo Shelby, albo nawet do

tabliczki ouija, i nie było uczciwie pytać o to Bet. Ona jednak kiwnęła głową, więc Laurel zapytała: - Czy jesteś tu szczęśliwa? Czy twoim zdaniem jest to miejsce, gdzie ludzie mogą być szczęśliwi?

Bet oderwała się od jej ręki i obróciła się bokiem, tak że Laurel widziała jej profil. Miała lekko zaczerwieniony nos.

- Mnie się tu podoba - chciała odpowiedzieć lekceważącym tonem, ale jej głos drżał.

To nie było uczciwe pytanie, ponieważ miejsce, z którego pochodziła Bet, było piekłem. Komu nie podobałoby się w Victoriannie, jeżeli za jedyny punkt odniesienia miałby DeLop. Jednak Laurel nie pochodziła z piekła. Urodziła się w Pace, ale też się jej tu podobało. A nawet kochała to miejsce, każdą jego cząsteczkę i każdą spędzoną w nim minutę, niezależnie od tego, co myślała Thalia. Thalia nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś potrafi być szczęśliwy, mając uporządkowany zarówno dom, jak i życie, mogąc przyrządzać kurczaka i szyć narzuty, a w wolnym czasie zawozić Shelby na lekcje tańca. Laurel potrafiła.

W tym momencie przyszło jej na myśl, że David również uwielbiał to miejsce. Jej przyjemne życie było czymś, co wspólnie stworzyli, niemal przez przypadek, tak samo jak Shelby.

Jeżeli pominęła jakieś elementy, zrobiła to dla dobra swej rodziny. Ona tylko chowała szpetne detale pod zapinanymi na guziczek kłapkami. W ten sposób rzeczy, które maskowała, stawały się lepsze. Na co Davidowi i Shelby rodzinne upiory i sekrety, jej występni krewniacy, odrażające oblicze prawdy i pograżone w skrajnej nędzy DeLop? Pozostawiła to wszystko w ukryciu i całe szczęście. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że David również mógłby coś ukrywać na zewnątrz tego domu. Widziała go pograżonego w emocjonującej rozmowie z dziewczyną, która dorównywała mu intelektualnie. Laurel poznała jego cząstkę, która nie należała do niej, ale nie było w tym nic strasznego. Mogło to być coś, co miał w sobie najlepszego, i coś, co lubił najbardziej, lecz spoczywało w ukryciu, bo nie mógł z nią tego dzielić.

Bet Clemmens odwróciła się jeszcze bardziej i jedyną częścią jej twarzy, jaką widziała teraz Laurel, była krzywizna policzka. Dziewczynka powiedziała coś jeszcze, ale tak cicho, że Laurel nie mogła rozróżnić słów.

- Co, kochanie? - zapytała Laurel, a jej banalna serdeczność ośmieliła Bet.

Dziewczynka obróciła się z powrotem w stronę Laurel i wydała z siebie rozgorączkowany szept:

- Jestem tu szczęśliwa. Wszystko tutaj tak pięknie pachnie. Nawet ty pięknie pachniesz. Wyobrażam sobie, że tak właśnie muszą pachnieć wszystkie te mamy w Nick at Nite*.

Nie było to nic innego, tylko wyznanie, szczere i rozpaczliwe. Na twarzy Bet pojawił się pąsowy rumieniec, a jej gardło zaczęło falować nerwowo. Zwiesiła głowę, nie mogąc po tym, co powiedziała, znieść spojrzenia Laurel.

Laurel poczuła się zawstydzona tym, że nie jest w stanie odpowiedzieć jej po prostu: „Ja też cię kocham, dziecinko”.

Nie kochała Bet, a nikt tak nie potrafił zwierzyć nieszczerości, jak dzieciaki z DeLop. Laurel nigdy nie próbowała pokochać Bet, nawet przez myśl jej to nie przeszło, ale wyobraziła sobie, że mogłaby. Gdyby poświęciła trochę czasu i spojrzała na Bet w taki sposób, w jaki patrzyła teraz, mogłaby w niej dostrzec tę niespodziewaną słodycz, tę zakorzenioną głęboko nadzieję, i też ją pokochać.

- Zastanowimy się nad pewnymi sprawami, ty i ja, dobrze? - odezwała się wreszcie Laurel łagodnym tonem. - Nie wiem, jak będzie, lecz możemy odkryć dla ciebie pewne możliwości. Nie przykładałam się do tego specjalnie. Nie dbałam specjalnie o ciebie i tyle. Przepraszam cię. Ale obiecuję, że się postaram, żeby ci było dobrze. A w każdym razie lepiej.

* Wieczorny program na telewizyjnym kanale dla dzieci i młodzieży Nicklodeon. Przeznaczony dla starszej widowni, prezentuje głównie seriale komediowe oraz klasykę kina akcji.

Bet kiwnęła głową. Mogło to być potakujące skinienie, lecz wyglądało raczej na pobłażliwy gest, który mówił „pożyjemy, zobaczymy”. Laurel wiedziała, że słowa są tanie i mogą nabrać wartości z czasem, kiedy faktycznie zrobi coś dla Bet.

- Widziałas Thalię? - spytała Laurel.

- Jest u siebie w pokoju i robi tę swoją jogę - odparła Bet.

Laurel poczuła zadowolenie. Tego ranka, kiedy ogarnięta pustką wpatrywała się w złowieszczo pociemniałą dziurę po sęku, uświadomiła sobie, że potrzebuje Davida, potrzebuje tego małżeństwa, ich zatroskanego dziecka, ich wspólnego życia. Potrzebowała tego wszystkiego niemal bez względu na wszystko. Jeśli David nie odsłonił przed nią jakiejś części siebie, była skłonna się z tym pogodzić. Mogła zająć się tym, co miała z niego, nawet gdyby był z nią głównie ze względu na Shelby. To był punkt wyjścia. David mógłby tkwić wśród zgłiszcz ubiegłego wieczoru, dopóki obydwójce nie doszliby do porozumienia. Shelby potrzebowała ich obydwójga. Ze wszystkiego, co zostało narazone na zniszczenie, ona musiała zostać ocalona.

Laurel postanowiła odesłać Thalię do domu. Miał to być prezent, ustępstwo wobec Davida. Postanowiła zadzwonić do Moreno i oświadczyć stanowczo, że tamtej nocy, kiedy utonęła Molly Dufresne, widziała Stana na swojej uliczce. To powinno wystarczyć, aby Moreno wzięła go pod obserwację, a nawet gdyby nie wystarczyło, Laurel nic więcej nie mogła zrobić. Chciała zapewnić bezpieczeństwo Shelby i ratować swoje małżeństwo. Tylko to nie podlegało dyskusji.

Ruszyła w kierunku schodów, ale Bet zatrzymała ją, dotykając lekko jej ramienia.

- Przepraszam. Trzęśtaś się, jak ci to przyniosłam - odezwała się.

- To był wspaniały prezent. - Laurel pokręciła głową.

- Nie. Wkurzył cię. Jesteś jak ciotka Muff, co nie? Widzisz różne rzeczy.

- Czasem myślę, że niczego nie widzę - odparła Laurel, uśmiechając się ponuro.

Bet zmarszczyła brwi w grymasie troski albo zaciekawienia.

- A czy kiedyś widziałaś coś, co by było o mnie?

- Nie. Ale czeka cię wspaniała przyszłość. Ja to wiem. Więc może to powinnam zobaczyć.

- Nie. - Bet zwiesiła głowę. - Przepraszam, że cię wkurzyłam.

- Nie musisz przepraszać. Nie wszystko, co chowam pod swoją biżuterią, przywołuje szczęśliwe wspomnienia. Są to rzeczy, które mają dla mnie znaczenie, dobre lub złe. Ta płytką należy do nich, ponieważ to ja ją zniszczyłam. Zadałam jej pytanie, a nie chciałam poznać odpowiedzi.

- A o co ją zapytałaś?

Laurel wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, po co akurat wybrała to pytanie spośród wielu innych, które mogła zadać. W dzieciństwie wiele razy przyglądała się, jak Thalia korzysta z ouija, wiedziała więc, że tabliczka działa najlepiej, kiedy zadaje się jej proste pytanie, wymagające potwierdzenia lub zaprzeczenia. W przeciwnym razie można otrzymać dwuznaczną odpowiedź. A taka odpowiedź może wzbudzić wiele niepokoju.

- No to o co zapytałaś? - powtórzyła Bet z zaciekawieniem.

Stała odrobinę za blisko Laurel, jakby chciała wkraść się do kręgu ciepła, które wydzielało jej ciało. Zapanował między nimi dziwny nastrój rozczenia, jak wtedy w samochodzie, gdy jechały do Mobile. Laurel wiedziała, że jeśli tylko zada odpowiednie pytania, Bet może powiedzieć jej więcej niż ouija.

- Shelby zwierza ci się trochę, prawda? - zaczęła Laurel.

- Co to znaczy? - zapytała Bet.

- Rozmawia z tobą - wyjaśniła Laurel. - Zapytałam tę tabliczkę, co powinnam wiedzieć o tamtej nocy, kiedy utonąła Molly. Co powinnam wiedzieć, żeby ochronić Shelby.

Bet utkwiała w twarzy Laurel nieprzeniknione spojrzenie swych ciemnych oczu, a kąci jej ust wygięły się ku dołowi.

- I co odpowiedziała?

- „Ona widziała” - odparła Laurel. - Powiedziała: „Ona widziała”, a potem zniszczyłam tabliczkę.

- Wiesz, co to miało znaczyć? - Bet opuściła powieki i wlepiła wzrok w podłogę pod stopami Laurel.

- Mam nadzieję, że nie. Na Boga, mam taką nadzieję. Ale tego ranka już przestałam się tego bać. Już nie jestem zbyt przerażona, by się dowiedzieć.

- Ciotka Moff wiedziałaby od razu. Ale ty chyba jesteś bardziej jak Della. Jej zawsze zajmuje trochę czasu, zanim wszystko poskłada, żeby miało jakiś sens - odrzekła Bet, zerkając przez okno. - „Ona widziała” wcale nie oznacza tego, co by ci mogło przyjść do głowy.

Laurel nachyliła się nad nią.

- Jeżeli coś wiesz, cokolwiek, to chciałabym, abys mi powiedziała.

Bet wymamrotała coś pod nosem. Laurel nie była w stanie tego zrozumieć, ale wydawało się jej, że dziewczynka mówi coś do siebie, jakby podejmowała decyzję. Dłonie Laurel drżały lekko, więc złożyła je razem i zacisnęła z całych sił.

- Nie bój się, Bet. Cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć - zachęcała ją Laurel. - Nie będę się złościć.

Bet uniosła wzrok i spojrzała na nią nieufnie, ale już podjęła decyzję.

- Opowiedziałam ci bajkę - odparła. Wjęzyku DeLop oznaczało to kłamstwo.

- To dobrze. - Laurel starała się zachować spokojny ton, aby Bet nie poczuła się zaszczuta. - A teraz możesz mi powiedzieć prawdę.

- Mówiłam ci, że widziałam, jak Molly wchodzi do tego pomarańczowego domu? - Głos Bet zniżył się do szeptu. - Powiedziałam, że nie wiem, czy Shelby widziała, ale to była bajka. Ona to widziała. Kazała mi przysięgać, że nikomu nie powiem. Założę się, że o to chodziło tej tabliczce. - Jej szept stał się tak stłumiony, że brzmiał niewiele głośniej od oddechu. - Shelby widziała Molly z tym mężczyzną, jak wchodziłi do jego domu. Myślę, że to jest naprawdę zły człowiek, a widziałam dość takich, to wiem.

Był to ostatni element, jakiego Laurel potrzebowała. Ten, którego jej brakowało, kiedy myślała o odesłaniu Thalii do domu. Teraz widziała, jak obraz składa się w jedną całość, a wszystkie jego kawałki pasują do siebie. Już od chwili, kiedy dotknęła miękkiej i wilgotnej dłoni Stana Webelowa, była przekonana, że coś jest z nim nie tak. Czuła to w głębi swych trzewi, gdzie zawsze leżała się pewność.

Teraz nawet odpowiedź, jaką otrzymała od tabliczki ouija, miała dla niej sens. Shelby widziała Molly w towarzystwie Stana Webelowa i czuła się winna, trzymając to w tajemnicy, w imię silnej przyjaźni i pożałowania godnej smarkatej przemądrzałości. Bez wątplenia Molly zaklinała ją, by zachowała dyskrecję. Stan Webelow był dla Molly połączeniem wyobrażenia ojca i zakazanego romansu i dziewczyna pozostawała całkowicie nieświadoma krzywdy, jaką jej wyrządzał. Thalia dowiedziała się, że Chuck szykował pozew rozwodowy, nie wiadomo jednak, od jak dawna małżeństwo Dufresne'ów borykało się z poważnymi problemami. Jeżeli Chuck groził odejściem, Molly mogła być szczególnie podatna na zranienie.

Laurel mogła stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że Stan Webelow był na jej uliczce tamtej nocy, kiedy zginęła Molly. Zresztą nie wypierał się tego. Shelby wiedziała o ich związku, a Bet do pewnego stopnia również mogła ich kryć. Sekcja wykazałaby, gdyby Molly została zaatakowana, ale przemoc może przecież występować pod różnymi postaciami. Owszem, była to swego rodzaju przemoc, jeżeli Stan doprowadził do tego, że wymknęła się w nocy i poszła na spotkanie swej śmierci.

Było tak, jak Laurel myślała od samego początku. Molly przyszła, by zobaczyć się z Shelby, to nie ulegało wątpliwości. Być może towarzyszył jej Stan, a może tylko ją śledził. Czekał na przyjaciółkę, Molly podeszła niczym ćma do oświetlonego basenu i tam znalazł ją Stan Webelow. Przestraszył ją, a ona pośliznęła się i upadła. Upadając, uderzyła głową o deskę trampoliny. A on stał i patrzył. To Stan Webelow był tym cieniem, który Laurel dostrzegła, wyglądając przez okno na

podwórce, gdzieś na granicy między snem a przebudzeniem. To jego chciała jej pokazać Molly.

- Środki, motyw, sposobność - wyszeptała Laurel.

- Co? - zdziwiła się Bet.

- To wystarczy. Wystarczy, by iść z tym na policję. Dowiedziałam się wreszcie czegoś konkretnego od ciebie, Bet, a nie ze snów czy od tabliczki ouija. Nie wiem, jak mam ci dziękować. - Położyła dłoń na ramieniu Bet, ale dziewczynka cofnęła się, patrząc na nią rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Nie możesz nikomu powiedzieć.

- Nie martw się - uspokoiła ją Laurel. - Shelby nie będzie na ciebie zła.

- Ona śpi - odparła Bet.

- Wiem. Ale najpierw i tak muszę porozmawiać z jej tatą. O nic się nie martw, Bet, dobrze? Postąpiłaś słusznie, mówiąc mi o tym. To poważna sprawa. Mogłaś zachować to w tajemnicy, narażając na niebezpieczeństwo Shelby i siebie również. Tak właśnie zrobiła Shelby, ukrywając to przed ludźmi, którzy mogli jej pomóc, i to dłużej, niż powinna. Ale ty dokonałaś właściwego wyboru. Jestem z ciebie naprawdę dumna.

Pod wpływem impulsu nachyliła się i uścisnęła Bet. Zanim zdążyła się cofnąć, dziewczynka otoczyła ją ramionami i przyłgnęła do niej tak mocno, że Laurel z trudem mogła złapać oddech.

- Szkoda, że nie jesteś moją matką - wyszeptała Bet z zapałem, przyciskając twarz do szyi Laurel.

- Och, Bet - wzruszyła się Laurel. - Będę...

Dziewczynka rozluźniła uścisk i odsunęła się od niej. Jej twarz zapłonęła rumieńcem.

- Nic nie mów - powiedziała. - Proszę.

Wyzwoliła się z objęć Laurel i pognęła korytarzem w stronę małego pokoju gościnnego. Wśliznęła się do środka i zamknęła drzwi za sobą.

Laurel znów podeszła do okna i spojrzała w dół, na lśniący błękit basenu.

„Nie wydostaniesz się z tego” - mówiła Thalia we śnie, a ona była taka bezbronna, uwięziona pod powierzchnią.

- Możesz być pewna, że się wydostanę - odezwała się i zaskoczyło ją to, z jaką siłą zabrzmiały jej słowa.

Rozdział 15

Mata do ćwiczeń Thalii leżała na jedynym wolnym skrawku podłogi, jaki dało się znaleźć w wielkim pokoju gościnnym. Laurel urządziła go w tonacji bladego błękitu i bieli, którą ociepliła żółtymi akcentami, ale teraz pokój wyglądał tak, jakby na jego środku wybuchła bomba wypełniona całą paletą barw. Na podłodze, szeszlunku, niewielkim biurku i komodzie porzrucane były ubrania Thalii oraz tony kostiumów, jakie zabrała z garderoby. Zwiewne bluzki mieszały się z jedwabną bielizną i naręczami spodni oraz wzorzystych sukienek. W kącie leżała sterta bezładnie rzuconych pstrokatych piór, jakaś etola albo szal boa, jak przypuszczała Laurel. Na podłodze w nogach łózka spoczywała narzuta jej roboty, w którą zawinięte były pościel i poduszki, a na samym szczycie stały na baczność ulubione trzewiki Thalii. Białe prześcieradło oraz poszwy były tak zmięte, że w zgrubieniach i fałdach Laurel mogłaby się dopatrzeć tysięcy kształtów, gdyby chciała oglądać swą pościel jak chmury.

Obraz ten nie mógłby już bardziej się różnić od surowych i wyrazistych konturów opustoszałej sali teatralnej, gdyby nie Thalia. Jej odziane w obcisły kombinezon ciało przybierało tak wymyślne figury, że ustępowały im nawet rozwleczone w nieładzie prześcieradła. Obok stała Laurel i patrzyła. Kiedy ostatnio przyszła prosić Thalię o pomoc, uniżenie zabiegała o jej względy. Tym razem jednak nie czekała, aż siostra ją zauważy.

- Czas się pakować - oświadczyła delikatnym tonem. - Już po wszystkim.

Thalia leżała na plecach, powoli unosząc nogi, aż palce jej stóp mierzyły prosto w sufit. Nie przerwała ćwiczenia, słysząc głos siostry. Obdarzona wyczuciem widowni musiała zwrócić uwagę na lekkie poruszenie powietrza, kiedy Laurel weszła do pokoju.

- Zagadka rozwiązana, Velmo*? - odezwała się Thalia. - Czas zapakować Wehikuł Tajemnic i wygłosić kwestię w stylu „gdyby nie te wścibskie dzieciaki”?

Oderwała biodra od podłoża, wciąż unosząc nogi, a potem opuściła je za głowę. Sięgając stopą podłogi, zahaczyła o samonośną pończochę z koronkowym obszyciem leżącą na skraju maty.

- Dowiedziałam się wystarczająco dużo, by przekazać sprawę policji. Bet Clemmens wie więcej, niż mówiła.

- Hmm - mruknęła Thalia. - Cicha woda brzegi rwie.

- Spójrz na mnie, Thalia - poprosiła Laurel i czekała, aż Thalia wyprostuje się i usiądzie ze skrzyżowanymi nogami. - Wiem, że nie przyjechałaś tu po to, aby mi pomóc zadbać o spokój duszy Molly. Wszystko to była inscenizacja. Przyjechałaś tu, by mnie stąd wyrwać wraz z korzeniami.

- To nie do końca prawda. - Thalia przekrzywiła głowę na bok.

- Ale wystarczająco prawdziwa.

Thalia wzruszyła ramionami.

- Dla ciebie wylądowałam twarzą w kroczu tego zboka, więc nie rób teraz takiej skrzywdzonej miny i nie mów, że nie grałam w twojej drużynie. Owszem, wyprawię uroczystą ucztę, kiedy do mnie zadzwonisz i poprosisz, żebym przyjechała tu po ciebie i twoje rzeczy, ale nigdy się z tym nie kryłam. I mówiłam ci od samego początku, że nie wierzę w duchy.

- Powiedziałaś, że przyjedziesz tu ze mną, bo mi wierzysz - odparła Laurel. - Ale byłaś tu cały czas po to, aby mnie zniszczyć.

* Velma Dinkley - bohaterka serialu animowanego *Scooby Doo*, najsprytniejsza z grupy nastoletników przeżywających sensacyjne przygody i rozwiązujących zagadki kryminalne.

Thalia wstała i zrobiła krok w lewo, instynktownie zajmując miejsce na samym środku maty, której brzegi otaczały ją jak rama.

- Nie było to takie trudne, Robaczku. Powinnaś wyciągnąć z tego wnioski.

- Wciąż tu jestem - oznajmiła Laurel rzeczowym i chłodnym tonem.

Shelby spała w pokoju obok, a ona miała już za sobą krzyki. Miała już za sobą atak niszczycielskiej furii. Miała za sobą ostentacyjne wyjście w środku przedstawienia.

- To nie było po to, żeby cię zranić - wyjaśniła Thalia. - W żadnym wypadku, Robaczku. Raczej po to, żebyś się uwolniła. Mogłabyś być dwa razy lepszą artystką, niż jesteś, gdyby ten cyborg nie zapomniął się zabezpieczyć, kiedy miałaś zaledwie dziewiętnaście lat. Wiedziesz koszmarny żywot w stylu naszej matki, tyle że w lepszej okolicy. Widzę, jak upadasz po raz trzeci, i mam stać beczynnienie i patrzeć? Czy kiedykolwiek do cholery tak postąpiłam?

- Ani razu.

Thalia nie należała do dziewcząt, które trzymają się na uboczu, i nikt nie wiedział tego lepiej od Laurel, która przez całe dzieciństwo była „tą nieszczęsną siostrą Thalii Gray”. Jej koleżanki uważały ją za siostrę najbardziej osławionej bezwstydnicy w szkole, ale kryło się w tym coś więcej. Każda z nich do pewnego stopnia chciała być jak Thalia. Może choćby przez jeden dzień, lecz bez wątpienia wszystkie zastanawiały się, jakie to musi być uczucie, kiedy przyciąga się wszystkie spojrzenia, kiedy nie zważa się na to, co mówią inni, i jest się zplekiem żądź na tyle zuchwałym, by je wszystkie wykarmić. Laurel uchodziła za biedactwo, ponieważ żyła w chaotycznej kotłownianinie wzbudzanej przez Thalię, ale również dlatego, że nie było jej dane być taką, jak jej siostra. Nawet sama Thalia współczuła jej, że nie jest nią.

Laurel przedarła się przez zagraconą podłogę i stanęła na obrzeżu maty. Podeszła na tyle blisko, że Thalia nie mogła umknąć spojrzeniem gdzieś w bok albo utkwić go między jej oczami. Na tyle blisko, by jej niewiele głośniejszy od oddechu szept był dosłyszalny.

- Kto zastrzelił Marty'ego? - spytała.

Thalia cofnęła się o krok.

- Wiesz kto, Robaczku. Byłaś tam.

Laurel zrobiła krok w jej stronę, czując, jak mata lekko ugina się pod jej stopami.

- Twoja głupkowata siostra miała zamknięte oczy - powiedziała. - Ona bała się broni. I chyba wystraszyła się jelenia. Ale ja taka nie jestem.

Thalia próbowała zmusić spojrzeniem siostrę do odwrócenia wzroku, jednak Laurel patrzyła niezłomnie na jej nieprzeniknioną minę. Po prostu czekała.

- Nie żałuję tego - odezwała się w końcu Thalia.

- Wiem. To nic złego.

- Gdybyś teraz mi go tu przyprowadziła, wygarnęłabym do niego jeszcze raz - oświadczyła Thalia, ale w jej głosie pojawiło się drzenie.

- Rozumiem - odparła Laurel.

Rozumiała. Doskonale rozumiała. Była zdana na swoją matkę, a ona nie stanęła w jej obronie. Ojciec również nie obronił Thalii, chociaż zawsze była jego ukochaną córeczką. Co więc ma począć ukochana córeczka tatusia, który nie jest Clintem Eastwoodem ani Charlesem Bronsonem, tylko śniącym na jawie mężem ślepej z wyboru żony. Nikt nadzwyczajny nie przyszedł, aby ratować Thalię. Thalia, która urodziła się nadzwyczajna, wzięła sprawy w swoje ręce i uratowała się sama.

- Nie obwiniam cię - dodała Laurel. - Ale tutaj nie ratujesz mnie przed niczym. Nie jestem tobą, Thalia, i nigdy nie chciałam być, a ty przebijasz na wylot wszystko, co kocham.

Laurel przez dłuższą chwilę wpatrywała się siostrze w oczy. Również tym razem Thalia zrobiła krok w tył i pierwsza spuściła wzrok.

- Pakuj się - powiedziała Laurel. - Podwożę cię do Herta i wynajmę ci samochód, żebyś mogła wrócić do domu.

- Naprawdę już po wszystkim? - zapytała Thalia. - Bet Clemmens dostarczyła ci materiał?

- Tak - odparła Laurel. - Już po wszystkim.

Odwróciła się i szła już w stronę drzwi, kiedy Thalia wypowiedziała jej imię. Jej prawdziwe imię.

- Laurel? Czy między nami kwita?

- Nie. - Laurel starała się mówić tak łagodnie, jak tylko potrafiła. - Chodziło mi o to, że między nami już po wszystkim.

Zamknęła za sobą drzwi delikatnym ruchem. Drzwi pokoju gościnnego były również zamknięte. Za nimi spało jej dziecko, zagubione i pozostawione nawet bez śladu okruszków, po których mogłoby trafić z powrotem do domu. Laurel postanowiła wyruszyć jej na ratunek, ale najpierw musiała znaleźć drogę do Davida.

David musiał usłyszeć, że nadchodzi, ponieważ nalewał kawę do jej ulubionego kubka, kiedy zeszła ze schodów i znalazła się w salonie. Usiadła na jednym z twardych taboretów i opada łokcie o blat. David dodał słodzik i dolał mleka, po czym postawił przed nią kubek.

- Chcesz aspiryny? - zapytał.

- Wzięłam już motrin. Zresztą nie czuję się najgorzej - odpowiedziała. - Chyba zwymiotowałam większość tego rumu.

- Chyba nawet razem z wątrobą. - David uniósł brwi.

Nagle przypomniało się jej, że ubiegłego wieczoru David przyszedł za nią do łazienki. Przypomniała sobie, że przyłożył jej do karku chłodny ręcznik i przytrzymał jej włosy. Zarumieniła się.

David wciąż miał na sobie piżamę, chociaż w przeciwieństwie do Bet i Thalii, włożył górę do kompletu. Sprane spodnie miały barwę wypłowiałego granatu, ale bluza zachowała żywe kolory i wyglądała jak nowa.

Na długim blacie obok zlewu Laurel zauważyła czarny winylowy futerał. Jej aparat cyfrowy leżał obok gotowy do użycia.

- Po co to? - zapytała.

- Chodź i zobacz. - David podniósł aparat.

Obszedł blat dookoła, a Laurel wstała z taboretu i poszła za nim. Poprowadził ją przez salon do holu, gdzie przystanął i wskazał ręką na

jadalnię. W przejściu rozpięta była foliowa taśma, podobna do tej, jaką policja odgradza miejsce przestępstwa. David wykaligrafował na niej przy użyciu czarnego markera swoim kanciastym charakterem pisma: „Nie zamiatać”. Słowa Bet, która oznajmiła Laurel, że David zostawił dla niej kawałki rzeczy, nagle nabrały cudownego sensu.

Potłuczone naczynia leżały tam, gdzie je rzuciła. Odłamki porcelany i kryształu połyskiwały ułożone w fantazyjne koliste wzory, jak fajerwerki wybuchające na tle ciemnej drewnianej podłogi. Kilka talerzy rozprysło się, tworząc rozmyte kształt koła, a Laurel mogła dostrzec, jak każdy z nich wyglądał kiedyś w całości. Kryształowe drobiniki, w które zamieniły się kieliszki do wina, odbijały wpadające przez okna światło słońca, więc cały ten chaos skąpany był w ostrym białym blasku.

Laurel sięgnęła po aparat i znalazła go w wyciągniętej ręce Davida, któremu podała kubek z kawą. Schylona przeszła pod taśmą i stanęła na rozwiniętym przez Thalię dywaniku. Sfotografowała najbardziej efektownie rozbity talerz, a potem obracając się w miejscu, uchwyciła w kadr kilka innych ciekawych deseni. W końcu przykłęka i zrobiła kilka ujęć w zbliżeniu.

Wyobrażała sobie już projekt narzuty. Miała ona przedstawiać wielki stół bankietowy i siedzących przy nich ludzi, ale obraz sięgałby tylko do ich ramion. Nie będzie głów ani twarzy. Pod stołem, ku uciesze kilku szczęśliwych psów, walałyby się w zielonej trawie owoce i mięso. Każdy z uczestników bankietu trzymałby elegancki srebrny nóż albo obcegi do cięcia płytek ceramicznych. Przed nimi leżałyby pokruszone skorupy talerzy, a oni unosiliby łyżki pełne tłuczonego szkła do swych niewidzialnych ust.

Laurel musiałaby użyć bardzo mocnego materiału, który byłby w stanie utrzymać ciężar porcelany. Być może odpowiednia byłaby tkanina obiciowa, ale do wykończenia szczegółów potrzebowała czegoś połyskliwego, najlepiej surowego jedwabiu i atłasu oraz płótna o wzorzystym nadruku, który naśladowałby deseń okalający brzegi

prawdziwej porcelany. Talerze wykonałaby, łącząc szkło i tkaninę, w przeciwnym razie ich ciężar mógłby zniekształcać narzutę.

Potrzebowała osobno zapakować kawałki każdego z talerzy, aby potem móc je łatwiej poskładać. Wykonała jeszcze kilka zdjęć, robiąc zbliżenie talerza, który rozbił się na siedem dużych kawałków. Spomiędzy nich wyzierało ciemne tło drewnianej podłogi, które przybrało kształt gwiazdy. Sfotografowała ją parę razy. Postanowiła odtworzyć ten wzór, wkomponowując go w sierść psów i stroje ucztujących.

W końcu opuściła aparat i spojrzała na Davida. Stał w holu, a jego bose stopy przywierały płasko do podłogi, oddalone o jakiś metr od ostrych odłamków.

- Przykro mi z powodu twoich naczyń - odezwała się.
- To one były moje? - zdziwił się David. - Po co mi naczynia?
- Twoja matka nam je dała. One były... Nieważne. Dziękuję ci.
- Potrzebne ci torebki foliowe na suwak? - zapytał.
- Tak - odparła zaskoczona. - Te duże i mocne, do zamrażania.

David schylił się i postawił kubek na podłodze, a po chwili już trzymał w ręku opakowanie z odpowiedniego rozmiaru torebkami. Stało przygotowane obok wejścia do jadalni. Rzucił je ponad morzem tłuczonego szkła w stronę żony. Laurel złapała pudełko i zaczęła mu się przyglądać. Ten solidny kartonowy prostokąt w jej rękach był wzruszającym dowodem miłości, jakiego nie znalazłaby w swej szkatułce na biżuterię.

Laurel spoglądała to na Davida, to na pudełko, które wciąż trzymała nierozpieczętowane w dłoniach. David wiedział, co ukaże się jej oczom, kiedy zajrzy do tego pokoju. Zachował dla niej ten widok i przewidział, co będzie jej potrzebne, z torebkami włącznie. To było wyznanie, jawne i bezpośrednie, chociaż prawie tak samo niewysłowione, jak wyznanie Bet.

- Kochasz mnie - powiedziała.

Kwestie mówione nigdy nie były mocną stroną Davida. Uniósł dłoń na wysokość ramion i strzepnął palcami w geście, który miał wyrażać skwapliwe potwierdzenie.

- To co do cholery wyprawiasz z tą Kaitlyn Reese?
- Nic, do cholery - wybuchnął David.
- Jest ładna. I podobasz się jej - stwierdziła Laurel, a David znów strzepnął palcami, tym razem lekceważąco, a ona dodała: - Och, ale ty tego nie zauważyłeś.

- Oczywiście, że zauważyłem - odpowiedział. - No i jest ładna. Jak Famke Janssen.

- Kto?
- Taka aktorka. Ma rysy twarzy jak sarenka.
- Nie jadłeś lunchu z Famke Janssen. - Laurel pogładziła palcami pluszowy dywan. - Ona nie jest prawdziwa.

- Jasne. Twoja przyjaciółka Mindy z sąsiedztwa jest ładna. Zauważam to. I zauważam tę Evę z naszej ulicy.

- Ale nie... - zaczęła Laurel i nagle zamilkła. - Evę Bailey? Tę przyjaciółkę Trish Deerbald? - spytała, a gdy David kiwnął głową, dodała: - Jej włosy nawet nie drgną.

Twarz Davida zalała się rumieńcem.

- Ale ciało tak - odparł i zamachał dłonią, jakby chciał wymazać ciało Ewy Bailey z rozmowy. - Odbiegamy od tematu. Jestem mężczyzną, Laurel. Zauważam, jak wyglądają kobiety.

- To nie to samo. Ciało swoją drogą, ale przecież ty nie znosisz Ewy Bailey. Po raz pierwszy słyszę, że używasz jej imienia w zdaniu, w którym nie ma słowa „beznadziejna”. Widziałam cię, Davidzie, widziałam cię z Kaitlyn. Mówiłeś do niej, jak... Jak nie wiem co. Jak nigdy nie mówiłeś do mnie.

Tu tkwiło sedno problemu. Mówiąc o tym na głos, czuła każdy centymetr odległości, jaka ich dzieliła. Rozpięta w przejściu foliowa taśma była niczym ściana. Klęcząc na dywaniku przykrywającym potłuczone szkło, czuła każdą nierówność pod kolanami. David zakrył dłonią usta i pogroził się w zadumie. Potem opuścił rękę i zwiesił ją wzdłuż ciała.

- Nie podobało mi się, kiedy mnie spytałaś, czy jestem tu tylko ze względu na Shelby. Zaprażyłem cię o wiele wcześniej, już wtedy, gdy

się spotkaliśmy po raz pierwszy. Chciałem cię zdobywać w inny sposób. Kolacje, kwiaty, wszystko to, co lubią dziewczyny. Nie wiedziałem, jak to zrobić. A potem przytrafiła się Shelby. Pamiętasz, jaka była wystraszona, kiedy przyszedłaś mi o niej powiedzieć? A ja nie. To był skrót do pewnego punktu, do którego i tak zmierzałem.

Laurel wstała, a odłamki przemieściły się pod jej stopami i popękały na jeszcze mniejsze kawałeczki.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Pewnie nie - przyznał David. - Ale zawsze czekałem nieopodal, podczas gdy twoje koleżanki paplały o jakimś programie telewizyjnym. Tym o ludziach, którzy spiali ze sobą nawzajem, a potem się o to kłócili. Kiedy one rozmawiały, ja zastanawiałem się nad dowodami twierdzeń z zadań nadprogramowych. Ich głosy brzmiały jak jednostajny szum, a one same wyglądały jak... Jak wizualny odpowiednik bezbarwnego szumu. A mimo to siedziałem tam, bo wiedziałem, że ty przyjdiesz. Ty jedna miałaś kolor. Mogłaś mówić o czymkolwiek. O niczym specjalnym. Ale sprawiałaś, że wszystko wokół ciebie też stawało się kolorowe. Potrafiłaś rozświetlić najzwyklejsze rzeczy i sprawić, że widziałem ich kształt. Przeważnie wszystko jest jednostajnym białym szumem, oprócz liczb. Liczby w mojej głowie mają zielony kolor. Takiej zieleni nigdy nie widziałem w rzeczywistości. Widzę ten kolor, kiedy rozmawiam z innymi matematykami, jak Kaitlyn. Owszem, zauważam od czasu do czasu, że jest ładna. Nie jestem maszyną, Laurel. Ale kiedy rozmawiamy, mogłaby równie dobrze być kimś innym. Widzę zieleń. Nie ją. Co innego, kiedy patrzę na ciebie.

Szkło zachrząściło pod chodnikiem, kiedy Laurel ruszyła w jego stronę, niemal biegnąc. Zerwała taśmę, jakby jej tam w ogóle nie było, i rzuciła się w ramiona Davida.

- No co? - zapytał, biorąc ją w objęcia, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

- Odpowiadam ci - wyszeptła mu do ucha.

Przylgnęła do niego mocno, przyciągając jego wargi do swoich i udzielając mu odpowiedzi w języku, którym biegle władał. David miał nieruchome usta, niemal skamieniałe, ale Laurel była naelektryzowana. Wstrząsnęła jego ciałem, pobudzając je do życia i wypełniając prądem. Chwycił ją za biodra i przyciągnął do siebie, a świeża bluzka od pizamy zaszeleściła ściśnięta między ich ciałami.

- Gdzie możemy pójść? - zapytał David.

Na górze snuła się Bet, Shelby spała, a Thalia, dzięki Bogu, pakowała swoje rzeczy.

- Na dół. - Laurel nie przestawała go całować i spleceni w uścisku przemieszczali się w stronę drzwi prowadzących do piwnicy.

David otworzył je jednym szarpnięciem, a kiedy znaleźli się na schodach, zatrzasnął i przekręcił zamek. Jego ręce znów znalazły się na jej ciele, jego wargi dotykały jej warg, zsuwali się coraz niżej, stopień po stopniu, zapadając się w mrok piwnicy i zostawiając po drodze części garderoby. Kiedy dotarli na sam dół, ich ciała splotły się w pośpiesznym i dzikim spełnieniu przypominającym szereg konwulsyjnych drgań. Osiągając szczyt ekstazy, Laurel powtarzała jego imię tyle razy, że zatraciło ono swe znaczenie i przestało być słowem. Stało się jednym dźwiękiem wyrażającym ich zespolenie. David ukrył twarz we włosach żony i wdychając jej zapach, powiedział „Laurel”. Tylko jeden raz, jak gdyby nadawał jej imię.

Potem leżeli ze splecionymi nogami obok kanapy, w białej i surowej pracowni Davida. Od podłogi ciągnęło chłodem i David ściągnął z kanapy narzutę, którą się owinęli. Laurel zwróciła uwagę na małą dziewczynkę w ogromnym kapeluszu, której postać stanowiła główny motyw narzuty, i pomyślała, że na ukrytej pod rozłożystym rondem twarzy na pewno pojawiły się rumieńce. Laurel się rumieniła. Jej policzki były zaróżowione i rozpalone, chociaż w piwnicy było chłodno. David sięgnął również po poduszkę, na której oparł głowę. Laurel przysunęła się do niego i otoczyła ramieniem jego pierś, tak że David mógł obserwować jej twarz oświetloną bladym światłem padającym z monitora.

- Thalia wraca dziś do siebie - odezwała się.
- Znakomicie - ucieszył się David, mrużąc sennie oczy.
- Nie przysypiaj. - Laurel przycisnęła policzek do jego piersi, wsłuchując się w miarowe uderzenia serca. - Jeszcze nie skończyłam udzielać ci odpowiedzi.

Śmiech Davida zadudnił w jej uchu.

- Mam trzydzieści cztery lata, Laurel - oznajmił. - Potrzebuję chwili, zanim zaczniesz dalej mi odpowiadać.

Uśmiechnęła się, czując pod policzkiem jego żebra, i klepnęła go z rozmachem otwartą dłonią w bok.

- Mówię poważnie.

David otoczył ją ramieniem, a ona obróciła głowę i obydwoje spoglądali w stronę jego biurka. Na monitorze jaskrawa rybka pływała tam i z powrotem, powtarzając w nieskończoność ten sam rytuał.

- Thalia nie weszłaby tak łatwo pomiędzy nas, gdyby nie natrafiła na wyłom. Głęboki wyłom. Spróbuję ci to wyłuszczyć.

- Dobrze - powiedział David.

Nie było jej łatwo przełamać się po trzynastu latach milczenia.

- Nasze podwórko jest pełne duchów - odezwała się w końcu.

- No dobrze - powtórzył David, tym razem wolno cedząc słowa.

Laurel zdała sobie sprawę, że nie może zacząć od tego. Nie chodziło o Molly ani nawet o wuja Marty'ego. Chodziło o DeLop. Powinna była pokazać mu to miejsce już wiele lat temu, zabrać go tam na święta i pał licho, co by powiedziała matka. David powinien zobaczyć, skąd wzięły się te wszystkie ukryte kieszonki w jej narzutach. Powinien zobaczyć, skąd wywodzą się jej pierwsze duchy.

- Opowiedz mi - rzekł David, a Laurel ucieszyła się, że początek ma już za sobą.

- Moja matka wychowała się w DeLop w Alabamie.

- Wiem - odparł David, ale ona pokręciła przecząco głową opartą na jego ramieniu.

- Muszę cię tam kiedyś zabrać. I to czym prędzej, Davidzie. Powinieneś to zobaczyć. Zresztą trzeba by tam pojechać jeszcze przed świętami. Odwiedzić Bet. Bet Clemmens to całkiem osobny temat. Zacznie się liczyć dla nas bardziej, kiedy będzie już po wszystkim.

A potem Laurel opowiedziała mu wszystko, co tylko przyszło jej na myśl. Wywlekała różne okropieństwa, jakby to były trofea, i układała je w stertę, jedno na drugim, by wznieść podest, na którym chciała umieścić ducha Molly. Opowiedziała mu, jak DeLop wygląda w zimie, gdy lód tworzy fantazyjne wzory na spękanych ścianach przydrożnych domów. Opowiedziała mu o listach do Świętego Mikołaja, które ciotka Enid czasem przekazywała matce. W ubiegłym roku jej mały kuzyn Jase nie chciał niczego poza kawałkiem laminatu. Nie wyjaśnił, po co go potrzebuje, ale kiedy Laurel pojawiła się w jego domu z pieczoną szynką, butami i całkowicie bezużyteczną układanką, w suficie sypialni zobaczyła dziurę tak wielką, że można by przez nią oglądać księżyc. Nie miała pojęcia, odkąd tam była i jak długo wlewał się przez nią deszcz, tworząc zamarzające grzęzawisko obok dziecinnego łóżeczka, na którym Jase spał ze swym małym braciszkiem.

Ośmioletnia Leslie z sąsiedniego domu napisała Świętemu Mikołajowi, że nie chce niczego dla siebie. Była na tym punkcie szaleńczo zdeterminowana. W swym liście napisała: „Ja bym chciała materac. Mój brat skończył trzy lata i już mu ciasno, kiedy go mama kładzie do szuflady”.

David nie potrafił przejść obojętnie obok dziury w dachu Jase'a.

- Dlaczego ktoś nie wszedł na górę i nie przybił tam jakiejś deski?
- zapytał.

- Dlatego, że nie - odpowiedziała Laurel. - Nikomu by się nawet nie chciało. Tato pojechał wtedy do Birmingham i kupił laminat, a Thalia wspięła się na dach i go załatała. To było w zeszłym roku i jeśli płyta się jeszcze uchowała, zobaczysz ją, kiedy pojedziemy tam w grudniu.

David znów zamilkł, a Laurel dalej snuła swą opowieść, przedstawiając kolejno wszystkie upiory. Ciotkę Moff i jej karty. Stopę wuja

Poota. Marty'ego, który chciał jej coś pokazać - coś, co pokazywał już Thalii. I jelenia, który stając ostrożnie, wyszedł na środek drogi. Opowiedziała Davidowi o tym, jak później, jakiś czas po pogrzebie, Marty zaczął nawiedzać ją w nocy, a cienka jak ołówek wiązka księżycowej poświaty wylewała się z dziury, którą zrobiła mu Thalia. Powiedziała mu, że do ich domu Marty nigdy nie przyszedł.

- Nie kryłam tego przed tobą ani cię nie okłamywałam - tłumaczyła. - Po prostu myślałam, że to już się skończyło i nie ma do nas dostępu. Nie chciałam, aby to zaistniało między nami, ale nie mówiąc ci o tym, pozostawiłam szczelinę. Szczelinę, którą wykorzystała Thalia.

- Kochanie, nie gniewam się na ciebie - odparł David. - Nie musisz wygłaszać tej mowy obronnej. Opowiesz mi historię. Zawsze lubiłem, jak mi coś opowiadałaś.

- To nie jest miła historia.

- Kto mówi, że wszystkie muszą takie być? - zapytał David, a Laurel uśmiechnęła się, bo to ona właśnie tak mówiła. Ona, jak również jej matka, co doprowadziło ich do tej sytuacji, w której odsłaniała przed nim wszystkie koszmary naraz.

- Mów dalej - zachęcał ją David, a ona dotarła wreszcie do Molly oraz do tego, jak z powrotem wprowadziła Thalię do ich życia i co zrobiła w ciągu ostatnich trzech dni, aby zapewnić spokój swoim duchom.

Kiedy skończyła, jej gardło było wyschnięte na wiór. Mówiła przez ponad dwie godziny i jej znużony głos zaczynał przechodzić w szept. Czuła jednak, że rozpadlina między nimi zamyka się, a rozdzielone brzegi na powrót spajają się w jedną całość. Chciała stworzyć hermetycznie zamknięty dom, do którego duchy nie miałyby wstępu, lecz one i tak przedostały się do środka, wykorzystując sekretne przejścia i luki powstałe za sprawą wszystkich tych rzeczy, które przemilczała przed Davidem. Jej słowa znów się zespoliły w nową, przebojową siłę. David słuchał jej tak jak zawsze, otaczając ją ramieniem i bawiąc się kosmykami jej włosów.

Potem leżeli pogrążeni w milczeniu. Laurel była tak wyczerpana, że nieomal zapadała w drzemkę. Zdawało się jej, że rybka na monitorze ucieka poza granice ekranu i unosząc się w powietrzu, podpływa do niej.

Potrząsnęła głową, aby się ocknąć, i szeroko rozwarła powieki.

- Myślisz, że jestem szalona? - zapytała.

- Troszeczkę - odparł David. - Nie więcej niż dotychczas.

- Miałam na myśli to, czy mi wierzysz. - Szturchnęła go łokciem.

David nie odpowiadał przez całą długą minutę.

- Wierzę, że wszechświat, wszystko, co istnieje, składa się z tysięcy miliardów niewyobrażalnie małych gumowych pasemek - przemówił w końcu. - Te pasemka drgają na przeróżne sposoby, a ich wibracje tworzą materię i wszelkie postacie energii.

Laurel obróciła się i podciągnęła w górę, po czym oparła brodę na klatce piersiowej Davida.

- Poważnie? - Przyglądała mu się badawczo, próbując odczytać wyraz jego twarzy.

- Tak. To skrócona wersja teorii strun - wyjaśnił. - Wierzysz mi? Czy myślisz, że jestem szalony?

- Troszeczkę. - Znów przyłgnęła policzkiem do jego piersi. - Ale nie więcej niż dotychczas. No i co teraz?

- Teraz pojedziesz z Thalia wynająć jej samochód. A potem chyba powinniśmy zabrać Shelby i Bet na rozmowę z Moreno.

- Tak. - W jej głosie pojawiła się ulga. - Ale chodziło mi o coś więcej. Jak będzie po tym, co stało się wczoraj i dziś? Co będzie dalej?

- Chodzi ci o resztę naszego życia? - upewnił się David.

Laurel pokiwała głową.

- Nie wiem. Pójdziemy naprzód, krok po kroku. Przetrywamy dzisiaj dzień, rozmowę z Moreno i pożegnanie Molly. W przyszłym tygodniu, kiedy będziesz odwozić Bet do domu, pojedę z tobą. Do DeLop.

- Matka dostanie kota - stwierdziła Laurel i uświadomiła sobie, że przestała się tym przejmować. Matka mogła dostać nawet dwadzieścia kotów. - No i dobrze.

- W tym momencie należy skupić się na tym, abyś odwiozła Thalię do wypożyczalni samochodów.

- W porządku. No to już - odparła Laurel. - W suszarni jest cała masa bielizny, a kilka par twoich dżinsów wisi obok deski do prasowania.

- Zacznijmy ten dzień - powiedział David, całując ją. - Nie będzie on miły, ale jesteśmy już po jasnej stronie, w połowie drogi. Wezmę prysznic tu na dole, naprawdę szybko, dobrze?

David podniósł się z podłogi i nagi poszedł w stronę pralni, do której przylegała niewielka łazienka. Laurel ubierała się, idąc na górę po schodach. Z najniższego stopnia podniosła majtki, a stanik znalazła nieco wyżej, przerzucony przez poręcz. Włożyła spodnie, które leżały porzucone bezładnie u szczytu schodów, a bluzka czekała na nią zawieszona na klamce.

Bagaze Thalii stały w salonie, ustawione w rzędzie obok schodów. Laurel zastała siostrę w swej pracowni położonej za kuchnią, gdzie chodząc wokół stołu, przyglądała się pod różnymi kątami pannie młodej na narzucie. Laurel zapomniała, że ją tam zostawiła.

- Jesteś gotowa? - zapytała.

Thalia wzdrygnęła się.

- Nie słyszałam cię - oświadczyła, pokazując narzutę. - To jest dobre, Laurel. To jest naprawdę dobre.

- Żartujesz, prawda? - Laurel zamrugała zdziwiona. - Bo matce też się podobała?

- Nie może być. - W głosie Thalii pojawiło się wyraźne niedowierzanie.

- Naprawdę. Chociaż nie dokończyłam jeszcze rąk.

- Hmm. To najlepsze z twoich dzieł, jakie kiedykolwiek widziałam. - Thalia wyciągnęła palec i dotknęła miejsca, w którym powinny znajdować się usta panny młodej. - Czy to ty?

- Nie sądzę - odparła Laurel. - Już nie.

Przez moment stały obok siebie w milczeniu, czując, jak coś między nimi przemija.

- Shelby jeszcze w łóżku, co? - odezwała się Thalia. - Nie będziesz miała nic przeciw, jeśli zajrzę do niej i się pożegnám?

- Byłaby niepokieszona, gdybyś tego nie zrobiła. Zresztą i tak powinna już wstać.

Thalia pokiwała głową. Sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze. Cokolwiek to było, Thalia o dziwo dała temu spokój i ruszyła w stronę schodów.

Laurel czekała przy walizkach siostry. Na górze panowała cisza. Nie słyszała, aby Thalia coś mówiła albo żeby Shelby protestowała jękliwie przeciwko nagłemu wyjazdowi ukochanej ciotki, i po jej plecach przebiegł dreszcz niepokoju. Potem rozległo się wołanie Thalii:

- Laurel? Shelby tu nie ma.

W tonie jej głosu było coś, co sprawiło, że serce Laurel zakołatało niespokojnie. Pognała na górę, przeskakując po dwa stopnie.

- Ona spała w pokoju Bet - odrzyknęła w biegu.

- Mówię, że nie ma jej tu nigdzie. - Thalia stanęła u szczytu schodów.

Laurel odepchnęła ją na bok i skierowała się prosto do małego pokoju gościnnego.

- Może wyszły na podwórze? - zapytała Thalia. - Albo do parku?

- Nie sądzę - odparła Laurel.

Ładne ubrania, które Bet dostała od Laurel, znikły z półek, podobnie jak jej czarny worek foliowy, który zawsze leżał obok łóżka. Laurel przebiegła korytarz i wpadła do pokoju Shelby. Thalia podążyła tuż za nią. Szafa Shelby była otwarta, a najwyższa półka, gdzie zwykle spoczywała jej srebrno-czarna torba podróżna, ziała pustką.

Shelby znikła.

Rozdział 16

Thalia pędziła ulicami Victorianny, precyzyjnie wykonując manewry, jak gdyby poruszała się po zamkniętym torze. Musiała się zatrzymać, gdyż dwóch małych chłopców goniło psa środkiem Gaskell Street. Biegli zyzakiem, wymachując rękami, tak pochłonięci zabawą, że nie słyszeli samochodu, który przystanął tuż za nimi. Thalia nacisnęła klakson, a oni obejrzeni się, przystanęli i zeszli z drogi w tak opieszalym tempie, że Laurel siedząca na fotelu pasażera miała ochotę się wychylić i wymierzyć każdemu po klapsie. Nie mogła jednak nawet opuścić szyby i ich zwymyślać, bo właśnie rozmawiała przez komórkę z matką Carly Berman. Spotykała tę kobietę setki razy, na występach tanecznych, szkolnych zabawach karnawałowych i sąsiedzkich piknikach, ale teraz za nic w świecie nie potrafiła sobie przypomnieć jej imienia.

- Nie, nie było jej tutaj - oznajmiła matka Carly całkowicie beztroskim tonem. - Chociaż jest u nas Yvonne Feng. Chcesz, żebym ją zapytała?

- Tak, proszę - odparła Laurel.

Słyszała, jak matka Carly, stukając obcasami, odchodzi od telefonu i woła „dziewczynki”, przeciągając każdą sylabę.

Na tylnej kanapie siedział David i rozmawiał przez telefon z posterunkiem policji w Pensacoli.

- Nie, nie zostawiła żadnego listu. Ale nikt nie pakuje walizki, wybierając się na oranżadę.

- Oddychaj głęboko, Laurel - odezwała się Thalia. - Stawiam dziesięć do jednego, że u Stana Webelowa ich nie ma. Przypuszczalnie ukrywają się w domu któreś koleżanki.

- Wiem - przyznała jej rację Laurel. Z telefonu dobiegało piskliwe trajkotanie Carly, która rozmawiała z matką. - Dlaczego nie mamy ja-
kiejś broni?

- Szkoda, że ty nie masz - poprawiła ją Thalia. - Cholera, ja trzy-
mam w domu dwie sztuki i jestem zdeklarowaną demokratką.

- Moja żona sprawdza teraz, czy nie ma jej u jednej z koleżanek -
powiedział David do telefonu, po czym zakrył dłonią mikrofon i prze-
mówił stanowczym tonem: - Przestańcie mówić o broni. Policja wysy-
ła patrol do naszego domu. Musimy tam wrócić i czekać.

- Będziemy z powrotem za dziesięć minut - oświadczyła Thalia,
skręcając na podjazd Stana Webelowa.

W telefonie Laurel rozległ się głos matki Carly:

- Nie, żadna z nich nie rozmawiała z Shelby...

Laurel zatrzasnęła klawkę aparatu i rzuciła go na podłogę. Wysiada-
ła z samochodu, zanim Thalia zdążyła całkiem zahamować, i wraz
z Davidem pognęła w stronę drzwi wejściowych. Wbiegła na werandę,
przesadzając po dwa stopnie, i wcisnęła kciukiem przycisk dzwonka.

David szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Laurel ponow-
nie nacisnęła dzwonek, a potem obydwójce czekali przez dwadzieścia se-
kund, które dłużyły się w nieskończoność. W końcu David zastukał
pięć razy do drzwi, uderzając w nie kantem dłoni.

- Jest w domu. - Na schodach werandy pojawiła się Thalia. - Je-
go samochód stoi w garażu.

David znów załomotał do drzwi, a Laurel wzięła trzy urywane od-
dechy, jeden po drugim.

- Dzwonj jeszcze raz na policję - zwróciła się do męża. - Niech
przyjadą od razu tutaj.

- Pieprz to - sprzeciwiła się Thalia. - Naprawdę myślisz, że ona
może być w środku?

- Wiemy, że przedtem była tu Molly - odparła Laurel.

- No więc dobrze. - Thalia zrobiła krok w tył i zaczęła się zasta-
nawiać.

Obok pomalowanej na biało i ozdobionej jasnobrazowymi dodatkami werandy mieściło się wielkie okno wychodzące na podjazd przed domem Stana Webelowa. Pod nim stały dwa ogrodowe krzesła z kutego żelaza, a między nimi żeliwny dwupoziomowy barek na kółkach. Za życia Cookie stało na nim pełno doniczek z kwiatami, ale teraz był pusty. Thalia podniosła jedno z krzeseł. Było masywne, a Laurel widziała, jak napinają się jej mięśnie, kiedy ważyła je w rękach.

Thalia jedną ręką złapała za oparcie w kształcie serca, a drugą za siedzisko, po czym zamachnęła się i grzmotnęła krzesłem w sam środek okna. Roztrzaskane szyby posypały się do wnętrza, ale drewniana framuga zatrzymała impet uderzenia i krzesło utkwiono w wybitym otworze do połowy, z nogami zaplątanymi w zasłonach.

Thalia puściła krzesło, które przechyliło się i zawisło pod dziwnym kątem.

- Shelby! Shelby Ann! - krzyknęła przez dziurę do wnętrza domu.

David zrobił dwa kroki i chwycił Thalię za ramiona, które przycisnął do jej boków, po czym usunął ją sobie z drogi jak ogrodowy mebel. Thalia krzyknęła i zaczęła się wyrwać, lecz on już postawił ją obok poręczy. Następnie obrócił się, płynnym ruchem unióś żeliwny wózek i cisnął nim prosto w zaklinowane krzesło, które jak pocisk wleciało do środka, uderzając z głuchym łoskotem o coś twardego. Metalowy barek pogruchotał framugę i okręcony w zdartą ze ściany zasłonę potoczył się w głąb domu Stana.

- Jasny chuj! - krzyknęła zachwycona Thalia.

David ruszył śladem ogrodowego barku i przeciskał się ostrożnie nad ostrymi szpicami potłuczonej szyby, które sterczały u dołu framugi. Laurel weszła za nim. Wewnątrz usłyszała dochodzący od strony sufitu tupot biegnących stóp.

Znaleźli się w salonie Stana. Wciąż stały tam meble, które zostawiła po sobie Cookie. Różowe krzesła z pluszową tapicerką i pękata sofa, której obicie pokrywał różany deseń, zasypane były tłuczonym szkłem i kawałkami rozłupanego drewna. Na podłodze spoczywał że-

liwny wózek owinięty zdartą ze ściany zasłoną. Ogrodowe krzesło trafiło w otomanę, która przewróciła się, miażdżąc niewielki stolik. Salon wyglądał tak, jakby na środku wybuchła mała bomba.

- Shelby! - zawołała Laurel. Thalia gramoliła się za nią do środka.

Obok salonu mieścił się hol, a w nim schody prowadzące na piętro. Po nich zbiegał Stan Webelow, trzymając w ręku kij baseballowy. Gdyby nie miniaturowe czarne slipki, byłby kompletnie nagi. Rozpoznał ich i zatrzymał się na najniższym stopniu, opuszczając kij. Szeroko otworzył usta, a jego oczy zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Co jest, do kurwy nędzy? - warknął.

David postąpił krok naprzód i oszczędnym ruchem wyrzucił energicznie ramię przed siebie. Jego pięść zgrabnie wylądowała na kości policzkowej Stana. Stan zatoczył się, wydając pełen zaskoczenia jęk, i upuścił kij.

Laurel usłyszała jakieś odgłosy na piętrze, więc odepchnęła Davida i wpadła na schody, potykając się o Stana, który leżał tam, gdzie upadł, i trzymał się za twarz. David i Thalia pobiegli za nią.

- She! - krzyknęła Laurel.

Znała rozkład każdego piętra w Victoriannie. W tym domu główna sypialnia mieściła się na górze, po przeciwnej stronie niż garaż, bezpośrednio nad salonem. Drzwi do sypialni były zamknięte, a Laurel, biegnąc w ich stronę, miała wrażenie, jakby korytarz się wydłużał.

Znów wykrzyknęła imię swej córki, lecz nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Thalia wyprzedziła ją, dopadła do drzwi i nacisnęła klamkę.

- Dzwonię po gliny! - za ich plecami rozległ się krzyk Stana Webelowa.

Thalia wpadła już do sypialni, ale gwałtownie przystanęła w drzwiach. Rozpędzona Laurel wpadła na plecy siostry, a David zatrzymał się tuż za nimi. Laurel chwyciła Thalię za ramiona, by zachować równowagę.

Na łóżku siedziała Trish Deerbald. Po jej twarzy splotywał rozmazany makijaż, a dziko zmierzwiłone włosy sterczały we wszystkich kierunkach.

Szamotała się z seledynowym biustonoszem, usiłując go włożyć. Miała na sobie koronkowe majtki w takim samym kolorze, a reszta jej ubrania leżała rozrzucona po całym łóżku Stana. Łóżko było również pozostałością po jego matce, jakkolwiek Laurel była skłonna iść o zakład, że Cookie nigdy nie rozłożyłaby na nim prześcieradła z czarnej satyny.

Cała czwórka w milczeniu przyglądała się sobie nawzajem.

- Och - jęknęła Laurel, czując, jak uchodzi z niej adrenalina, a nogi stają się miękkie i bezużyteczne.

Trish Deerbald szybko podciągnęła ramiączka stanika, po czym złapała poduszkę i zasłoniła się nią. W korytarzu rozległy się kroki Stana Webelowa.

- Ludzie, czyście oszaleli? - wrzeszczał. - Zdemolowaliście mój dom.

David stał, gapiąc się na Trish, a osobliwy wdzięk, jaki ogarniał jego ciało w sytuacji krytycznej, opadł z niego w mgnieniu oka. Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby nie wiedział, w którą stronę odwrócić wzrok.

Stan przecisnął się między nimi i przeszedł na koniec sypialni, gdzie na podłodze leżały jego spodnie. Laurel puściła ramiona Thalii, cofnęła się o dwa kroki i opadła na krzesło z kraciastą tapicerką stojące obok drzwi. Thalia odeszła w przeciwną stronę i opada się beztropko o wiklinową komodę.

- Zapłacicie za moje okno - pieklił się Stan.

- Jasna sprawa - odparła Thalia, przyglądając mu się, jak podnosi spodnie i wciąga na siebie. Na jego policzku zaczynała pojawiać się opuchlizna i wyglądał tak, jakby puszczał do nich oko. - Chociaż kiedy usłyszeliśmy te krzyki, musieliśmy się włamać.

- Jakie krzyki? - zdziwił się Stan.

- Cóż, były nieco stłumione przez tę czarną skórzaną maskę, którą miałas na twarzy - wyjaśniła poważnym tonem Thalia, zwracając się do Trish. - Ale i tak cię słyszeliśmy.

- Maskę? - Trish z oburzeniem objęła mocniej ramionami poduszkę.

- Spróbujcie wciskać mojej siostrze ciemnotę, a skórzana maska będzie najmniejszym problemem. - Thalia wyszczerzyła zęby w drażącym uśmiechu. - Zanim skończę opowiadać, co tu widzieliśmy, wszyscy będą sobie wyobrażać Trish zawieszoną pod sufitem i wychłostałą pejczem. Nadal chcesz dzwonić po gliny?

- Nie waż się wzywać policji - rzekła Trish do Stana, wciąż trzymając poduszkę przed sobą. - Nie waż się, dopóki stąd nie wyjdę.

- Shelby tu nie ma - oświadczyła Laurel Davidowi.

Oczywiście odczuwała ulgę, ale miała mętlik w głowie. Nie potrafiła pogodzić ze sobą widoku różnych przedmiotów znajdujących się w pokoju. Przyglądała się bladym pośladowcom Trish, które zwisały smętnie, wystając spod jej fantazyjnej bielizny, ufryzowanym włosom Stana i jego nagiej skórze, która połyskiwała jak naoliwiona, oraz jaszkrawym tkaninom okrywającym dziewczęce meble Cookie. David wyglądał na równie zmieszanego.

- Wracamy już do domu? - spytała go.

- Jeszcze nie skończyliśmy. To mi się nie trzyma kupy. - Pokręcił głową, po czym zwrócił się do Stana: - Co Molly robiła w twoim domu?

Stan wlepił w niego zdziwiony wzrok.

- Ona ma na imię Trish. - Wskazał kciukiem w stronę łóżka. - No i oczywiście przyszła tu poskakać na bungee.

Trish obróciła się znowu przodem do nich. Podniosła z podłogi elastyczną sportową bluzeczkę i usiłowała wciągnąć ją sobie przez głowę, nie wypuszczając przy tym poduszki.

- Zobaczcie to! - krzyknęła Thalia. Sprawiała wrażenie szczerze rozradowanej. Wzięła z komody mały prostokątny skrawek niebieskiego papieru, który wyglądał jak czek, i przyglądając mu się, wydała przeciągły świst. Potem spojrzała na Stana z wyrazem twarzy przypominającym uznanie i odezwała się do Trish: - On jest wart cztery stówy? Za numer?

Trish przestała szamotać się z bluzką, a jej twarz zalała się purpurą.

- Nie bądź obrzydliwa. - Zmierzyła Thalię wzrokiem. - To tylko drobna pożyczka. Między przyjaciółmi.

- Doprawdy? - spytała Thalia z ironią.

Laurel nigdy dotąd nie słyszała tak mocno rozciągniętego „a”.

- Odpowiedz na pytanie Davida - zwróciła się do Stana, on jednak kroczył sztywno w rozpiętych spodniach w stronę Thalii.

- Oddaj mi to - rozkazał.

Kiedy mijał Davida, ten zastąpił mu drogę. Był wyższy prawie o głowę, więc Stan zatrzymał się, unosząc bezwiednie rękę do spuchniętego policzka.

- Skup się, Stan. Wiem, kto to jest. - David machnął dłonią na Trish. - Chodziło mi o Molly Dufresne. Co ona tu u ciebie robiła?

- Ta dziewczynka? - Stan patrzył na Davida zmieszany. - Ta, która utonęła?

Tymczasem Thalia wysunęła górną szufladę komody i zaczęła lustrować jej zawartość. Wsadziła do środka rękę i grzebała wśród czegoś, co wyglądało na majtki i skarpetki.

- Ta dziewczynka nigdy nie była w moim domu - tłumaczył się Stan. Thalia zabrała się do przeszukiwania kolejnej szuflady.

- Nasza córka widziała ją, jak tutaj wchodziła. - David postąpił naprzód, napierając na Stana. - Nasza córka ją widziała.

Stan pokręcił głową.

- Byłam tego taka pewna - odezwała się Laurel.

Thalia zamknęła drugą szufladę, a wtedy jej uwagę przyciągnęła szkatułka na biżuterię stojąca na komodzie. Otworzyła ją, a ze środka wyskoczyła mała różowa baletnica i zaczęła wirować. Sypialnię wypełnił dźwięk pozytywki grającej melodię z *Ice Castles*.

- Co ty robisz? - Stan próbował przecisnąć się do niej, ale David zastępował mu drogę.

- Nie zdążyłeś z nim do banku, co, Stan? - Thalia wyciągnęła ze szkatułki coś, co wyglądało jak kolejny czek. - Wystawiony dzisiaj. Cóż za pracowity poranek! Kim jest Jamie Gold?

- Jamie Gold? O co ci chodzi? - Trish zmrugała oczyma. - Co to jest?
- Następną drobną pożyczką - odparła Thalia. - Między przyjaciółmi.

- Jamie Gold mieszka w nowszej części osiedla - wyjaśniła Laurel. - Wprowadzili się w zeszłym roku. Jej mąż jest oficerem marynarki.

- Marynarki, tak? - zachichotała Thalia. - Och, te samotne miesiące, kiedy wypływa w morze... Podążaliśmy fałszywym tropem, Robaczku.

- Jamie właśnie skończyła pięćdziesiąt cztery lata. Nie chcesz chyba powiedzieć, że... - Laurel zawiesiła głos i machnęła ręką, jakby chciała odegnać od siebie wszystkie myśli.

- Twój oślizły typek jest nieszkodliwie oślizły - stwierdziła Thalia. - Obawiam się jednak, że to pospolity kurwiszon.

- Precz z mojego domu - rzekł Stan.

Trish wstała z łóżka, ubrana w same majtki oraz bluzkę z lycry, i podeszła do Thalii, wyciągając rękę po czek. Thalia z wdziękiem wypuściła go z palców, po czym oparła się znów o komodę i zaczęła przyglądać się twarzy Trish.

- Całe sześć stów - powiedziała. - Zastanawiam się, co za to można dostać.

Trish wodziła wzrokiem między czekiem a Stanem.

- Przyprawiasz mnie o mdłości - odezwała się wreszcie.

Przedarła czek na pół i rzuciła go na komodę. Potem usiadła z powrotem na łóżku, zgarbiona i ze zwieszoną głową. Wyglądała tak, jakby przebiegła bardzo długi dystans i nie mogła złapać oddechu.

Stan Webelow zrobił się purpurowy. Stał bez koszuli i z rozpiętym rozporkiem na środku sypialni swej matki.

- Włamałeś się do mojego domu, uderzyłeś mnie w twarz i wypytujesz o jakieś dziecko, z którym nigdy nie rozmawiałem. Co jest, do cholery? - spojrzał na Davida. - To dziecko nigdy nie było w tym domu.

- No to gdzie jest Shelby? - Laurel skierowała swe pytanie głównie do Davida.

- Wasza Shelby? Czemu wasza córka miałaby tu być? - Stan Webelow popatrzył na nich badawczo i pogardliwie wydał wargi. - Jesteście nienormalni. To jeszcze dziecko.

- Przepraszam - wtrąciła Thalia, nie przestając się uśmiechać. - Bierzesz pieniądze za seks z zamężnymi damami w łóżku swej matki. Można by rzec, że tutaj sam przekroczyłeś granicę normalności.

Trish mamrotała coś do siebie. Podniosła z podłogi elastyczne spodenki, a potem sięgnęła głębiej pod łóżko, skąd wyciągnęła skarpetki i tenisówki. Laurel zauważyła ramiączko seledynowego stanika, które wystawało spod jej bluzki. Trish przybiegła tutaj, ukrywając pod sportowym strojem elegancką bieliznę, i wśliznęła się do środka niezauważona przez nikogo.

- Jeśli ośmielicie się powiedzieć komukolwiek choć słówko... - odezwała się Trish, naciągając skarpetki.

- Bła, bła, bła - przerwała jej Thalia. - Zamknij się, Trish. Mamy większe problemy, niż zastanawiać się, od kogo zacząć rozpuszczanie plotek.

- Wierzysz mu? - spytał David, patrząc na Laurel.

Laurel skinęła głową. Zaczęła teraz pojmować, na czym polegały treningi Stana. Stan nie biegał w morderczym upale, lecz zataczał rundy i pukał do tylnych drzwi, kiedy mężowie byli w pracy. Jego samochód nigdy nie stał zaparkowany przed niczym domem, co mogłoby wzbudzać podejrzenia. Laurel poczuła, że jej żołądek skręca się powoli. Zwiesiła głowę tak samo jak Trish i wzięła głęboki oddech.

- Wierzysz mu? - Spojrzała na Thalię.

- Nie mógłby zadawać się z Molly. Nastolatki nie byłoby na niego stać - odparła Thalia, po czym zwróciła się do Stana: - Przykro mi z powodu twojego okna. - W jej głosie nie było jednak ani cienia żalu, a raczej zaciekawienie. - Dużo czasu ci zajmie, żeby zarobić na jego naprawę? To znaczy, przy twoim systemie pracy.

Stan sięgnął po koszulę i wsunął ręce w rękawy.

- Niedużo - odparł.

Jego plecy były zeszywniałe od gniewu, kiedy gwałtownymi ruchami rozprostowywał na sobie koszulę, ale w głosie pobrzmiwała nutka próżności i profesjonalnej dumy.

- Ile masz tutaj klientek? - zapytała Thalia.

- W Victoriannie? Trzy, lecz to nie jest jedyne osiedle, po którym biegam. - Stan zerknął na Trish. - No, może teraz tylko dwie.

- Jest mi niedobrze. - Trish próbowała zawiązać sznurówki, ale trzęsły się jej ręce.

Laurel podniosła się z krzesła i chwyciła Davida pod ramię, ciągnąc go w stronę wyjścia.

- Musimy wracać do domu - oznajmiła. - Trzeba ogłosić alarm.

- Jedną sekundę - przerwała jej Thalia, po czym zwróciła się do Stana: - Muszę to wiedzieć. Jak to się stało, że nigdy nie wystartowałeś do mojej siostry?

Stan zapinał właśnie guziki koszuli, ale przerwał na chwilę, by omieść Davida i Laurel lekceważącym spojrzeniem.

- To jest nie do przełamania - odparł. - Potrafię wyczuć na kilometr takich, którzy wciąż się sobie podobają.

- No nie, naprawdę? - zdziwiła się Thalia.

- Musimy iść, policja czeka - niecierpliwiła się Laurel.

- O Boże! - jęknęła Trish. - Kto wezwał policję? Mówiłam, żeby tego nie robić.

Na zagraconym stoliku obok łóżka stał budzik z radiem, mała różowa lampka, paczka chusteczek, świece i grupka szklanych figurek przedstawiających aniołki grające na różnych instrumentach. Trish zaczęła gorączkowo czegoś tam szukać.

- Gdzie są moje cholerne klucze? - wymamrotała, przewracając aniołka z fletem.

- Wyluzuj - uspokoiła ją Thalia. - Gliny przyjeżdżają do Laurel, nie tutaj. Zaginęła nam Shelby.

Trish podniosła na nią zdumione spojrzenie.

- To czemu do cholery szukacie jej tutaj? Widziałam ją koło sadzawki.

Stan był zajęty wpychaniem koszuli do rozpiętych spodni, ale pozostali obecni zamarli w bezruchu, wpatrując się w Trish.

- Kiedy? - spytał David.

- Jakąś godzinę temu. Minęłam ją, biegnąc tutaj - odparła i znów zaczęła szukać kluczy.

David podszedł do niej i złapał ją za ramię.

- Gdzie?

- Oj! Uważaj! - Wyszarpnęła rękę z jego uścisku. - Obok sadzawki, jak już mówiłam, z tą... krewną, która u was mieszkała. Muszę wracać do domu.

- Bet Clemmens - powiedziała Thalia. - Czy widok dwóch nastolatek z walizkami obok sadzawki nie wydał ci się dziwny?

- Shelby miała walizkę, ale ta druga nie. - Trish wzruszyła ramionami. - Miała coś, co wyglądało jak worek ze śmieciami, tylko że włożyła go do samochodu.

- To jest jej waliz... Zaraz - zaniepokoiła się Laurel. - Do jakiego samochodu?

- Ohydneho. Nie pozwoliłabym moim dzieciom nawet dotknąć takiego grata, a co dopiero się nim przejechać. Ale Shelby wrzuciła walizkę do bagażnika i wskoczyła na tylne siedzenie. Za kierownicą siedziała kobieta, a wasza mała kuzynka była do niej tak podobna, że nie zastanawiałam się nad tym specjalnie.

- Chyba sobie żartujesz - odezwała się Thalia.

- Jak wyglądał ten samochód? - dopytywała się Laurel.

- To był taki kanciasty sedan, w większości czerwony - odparła Trish. - Ale spód miał przerdzewiały, a drzwi po stronie kierowcy były w innym kolorze.

- Niebieskim. - Laurel nie potrzebowała nawet potwierdzenia Trish, by mieć pewność.

- O co tu chodzi? - zapytał David.

- To samochód Sissi Clemmens - wyjaśniła Thalia. - Nasza ulubiona ćpunka przyjechała tu, żeby zabrać Bet i Shelby.

- DeLop - wyszeptała Laurel.

Chłód przeniknął ją do szpiku kości, jak gdyby została zamrożona, ale jej ciało już było w ruchu. Złapała Thalię i pociągnęła ją do wyjścia, i popychając Davida przed sobą, popędziła w stronę schodów, drzwi frontowych, samochodu, autostrady, ich córki.

- Shelby pojechała do DeLop.

Rozdział 17

Telefon w domu Sissy Clemmens zadzwonił po raz piętnasty i Laurel zatrzasnęła klapkę swego aparatu. Żałowała, że nie siedzi za kierownicą. Każde czerwone światło, każdego przechodnia, każdą niemrawą hondę civic zmieniającą powoli pas odbierała jak osobistą zniewagę. Na tylnym siedzeniu David znów rozmawiał z policyjnym dyspozytorem, odpowiadając na pytania niskim i spokojnym głosem.

Wszystkie elementy układanki zaczynały być widoczne, tworząc wzór, którego Laurel nie chciała zobaczyć. Tamta noc, kiedy zginęła Molly Dufresne, bez końca przewijała się w jej wspomnieniach.

- Jedź szybciej - odezwała się do Thalii. - Nie wybieramy się do marketu po mleko.

- Dodam gazu, jak tylko wjedziemy na międzystanową - odparła Thalia. - Między Pensacolą a granicą stanu jest około piętnastu punktów kontroli prędkości.

Mówiła z takim spokojem i rozsądkiem, że Laurel nagle nabrała ochoty, by otworzyć drzwi po stronie siostry i wypchnąć ją na ulicę. Zajęłaby wtedy jej miejsce i wcisnęła gaz do dechy. Gdyby tylko jej ręce przestały się trząść! Nie była pewna, czy potrafiłaby zacisnąć je na kierownicy.

- Po prostu jedź - powiedziała.

- Oni chcą, żebyśmy zaczekali w domu na patrol - oznajmił David, opuszczając telefon. - Ktoś musi podpisać zgłoszenie.

- Nie - zaprotestowała Laurel.

- Mówią, że to zajmie co najwyżej piętnaście minut.

- Nie wracamy. - Laurel podniosła głos. - Stracimy czas na powrót, a nie wiadomo, jak długo nas tam zatrzymają. Powiedz, że jesteśmy w drodze do DeLop i niech tam przyjadą. Mogą przyjąć zgłoszenie przez telefon.

David zamilkł zrezygnowany, a Thalia rozsiadła się wygodniej w fotelu, trzymając kierownicę jedną ręką. Zbliżyli się do skrzyżowania i właśnie zapaliło się przed nimi pomarańczowe światło. Thalia zwołniała i zatrzymała samochód.

- Och, dobry Boże - odezwała się Laurel, sama nie wiedząc, czy się modli, czy tylko przeklina siostrę.

Shelby była gdzieś na autostradzie, w towarzystwie Sissi i Bet Clemmens, i miała już nad nimi co najmniej godzinę przewagi. Laurel po raz kolejny wybrała numer Sissi i przyłożyła aparat do ucha. Kiedy światło zmieniło się na zielone, w słuchawce wciąż powtarzał się miarowo długi sygnał.

- One jeszcze nie zdążyły tam dojechać - odezwała się Thalia.

Laurel zamknęła oczy i dalej przyciskała telefon do ucha. Zaczęła wszystko pojmować, a nieznane jej dotąd elementy układały się w płynny ciąg niczym film wyświetlany po wewnętrznej stronie jej powiek. Widziała Molly Dufresne, żywą, trzynastoletnią, nieśmiertelną, leżącą bezpiecznie we własnym łóżku. Molly ukryta pod kołdrą z książką i latarką czekała, aż wszyscy pogrążą się we śnie. Wciąż miała na sobie sukienkę i tenisówki. Położyła swoich braci do łóżek i czytała im, dopóki nie zapadli w głęboki sen, znany tylko małym dzieciom, leżąc z otwartymi buziami i rączkami wyciągniętymi nad głowę. Z dołu dobiegały stłumione odgłosy zajadłej kłótni. Chuck mówił surowym, wyniosłym tonem, a podpita Barb bełkotała i sepleniła, więc z daleka ich głosy brzmiały jak syczenie rozwścieczonego węża. Molly czekała, aż ucichną. Teraz takie rozmowy były w jej domu czymś normalnym, toteż kiedy Shelby zapytała ją, czy nie chciałaby się wymknąć i przyjść na jej podwórko, zwykle bojaźliwa Molly zgodziła się na to skwapliwie.

W końcu Chuck, kipiąc złością, udał się do pokoju gościnnego. Molly słyszała, jak tłucze się w łazience, a potem wszystko ucichło. Barb tymczasem spała już w najlepsze w ich małżeńskiej sypialni, a wszystkie trzaski i stukoty, jakie wydawała, układając się do snu, zdołał zagłuszyć Chuck.

Molly wpatrywała się w zegar. W domu panowała cisza już od ponad godziny, kiedy zdecydowała się zrzucić z siebie kołdrę i chyłkiem zejść na dół. Wiedziała, że trzeci stopień skrzypi, więc ominęła go, skradając się po schodach. Znała kod alarmu i wstukała go na klawiaturze. Zatrzymała się przy drzwiach, a serce łomotało jej w piersi. Nie bała się, że ktoś ją złapie. Butelka wina, którą Barb otworzyła do kolacji, leżała pusta na dnie kosza na śmieci. Molly mogłaby przemaszerować przez jej łóżko z głośnym śpiewem na ustach i wyskoczyć z okna sypialni, a ona nadal by spała. Chociaż Chuck miał twardy sen, Molly w głębi duszy pragnęła, by się obudził i ją zatrzymał. Może wtedy przestałby uganiać się za prawnikami i zainteresowałby się swoją córką.

Molly delikatnie zaniknęła za sobą drzwi prowadzące do ogrodu. Czekała, aż rozbłyszną lampy na trawniku, a za plecami usłyszy głos ojca, ale dom nadal trwał pogrążony w ciszy i mroku. Zrobiła to, zdobyła się na ten zuchwały wyczyn, który był czymś więcej, niż Shelby byłaby w stanie dokonać. Oczywiście Shelby wpadła na ten pomysł, lecz to Molly skradała się samotnie w środku nocy. Kiedy tylko opuściła własne podwórko, przyspieszyła kroku.

Nie odczuwała strachu. Od świata oddzielały ją żelazne bramy Victorianny, a w ich obrębie czuła się swobodnie jak we własnej skórze. Rozpostarła chude ramiona na wzór skrzydeł samolotu i pognała przed siebie, przez uśpione w mroku podwórza, w porywie cichego i radosnego buntu, rozkoszując się dotykiem śliskiej trawy pod stopami. Przy ulicach stały rzędy staromodnych latarni, lecz ona wolała trzymać się od nich z daleka, by nikt jej nie zauważył ani nie zatrzymał.

Biegła w stronę domu Shelby, gotowa porwać się na każdy absurdalny wyczyn. Shelby zawsze miała najlepsze pomysły. Przyszło jej na

myśl, że kiedy już zrobią swoje, może je przyłapać matka Shelby. Wyobrażała sobie, jak dzwoni do jej domu, jak przeraźliwy jazgot telefonu budzi jej rodziców, a Laurel mówi: „Barb, czy wiesz, gdzie podziewa się twoje dziecko?”.

Matka najadłaby się wstydu i dałaby Molly popalić. Molly mogła być gdziekolwiek. Niemal unosiła się w powietrzu, świadoma swego wyburku, i to przejmowało ją dreszczem. Dawała im wszystkim popalić.

Laurel podskoczyła, kiedy David dotknął jej ramienia.

- Pytają o adres Sissi Clemmens. Czy któraś z was go zna? - zapytał.

- Nie jestem pewna, czy ona ma jakiś adres - odparła Thalia.

- Jej przyczepa stoi na samym końcu Harold Street - poinformowała go Laurel. - To jest plac po prawej, podwójna pakamera z niebieską markizą. Przed nią stoi chyba z siedem dużych wiatraczków i wiatrowskazów.

David z powrotem opadł na siedzenie, podając dyspozytorowi ten osobliwy adres. Tymczasem Thalia zjechała na dwupasmową drogę szybkiego ruchu, która prowadziła do granicy stanu.

- Nie potrafię pojąć, co robiły Molly i Shel - odezwała się Laurel. - Wszystko inne ma sens. Widzę, jak Shelby się wymyka, idzie na spotkanie Molly, ale to wszystko nie ma pokrycia. Po co Molly przyszła na nasze podwórze?

- Chyba to wiem - odpowiedziała Thalia.

- Czy Shelby coś ci powiedziała? - Laurel obróciła się w jej stronę, jak dalece pozwalały jej pasy.

- Nie. Ten chłopiec z sąsiedztwa, dzieciak Missy. Najwyraźniej lubi sobie popływać w nocy. I lubi pływać... swobodnie, jeśli wiesz, o co mi chodzi - wyjaśniła Thalia. - Widziałam go przez okno tamtej nocy, kiedy ty byłeś jeszcze w altanie. Zdecydowanie jest na co popatrzeć, z punktu widzenia sztuki klasycznej.

- Thalio, na Boga. Jeffrey Coe to jeszcze dziecko - wzburzyła się Laurel.

- Nie mówię, że chciałabym się pobawić z tym szczeniakiem. Ale sama pomyśl. Ma siedemnaście lat? Jest piękny? I nagi? Gdybym była Molly, dużo bym dała, żeby zerknąć na niego ukradkiem. Chole-
ra, w jej wieku robiłam dokładnie to samo.

- To by miało sens. - Laurel pokiwała głową. - Powiedziałam Shelby, że nie ma imprez z zostawaniem na noc, kiedy jest u nas Bet.

Tłumaczyło to również, dlaczego Shelby skłamała. Z początku nie chciała, aby Laurel dowiedziała się, że planowały wraz z Molly podglądać Jeffreya Coe'a. Potem, kiedy Laurel przyszła do niej, gdy oglądała film w towarzystwie Bet, musiało ją zadreć poczucie winy. Uporczywie maglowana przez Moreno zaczęła wyciągać wnioski i zadawać sobie pytanie, czemu wtedy zasnęła. Bo gdyby nie zasnęła, byłaby tam i mogłaby uratować Molly. Skłamała więc, mówiąc Moreno, że nie było tam żadnego chłopca, ponieważ najnowszym obiektem ich namiętności stal się nagi Jeffrey Coe. Potem dodała, że nie umawiała się z Molly i oglądała z Bet telewizję w bawialni. Bet, która miała znacznie więcej do ukrycia, potwierdzała jej wersję.

Thalia odwróciła na moment oczy od drogi, by zmierzyć siostrę badawczym wzrokiem.

- Zaraz wyskoczysz z siebie - zwróciła się do niej. - Uspokój się. Wiemy, dokąd jedzie.

- Rozesłali komunikat - oświadczył David, zamykając klapkę telefonu. - Patrole przy autostradzie będą wypatrywać samochodu Sissy. Mają też wysłać teleks do policji w DeLop.

- W DeLop nie ma policji - prychnęła Thalia.

- No to do najbliższego posterunku w okolicy. - W głosie Davida pojawiło się zniecierpliwienie.

- A zadzwonili do federalnych? - spytała Thalia z ożywieniem. - Oni zazwyczaj działają bardzo szybko.

- Nie - odparł David. - Zakwalifikowali to jako „ingerencję w sprawowanie opieki”, a nie uprowadzenie. Zajmie się tym szeryf, jak przypuszczam. Będzie przejeżdżał koło domu Sissi, dopóki ona się nie pojawi.

Thalia rozwinęła sporą prędkość, wyprzedzając ciężarówki, które korzystały z tej drogi, by dostać się do międzystanowej sześćdziesiątki. Po obu stronach autostrady roiło się od stacji benzynowych i niewielkich centrów handlowych. Laurel wiedziała, że po przejechaniu kolejnych sześciu kilometrów znów zobaczy szyld restauracji z sieci Waffle House.

- Na pewno ktoś zauważy ten samochód i go zatrzyma - odezwała się z nadzieją w głosie.

- To jasnoczerwony rzeż z niebieskimi drzwiami po jednej stronie. Mało prawdopodobne, żeby nie rzucał się w oczy - dodała jej otuchy Thalia.

- Zadzwoń na moją komórkę, kiedy będą coś wiedzieć. - David mówił tak samo spokojnym tonem jak Thalia.

Laurel miała wrażenie, że obydwie są w znowie. Zachowywali się tak, jakby jechali odebrać Shelby z kina. Laurel znów wybrała numer telefonu Sisi i trzymała aparat przy uchu, słuchając powtarzającego się sygnału.

- Rozładujesz sobie baterię i telefon ci padnie, kiedy będzie naprawdę potrzebny - ostrzegła ją Thalia.

Laurel zatrzasnęła klapy aparatu. Obie dziewczynki musiały być teraz z Sissi w samochodzie. Zakładając, że Sissi nie była naćpana do nieprzytomności i nie wjechała do rowu, Shelby nic nie groziło przed dotarciem do jej domu. Na samą myśl o tym, co może się wydarzyć w ciągu najbliższej godziny, Laurel czuła w miejscu żołądka zaciśniętą kurczowo pięść. Nawet gdyby jechali bardzo szybko, pozostawało pół godziny albo czterdzieści pięć minut pomiędzy tym, jak Sissi znajdzie się w domu, a tym, jak dotrze tam Laurel.

Shelby mogła zaginać w DeLop wraz z Bet Clemmens, pozostawiona niemal sama sobie. Laurel nie mogła liczyć, że Sissi zaopiekuje się nimi. Wyobrażała sobie jej blade, pokryte siateczką błękitnych żył nogi, które przyklepiają się do winylowej tapicerki sofy, podczas gdy całe ciało zapada się między poduszki. Widziała, jak jej zaczerwienione

oczy zamykają się, zachodząc mgłą. Shelby byłaby zdana tylko na siebie. Razem z Bet. Nie mogło do tego dojść.

- A jeżeli Sissi nie zatrzyma się do kontroli? - zaniepokoiła się Laurel.

- Jeżeli da drapaka przed policją, to już naprawdę będzie koniec świata - odparła Thalia. - Za bardzo dramatyzujesz. Możesz to odebrać jako całkowite potępienie.

- Daj jej spokój. - Głos Davida był prawie całkiem pozbawiony modulacji, ale powiało od niego chłodem. - Po co z nami pojechałaś?

- Żeby prowadzić, Davidzie. Żebyście obydwoje mogli wisieć na telefonie. Nie ma za co.

- Mam zestaw słuchawkowy - odparł David. - Na pewno nie za to, że robisz z mojej żony idiotkę - dodał, nawiązując do jej ostatnich słów.

- Przestańcie - wtrąciła Laurel.

- To nie ja zaczęłam - broniła się Thalia. - Zawsze twierdziłam, że pół godziny w DeLop wyjdzie Shel na dobre. Musi zobaczyć, że nie każdy na tym świecie żyje w miejscu, gdzie kwiatki są modyfikowane genetycznie, żeby pasowały do skrzynek na listy.

- Mówiłem, żebyś zostawiła ją w spokoju - oburzył się David. - To nie jest czas, żebyś... była sobą.

- Idź w cholerę - odpowiedziała Thalia bez cienia złości w głosie.

- Obydwoje zatracacie sedno sprawy - zganiła ich Laurel.

Nie mogła jednak mieć im tego za złe. Sama przez wiele dni była tak samo zaślepiona, krążąc wokół Stana Webelowa. Ale czy ktoś jej w tym nie utwierdzał? Ilekroć odwracała od niego wzrok, pojawiała się Bet Clemmens, która podobno na własne oczy widziała, jak Molly wchodzi do jego domu, czego świadkiem miała być również Shelby.

David i Thalia przygadywali sobie nawzajem. Jej słowa zdawały się oplatać głos Davida, podczas gdy jego lakoniczne riposty były jak kropki i wykrzykniki, które ucinają każde zdanie Thalii, zanim jeszcze zdążyła rozpocząć następne.

Laurel przestała ich słuchać i zamknęła oczy. Znów widziała Molly Dufresne, która czeka na podwórku Hawthorne'ów.

Shelby się spóźniała.

Kilka godzin wcześniej Shelby i Bet udały się do osobnych sypialni. Shelby czekała u siebie na umówioną godzinę, ale zmógł ją sen. Odgłos jej budzika mógłby wyrwać ze snu Bet, która spała po przeciwnej stronie korytarza. A Bet nie została wtajemniczona w całe przedsięwzięcie.

Właściwie nic w tym zaskakującego. Przypuszczalnie nie była to pospolita nikczemność nastolatka. Shelby po prostu nie wpadła na pomysł, żeby wziąć ją ze sobą. Swoją drogą, Laurel nigdy nie dokładała starań, by wpleść Bet w ich towarzystwo. Upewniała się, czy Bet zachowuje się przyzwoicie i czy koleżanki Shelby są dla niej uprzejme, ale trzymała ją na uboczu, zamkniętą w swej własnej zapinanej na guzik kieszonce. Nigdy nie traktowała Bet na równi z innymi, więc Shelby i Molly również nie posunęły się do tego.

Shelby przemknęła na palcach do położonej na końcu korytarza bawialni, która była bardziej oddalona od pokoju Bet i sypialni jej rodziców. Zamknęła za sobą drzwi i włączyła telewizor, ścisząc głos do ledwie słyszalnego. Rozpada się na pufie i co minutę szczyptała się w rękę, by mieć pewność, że nie śpi. Jej powieki stawały się coraz cięższe, a dobiegająca z telewizora rozmowa złała się w bezładny szum przypominający kołysankę. Shelby zapadła w sen.

Tymczasem na podwórzu Molly zaczynała się nudzić. Czuła zapach nadciągającego deszczu. Chmury zasłoniły księżyc, a noc była ciemna i upalna. Kiedy zanosilo się na burzę, Jeffrey Coe mógł zrezygnować z nocnej kąpieli. Opuścił ją cały entuzjazm. Chciała, żeby Shelby przyszła do niej i żeby znów zrobiło się wesoło. Wokół altany było ciemno, ona jednak wiedziała, że jej fundamenty obsypane są żwirem. Podeszła tam i opadła na kolana, po czym wodząc dłońmi po ziemi, zebrała garść drobnych kamyczków.

Przemierzyła pograżone w ciemności podwórko i stanąwszy pod oknem Shelby, ciskała w nie kamyczkami, które z brzękiem odbijały się od szyby.

Ponieważ Shelby nadal się nie pojawiała, Molly postanowiła dać jej jeszcze pięć minut, a potem wrócić do domu. Jedyne światło na podwórzu pochodziło od lamp zanurzonych w basenie. Ich błękitna poświata wabiła ją do siebie. Obeszła basen dookoła, stąpając na palcach jak baletnica albo gimnastyczka na równoważni. Weszła na trampolinę i przesuwając ostrożnie stopy po sprężynującej desce, dotarła na sam jej koniec. Tam usiadła i opuściła nogi, które dyndały nad podświetloną wodą.

Kamyki uderzające w szybę obudziły Bet, która wstała i weszła do pustego pokoju Shelby. Jej okno wychodziło na podwórze, więc Bet wyraźnie widziała Molly, która w jaskrawej sukience siedziała na końcu trampoliny.

Bet zeszła na dół. Alarm był włączony, ale wprowadziła kod i zaczęła, aż zapali się zielona dioda, po czym odsunęła przeszkłone drzwi. Molly, siedząca na przeciwległym brzegu basenu, usłyszała, że ktoś wychodzi z domu. Nie wiedziała jednak, czy to Shelby, czy może została przydybana przez jej rodziców. Wytężając wzrok, próbowała dojrzeć, kto idzie. Podciągnęła nogi i usiłowała przykucnąć, lecz podszwy jej tenisówek ześliznęły się z wilgotnej powierzchni trampoliny. Dziewczynka wywróciła się do tyłu, uderzając głową o deskę, po czym wpadła do basenu. Bet widziała, jak woda otula ciało Molly, widziała, jak zamykają się nad nią opadające bryzgi. Z miejsca, gdzie wpadła, po błękitnej tafli rozeszły się kręgi, ale ona już się nie podniosła. Leżała pod powierzchnią, zwrócona twarzą do dna, a woda wypełniała i oziębiała jej ciało.

Bet instynktownie ruszyła do przodu, przekroczyła płótek okalający taras i podeszła do żelaznego ogrodzenia, które otaczało basen. Tam przystanęła, zaciskając palce na prętach furtki. Myślała. Jej ręce opadły zwieszane po obu stronach tułowia. Stała tak przez dłuższą chwilę, wlepiając pusty wzrok w tonące ciało Molly.

Ona widziała - powiedziała tabliczka ouija, a Laurel skupiona na kłamstwie Shelby, na jej wyraźnym poczuciu winy, nie zwróciła uwagi na tę milczącą dziewczynkę, która nie pozwalała jej córce wyrwać się z mroku. Bet była tak spragniona uczuć, że cień uprzejmości i roztropne zainteresowanie ze strony Laurel doprowadzały ją do upojenia. Laurel nie dostrzegała lub nie była w stanie pojąć nasilenia tej straszliwej miłości Bet, nie mogła więc sobie wyobrazić, jak dziewczynka krok po kroku zbliża się do brzegu basenu i patrzy, jak małe ciało dryfuje pod wodą.

To musiało być takie zniewalające, takie potężne, nic nie robić, tylko patrzeć, jak woda zalewa Molly i pustka ogarnia miejsce, które kiedyś należało do niej. Bet stała i patrzyła, dopóki nie usłyszała, jak Laurel krzyczy, stojąc przy oknie i uderza w szybę.

Wtedy znienacka ogarnął ją lęk. To ona była cieniem, który na oczach Laurel rozpułynał się w mroku. Bet pognała w stronę domu. Wpadła do środka i drżącymi palcami zaprogramowała alarm. Nie było czasu, by dostać się na górę. Dała nura do kuchni i przyczajona za niskim blatem zerkała na Laurel i Davida, którzy wybiegli prosto w noc.

Kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, Bet popędziła na górę. Wyrzała przez okno ciemnego pokoju i zobaczyła Laurel miotającą się podwórzu. Pewna, że Laurel też ją widziała, zaczęła gorączkowo upychać swoje rzeczy do plastikowego worka na śmieci, szykując się do ucieczki. Wtedy jednak w drzwiach pojawiła się Shelby. Chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą na dół, by zobaczyć, co się dzieje. Shelby wyszła na taras, a Bet podreptała za nią, w odrętwieniu przyciskając do piersi plastikowy worek. Drżała na myśl o chwili, kiedy spojrzenie Laurel spocznie na jej twarzy.

Laurel mogła wymierzyć w nią oskarżycielsko palec i powiedzieć: „To była ona, tam przy basenie. Ona widziała. Ona widziała”.

Wtedy Shelby skłamała: „Zasnęłam w bawialni. Oglądałyśmy z Bet telewizję”, a zaskoczona Bet mogła jedynie wykrztusić: „Co robiliśmy?”.

Laurel spojrzała wtedy na nią, ale zaledwie omiotła rozkojarzonym spojrzeniem jej sylwetkę, worek na śmieci i klapki. To musiało wyglądać jak normalne spojrzenie, jakim zawsze ją obdarzała, więc Bet rozluźniła się i biernie poddała biegowi wydarzeń, czekając na to, co nastąpi.

Potem, kiedy Laurel zawzięła się, by pojechać po Thalię i desperacko próbowała odkryć, co wydarzyło się tamtej nocy, Bet kręciła się po domu jak kot i słuchała. Laurel była pewna, że dziewczynka przykładała ucho do każdych drzwi. Nie miała żadnych wątpliwości, że podsłuchiwała jej rozmowę z Davidem, kiedy tłumaczyła mu, jak bardzo potrzebuje Thalii. Laurel wyobrażała sobie, jak Bet przyciska guzik interkomu i nachyla się nad głośnikiem. W teatrze musiała wyjąć słuchawki z uszu, kiedy tylko Gary wrócił na górę, i zaczajona pod drzwiami słuchała, jak Laurel wyłuszcza siostrze swe teorie.

Bet deptała jej po piętach od samego początku. Wszystko widziała. I pozwalała, by się działo. A teraz zwabiła Shelby do DeLop, zabierając ją w najmniej bezpieczne miejsce na ziemi.

Thalia i David wciąż prowadzili ostrą wymianę zdań, jednak Laurel nie przysłuchiwała się ich rozmowie. Pragnęła, aby zadzwonił telefon Davida, aby policyjny dyspozytor powiedział, że patrol zatrzymał samochód, którym jechała Shelby, i jej dziecko czeka na nią gdzieś przy autostradzie, bezpieczne i wściekłe.

Na tym odcinku nie było już przydrożnych centrów handlowych. Wyjechali z Pensacoli i między stacjami BP i parkingami dla ciężarówek rozciągały się trawiaste równiny Florydy, na których gdzieś rosyły sosny. Telefon milczał. Jej dziecko nadal zmierzało w stronę niebezpieczeństwa.

Nagle z potoku cierpkich słów Laurel wyłowiła jedno zdanie.

- Dopóki nie wygłosiłeś jej tego płomiennego przemówienia wtedy w holu...

- Słyszałaś to? - Laurel gwałtownie obróciła głowę i spojrzała na siostrę.

Thalia zamilkła. Lusterko wsteczne miała ustawione pod takim kątem, że mogła w nim obserwować Davida, ale odwróciła wzrok w stronę Laurel.

- Tak, Robaczku - odpowiedziała. - Nie tylko Bet skradała się po domu w skarpetkach.

Laurel pobladła. Czuła się tak, jakby Thalia czytała w jej myślach. Tymczasem Thalia jeszcze nie skończyła.

- To nie było zwykłe podsłuchiwanie - dodała. - Zeszłam na dół, żeby z tobą porozmawiać, a on właśnie był w trakcie swojej mowy. Cieszę się, że zadziało na ciebie to całe „sprawiasz, że chcę być lepszy”, ale muszę wiedzieć, siostrzyczko, co ty nagadałaś jemu, kiedy rozpaleńni zamknęliście się na długie godziny w jego pracowni.

Laurel wzruszyła ramionami i zignorowała słowa siostry. Nachyliła się do przodu i opada ręce o deskę rozdzielczą, jakby chciała popchnąć samochód.

- Daj spokój.

- Co mu powiedziałaś? - dopytywała się Thalia.

- To nie ma znaczenia.

Laurel pomyślała, że mogłaby znów spróbować dodzwonić się do domu Sissi. Sissi powinna mieć też komórkę albo Bet miała numer do domu jej chłopaka. Bet musiała mieć jakiś sposób na skontaktowanie się ze swoją matką, o którym Laurel nie wiedziała, ponieważ Sissi Clemmens była w drodze do Pensacoli niespełna pół godziny po tym, jak Bet wykonała swój ostatni unik. Tym razem mocno przeholowała, a Laurel napędziła jej stracha, mówiąc, że nadszedł czas, by znów wezwać policję.

Thalia szturchnęła siostrę w ramię, znów domagając się uwagi.

- Cała ta polityka „bez przedawnień” sprawia, że ma to dla mnie znaczenie.

- Powinnaś jej podziękować - wtrącił David. - Zaczynam lepiej cię rozumieć. W pewnym sensie. Twoje zachowanie jest prawie wybacalne.

- Zaraz, co? - zdziwiła się Thalia. - Rozumiesz mnie? Dobry Boże. Chyba świat właśnie stanął na głowie.

- David nikomu tego nie powie - oświadczyła Laurel. - On rozumie, czemu poczułaś się zmuszona do tego, co zrobiłaś. I wszystko jest w porządku.

- On rozumie? Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś. To było pełne nieszczerzej otuchy. Nie jestem bydlęciem, Robaczk. Sama kieruję swoim życiem i do niczego nie czuję się zmuszona. - Z powrotem odwróciła wzrok na drogę, ale jej rozpalone gniewem oczy zamieniły się w wąskie szparki. Dłonie zaciśnięte na kierownicy aż pobielały, jakby chciała ją udusić. - Zaraz. Chyba sobie ze mnie żartujesz. A więc nasz pan od matematyki myśli, że rozwiązał równanie? Powiedziałaś mu, że wujek Marty okazywał mi swoje chore względy i przez to zamieniłam się w Szaloną Thalię. Jak miło z waszej strony, że potraficie sprowadzić mnie do tak prostego dwa plus dwa. Czy właśnie to mu powiedziałaś, Jezusowy Robaczk?

Thalia, dysząc z wściekłości, mocniej przycisnęła pedał gazu i samochód zniósło na pobocze. Gwałtownym ruchem kierownicy Thalia odbiła z powrotem na środek pasa.

- Czy właśnie tak myślisz, człowieku z żelaza? - Thalia obróciła głowę, by zmierzyć Davida wzrokiem. - Przyczyna i skutek. Zastosujesz kaziurodztwo i otrzymujesz komediantkę. Boże, szkoda, że ludzie naprawdę nie są tacy prości. Aktorstwo byłoby wtedy o wiele łatwiejsze. Daruj sobie. Nie chcę, żebyś mnie usprawiedliwiał, Davidzie, i z całą pewnością nie musisz mnie tłumaczyć. - Thalia roześmiała się nerwowo, po czym dodała: - Marty nigdy mnie nie dotknął.

Thalia wreszcie ściągnęła na siebie pełną uwagę siostry. Laurel obróciła się na siedzeniu i wlepiła w nią wzrok.

- Owszem, dotykał cię - powiedziała.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Thalia.

- Czasami ludzie nie chcą, aby coś było prawdą, i przestają o tym pamiętać - oświadczyła Laurel z troską w głosie. - Czytałam o tym.

Thalia znów parsknęła śmiechem.

- Założę się, że w „Family Circle” albo w „Reader’s Digest”. Zapewne właśnie takie artykuły zawsze przyciągają twoją uwagę, kiedy siedzisz w poczekalni u pediatry. Czy obróciłaś się z magazynem do ściany, żeby inne mamuśki nie widziały, jakie okropieństwa tam pochłaniasz?

No i czego się dowiedziałas z „Reader’s Digest?” Czy powinnam iść na hipnoterapię i naprawić swoją smutną przeszłość? Proszę. Przeszłam hipnoterapię i powrót do przeszłości. Gary i ja braliśmy kiedyś udział w sesji porodowej, gdzie wcisnęli nas razem do długiego płóciennego rękawa, żebyśmy mogli precyzyjnie się na zewnątrz i odrodzić jako bliźnięta. Takie rzeczy robimy na randkach, podczas gdy wy popijacie dietetyczną colę i trzymacie się za rączkę w kinie.

Czego chcesz, Robaczkę? Chcesz mieć jakiś schludny związek przyczynowo-skutkowy, jak ten Pan Uczony tam z tyłu? Więc oto dwa łyki logiki dla was obojga. Pierwszy: jeśli Marty uczynił mnie tym, czym jestem, to powiedz mi kiedy. Wskaż mi ten dzień, w którym wróżki porwały twoją słodkoustą anielską siostrę i podrzuciły na jej miejsce zdziczałą rusałkę. Jeżeli to zrobisz, przysięgam, że wrócę do mego terapeuty i zapytam, czy to możliwe, aby mój wujek zabawiał się ze mną, kiedy nie patrzyłam.

Nie było takiego dnia i Laurel o tym wiedziała. Thalia zawsze była Thalia, przebiegłą i wyniosłą, a zmieniała się tylko dzięki swej zdolności zrzucania własnej skóry i wślizgiwania się w cudzą. Urodziła się z tym. W jednym ze swych najwcześniejszych wspomnień Laurel widziała sześciolletnią Thalię, która ocierała wielkie łzy, trzymając w rękach pluszowego konika siostry. Laurel spytała ją, co się stało, a Thalia momentalnie przestała płakać i spojrzała na nią z irytacją.

- Ja nie płaczę - oznajmiła. - Jestem twoim konikiem. To on jest smutny.

- A dlaczego jest smutny? - zaciekawiła się Laurel.

- Nie wiem - odparła Thalia, a na jej ustach pojawił się dziecięcy załazek drapieżnego uśmiechu. - Może jest smutny dlatego, że jest twój. Założę się, że wolałby zostać moim konikiem.

Potem zaczęła rozwijać tę teorię, dopóki Laurel nie zaczęła płakać i nie pobiegła poskarżyć się matce.

- Zawsze byłaś sobą, ale... - zaczęła Laurel.

- Dziękuję ci - przerwała jej Thalia. Gniew zaczynał powoli z niej opadać. Nachyliła się w stronę Laurel z zamiarem kontynuowania swego wywodu. - Łyk drugi: czy zauważyłaś kiedykolwiek, abym była przygnębiona? Nie należę do tych wrażliwych i skrytych. Z natury jestem najgorszym koszmarem pedofila i gdyby Marty próbował ze mną swoich sztuczek, wystawiłabym żądło. Marty posunął się najdalej, kiedy miałam jedenaście lat, czy coś koło tego. Pokazał mi wtedy kutasa.

Laurel wstrzymała oddech. David, siedząc na tylnej kanapie, przyglądał się badawczo im obu.

- Co zrobiłaś? - spytała Laurel.

- Podpadam się pod boki, spojrzałam na to, co wyciągnął, i powiedziałam: „Widziałam lepsze”.

- Niemożliwe! - Laurel wybuchła śmiechem.

Thalia zwolniła. Wjechali do Century i zbliżali się do supermarketu Piggly Wiggly. Mieścił się on przy granicy stanu, po stronie Florydy, aby uniknąć obowiązujących w Alabamie podatków. W drodze na ostatnie polowanie Marty'ego zatrzymali się tu, aby kupić suszoną wółwinę, piwo i orzeszki ziemne z miodem.

- Byłam wtedy cała posrana, Robaczku. Ale prędzej wydarłabym z siebie flaki i przyrządziła na kwaśno, niż dała to po sobie poznać. A poza tym, już wtedy widziałam lepszego.

- Opowiadasz. - Laurel zamrugwała.

Przekroczyli granice stanu i znaleźli się w Alabamie, zostawiając za sobą Century, którego zabudowania płynnie przeszły we Flomaton.

- O tak. Parę miesięcy wcześniej Lisa Cartwright dostała ode mnie dolara za to, że pozwoliła mi się wdrapać na drzewo rosnące na jej podwórku i zajrzeć do łazienki. Pamiętasz jej starszego brata Lewisa? Miał piętnaście lat i te rzeczy nie dawały mu spokoju. Jego potężny

dodatek robił się purpurowy, kiedy go podrażnił. Ten dzieciak miał lancę jak trojański żołnierz.

- Przestań, Thalia - przerwała jej Laurel. - Kiedy Marty ci go pokazał, dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś?

Thalia zerknęła na Laurel, po czym znów skupiła się na drodze.

- Ty wiesz, dlaczego.

Laurel już chciała pokręcić głową, ale przecież wiedziała.

- Bo nie było potrzeby mówić. Matka weszła, kiedy to robił.

Thalia pokiwała głową.

- Zaplanował to sobie w ten sposób - powiedziała. - Chyba już wtedy wiedziałam, że to niewiele miało ze mną wspólnego. Marty znał mnie od kołyski, a tacy jak on dobierają się do dzieci, które nikomu nie powiedzą. A on musiał wiedzieć, że nie jestem takim dzieckiem. Kiedy obnażył się przede mną, było to coś, co robił matce, część ich odwiecznej wojny o władzę nad ojcem.

- Jak na to wpadłaś? - zapytała Laurel.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał David.

- Dlaczego... - zaczął.

Thalia zlekceważyła go, jakby w ogóle przestał istnieć, i mówiła tylko do Laurel.

- Było wiele możliwości. To zadziwiające, ile możesz zobaczyć, jeśli tylko poświęcisz dość uwagi. Obserwuję ludzi. To pomaga mi w pracy, kiedy muszę potem się w nich wcielać. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego powiedziałas mi to wszystko. Wywołujesz w ten sposób nędzne współczucie. Biedna, mała Thalia, nic dziwnego, że jest taka stuknięta. Wal się. Nikt nie będzie mnie osądzać w ten sposób.

Flomaton pozostało za nimi. Byli już w Alabamie, a trawa wydawała się zieleńsza, gdy podążali na północ, oddalając się od piaszczystych terenów. To była ostatnia droga, jaką Marty przebył w życiu.

- Ty właśnie tak cały czas postępujesz ze mną - odparła w końcu Laurel.

- Wcale nie - natychmiast zaprotestowała Thalia.

- Owszem, tak. Nie wiem, jak możesz być szczęśliwa, żyjąc na granicy nędzy w tym swoim dziwnym i odrażającym małżeństwie. Może próbowałam sobie coś wytłumaczyć, biorąc pod uwagę Marty'ego. Twoje życie napawa mnie obrzydzeniem i gdybym wiedziała jak, wyrwałabym cię z niego i sprowadziła na właściwą drogę. Potraktowałam mnie dokładnie tak samo. Przyjechałaś tu przekonana, że jestem uciśniona i nieszczęśliwa, i próbowałaś mnie od tego uwolnić. Ale byłaś w błędzie. Myliłaś się w każdej cholernej kwestii, w której mogłaś się pomylić.

- Tak samo ty. - Thalia nie pozostawała dłużna. - Cóż, może poza tym, że Stan Webelow jest wyjątkowo obleśny. Tu mogę przyznać ci rację.

- A mój mąż wcale mnie nie zdradzał.

- W porządku - przytaknęła Thalia. - Ale Shelby uciekła, tak jak to przewidziałam.

- Nie uciekła przede mną, Thalia. Uciekła przed pogrzebem Molly. Myślę, że wczoraj dobił ją widok sponiewieranej Barb. Wyjechała z Bet, ponieważ czuje się winna, że wtedy zasnęła i nie poszła na spotkanie z Molly. Ona myśli, że to przez nią. To biedne dziecko nie chciało iść na pożegnanie.

- Nie - odezwał się David, a Laurel aż podskoczyła. Siedział dotąd tak cicho, że zajęta wałkowaniem stałych tematów z siostrą zapomniała o jego obecności. - Zostawiłaby jakiś list.

- Idę do zakładu, że to zrobiła - odparła Laurel. - Prawdopodobnie leży za łóżkiem albo pod komodą, upchnięty tak, żeby wyglądało, jakby spadł przypadkiem. Ale to Bet go schowała. Bet nie chce dopuścić, żebym porozmawiała z Shelby. Nie wie, że już wyjaśniliśmy zagadkę Stana Webelowa. Wie tylko, że Shelby nigdy nie widziała, jak Molly wchodzi do jego domu, i powie nam o tym. Jeżeli porozmawiam z Shelby, runie cały domek z kart, jaki zbudowała Bet. A ona tego nie zniesie. Nie potrafi znieść tego, że mogę się dowiedzieć, jaki straszliwy czyn popełniła. Pojmujecie?

David i Thalia jednocześnie wzruszyli ramionami.

- Boże, nie widzicie tego? - wzburzyła się Laurel. - Uczepiłam się tak mocno Stana Webelowa, bo kiedy tylko odwracałam wzrok w inną stronę, zaraz pojawiała się Bet Clemmens i kierowała moje podejrzenia z powrotem na niego. Kiedy jechałam po ciebie, Thalio, Bet wyznała, że widziała go z Molly. To od niej usłyszałam, że Shelby widziała, jak Molly wchodzi do jego domu.

- Tak. No i co? - spytała Thalia.

- Ona widziała. - Laurel w odpowiedzi powtórzyła te same dwa słowa, które otrzymała od tabliczki ouija. - Patrzyła i podjęła decyzję. Była tam i pozwoliła Molly utonąć.

- A co ona miała przeciwko Molly? - Thalia potrząsnęła głową.

- Nic. Kompletnie się nią nie przejmowała. Za to ja i moje życie, które ty uważasz za taki koszmar, jej jawiło się jako coś cudownego. Bet mnie kocha.

- To się jeszcze bardziej nie trzyma kupy - stwierdził David.

- Było ciemno. Światło na tarasie było zgaszone. Zanosiło się na burzę. - Laurel widziała, jak David i Thalia zaczynają wyciągać wnioski z jej słów.

Kłęcząc na pustym łóżku Shelby, Bet wyglądała przez okno. Jedyne światło przebijało się spod wody, więc było rozproszone i osłabione. Bet nie zastała Shelby w jej sypialni, a nie była wtajemniczona w jej plany i nie wiedziała nic o Molly. Widziała szczupłą, drobną blondynkę siedzącą na skraju trampoliny. Zeszła na dół, by się do niej przyłączyć, i wtedy zobaczyła, jak dziewczyna zsuwa się z deski, wpada do wody i tonie.

Ale Bet nie wiedziała, że patrzy na Molly Dufresne. Była przekonana, że to Shelby, dziecko żyjące w przestrzeni, którą ona chciała zająć. Życie Laurel było wypełnione do tego stopnia, że nigdy tak naprawdę nie zainteresowała się Bet. Kiedy Bet patrzyła na tonącą Shelby, zapewne postrzegła to jako otwierającą się lukę, w którą może się wśliznąć. Wyobrażała sobie, że zostanie na zawsze w tym cudownym

miejscu, u boku Laurel, która pachniała tak, jak jej zdaniem powinny pachnieć mamy.

- Bet nie dopuści do tego, bym porozmawiała z Shelby - oświadczyła Laurel i odniosła wrażenie, jakby temperatura w samochodzie spadła o parę stopni. - Za nic w świecie.

- Chyba nie jadę dostatecznie szybko - stwierdziła Thalia i wcisnęła pedał gazu do oporu.

Rozdział 18

Byli już blisko. Przydrożne bary i supermarkety ustąpiły miejsca lombardom i drobnym sklepikom. Minęli ostatni market Piggly Wiggly, a przy drodze pojawiały się jedynie punkty, w których można było zastawić samochód pod zastaw wysoko oprocentowanej drobnej pożyczki.

Ostatni z nich mieścił się na końcu zabitego dechami kompleksu handlowego. Gdy przejechali obok niego, po obu stronach drogi nie było już widać żadnych sklepów, firm, barów ani budynków. Ani drzew, ani nawet zarośli. Zostały wykarczowane, a ziemia była zryta w poszukiwaniu rud metali. Ze wszystkich stron rozciągał się ugór.

Laurel miała wrażenie, że okolica wygląda szpetniej niż w Boże Narodzenie, kiedy przyjeżdżała tu z rodzicami. Nawet kiedy odległy las tworzył na horyzoncie barwną linię, która zanikała w zimie, krajobraz prezentował się znacznie gorzej. Bardziej posępnie. Jedyne różnica polegała na tym, że nie było z nimi matki. W jej obecności DeLop zdawało się łagodnieć i nabierało miękkich kształtów, jakby było filmowane przez gazę. Ślepotą matki była tak potężna i tak zaraźliwa, że Laurel nie dostrzegała całej wyrazistości tego miejsca, nawet kiedy przyjeżdżała tu sama, by zabrać i odwiedzić Bet Clemmens. Teraz miała wrażenie, że widzi je po raz pierwszy, oczyma Davida, ale jego świeże i zaszokowane spojrzenie było również jej własnym. Jej córka była gdzieś tam, pozbawiona opieki i zdana na łaskę tej dzicy.

Thalia skręciła w wąską uliczkę, która od tak dawna nie miała tabliczki, że Laurel zapomniała jej nazwę. Rosły przy niej młode drzewa,

wysokie na dwa i pół metra i nie grubsze od przedramienia. Wokół pieniały się gęste zarośla, a większość pni zaczynały już oplatać zielone pnącza kudzu. Gdyby wysiedli z samochodu, bez maczety nie odeszliby od drogi dalej niż na metr.

Droga rozwidlała się i Thalia skręciła w prawo, w Arnold Street, która pięła się pod górę. Asfalt był tak stary, że jego kolor przypominał miękką szarość popiołu. Po prawej stronie, niemal całkiem wchłonięty przez chaszczce, stał dobrze znajomy napis, który kiedyś głosił: "Witamy w DeLop". Jego brzegi przerdzewiały doszczętnie, zanim jeszcze Laurel przyszła na świat, i jedna trzecia liter była pozwijana i zżarta korozją. Pokryte grubą warstwą rdzawego nalotu „Wita w De” straszło, wyzierając spośród krzaków.

Minęli napis i Laurel poczuła się, jakby przekroczyła granicę. Pozostawili za sobą Amerykę, pozostawili za sobą nawet tandetną kulturę jednorazowych produktów z Wal-Martu, typową dla powszechnego amerykańskiego ubóstwa. W DeLop nic nie było jednorazowego użytku, ponieważ nic nigdy nie było wymieniane. Wszystko zachowywano i składowano na przewalających się stertach. I właśnie tu była Shelby. Laurel czuła jej tętno, które zdawało rozchodzić się po ziemi i przenikać przez opony, odbijając się w niej z taką siłą, że kiedy unosiła dłonie, widziała, jak dygoczą.

Na odcinku przeszło dziesięciu kilometrów nie było żadnego punktu użyteczności publicznej ani sklepu. Minęli drogę dojazdową, która prowadziła do opuszczonej kopalni odkrywkowej. Nieeksploatowana wypełniła się stojącą zieloną wodą, której poziom unosił się bądź obniżał w zależności od ilości opadów. Między dwoma metalowymi słupkami wisiał długi, zardzewiały łańcuch, który od ponad pół wieku zagradzał wjazd na teren kopalni. Inna, większa odkrywka znajdowała się niemal w samym centrum miasteczka. Było to głębokie wyrobisko o rozmiarach stadionu piłkarskiego. Niewielkie skupiska domów i przyczep mieściły się głównie po jego południowej i zachodniej stronie. Krewniacy wciąż nazywali je kopalnią, chociaż od siedemdzie-

sięciu lat nie wydobywano tam węgla. Ciotka Moff, która mieszkała najbliżej wyrobiska, nazywała je Żabim Dołem.

Pierwszym budynkiem, na jaki natknęli się po minięciu odnogi drogi, była pojedyncza pakamera Billy'ego Eavera. Był on bratem przyrodnim matki. Eaverowie, Clemmensowie i Foleyowie należeli do jej krewnych. Posesja Billy'ego zajmowała skrawek pylistej ziemi, na której rosło kilka karłowatych drzew otoczonych zaroślami. Kudzu pieniało się wszędzie, szukając oparcia na stertach śmieci i ogołconych szkieletach samochodów, które zalegały jego podwórze. Przy bramie stały dwa pitbulle o krokodylich pyskach i łbach wielkich jak pudełka na buty i przyglądały się im płaskimi oczami. Spinając ze sobą resztki czterech różnego rodzaju ogrodzeń, Billy wznosił prowizoryczną barykadę, której nierówny szczyt zwieńczył zwojami drutu kolczastego. Wisiało na niej kilka wypłowiałych tabliczek. Trzy informowały o zakazie wstępu, a jedna ostrzegała przed psami.

David wskazał palcem na ostatnią z nich.

- Bez żartów - odezwał się lekko zachrypniętym głosem. - Czy tu jest bezpiecznie?

- Bezpiecznie dla nas - odparła Thalia.

- Nie - powiedziała Laurel w tym samym momencie, po czym spojrzała na siostrę i przyznała jej rację. - Dla nas tak.

- Chodziło mi o Shelby - wyjaśnił David.

Ani Laurel, ani Thalia nie potrafiły udzielić mu rozsądnej odpowiedzi, więc obie milczały.

- Nie spodziewałem się takich ogrodzeń - zdziwił się David, kiedy mijali kolejną pakamerę, która otoczona kawałkami szyn i drutem kolczastym wyglądała jak twierdza. - Tak na oko nie ma tu nic, co można by ukraść.

I oto byli na miejscu. Thalia zwolniła, a Laurel rozglądała się na wszystkie strony, obserwując podwórza i pobocza w poszukiwaniu Shelby.

- Niektórzy mają prochy - wyjaśniła. - Ale nawet ci, którzy nie mają, bardzo cenią sobie prywatność. Żyją w swoim własnym świecie.

Nie lubią tych, którzy przybywają tu z zewnątrz. Boję się, że Bet wprowadzi gdzieś Shelby, gdzieś w tę okolicę, a potem ją zostawi.

- Ja bym tak zrobiła - przytaknęła Thalia.

Przejeżdżali między dwiema szerokimi pakamerami, które były w tak opłakany stan, że sprawiały wrażenie, jakby powoli wtapiały się w krajobraz. W ruderze po prawej mieszkała córka ciotki Moff, Della Foley, wraz ze swą siostrą, jej facetem, jego matką i trójką dzieci. Della skleciła z różnych odpadków plac zabaw. Ze starej opony zrobiła huśtawkę, a obok wkopała pionowo w ziemię zardzewiałą drabinę. Do jej szczytu była przyspawana stara zjeżdżalnia.

Przed domem po lewej Raydee Eaver i jego brat Louis grzebali w trzewiach zdezelowanej półciężarówki. Samochód nie miał maski i obaj stali pochyleni nad odsłoniętym silnikiem. Louis trzymał klucz nasadowy i szarpał się z czymś zawzięcie. Chociaż było późne popołudnie, panował skwar i obaj nie mieli koszul. Ze swymi gęstymi jasnymi włosami, wąłymi tułowiami i żyłastymi ramionami wyglądali jak chłopięce wcielenia Thalii. Obaj podnieśli głowy i powiedli wzrokiem za przejeżdżającym volvem, a ich zielone oczy były tak płaskie i pozbawione wyrazu jak ślepie psów przy bramce Billy'ego.

- Znacie ich? - zapytał David, gdy Thalia nacisnęła hamulec.

- Tak, ale oni nie poznają tego samochodu - odparła Thalia.

Na święta ojciec przywoził je buickiem, a w poprzednim tygodniu Laurel przyjechała po Bet bulwarowcem Davida. Nieznajomy samochód w DeLop był czymś pomiędzy doniosłym wydarzeniem a inwazją. Obcy przybysze niemal zawsze okazywali się wężącymi w okolicy funkcjonariuszami z biura szeryfa, kuratorami albo jakimiś kościelnymi dobroczyńcami, którzy nieśli zbawienie, przybywając z odczytami, i rozdawali koce oraz puszkowaną fasolę. Kiedyś „dostała im się”, jak to ujęła Enid, pracownica opieki społecznej. Pocziwa kobieta, którą traktowano jak zarazę, chciała odnaleźć dzieci, figurujące zresztą w rejestrach oświatowych i posiadające numery ubezpieczenia społecznego, i spróbować zapisać je do szkoły.

- Minał prawie cały cholerny rok, zanim sobie odpuściła - skwitowała Enid.

Chłopcy Eaverów szli w stronę samochodu. Raydee zamasyżuje balansował biodrami, próbując złapać środek ciężkości, więc Laurel natychmiast się zorientowała, że jest wstawiony. Louis wymachiwał kluczem, który kiwał się w jego ręce tak swobodnie, jakby nic nie ważył: promienie słońca połyskiwały na jego gładkiej, chromowanej powierzchni. Mięśnie chłopca przypominały napięte postronki, jakby całe jego ciało szykowało się do ataku.

Thalia opuściła szybę i wychyliła się przez okno.

- Cześć, Raydee. Cześć, Louis - zawołała.

Louis zwolnił odrobinę, a prężna gotowość, z jaką trzymał klucz, zamieniła się w swobodny i nieszkodliwy chwyt.

- To ty, Thalia? - odkrzyknął Raydee.

- Kto z tobą jest? Lar! - zapytał Louis.

W DeLop wszyscy tak wymawiali imię Laurel, stłaczając je w jedną bułgoczącą sylabę, w której ledwie było słychać samogłoskę.

- Tak, i jej mąż - odparła Thalia. - Jej córka też tu jest. Widzieliście ją?

Thalia nie zadawała sobie trudu, by opisywać Shelby. W DeLop było może z sześćdziesiąt przyczep mieszkalnych i pakamer oraz dziesięć czy dwadzieścia prawdziwych domów. Na środku osady stał zrujnowany budynek z pustaków żuźlowych, w którym kiedyś mieścił się dom towarowy. Został ogołocony ze wszystkiego, co tylko dało się wymontować, więc nie miał już nawet drewnianych okiennic ani drzwi. W tak małej miejscowości wszyscy się znali, a większość była ze sobą spokrewniona. Aż dziw, że matka tu mieszkała, będąc w wieku Shelby. Chodziła po tutejszych ulicach, nie znając niczego innego, i była częścią tego krajobrazu. Jednak Shelby wyróżniałaby się na jego tle niczym srebrzysty grosik. Gdyby Raydee albo Louis ją widzieli, na pewno by się zorientowali.

- Nie - oświadczył Louis.

- Odwozicie już Bet do domu? - zapytał Raydee.

- Tak - powiedziała Thalia. - Widzieliście Bet?

Spojrzała na Raydee'a, ale on tylko zmarszczył brwi i pogrążył się w zadumie. Za to Louis postąpił krok naprzód i odezwał się swobodnym tonem:

- Nie, ale auto Sissi przejeżdżało tu jakąś chwilę temu. A potem przyjechał zastępca szeryfa. Ciotka Shirl mówiła, że poszedł do domu Sissi i dobijał się do drzwi. Nie wiesz, po co?

- Nie mam pojęcia - odparła Thalia, lecz Louis przyglądał się jej nieufnie. - Słuchaj, jakbyś zobaczył pannę Shelby, mógłbyś ją zaprowadzić do Sissi? My już musimy się zbierać.

Naśladowała jego sposób mówienia i akcent, budując zdania w taki sposób, jak robili to wszyscy miejscowi. Kiedy mówiła, Raydee stał rozluźniony i przyglądał się, jak jego brat rozmawia z córką Junie Eaver Gray. Jednak Louis, trzeźwy albo przynajmniej nie tak bardzo wstawiony, zachował rozsądek. Gdyby była z nimi matka, zaprosiłby wszystkich do domu, może zaproponowałby coś chłodnego do picia. Matka urodziła się w tym miasteczku i była jego częścią, w przeciwieństwie do swej córki, która dorastając w Pace, miała w domu telewizję, ubikację i świeże mleko.

- Jasna sprawa - zapewnił ją Louis.

- Powiem jej, że jak nie wróci do domu, to dostanie lanie - dodał Raydee.

Uchylił swą baseballową czapkę przed Laurel, a potem uniosł ręce nad głowę i rozciągnął chudy tułów tak mocno, że pod skórą zarysowały się zebra. Louis obrócił się w miejscu i poszedł w stronę samochodu, przy którym grzebali, a brat podążył za nim. Thalia odjechała.

- Powinniśmy byli zapytać, jak dawno widzieli samochód Sissi - odezwał się David.

- Powiedział, że jakąś chwilę temu. - Thalia wydała z siebie szyderczy śmiech. - A nie wygląda na to, żeby któryś z tych chłopców miał zegarek.

Jechała najprostszą drogą prowadzącą do Harold Street, a brukowana ulica zamieniła się w wąski, wysypany żwirem trakt, który ciągnął się między przyczepami mieszkalnymi. Laurel bacznie lustrowała okolicę, wypatrując jasnych włosów Shelby.

Przyczepa Sissi Clemmens należała do nielicznych posesji w DeLop, które nie miały żadnego ogrodzenia. Na łańcuchu przy drzwiach był przywiązany jej pies o zwalistej sylwetce i podpalanej sierści, Mitchell. Leżał pod jednym z wystrzępionych i pstrokatych wiatraczków Sissi. Wieczór był tak spokojny, że żaden z nich się nie kręcił, a rękawy wiatrowskazów zwisały bezwładnie. Kiedy podjeżdżali, Mitchell uniósł łeb i spojrzał w ich stronę.

Wysiadali z samochodu, gdy Sissi otworzyła drzwi, stanęła na progu i gapiła się na nich.

- Powiedziała, że na wszystko ma twoje pozwolenie - zawołała, tłumacząc się zapobiegawczo. - Ona i Bet patrzyły mi prosto w oczy, kiedy to mówiły. A teraz przychodzą Shirl i Ruby i mówią, że szeryf był tu już dwa razy. Co się dzieje, chciałabym się dowiedzieć.

- Czy one tu są? - warknęła Laurel, krocząc z furją wśród śmieci, żwiru i gołej ziemi, które zastępowały trawnik na podwórku Sissi. Mitchell poderwał się jednym płynnym ruchem. Ważył chyba ze czterdzieści kilo i miał wydatną klatkę piersiową, a tylna część jego tułowia była tak chuda, że Laurel widziała mięśnie wypięzione pod zabrudzoną sierścią. Czuła spojrzenie poźółkłych oczu, które wpatrywały się w nieoświetlone skórze jej szyi. Zmusiła się, by przystanąć, i odezwała się do niego: - Hej, Mitchell. Dobry chłopczyk z ciebie.

- Leżeć, Mitchie! - wrzasnęła Sissi i pies przyłgął brzuchem do ziemi, choć jego barki były wciąż naprężone.

- Czy Shelby jest w środku? - zapytała Laurel.

- Czy ten szeryf jeszcze tu wróci? - odpowiedziała jej przekornie Sissi. - Może powinnam się trochę ogarnąć?

Laurel poczuła, jak zaciskają się jej pięści.

- Sissi... - zaczęła mówić, ale Thalia przerwała jej szybko:

- Na twoim miejscu ukryłabym to i owo, ale nie spodziewam się, aby zaszła konieczność pozbywania się czegokolwiek. Nie byliśmy pewni, czy Shelby dotarła już na miejsce. Ludzie szukali jej w całej Florydzie, nie tylko tutaj.

- No cóż, nie ma jej w środku - oznajmiła Sissi. - Bet oprowadza ją po okolicy.

- O Boże - jęknęła Laurel.

Poczuła, że musi usiąść, a krew, chłodna i rozrzedzona, nie dostarcza jej dostatecznie dużo tlenu. Tuż za nią pojawił się David, więc opada się o niego, gdy otoczył ją ramieniem.

- Jak dawno wyszły? - dopytywała się Thalia.

- Nie mogły zejść daleko. - Sissi wzruszyła ramionami. - Zresztą nie ma dokąd. Bet chciała zabrać Shelby do Moff, żeby powróżyła jej z kart. Zobaczcie u niej.

- To jest mój mąż, David - powiedziała Laurel. - Zostanie tutaj na wypadek, gdyby dziewczynki wróciły, dobra?

- Dobra. Ja tam nic nie wiem - odparła Sissi i spojrzała na Davida równie podejrzliwie jak Mitchell.

- Jeśli szeryf znów się pojawi, będzie chciał rozmawiać z Davidem, a nie z tobą - wyjaśniła Thalia. - A jeśli David tu będzie, załatwi z nim wszystko na zewnątrz i szeryf nie będzie musiał nawet wchodzić do środka.

Sissi zmrużyła oczy, ale kiwnęła potakująco głową. David otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaraz zamknął je z powrotem.

Jeszcze w samochodzie postanowili, kto ma czym się zająć. Ponieważ nie było z nimi matki, nawiązywanie kontaktów przypadło w udziale Thalii. Potrafiła naśladować postawy i sposób mówienia, a Krewniacy często czuli się o wiele swobodniej w jej towarzystwie niż przy Laurel. Postanowiły więc, że Thalia będzie chodzić po domach krewnych, a Laurel jeździć po bocznych uliczkach i ślepych zaułkach DeLop i wypatrywać Shelby w terenie. David miał zostać u Sissi. Nie był tym zbytnio zachwycony, ale to było konieczne. Nie znał miejscowych ludzi ani okolicy.

- Zadzwoń do mnie, kiedy tylko ją znajdziesz - powiedział i przeszedł powoli obok Mitchella, który śledził każdy jego krok.

Sissi nieznacznie usunęła mu się z drogi, by mógł wejść do przyczepy.

- Czy ty go w ogóle nie karmisz? - zawołała do Laurel.

- Rzuć mi swoje kluczyki, Sissi - poprosiła Thalia. - Będzie szybciej, jak pojedę do Moff.

DeLop było małą miejscowością, ale niewielkie skupiska domów stały rozrzucone wzdłuż brzegów Żabiego Dołu, a między nimi ciągnęły się pustkowiec poprzetykane gęstymi zaroślami.

Sissi sięgnęła do przyczepy i po chwili kluczyki zakreśliły w powietrzu łuk, by upaść spory kawałek od Thalii. Wylądowały na kupie śmieci, a Sissi zarechotała złośliwie, gdy Thalia poszła je podnieść.

- Jazda! - krzyknęła Thalia do siostry.

Thalia zostawiła silnik volva na chodzie, więc Laurel usiadła za kierownicą i od razu wycofała na drogę. Zagłębiła się w labirynt pokrytych zwirem albo starym asfaltem uliczek, które zapętlały się i przecinały wzajemnie. Te wybrukowane nosiły pospolite nazwy, jak Alice, Janet czy Jasper. Prowizoryczne dróżki własnej roboty pozostawały bezimienne. Laurel jechała powoli z opuszczoną szybą i rozglądała się na boki.

Popołudniowy upał sprawiał, że większość ludzi chroniła się w domach. Laurel dostrzegła nieznajomą młodą kobietę, która nie należała do jej krewnych. Siedziała na zaśmieconym placu przed swoją kamerą i wodziła wzrokiem za brudnym dzieckiem, które grzebało w ziemi. Dziecko było bez koszulki i miało skórę poparzoną od słońca. Raz po raz spoglądało na swój tłusty brzusek i ciężką, przepełnioną pieluchę zwisającą między nogami. Laurel przypomniała sobie, co czuła, trzymając na rękach małą Bet. Rozpierała ją przemożna chęć, by uciec z tym dzieckiem i zatrzymać je dla siebie. Czemu tego nie zrobiła? Gdyby wtedy uległa swemu pragnieniu, teraz nie musieliby tu przyjeżdżać. Bet chodziłaby do szkoły Shelby, a jej chude łydki wystawałyby spod kraciatej spódniczki.

Mniej więcej jedna trzecia dzieciaków z DeLop nigdy nie pojawiła się w budynku szkoły. Niektóre mogły liczyć, że któreś z rodziców albo starszego rodzeństwa podwiezie je trzy kilometry do autostrady, gdzie mieścił się najbliższy przystanek autobusu. Pozwalało im to zdobyć skromne wykształcenie w okręgowej szkole, jednakże było niemal regułą, że porzucały naukę jeszcze przed ukończeniem podstawówki. Bet, która chodziła już do drugiej klasy gimnazjum, stanowiła wyjątek, a jej wytrwałość zdecydowała o tym, że Laurel wybrała ją na korespondencyjną przyjaciółkę dla swej córki. Gdyby Bet udało się ukończyć trzecią klasę, byłaby jednym z najlepiej wykształconych mieszkańców DeLop.

Od czasu do czasu jakieś dziecko docierało do liceum. Laurel słyszała o dwojgu takich, które ukończyły szkołę średnią, i w obu przypadkach przestały być dzieciakami z DeLop. Wyjechały w szeroki świat i rzadko kiedy zaglądały tu z powrotem.

Laurel nie mogła ich za to winić. Powinna zresztą wiedzieć, że gdyby wydarła Bet z DeLop i osadziła ją w Victoriannie, dziewczynka mogłaby ciężko przeżyć tę zmianę. Oczywiście bardzo pragnęła osiąść w świecie Laurel, ta jednak nie zrobiła tam dla niej miejsca. Bet była zapasowym dzieckiem, jak mówiła o niej Thalia, sztucznym i nierzezywistym, które Laurel zapraszała, uważając to za poświęcenie.

Samochód toczył się środkiem Lance Road, a Laurel rozglądała się bacznie dookoła. Wszystko, na czym spoczął jej wzrok, miało wyblakłe barwy. Na wypłukanych przez deszcz do szarości deskach wisały strzępy złuszczonej farby, a przedmioty z metalu były tak pokryte rdzą, że całkowicie straciły połysk. Wtem na tle młdego krajobrazu dostrzegła słaby przebłysk żywszego koloru, który skojarzył się jej z Shelby. Jej serce uderzyło mocniej, ale różowy akcent okazał się przewróconym do góry kołami wózkiem dla lalek, który leżał porzucony przy drodze. Potem zwróciła uwagę na seledynową plamkę, jednak gdy przyjrzała się dokładnie, zobaczyła tylko plastikowe wiadro. W oczy rzucił się jej jaskrawopomarańczowy kształt, lecz był to skradziony

gdzieś przy drodze gumowy pachołek, który wystawał zza sterty śmieci oczekujących na spalenie. Żaden z tych kolorów nie należał do Shelby.

Czy Shelby się bała? Wszystko dookoła musiało być dla niej takie obce. Nie było tu służb sanitarnych i wszędzie walały się odpadki, resztki jedzenia, pudełka, butelki i kości kurczaków. Większość przychodzących mieszkalnych nie miała w środku ubikacji. A czy Shelby widziała kiedykolwiek dach z blachy? Tutaj były wszędzie, niektóre srebrzyste, inne zielone. W deszczowe Boże Narodzenie ludzie musieli przekrzykiwać hałas bębniących kropel. Niemal na każdym podwórku stały przerdziały butle gazowe. Krewniacy używali propanu do ogrzewania swoich domów, jeśli mogli za niego zapłacić. Czy Shelby w ogóle wiedziała, co to za zbiorniki? Czy wiedziała, że należy się zachowywać cicho i ostrożnie, czy brykała, nie zwracając uwagi na otoczenie i wtykając wszędzie nos ze śmiałością Thalii, ale pozbawiona jej obycia, podczas gdy Bet pozostała w tyle, a potem ukryła się gdzieś za rogiem i znikła jej z pola widzenia? Tutejsze psy nie znały Shelby, a prawie każdy trzymał tutaj psy, które były tak samo agresywne jak ich właściciele. Ludzie też jej nie znali, a oni byli jeszcze bardziej niebezpieczni.

Laurel żałowała, że nie przywiozła tu Shelby wcześniej, tak jak radziła jej Thalia. Kiedy Bet namówiła ją na ten wyjazd, Shelby miała zapewne przed oczami disneyowską wizję DeLop, zaludnioną przez wyszorowane do czysta sierotki i życzliwą ciocię Enid.

Laurel zatoczyła niemal pełny okrąg, ale nie natrafiła na żaden ślad bytności Shelby. Spojrzała na wyświetlacz telefonu i zobaczyła, że ma tylko dwie kreski zasięgu. Gdyby Shelby wróciła do Sissi, David już by do niej zadzwonił. On jednak nie dzwonił, tak samo jak Thalia. W okolicy nie było żadnego sklepu ani baru, żadnego publicznego budynku oprócz kościoła, gdzie nadal starsi Krewniacy gromadzili się co niedzielę, aby sobie pośpiewać. I było mnóstwo różnych miejsc, gdzie mogła się znajdować Shelby.

Jadąc ulicą Jane Way, Laurel zbliżała się do wypalonych ruin budynku, w którym jej matka spędziła wczesne dzieciństwo. Zatrzymała

samochód i wrzuciła luz. Czy Bet przyprowadziłaby Shelby w to miejsce? Shelby na pewno chciałyby je zobaczyć.

Laurel wysiadła z samochodu, zostawiając otwarte drzwi i silnik na chodzie. Nie było tu wiele do oglądania. Po domu, wypalonym do fundamentów, nie zostało nic prócz betonowej płyty i trzech żeliwnych słupków, które prawdopodobnie stanowiły część werandy.

Stała wśród ruin, oddychając głęboko, jakby chciała zwietrzyć trop. Warstwa brudu wyglądała na nienaruszoną. Jeżeli Bet i Shelby tędy przechodzili, nie zostawiły po sobie śladu. Nie było też pozostałości po latach, które spędziła tu matka. Ta dystygowana dama, która mówiła z południowym telewizyjnym akcentem, nazywała kiedyś to miejsce swoim domem. W pewnym sensie wydawało się to istotne. Laurel czuła, że czegoś jej brakuje, jakiejś oczywistej wskazówki, ale wszystko, co uchowało się przed pożarem, dawno zostało wymontowane i znalazło zastosowanie w innym miejscu. Matka mieszkała głównie u Poota, dopóki ojciec nie przyjechał starym autobusem ze swą kościelną grupą młodzieżową, zaangażowany w działalność dobroczynną, przywożąc szynkę i brązowe papierowe torby pełne darów z drugiej ręki.

W pewnym momencie Laurel przejrzała na oczy. Uklękła na betonie, jak gdyby coś ją uderzyło. Matka przyjeżdżała tu na każde Boże Narodzenie, ofiarowując Krewniakom te same rzeczy, które kiedyś przywiózł jej ojciec. Nie była to dla niej świąteczna wycieczka. Traktowała to jako misję ratunkową. Raz do roku porzucała swe uporządkowane życie, które sama zbudowała i chroniła za wszelką cenę, i wybierała się do tego złowrogiego siedliska nędzy. Było to coś więcej niż dokonania absolwentów szkoły średniej, którym udało się wyrwać z DeLop.

Za to ojciec wrócił do DeLop nie po to, aby przywieźć matce szynkę, lecz dlatego, że się w niej zakochał. Był rozpalony i spragniony, a żeby na nią popatrzeć, opuszczał swój świat fantazji. Matka nie mogła zauważyć różnicy. Bezдушna ofiara w postaci butów i dobrych ma-

nie była jak rzucanie tonącemu cegły w przekonaniu, że to lina. Ale i tak była to najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić. Laurel przyłożyła dłoń do brudnego betonu i zaakceptowała to wszystko. Spojrzała na to miejsce szczerze i otwarcie, postrzegając je takim, jakie było. Laurel wiedziała, że jej matka postąpiła najlepiej, jak tylko potrafiła.

Było to kiedyś rodzinne miasteczko matki, lecz opuściła je i nigdy więcej nie próbowała się w nim odnaleźć. Wykreowała się na kogoś z zewnątrz i tak samo wychowała Laurel, jak gdyby to był jakiś dar. Od momentu, gdy wyruszyli na poszukiwanie Shelby, Laurel cały czas myślała kategoriami kogoś z zewnątrz. Wszyscy troje myśleli w ten sposób. Ale teraz, dotykając brudnych fundamentów i czując ból w kolanach, wejrzała w głąb DeLop.

Thalia stwierdziła, że na miejscu Bet porzuciłaby Shelby gdzieś w płataninie miejscowych uliczek. Jednak w oczach Bet tutejsi nie byli straszni. Byli dla niej tak samo swojskim i powszechnym zjawiskiem jak kudzu rozprzestrzeniające się po opuszczonej parceli.

Gdyby Bet chciała skrzywdzić Shelby, nie oczekiwałaby, że wyręczą ją w tym Raydee i Louis, albo nawet psy, takie jak Mitchell. Dla Bet wszyscy oni byli nieszkodliwi. Musiał jednak istnieć powód, dla którego zwabiła tu Shelby. Coś, co Bet uważała za niebezpieczne. Coś, czym mogła się posłużyć.

Laurel przypomniała sobie wujka Bet, który utonął w strumieniu, a jego twarz „zjadły” raki. Przypomniała sobie ciało Molly dryfujące na środku basenu. I już wiedziała.

Poderwała się na równe nogi i ruszyła biegiem, pozostawiając samochód tam, gdzie stał zaparkowany. W to miejsce nie dotarłaby samochodem, ponieważ łańcuch zagradzał drogę, którą kiedyś jeździły ciężarówki po węgiel. Prowadziła tam jednak ścieżka, która zaczynała się za domem Enid oddalonym o jakieś dwieście metrów. Laurel w biegu wygrzebała telefon z kieszeni. Pomyślała, by zadzwonić do Davida, ale jej palce same wybrały numer Thalii.

- Jestem u Delii - powiedziała Thalia na powitanie. - Tu jej nie ma.

- Myślę, że Bet zabrała ją nad Żabi Dół. Weź Davida. On nie zna drogi! - krzyknęła Laurel, po czym rozłączyła się, by oszczędzić oddech na bieg.

Okrzyżała płot otaczający posesję Enid i pognała w stronę znajomego miejsca, gdzie przeciskając się między dwoma drzewami, można było wejść do zarośniętego krzakami lasu. Wąska ścieżka wiodła pod górę i Laurel zaczęła wspinać się po niej w pośpiechu, nie zważając na gałęzie, które chwyciły ją za ubranie i drapały po odkrytych ramionach.

Obrzeża kopalni odkrywkowej były tak strome, że miało się wrażenie, jakby ktoś olbrzymim nożem wykroił plaster ziemi. Obmywała je stojąca woda o mętnej zielonej barwie, która wyparowywała i powracała wraz z deszczem. Musiała sięgać wysoko, bo ostatni rok był wilgotny, a jej szmaragdowa, nieprzenikniona toń zdawała się nie mieć dna i promienie słońca ogrzewały tylko jej powierzchnię.

Gdy Laurel wylaniała się spośród drzew, mignęła jej przed oczami jaskrawa plama koloru. Od razu rozpoznała różowy podkoszulek z podobizną Justina Timberlake'a. Kilkanaście metrów przed nią, na ścieżce, tuż nad krawędzią wyrobiska, Shelby unosiła ręce nad głową, trzymając w nich spory kamień. Była odwrócona tyłem do Laurel, a za jej plecami stała Bet. Podczas gdy Laurel pięta się w górę, pokonując stromiznę, Shelby cisnęła przed siebie kamień, który, koziołkując, zatoczył w powietrzu łuk i runął gwałtownie w dół.

- Bum! - krzyknęła Shelby, gdy kamień z pluskiem uderzył w wodę.

Bet trzymała coś w rękach, manipulując przy tym, a kiedy kamień zatonął, Shelby wzięła to od niej. Bet schyliła się, by ponieść swój kawałek skały, i wtedy zobaczyła Laurel, która z trudem łapiąc oddech, wspinała się pośpiesznie w jej stronę. Ich spojrzenia natrafiły na siebie i dziewczynka otworzyła szeroko usta w wyrazie niemego zaskoczenia.

Bet zerknęła na kamień, który właśnie dźwignęła z ziemi, a potem jej wzrok znów prześliznął się na Laurel.

- Shel! - krzyknęła Laurel ostrzegawczym tonem.

Shelby nie obejrzała się ani nie zareagowała, tylko stała dalej na urwistym brzegu. Wtedy Laurel dostrzegła cienkie kabelki sterczące po obu stronach jej głowy. Shelby miała w uszach słuchawki iPoda. To właśnie przy nim Bet manipulowała, naciskając przyciski, aby znaleźć jakąś piosenkę.

Shelby stała tak blisko krawędzi, która wznosiła się trzy metry nad lustrem bezdennej zieleni. Laurel dzieliły od niej tylko dwa metry. Uświadomiła sobie, że dociera do niej nikły pogłos jakiejś rytmicznej melodii, która z niedorzeczną wesołością rozbrzmiewała w uszach Shelby. Bet obróciła kamień w rękę, jakby sprawdzała jego ciężar.

- Tak długo z tym czekałaś - wysapała Laurel. - Nie chcesz tego.

Początkowe zaskoczenie znikło z twarzy Bet, a jej oczy stały się tak szkliste i jałowe jak powierzchnia Żabiego Dołu.

- Teraz leci ten kawałek - odezwała się Shelby i zwiększyła siłę cyjzegoś głosu, który zaczął ryczeć w słuchawkach.

- Proszę, nie... - jęknęła Laurel.

Miała jeszcze tak dużo do powiedzenia. Chciała powiedzieć Bet, że już dostrzegła różnicę, że pojęła, jak ojciec mógł się przyczynić do przemiany matki. On stworzył dla niej miejsce w swoim świecie. Laurel kupiła Bet dzinsy American Eagle i kolorowe sandały, patrzyła na nią surowym, podejrzliwym okiem, ale nie dała jej przestrzeni. Toteż Bet zaprowadziła Shelby nad Żabi Dół, usiłując stworzyć tę przestrzeń dla siebie.

Bet zerknęła na Laurel martwym wzrokiem. Nie było czasu, by mówić to wszystko. Twarz dziewczynki była pozbawiona wyrazu, jakby całą uwagę zwróciła do wewnątrz. Laurel dostrzegła jej wahanie.

- Wszystko jeszcze może być dobrze - powiedziała.

Ale te słowa zabrzmiały sztucznie. To nie mogła być prawda. Była przecież Molly i nic już nie mogło być dobrze.

- On śpiewa „lepiej weź moje serce”. Na pewno. Chcesz posłuchać? - Shelby uniosła ręce w stronę słuchawek.

- Naprawdę mi przykro - odparła Bet.

Jej ręce też się poruszyły, dźwigając kamień.

Laurel już pędziła w ich stronę, ale Bet była zbyt szybka. Uderzyła kamieniem w tył jasnowłosej głowy Shelby, w sam środek, między warkoczami. Trysnęła jaskrawa, świeża krew i Shelby zatoczyła się do przodu. Laurel już sięgała ręką, jej palce dotykały różowego podkoszulka, lecz zacisnęły się w próżni. Bet upuściła kamień i gdy Shelby zaczęła zginać się wpool, zepchnęła ją z brzegu. Shelby runęła do wody.

Laurel skoczyła tuż za nią. Poczowała oszałamiający pęd spadania, ten moment nieważkości, w którym zdawało się jej, że zawisła na tle stromych wapiennych skał. To przyprawiające o zawrót głowy złudzenie przerwał głośny chlupot wody, o którą uderzyło ciało Shelby. Zaraz potem Laurel wbiła się w zieloną toń. Jej głowę obmyła letnia fala, lecz niżej temperatura spadała tak gwałtownie, że Laurel miała wrażenie, jakby zanurzyła nogi w płynnym lodzie.

Dostrzegła złociste włosy Shelby. Jeden z warkoczków sterczał pionowo do góry, podczas gdy dziewczynka zanurzała się w głębinie. Laurel złapała za niego i pociągnęła do siebie, po czym oplotła ramionami wątl pierś Shelby i zaczęła odbijać się w stronę powierzchni. Shelby miotaa się w jej objęciach, krztuszac się i zachłystujac wodą. Miała tak szeroko otwarte oczy, że widać było całe białka, i rzucała głową na boki, wypuszczajac krótkie serie bąbelków powietrza.

Laurel poczuła ogromny przypływ siły. Nigdy w zyciu nie była tak silna. Młóciła nogami, płynac w górę, i nie byłaby wcale zaskoczona, gdyby moc tych uderzeń wyrzuciła je metr ponad lustro wody.

W końcu wystrzeliły na powierzchnię. Laurel obróciła twarz córki ku górze, opierajac sobie jej głowę na ramieniu. Shelby dławiła się i kaszlała, wyprężajac całe ciało. Krew sączaca się z jej głowy ciepłym strumieniem spływała na policzek Laurel.

Shelby udało się złapać oddech i przestała się miotać, ale nie była w stanie samodzielnie utrzymać się na wodzie. Miała wciąż wywrócone oczy, a jej kończyny były nieruchome i bezwładne. Niemniej jednak oddychała, a Laurel czuła równe i mocne bicie jej serca. Laurel obró-

ciła się na plecy i ułożyła sobie Shelby na piersi, po czym zaczęła płynąć, holując ją w stronę miejsca, gdzie kończyła się droga dojazdowa, która przechodziła na brzegu w spadzisty przyczółek o szerokości dwóch dużych ciężarówek.

Od celu dzieliło ją jakieś czterysta metrów, lecz płynęła pewnie i wytrwale, a unosząca się przed nią fala ochlapывała jej twarz. Bryzgi wody zalewały jej usta i krztusiła się, usiłując cały czas podtrzymać Shelby.

Nagle poczuła, że z boku napływa inna fala, i uświadomiła sobie, że po brzegu idzie Bet i ciska w nie kawałkami skał.

- Bet! - wrzasnęła i wtedy trafił ją jeden z kamieni.

Był to płaski odłamek granitu, który ugodził ją w czubek głowy tak mocno, że zobaczyła gwiazdy. Chociaż była zamroczona, poczuła zdziwienie. Zawsze myślała, że to tylko umowne określenie, ale naprawdę widziała żółte gwiazdy, które niczym punkciki światła połykiwały nad jej głową. Zdała sobie sprawę, że znalazła się pod wodą i patrzy na popołudniowe słońce, którego promienie odbijały się od fal. Skalny odłamek zanurzył się szybciej i znikł w ciemnozielonym mroku.

Shelby, nieruchoma drobinka ciepła, którą ścisnęła w ramionach, zapadała się wraz z nią w chłodną głębinę. Laurel miała wrażenie, że toną bardzo powoli. Wszystko wydawało się jej powolne. Zapadała się również w sobie, ogarniał ją mrok, a gwiazdy zaczynały blednąć. Zebrała resztki sił i wypuściła Shelby, odpychając ją od siebie w stronę światła i powietrza. Potem poczuła spokój i błogość.

Otoczyła ją ciemność i chłodna, pozbawiona powietrza cisza, w której opadanie na dno zdawało się nie mieć żadnego znaczenia. Miała wrażenie, że tak ma być, że to uczciwa cena do zapłacenia za tę siłę, która wywindowała Shelby w górę. Nad sobą widziała, jak nogi Shelby podkurczają się, a potem gwałtownie prostują, jak jej chude ramiona wracają do życia, jak dziewczynka samodzielnie płynie ku powierzchni. Tak było dobrze. To wystarczyło. Oczy Laurel zamknęły się i gwiazdy znikły, a wraz z nimi wszystko inne.

Potem poczuła, jak silne palce wczepiają się głęboko w jej włosy, a paznokcie orają po obolałym ciemieniu, gdzie ugodził ją kamień. Gwałtowne szarpnięcie sprawiło jej ból i Laurel wydała z siebie krzyk, który uleciał z niej bezgłośnie pod postacią białych bąbelków powietrza. Podążyła za nimi, unosząc się ku powierzchni. Poczuła na twarzy powiew powietrza i usłyszała głos Thalii.

- O nie, nie możesz, do cholery.

Raziło ją słońce, więc opuściła powieki i przez chwilę nie słyszała niczego.

- Mamusiu - mówiła Shelby, a strach w jej głosie przywołał Laurel z powrotem.

Otworzyła oczy. Leżała na zamulonych kamieniach, które pokrywały stromy brzeg u wylotu drogi dojazdowej. Nogi wciąż miała zanurzone w wodzie. Obok niej kłęczała Shelby. Jej różowy podkoszulek pokrywały plamy krwi, ale była cała i zdrowa.

- Kochanie - odezwała się Laurel.

Potem przetoczyła się na bok i zaczęła się krztusić, wypluwając wodę, a kaszel przybierał coraz bardziej na sile, aż zaczęło się jej zbierać na wymioty. Nawet kiedy atak już minął, wciąż słyszała zduszone, gardłowe odgłosy. Uniosła głowę i zobaczyła Thalię, która oddalona od niej o metr kłęczała, podpierając się rękami, i wymiotowała, jakby chciała zwrócić wszystko, co kiedykolwiek zjadła.

- Nic ci nie jest? - zapytała Shelby, kładąc na ramieniu Laurel drobną, ciepłą dłoń.

- Czuję się dobrze - odparła Laurel i popęzła w stronę siostry. Shelby podążyła za nią na czworakach. Laurel usiadła obok Thalii, a świat zawirował jej przed oczami, jakby na dowód, że skłamała, więc patrząc na Shelby, dokończyła zdanie: - Prawie.

Shelby przyciskała sobie do głowy zwiniętą koszulkę Thalii. Miała zaczerwienione i tak mocno podpuchnięte oczy, że patrzyła przez wąskie szparki między powiekami.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak bardzo cię przepraszam.

- Wszystko w porządku, kochanie - odparła Laurel.

- Nie mogłam tego znieść. Babcia odwiozła mnie do domu i zobaczyłam mamę Molly u nas na sofie. I wiedziałam, że nie zniosłabym, gdyby na mnie popatrzyła. To była moja wina. A ona spojrzalaby na mnie i już wszystko by wiedziała.

- To nie była twoja wina. - Laurel chwyciła córkę za ramiona.

- Była. Gdybym wyszła do niej...

- Wiem, kochanie. Ale to nie twoja wina. Nie możesz kontrolować całego świata. To był wypadek.

Przygarnęła Shelby do siebie i zaczęła ją kołysać, a dziewczynka wtuliła się w nią i jej drobnym ciałem wstrząsnął szloch.

Thalia przestała wreszcie wymiotować. Usiadła, podciągając ramiączka stanika, a jej przekrwione oczy napotkały wzrok Laurel.

- Gdzie jest Bet? - Laurel poruszyła bezgłośnie ustami nad głową Shelby.

Thalia skinęła lekko głową, wskazując na wodę.

Laurel spojrzała na nieruchomą powierzchnię Żabiego Dołu. Zielona woda wyglądała jak tafła gładkiego szkła. Nie było na niej ani jednej zmarszczki.

- Musimy... - zaczęła.

Thalia pokręciła głową. Poklepała się po nadgarstku, w miejscu, gdzie miałyby zegarek, gdyby go nosiła.

- Nie ma sensu - powiedziała.

Potem znów zaczęła się krztusić, a z jej oczu popłynęły strumienie łez. Znów podpada się rękami i łapczywie wdychała powietrze, dopóki się nie uspokoiła. Podpełzła do siostry i usiadła obok niej. Wyczerpana Shelby opierała się na piersi Laurel, która przyciskała do jej głowy zwinięty podkoszulek Thalii.

- Muszę z tym skończyć - odezwała się Thalia.

Sprawiła w tym momencie wrażenie tak samo młodej i zagubionej, jak Shelby. Laurel otoczyła ją ramieniem. Doskonale rozumiała, o co chodzi Thalii.

- Co on powiedział, kiedy jeleni uciekł? - zapytała. - Słyszałam, jak tato mówi „bierz go” i tupot kopyt jelenia. A potem Marty coś powiedział. Co to było?

- Powiedział „następnym razem biorę ją” i wskazał kciukiem na ciebie. Chodziło mu o to, że zmarnowałam taki łatwy strzał. Ale właśnie tak powiedział. Ze weźmie cię następnym razem. Pobiegł za jeleniem i znalazł się przede mną, a ja nawet się nie zastanawiałam. To było coś, co zrobiły moje ręce.

- O czym ty mówisz? - zainteresowała się Shelby.

- Ciii. To nic ważnego - uciszyła ją Laurel.

Spojrzała na swą siostrę, która na powrót stała się małym dzieckiem; na jej podkrążone oczy i rozdygotane usta. Niezłomna Thalia była załamana.

- Nie jestem taka jak ty - zwróciła się do niej Laurel. - Ja nie powiedziałabym „widziałam lepszego”.

- Wiem. - Thalia ukryła twarz w dłoniach. - I wiedziałam, że ona nie umie pływać.

- Co się stało? - Shelby wyrwała się z objęć Laurel. Wciąż przyciskała sobie do głowy zwinięty podkoszulek i teraz sięgnęła drugą ręką, by pomacać obolałe miejsce. - Nie było tu Bet? Gdzie ona jest? Czy posypały się na nas kamienie? Pamiętam spadające skały.

- Nie zdołałyśmy jej uratować - odparła Laurel.

Shelby, zataczając się niepewnie, stanęła na nogi. Laurel również próbowała się podnieść, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Opadła z powrotem na kolana, tymczasem Shelby podeszła do linii wody.

- Spróbuj zamoczyć chociaż palec, Shelby Ann, a przywlokę cię tu z powrotem i zleję na kwaśne jabłko - zagroziła jej Thalia.

Shelby przystanęła, wpatrując się w gładki bezmiar zieleni.

- Bet! - wołała. - Bet!

Jej głos odbijał się echem od skalnych ścian, lecz pozostał bez odpowiedzi.

- Mogłam walnąć ją w twarz - szepnęła Thalia do siostry. - Mogłam uderzyć ją kijem, żeby straciła przytomność. Ale pomyślałam: „**A** co będzie, jeśli wstanie? Jeśli ja skoczę do wody, żeby was ratować, a ona dalej będzie stać na brzegu i nas bombardować?”. A potem w ogóle już nie myślałam. Po prostu działałam. Wiedziałam, że ona nie umie pływać.

- Dziecinko. - Laurel odezwała się do niej takim samym tonem, jakim zwracała się do Shelby. Traktowała teraz Thalię, jakby była w wieku jej córki i wyciągała z ust kciuk, by powiedzieć: „Moja głupkowata siostra miała zamknięte oczy. Ona boi się broni. I chyba wystraszyła się jelenia”.

- Dziecinko - powtórzyła Laurel. - Nie wiedziałaś. Skąd mogłaś o tym wiedzieć? Nie zastanawiałaś się nad tym. Widziałaś, jak Bet rzuca w nas kamieniami, więc odepchnęłaś ją na bok, a ona wpadła do wody. A potem skoczyłaś, żeby nas wyciągnąć.

Thalia zakryła usta dłońmi i uniosła wzrok na Laurel, tym razem posłusznie ulegając siostrze. Z wolna pokiwała głową. Tymczasem Shelby opadła przy brzegu na kolana.

- Pomóż mi wstać - odezwała się Laurel.

Thalia podniosła się i stanęła na drżących nogach jak nowo narodzone źrebie, po czym podała siostrze rękę. Opierając się na sobie, wolno podeszły do miejsca, w którym kłęzała Shelby.

Laurel usiadła za plecami córki i otoczyła ją ramieniem, a Thalia zajęła miejsce po drugiej stronie siostry. Od strony leśnej ścieżki słychać było głosy zbliżających się ludzi. David sprowadził ubranych w jasnobłękitne mundury ludzi z biura szeryfa, którzy przeciskając się między drzewami, prowadzili poszukiwania. Ktoś mógł teraz wezwać ambulans i ratowników ze sprzętem do nurkowania.

Laurel przycisnęła mocniej Shelby, a drugim ramieniem otoczyła siostrę, przyciągając ją do siebie. Siedziały w rzędzie, Thalia, Laurel i Shelby, wszystkie trzy dziewczyny Grayów, i wpatrywały się w niezmaconą toń wody, której spokój zaraz miały zakłócić błyski świateł, hałasy, rozpacz Sissi i niekończące się pytania. Czekały, aż wynurzy się z niej to, co ma się wynurzyć.

Epilog

Laurel kłęczała w ogródku na tyłach domu i kopała w piaszczystej ziemi. Sadziła kwiaty na rabatkach, które ciągnęły się po obu stronach furtki. Obok niej, w koszyku, leżało kilka ostatnich cebulek, które niedawno wyjęte z lodówki były jeszcze zimne i stwardniałe. Kiedy dom w Victoriannie został sprzedany, a oni przeprowadzili się sześć kilometrów dalej, jesień ustąpiła miejsca zimie i było za późno na sadzenie. Zajęła się tym teraz, u schyłku lutego. Wiedziała, że kwiaty będą małe, ale chciała, by na wiosnę ogród wypełnił się niosącymi otuchę i nadzieję tulipanami i żonkilami.

Ich nowy dom stał na wzgórzu, tak samo jak stary, lecz był to jedyne sposob, by w Pensacoli znaleźć podpiwniczony budynek. Okolica nie była ogrodzona, a ulica, przy której mieszkali, ciągnęła się daleko. Laurel mogła przyglądać się jej ze szczytu wzgórza. Podobało się jej tu. Podobało się jej podwórze za domem, sadzawka, w której pływały karasie, i różnokolorowe klomby kwiatów. Podobał się jej dom utrzymany w prowincjonalnym francuskim stylu, z dwoma kamiennymi lwami, które drzemały po obu stronach chodnika. Nie wyglądały na strażników, raczej sprawiały wrażenie rozleniwionych. Laurel nazwała je Lawrence i Miss Iris.

Za plecami Laurel słyszała głosy Shelby, Yvonne Feng i Carly Berman, które plotkowały, siedząc na kamiennej ławeczce w głębi ogrodu. Laurel poczuła ból w dolnej części pleców i musiała się wyprostować. Nie mogła zbyt długo kłęzczyć w ten sposób, odkąd środek ciężkości jej ciała zmienił położenie. Wyciągnęła nogi przed siebie

i rozsiała się płasko, po czym zakopała ostatnie cebulki w sypkiej, piaszczystej ziemi.

Po skończonej pracy wstała, powoli i ostrożnie, otrzepując się z piachu. Była dopiero na początku trzeciego trymestru, ale zanosilo się na to, że dziecko będzie duże. Zaczynało już robić mu się ciasno w jej brzuchu. Właśnie się przeciągało i Laurel czuła nacisk maleńkich stópek, a z boku jej brzucha pojawiła się wypukłość. Dotknęła jej dłonią i poczuła, jak nóżki się cofają.

- Carly? - zawołała w głąb podwórza. - O której przyjeżdża twoja mama?

Dziewczynki siedziały w rzędzie, blondynka, brunetka i rudowłosa. Wszystkie naraz podniosły wzrok. Shelby miała włosy zaczesane do tyłu i spięte przepaską, a widok jej lekko odstających uszu przyprawiał Laurel o rozczulenie. Zaczynała upodabniać się do swych rodziców, a jej dziecięce wargi nabierały wyrazistych kształtów, do złudzenia przypominając usta Laurel.

- Przed kolacją - odpowiedziała Carly.

- W porządku. A potem weź się do odrabiania zadań, Shel. Chcę jutro wstać bardzo wcześnie.

- W porzo, mam - krzyknęła Shelby i trzy połyskujące główki z powrotem nachyliły się ku sobie, by znów szepcząc i chichocząc, wydawać te głupiutkie i piękne dziewczęce odgłosy, typowe dla schyłku dzieciństwa.

Kątem oka Laurel pochwyciła przebłysk koloru. W pobliżu czaiła się Bet Clemmens, stojąc za krzewem pnących róż, a jej drobne stopy zapadały się w ziemię. Laurel nie odwracała wzroku w jej stronę. Gdyby to zrobiła, ujrzałaby tylko trznadla buszującego wśród liści krzewu azalii, który rósł za różami. Bet nie lubiła takich bezpośrednich spojrzeń. Mimo to tkwiła tam, nieruchoma w słabym świetle zimowego słońca. Była jedynym duchem nawiedzającym Laurel, odkąd Molly znalazła spokoju, a Marty odszedł na spoczynek, gdziekolwiek sobie na niego zasłużył.

Laurel nie czuła się nękana przez Bet Clemmens. Jej duch wydawał się szczęśliwy wśród kamiennych aniołków i ogrodowych żab, a nawet w towarzystwie tandetnego różowego flaminga z plastiku, którego Laurel dostała od Shelby na gwiazdkę. Co więcej, Bet była jej najlepszym wspomnieniem.

Drugie spośród jej najlepszych wspomnień właśnie posyłało jej pełne wyrzutu spojrzenia.

- Naciskam ten dzwonek przez całą wieczność. - Thalia szarpała drewnianą, pomalowaną na biało furtkę, która sięgała jej do pasa.

- Jesteś wcześniej - odparła Laurel, po czym odłożyła kosz i szpadel, by wpuścić siostrę do ogrodu.

Następnego dnia zamierzały wstać przed szóstą i pojechać do DeLop, Laurel, Shelby i Thalia. Teraz jeździli tam co miesiąc, w ostatni weekend, kiedy w teatrze Thalii panował przestój przed kolejną premierą. Najpierw zajeżdżały do Sissi Clemmens. Sissi, siedząc na sofie, przyglądała się, jak Thalia uzupełnia zapasy w jej spiżarni i robi porządki. Nie sprawiała wrażenia, jakby miała coś przeciwko ich wizytom. Nie sprawiała wrażenia, jakby cokolwiek rozpamiętywała. Zatrzymywały się u niej tylko na chwilę. Miały do dyspozycji jedynie weekend i czekało je wiele do zrobienia.

Laurel wykradała dzieci.

Trzyletnia córeczka Delii, Janina, już od progu witała ją, krzycząc: „Pani Lall, pani Lall”, i nie odstępowała jej na krok. Było to nie tylko zasługą słodyczy, książeczek z obrazkami i kredek woskowych, które przywoziła jej Laurel. Działo się tak dlatego, że Laurel patrzyła na nią i dostrzegała małą dziewczynkę pod usmolonym podkoszulkiem i zapakowaną dżemem buzią. Laurel zgłębiała naturę tego dziecka oraz synów siostry Delii, tak samo jak poznawała małeństwo, które Raydee spłodził z piętnastoletnią Polly Deeks. Gdyby ktoś z nich chciał kiedyś wyrwać się z DeLop, droga w świat stała przed nimi otworem. Laurel żywiła cichą nadzieję, że chociaż jedno z niej skorzysta, i była zawsze gotowa służyć im pomocą.

- Misjonarka wśród upadłych - nazywała ją Thalia, ale sama nie opuściła ani jednej wyprawy, odkąd Laurel zaczęła tam jeździć.

David również wybierał się z nimi, jeśli pozwalała mu na to praca. Gdy wszyscy razem zasiadali w samochodzie, w powietrzu unosił się posmak elektryczności, woń ich niespokojnego, cichego zawieszania broni.

- Chcesz, żebym kazała jej zostać w domu? - zapytała Laurel pewnego wieczoru po kolacji, nachylając się nad ramieniem Davida siedzącego na sofie. - Chodzi mi o te weekendy, kiedy ty możesz pojechać.

- Nie. Zabierz ją - odparł David po chwili namysłu. - Wasi krewni są dosyć straszni, a z Thalia przy boku będę miał przynajmniej pewność, że położy jednym strzałem każdego, kto spróbuje skrzywdzić ciebie lub Shel.

Laurel klepnęła go z rozmachem otwartą dłońią w nogę.

- No co? - zdziwił się, a ona zdała sobie sprawę, że to nie był makabryczny żart z jego strony. David był po prostu sobą i nazywał pewne rzeczy bez ogródek. - Ale i tak jej nie lubię - dodał.

- No cóż, a ona szaleje na twoim punkcie. - Laurel parsknęła śmiechem.

Wydawało się właściwe, aby siostra znów znalazła się na orbicie jej życia, nawet jeżeli planeta Thalia wykazywała skłonności do dziwnych zawirowań i uważała się za Słońce. Laurel potrzebowała jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zawada pokój z matką i ojcem, głównie przez wzgląd na Shelby, ale to nie było to samo. Laurel wpajała jej dobre manieri i ogładę swej matki, matka zaś postanowiła zapomnieć o potłuczonych naczyniach i obelgach, choć nie potrafiła jej tego wybaczyć. Thalia wybaczyła jej, lecz nie była w stanie zapomnieć.

- No cześć, gruba dynio. - Thalia zmierzyła ją wzrokiem, po czym nachyliła się i ściszym głosem przemówiła do jej brzucha: - Jesteś tam, Kukiełeczko? Pobudka! To ja, ciocia Thalia.

- Oj! - stęknęła Laurel, gdy dziecko kopnęło ją w pęcherz, jakby to był jego własny bębenek.

Shelby usłyszała głos Thalii i już biegła ku niej przez ogród w asyście przyjaciółek. Thalia wyszła im naprzeciw, by wziąć siostrzenicę w objęcia. Laurel stała przy furtce i przyglądała się im, splatając ręce na brzuchu.

Kiedy druga linia w okienku testu zaczęła nabierać różowej barwy, David przepowiedział drugą dziewczynkę. Miniaturkę Shelby. Laurel jednak wyobraziła sobie hałaśliwego chłopczyka o głosie donośnym jak dźwięk trąbki i sterczących jasnych włosach.

- Będzie chciał mieć psa - wyszeptła do Davida, gdy spoczywali w cichym półmroku swego wielkiego łóża.

- Pies wykopie ci wszystkie kwiatki - ostrzegł ją David.

- Nie dbam o to. Chłopiec musi mieć porządnego psa, a ja ci mówię, że tym razem trafił nam się chłopiec.

Badanie ultrasonograficzne potwierdziło jej przypuszczenia. Tego samego wieczoru poczuła pierwsze słabe ruchy. Otulone zasłoną jej skóry były zbyt stłumione, by wyczuć je z zewnątrz. Jak trzepot skrzydeł ukrytej ćmy.

Od tamtej pory ukryta w jej ciele istota urosła i nabrała wigoru. Laurel wiedziała, że gdy nadejdzie wiosna i zakwitną ostatnie z jej żonkili, dokona najodważniejszego czynu, jakiego potrafi dokonać. Otworzy się i wypuści tę istotę w świat.

Podziękowania

Powieściopisarce zawsze mawiają „Ta książka nigdy nie została by napisana bez...” i tu wymieniają całą listę ludzi. Ale faktycznie, nigdy nie ukończyłabym tej powieści, gdyby nie chytre machinacje Caryn Karmatz Rudy i Lydii Netzer. Te dwie kobiety nigdy się nie spotkały, a mimo to stworzyły zgrany zespół, na przemian słodząc mi i podszczypując mnie, abym nie przerwała pisania (które nieodmiennie jest dla mnie najlepszym lekarstwem) w ciągu tego niełatwego roku. Wciąż próbowałam stopić je w jedną postać o twarzy Helen Hunt, by unosząc brwi niczym Jack Nicholson, powiedzieć „Sprawiasz, że chcę być lepsza”, lecz one kazały mi się zamknąć i przystąpić do pracy nad kolejną powieścią.

Aby napisać o pracy Laurel, całymi godzinami wpatrywałam się z oszołomieniem i zachwytem w dzieła kanadyjskiej artystki Pameli Allen oraz w narzuty autorstwa Deb Richardson, przedstawiające figury tarota. Nie miałam pojęcia o szyciu, ale zostałam przygarnięta przez zespół nawiedzonych artystek o nazwie Quilt Mavericks, które poczęstowały mnie jakimiś dziwnymi jagodami i nauczyły, jak wymawiać słowo „bernina”. Już nigdy nie będę taka sama.

Ted Bailey, komisarz śledczy z Georgii, oraz Chip Simmons, zastępca komendanta policji w Pensacoli, opisali mi procedury stosowane w trakcie dochodzenia. Kilka razy. Powoli. To bystrzy i porządni gliniarze, podczas gdy ja co najwyżej jestem kiepskim przestępcą, więc jeśli coś popełniłam jak należy, zawdzięczam to ich staraniom.

Yolanda Reed, Patricia Simmons, Waylon Wood, Hunt Scarritt oraz zespół teatru Loblolly w Pensacoli są moim źródłem wiedzy na